

PETER BENCHLEY

SZCZĘKI

Powieść, która zainspirowała Stevena Spielberga



SZCZĘKI



PETER BENCHLEY

SZCZĘKI

Tłumaczył
Tomasz Kaźmierczak


Replika

Tytuł oryginału
JAWS

Copyright © 1974 and renewed 2002 Benchley IP, LLC.
Introduction: Copyright © 2005 Benchley IP, LLC.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Replika, 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Joanna Pawłowska

Korekta
Ewelina Chodakowska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie I w tej edycji

eISBN 978-83-66217-47-8

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60–175 Poznań
tel./faks 061 868 2519
replika@replika.eu
www.replika.eu

Dla Wendy

Spis treści

[Strona tytułowa 1](#)

[Strona tytułowa 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Wprowadzenie](#)

[Część pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Część druga](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Część trzecia](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Materiał dodatkowy](#)

[List Petera Benchleya do Davida Browna, producenta filmowej adaptacji](#)

[Szczęk](#)

[Żółty biały: poważny problem](#)

[Dar morza](#)

WPROWADZENIE

Szczęki to wytwór dziecięcej pasji.

Podobnie jak miliony innych dzieci rozwijałem własną fascynację rekinami. Ponieważ wielokrotnie spędzałem wakacje w Nantucket, wyspie leżącej trzydzieści mil w głąb Atlantyku, mogłem pozwolić sobie na pełne poświęcenie się tej pasji. W latach 40. i 50. ubiegłego wieku wody wokół tej wyspy tętniły życiem i pełno było tam rekinów wszelkich rodzajów: tawroszy piaskowych, żarłaczy błękitnych czy ostronosów atlantyckich, i – chociaż wtedy tego nie wiedziałem – wielkich żarłaczy białych. Kiedy z ojcem i bratem wypływaliśmy łowić ryby w bezwietrzne dni, mogliśmy dostrzec ich płetwy grzbietowe i ogonowe przecinające gładką, jakby oleistą powierzchnię wody. Przemawiały do mnie swoją nieznaną, tajemniczą, niewidzialną grozą oraz nieokiełznaną dzikością.

Jako nastolatek i dwudziestolatek przeczytałem większość dostępnej literatury o rekinach – nie było tego dużo – i wreszcie w 1964 roku wpadła mi w ręce gazeta z artykułem o rybaku, który niedaleko Long Island złowił harpunem żarłacza białego o wadze ponad dwóch ton. Pamiętam, co myślałem w tamtym czasie: „Boże! Co by było, gdyby jeden z takich potworów przyplłynął do jakiegoś pełnego ludzi kurortu nadmorskiego i nie chciał odpłynąć?” Wcisnąłem ten wycinek papieru do jakiejś aktówki i na jakiś czas o nim zapomniałem.

Później, w 1971 roku, powstał pełnometrażowy film *Blue Water, White Death* (Błękitna woda, biała śmierć), będący relacją z wyprawy kierowanej przez Petera Gimbelę, zawodowego poszukiwacza przygód. Jej celem było odnalezienie i sfilmowanie żarłacza białego. Ten film pozostaje moim zdaniem najlepszą do tej pory opowieścią o rekinach. W tym samym roku pojawiła się cudowna książka Petera Matthiessena o ekspedycji, *Blue Meridian* (Błękitny południk), a te dwie publikacje nie tylko utwierdziły mnie w (niegasnącej) fascynacji rekinami, ale również zrodziły w moim umyśle pomysł napisania powieści.

Nie miałem zamiaru stworzyć monotonnego horroru w stylu „rekiny zjadają ludzi”.

Zająłem się kwestią, co by się stało, gdyby współcześnie wielki drapieżnik zaatakował nadmorskie ośrodki wypoczynkowe. Uznałem, że pierwszą reakcją miejscowych władz byłaby próba ukrycia problemu w nadziei, że bestia odpłynie. Niektóre takie kurorty osiągają od 80 do 90 procent rocznych przychodów podczas trzech letnich miesięcy, a panika związana z atakiem rekina mogłaby zniweczyć zyski z handlu i usług w tym okresie. Oczywiście w przypadku drugiego albo trzeciego zgubnego ataku tajemnicy nie udałoby się utrzymać.

Kto miałyby być tą władzą? Może szef policji, który unikałby problemu, jeśli obawiałby się i nienawidził wody? Kim mogłaby być jego żona? Czy mieliby dzieci? Czy będą szukać pomocy u specjalistów? Na przykład u biologa morskiego, którego ambicją jest badanie życia rekinów, a nie ich zabijanie? I jak zareagowałyby społeczność miasta na nieznane dotąd zagrożenie?

Wszystkie te pytania i tysiące innych dręczyły mnie, gdy zaczynałem układać w głowie plan powieści. Wkrótce sama zaczęła się tworzyć i w pewnej chwili bohaterowie wymknęli się ze schematów, podążyli własnymi drogami. Mogłem oczywiście to zmienić, ale impulsywne reakcje były ciekawsze niż moje pierwotne wyobrażenia.

W czasie kiedy pisałem *Szczęki*, nie istniały ruchy ochrony środowiska, jakie znamy dzisiaj. Jasne, że działali już zwolennicy ochrony wielorybów; tak, ludzie wiedzieli, że zanieczyszczanie powietrza i wody jest problemem; tak, pestycydy i inne toksyny uznawano za niebezpieczne dla ptaków i ryb. Ale dla ogółu ludności oceany pozostawały takie, jakie zawsze były – wieczne, niewzruszone, zdolne do wchłonięcia bez szkody dla siebie wszystkiego, co ludzkość do nich wyrzuci. A co do rekinów... W zasadzie tylko garść ludzi na naszej planecie wie cokolwiek o rekinach. Większość z nich jednak to rybacy i nurkowie, a ci powtarzają wspólnie jak mantrę: dobry rekin to martwy rekin.

Szczyciłem się, że wiedziałem więcej na temat rekinów niż większość populacji, jednak bezwiednie uwierzyłem anegdotycznemu dowodowi – czy nawet dowodom, gdyż było ich mnóstwo. Czy rekiny atakowały łodzie? Jasne, że tak. Czy ich celem byli ludzie? Możecie być pewni. Czytałem o tuzinach ataków rekinów. Czy pozostawały w jednym rejonie, zabijając i zabijając, dopóki ich nie złapano i zabito albo nie skończyły się zapasy pokarmu? Święta prawda! Pamiętacie rekina, który w 1916 roku popłynął rzeką w górę New Jersey i zabił cztery osoby? Co jakiś czas z przekonaniem zapewniałem rozmówców, że każdy pojedynczy przypadek

zachowania rekinów opisany w *Szczękach* (w książce, nie w filmie) wydarzył się naprawdę, ale nie wszystkie razem i nie w wykonaniu jednego osobnika, ale przez lata i w wielu morzach na świecie. To też była prawda, każdy epizod opisany w książce naprawdę się wydarzył... ale nie z powodów, które zakładałem, ani nie miał skutków, jakie mogłem sobie wyobrazić.

To było lata przed tym, nim poznałem prawdę o biologii i zachowaniach rekinów, a szczególnie żarłaczy białych. Poznawałem je powoli, często w towarzystwie naukowców, rybaków albo nurków, i każde odkrycie było fascynujące, chociaż jakoś upokarzające. Na jednej z pierwszych lekcji dowiedziałem się, że rekiny nie tylko nie poszukują ludzi, aby ich zaatakować, ale wręcz unikają ich, kiedy to tylko możliwe – przede wszystkim jesteśmy dla nich dużymi, głośnymi i paskudnymi obcymi i wiedzą, że jako gatunek stanowimy dla nich śmiertelne zagrożenie – więc rzadko kiedy nas gryzą. Nawet nie lubią naszego smaku, a wielkie żarłacze niemal się nami brzydzą, ponieważ nasze ciała są zbyt kościste i mają za mało tłuszczu (w porównaniu do fok!).

Dzięki wiedzy zgromadzonej podczas tuzinów ekspedycji, setek nurkowań i niezliczonej ilości spotkań z rekinami wielu rodzajów, uświadomiłem sobie, że dzisiaj już nie napisałbym *Szczęk*. Nigdy nie potrafiłbym demonizować zwierząt, szczególnie znacznie starszych jako gatunek i skuteczniejszych w swoim środowisku niż ludzie byli lub będą. Chodzi przy tym o zwierzęta niezbędne do utrzymania naturalnej równowagi w oceanach, które możemy – jeśli nie zmienimy własnych niszczyielskich zachowań – usunąć z powierzchni ziemi.

Gdy *Szczęki* były przygotowywane do publikacji, miałem w stosunku do nich skromne ambicje, by nie rzec – żadnych. Wiedziałem, że nie mogę liczyć na komercyjny sukces. Pewne było, że debiutanckie powieści, poza rzadkimi wyjątkami, takimi jak *Przeminęło z wiatrem*, miały tendencję do zalegania w księgarniach na półkach z mało poczytnymi dziełami. Inna sprawa, że była to pierwsza książka o rybach i nie miałem podstaw przypuszczać, że taka powieść odniesie sukces komercyjny albo zyska uznanie krytyków. Co więcej, uznałem za pewnik, że nikt nie zrobi filmu na podstawie książki, ponieważ było niemożliwe schwytanie i wytresowanie żarłacza białego, a przemysł filmowy daleki był od tworzenia wiernych i wiarygodnych modeli mechanicznych.

Książka ukazała się wiosną 1974 roku i miała ogólnie dobre recenzje. Część czytelników i krytyków wpadła w przesadny zachwyty. Fidel Castro powiedział dziennikarzowi przeprowadzającemu wywiad dla radia państwowego, że *Szczęki*

(hiszpański tytuł *Tiburón*) były znakomitą metaforą zdemoralizowanego kapitalizmu. Inni recenzenci widzieli w książce alegorię afery *Watergate* albo klasyczną opowieść o męskich więziach emocjonalnych.

Niedługo po debiucie rynkowym powieść znalazła się na liście najlepiej sprzedających się książek w twardej oprawie New York Timesa i utrzymywała się na niej przez czterdzieści cztery tygodnie. Jednak nigdy nie była na pierwszym miejscu (nieznośna baśń o królikach autorstwa Richarda Adamsa, w Polsce znana jako *Wodnikowe Wzgórze*, nie chciała ustąpić z czołowej pozycji). Książka w wydaniu broszurowym odniosła podobny sukces. Przez miesiące na całym świecie znajdowała się na czele list bestsellerów. Tylko w Stanach Zjednoczonych sprzedano ponad milion egzemplarzy. Jej popularność po części przyczyniła się do wykonania zdjęć, przygotowania i stworzenia filmu z doskonałą, wspólną promocją, przeprowadzoną przez wydawcę książki broszurowej i producenta filmu, czemu towarzyszyło wyjątkowe szczęście.

Odczuwałem wielką satysfakcję przez lata, gdy słyszałem od czytelników, że *Szczęki* były ich pierwszą dorosłą przeczytaną powieścią i nauczyli się dzięki niej, że czytanie może być zabawą i przyjemnością. Książka rozpałała w nich zainteresowanie wiodące do rozwijania kariery w kierunku biologii morskiej (słyszałem od znajomych profesorów, że pojawieniu się książki i filmu nakręconego na jej podstawie przypisywali oni generalnie wzrost liczby dyplomów z oceanologii, a szczególnie związanych z rekinami) albo stawania się obrońcami przyrody i forsowania opinii, że rekiny są całkiem w porządku. Każdego roku więcej niż tysiąc młodych ludzi, których jeszcze nie było na świecie, gdy wydana została książka albo pojawił się film, pisało listy, aby mi przekazać, jak martwili się spadkiem populacji rekinów na świecie i pytali, co mogą zrobić, aby ratować te wspaniałe zwierzęta, które poznali dzięki *Szczękom*.

Szczęki stały się również kolejnym zastrzykiem energii życiowej. Przez kolejną dekadę albo coś koło tego pracowałem niemal cały czas przy ochronie życia morskiego, chociaż nie mogłem oprzeć się nurkowaniu z wielkimi stworzeniami w odległych rejonach świata i porzucałem niemal wszystko dla szansy spotkania pod wodą żarłaczy białych. Nie wiem, jak dużo mogę dokonać – nie wiem, jak dużo może zrobić ktokolwiek – ale wiem, że z tym wszystkim, co dostałem od rekinów, będę czuł się niewdzięcznikiem, jeśli nie oddam im czegoś w zamian.

W 1973 roku, jeszcze przed ukazaniem się książki, spotkałem Richarda D. Zanucka

i Davida Browna, producentów, dla których wytwórnia Universal Pictures kupiła prawa do filmu *Szcęk*. Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, miałem ogromne szczęście znaleźć się w ich rękach. (Potem wszyscy razem byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy się we władaniu dwudziestosześcioletniego geniusza, Stevena Spielberga, ale nikt wtedy jeszcze nie mógł tego przewidzieć). Richard i David byli nie tylko błyskotliwi, czarujący i uprzejmi mimo dekad spędzonych w filmowym biznesie, ale jeszcze łamali dwie najważniejsze hollywoodzkie zasady: nie kłamali i odpowiadali na telefony.

Nigdy nie napisałem scenariusza, ale prosiłem o zezwolenie na stworzenie pierwszych paru szkiców do filmu. Na naszym pierwszym spotkaniu, po wymianie uprzejmości, Richard Zanuck powiedział do mnie (to luźny cytat): „Ten obraz ma być od początku do końca przygodową opowieścią, z prostą fabułą, dlatego chcemy, abyś wyłączył wątek romansowy, całą sprawę z mafią i wszystkie inne kwestie, które mogą rozpraszać widza”.

Ci, którzy nigdy nie czytali *Szcęk*, a tylko widzieli film, mogą krzywić się z niesmakiem. Słyszę, jak mówią do siebie: „Romans? Mafia? O czym on mówi? Gdzie są te wszystkie wątki?”.

Czytajcie, proszę, i odkryjcie coś dla siebie!

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

Wielka ryba poruszała się cicho w nocnej wodzie, napędzając się krótkimi machnięciami sierpowatego ogona. Miała pysk otwarty na tyle, aby woda swobodnie przepływała przez skrzela. Poza tym zdawała się nieruchoma; tylko czasami dokonywała lekkiej korekty pozornie bezsensownie obranego kursu za pomocą delikatnego uniesienia albo obniżenia którejś płetwy piersiowej – podobnie jak ptak, który zmieniał kierunek lotu poprzez zmianę pochylenia linii skrzydeł. W czerni oczy były ślepe, a inne zmysły nie przekazywały niczego nadzwyczajnego do małego, prymitywnego mózgu. Ryba mogłaby zasnąć, wykonując jedynie instynktowne ruchy, dyktowane niezliczonymi milionami lat ciągłości istnienia gatunku. Musiała się ruszać, gdyż z powodu braku pęcherza pławnego, co było wspólną cechą podobnych jej gatunków, inaczej by utonęła. Ruch był potrzebny też, aby wtłoczyć wodę z tlenem do skrzeli. Czyli gdyby przestała się ruszać, opadłaby na dno i umarła z powodu niedotlenienia.

Suchy ląd zdawał się tak samo ciemny jak woda, gdyż na niebie już dawno nie było słońca. Jedynym, co oddzielało morze od brzegu, był płaski odcinek plaży – tak białej, że aż jaskrawej. Światła domu za porośniętymi trawą wydmami rzucały na piasek żółtawą, migotliwą poświatę.

Drzwi frontowe były otwarte. Kobieta i mężczyzna przeszli przez nie na drewniany ganek. Stali przez chwilę, wpatrując się w morze, objęli się czule i zbiegli truchtem po kilku stopniach schodów na piasek. Mężczyzna był pijany i potknął się na ostatnim z nich. Kobieta zaśmiała się, podała mu rękę, a potem razem pobiegli na plażę.

– Najpierw popływamy – powiedziała kobieta. – To ci rozjaśni w głowie.

– Zapomnij o mojej głowie – odezwał się mężczyzna.

Śmiejąc się, przewrócił się plecami na piasek, pociągając za sobą kobietę. Zrywali z siebie wzajemnie ubrania, splatali ramionami i tarzali się z żarliwą namiętnością w zimnym piasku.

Po jakimś czasie mężczyzna położył się na plecach i przymknął oczy. Kobieta

popatrzyła na niego i zaśmiała się.

– No, a co teraz z tym pływaniem? – spytała.

– Idź sama, poczekam tutaj na ciebie.

Kobieta wstała i doszła do miejsca, gdzie delikatna fala obmywała jej kostki. Woda była zimniejsza niż nocne powietrze, gdyż była dopiero połowa czerwca. Kobieta zawołała za siebie:

– Na pewno nie chcesz tu przyjść?

Ale śpiący już mężczyzna nie odpowiadał.

Kobieta cofnęła się o kilka kroków i z rozpędem wpadła w wodę. Pierwsze kroki były długie i pełne gracji, ale potem małe fale zaczęły uderzać w jej kolana. Zachwiała się lekko, ale odzyskała równowagę, po chwili rzuciła się na szczyt następnej fali, która wzniosła się do wysokości pasa. Woda sięgała jej do bioder, gdy zatrzymała się, odrzuciła włosy na plecy i szła dalej, dopóki nie poczuła wody na ramionach. Teraz zaczęła płynąć – chaotycznie, z głową ponad powierzchnią wody, uderzając w nią niewprawnie rękami.

Kilkaset metrów od brzegu ryba wyczuła zmianę w rytmie morza. Nie widziała kobiety ani jej nie zwęszyła. Biegące przez całą długość jej ciała cienkie kanaliki pełne zakończeń nerwowych wykryły wibracje w wodzie i przekazały to do mózgu. Ryba zawróciła w kierunku brzegu.

Kobieta odpływała coraz dalej od plaży, zatrzymując się co jakiś czas, aby sprawdzić własne położenie w stosunku do świateł domu. Przyptyw był powolny, więc nie przybliżała się ani nie oddalała znacząco od plaży. Ale poczuła się zmęczona i przez chwilę odpoczywała, pływając w miejscu, po czym skierowała się z powrotem do brzegu.

Teraz drganie były silniejsze i ryba wyczuła zdobycz. Machnięcia ogonem stały się szybsze, pchając potężne cielsko naprzód z szybkością, która pobudziła do świecenia luminescencyjne glony, przez co nad rybą pojawiła się zielonkawo-niebieska poświata.

Ryba przemknęła kilka metrów z boku i ze dwa metry pod kobietą. A ona poczuła jedynie zmianę ciśnienia wody, jakby ją trochę uniosła fala, a potem swobodnie opadła. Przestała się poruszać i wstrzymała oddech. Dalej nic nie czuła i ponownie zaczęła płynąć, odpychając się zamaszystymi ruchami rąk.

Teraz ryba wyczuwała drgania – nieregularne i gwałtowne – zdradzające stres. Zaczęła krążyć bliżej powierzchni wody. Jej grzbietowa płetwa wzniosła się ponad

nią, gdy machała ogonem na boki, przecinając z sykiem szklistą powłokę morza. Kilka razy ciało przeszył dreszcz.

Kobieta po raz pierwszy poczuła strach, chociaż nadal nie wiedziała dlaczego. Adrenalina jak lawa rozlała się po jej tułowiu i kończynach, wywołując gorące mrowienie i zmuszając do szybszych ruchów. Sądziła, że była jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Mogła dostrzec białą linię piany, gdzie fale załamywały się na brzegu plaży. Widziała światła domu i przez moment pomyślała z ulgą, że dostrzegła kogoś przechodzącego koło okna.

Ryba była jakieś dwanaście metrów od kobiety, gdy nagle skręciła w lewo, zanurkowała w głąb toni i po dwóch szybkich uderzeniach ogonem znalazła się tuż przy ofierze.

W pierwszej chwili dziewczyna myślała, że otarła nogą o skałę albo pływający kawałek drewna. Początkowo nie poczuła bólu, tylko mocne szarpnięcie prawej nogi. Sięgnęła dłonią w dół, aby dotknąć stopy, i machała lewą nogą, aby utrzymać głowę nad wodą. Lewą ręką jakby macała ciemność. Nie odnalazła dłonią stopy. Sięgnęła wyżej, wzdłuż nogi, i wtedy ogarnęła ją fala mdłości i zawrotów głowy. Natrafiła palcami na końcówkę kości i poszarpane ciało. Wiedziała, że ciepła struga w zimnej, morskiej wodzie to była jej własna krew.

Strach i panika zjawily się jednocześnie. Odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła gardłowo krzyczeć z przerażenia.

Ryba odpłynęła. Połknęła stopę kobiety, nawet nie ruszając szczękami. Kości i mięso przeszły przez masywny przełyk w jednym skurczu mięśni. Teraz drapieznik zawrócił, płynąc śladem krwi, która wypływała z uszkodzonej arterii udowej kobiety, co było jak snop światła z latarni morskiej w przejrzystym, bezchmurnym powietrzu. Tym razem ryba zaatakowała od dołu, wystrzeliła spod kobiety z szeroko rozwartymi szczękami. Wielki stożkowaty łeb uderzył w ofiarę jak lokomotywa, wyrzucając ją ponad wodę. Szczęki zamknęły się wokół jej tułowia, miażdżąc kości, ciało i wnętrzności. Ryba z ciałem kobiety w pysku wpadła ponownie do wody z ogłuszającym pluskiem, wyrzucając w powietrze pianę, krew i opalizującą poświatę na kształt rozbryzgów z tandetnej fontanny.

Pod powierzchnią wody ryba zaczęła wymachiwać pyskiem na boki, aby jej karbowane, trójkątne zęby przecięły cienkie ścięgna, które jeszcze stawiały opór. Ciało ofiary rozpadło się na kawałki. Drapieznik przełknął łup i zawrócił, aby dalej żerować. Jego mózg dalej rejestrował w pobliżu kawałki zdobyczy. Woda była

nasycona krwią i strzępami ciała, ale ryba nie była w stanie rozróżnić składników tej mieszaniny. Przecinała w tę i z powrotem rozpływając się chmurę krwi, otwierając i zamykając pysk, jakby chciała filtrować wodę w poszukiwaniu przypadkowych kęsków. Ale do tej pory resztki ciała już rozpadła się na kawałki. Kilka z nich tonęło powoli, aby spocząć na piaszczystym dnie, poruszane leniwie słabym prądem. Inne unosiły się nadal tuż pod powierzchnią wody, gdzie fale powoli znosiły je do brzegu.

Mężczyzna obudził się, drząc w porannym chłodzie. Usta miał wyschnięte i sklezione w kącikach gęstą śliną, a w ramach pobudki odbiło mu się bourbonem i kukurydzą. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale różowa smuga na wschodnim horyzoncie mówiła mu, że świt był już bliski. Gwiazdy jeszcze blado pobłyskiwały na coraz jaśniejszym niebie. Wstał i zaczął się ubierać. Zaniepokoiło go, że kobieta go nie obudziła, kiedy wracała do domu, i uznał za dziwne, że zostawiła ubrania na plaży. Pozbierał je z piasku i powłókł się do domu.

Przeszedł na palcach przez ganek i ostrożnie otworzył drzwi z siatką przeciwko owadom, pamiętając, jak skrzypiały, gdy się nimi gwałtownie poruszało. Salon był ciemny i pusty, zastawiony po części wypełnionymi kieliszkami, szklankami, popielniczkami i brudnymi talerzami. Przeszedł przez niego, skręcił w prawo do korytarza, obok zamkniętych drzwi. Te do pokoju, który dzielił z kobietą, były otwarte, lampka u wezgłowia nadal się paliła. Rzucił ubrania kobiety na jedno z łóżek, a potem wrócił do salonu i zapalił światło. Obydwie stojące tam kanapy były puste.

W domu były jeszcze dwie dodatkowe sypialnie. Dwoje innych gości spało w pierwszej. Właściciele zajmowali drugą. Najciszej, jak potrafił, otworzył drzwi pierwszej sypialni. Stały tam dwa łóżka i na każdym z nich spała jedna osoba. Zamknął drzwi i podszedł do drugiej sypialni. Gospodarz i gospodyni spali na przeciwnych skrajach łoża iście królewskich rozmiarów. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi i wrócił do salonu, aby odszukać zegarek. Dochodziła piąta.

Usiadł na łóżku i wpatrywał się w stertę ubrań, które przyniósł z plaży. Był już pewny, że kobieta nie wróciła do domu. Więcej znajomych nie było na kolacji, chyba że spotkała kogoś na plaży, gdy spał, ale przecież nie mogła tak po prostu odejść z kimś innym. Jednak nawet gdyby tak się miało stać, to przecież zabrałaby przynajmniej jakieś ubrania.

Dopiero teraz dopuścił do umysłu prawdopodobieństwo wypadku. To szybko przerodziło się w pewność. Wrócił do sypialni gospodarzy, przez chwilę wahał się,

stojąc obok łóżka, ale wreszcie położył delikatnie dłoń na ramieniu śpiącego przyjaciela.

– Jack – powiedział, lekko klepiąc śpiącego w bark – Hej, Jack!

Ten westchnął ospale i otworzył oczy.

– Co jest?

– To ja, Tom. Głupio mi jak diabli budzić cię, ale sądzę, że mamy poważny problem.

– Jaki problem?

– Widziałeś gdzieś Chrissie?

– Co to znaczy, czy widziałem Chrissie? Przecież była z tobą.

– Ale nie jest. To znaczy, nie potrafię jej znaleźć.

Jack usiadł na łóżku i zapalił światło. Jego żona poruszyła się i naciągnęła kołdrę na głowę. Jack spojrzał na zegarek.

– Jezu Chryste. Jest piąta rano, a ty nie możesz znaleźć swojej dziewczyny?

– Wiem – powiedział Tom. – Przykro mi. Ale czy pamiętasz, kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

– Jasne, że tak. Powiedziała, że macie zamiar pójść popływać, i razem wyszliście przez ganek. Kiedy widziałeś ją ostatnio?

– Na plaży. A potem zasnąłem. Sądziś, że nie wróciła?

– Nie było jej tu. Przynajmniej nim położyliśmy się do łóżka.

– Znalazłem jej ubrania.

– Gdzie? Na plaży?

– Tak.

– Sprawdzałeś w salonie?

– I w pokoju Henkelów. – Tom skinął głową.

– W pokoju Henkelów, u nich!?

Tom zaczerwienił się.

– Nie znam jej zbyt dobrze. Wiem tylko, że jest trochę zakręcona. Mogła więc pójść też z Henkelem i jego panienką. Tak sądzę, ale niczego nie sugeruję. Po prostu chciałem sprawdzić cały dom, nim cię obudzę.

– No i co o tym sądzisz?

– Zaczynam myśleć – powiedział Tom – że może przytrafił się jej wypadek. Może utonęła.

Jack przyglądał mu się przez chwilę, a potem zerknął na zegarek.

– Nie wiem, o której policja zaczyna pracę w miasteczku – stwierdził – ale przypuszczam, że to dobra okazja, aby się przekonać.

ROZDZIAŁ 2

Posterunkowy Len Hendricks siedział przy biurku na posterunku policji w Amity, czytając powieść detektywistyczną *Śmierci, jestem twoja*. W momencie gdy zadzwonił telefon, bohaterka, zwana Gwiżdżącą Dixie, miała zostać zgwałcona przez bandę motocyklistów. Hendricks pozwolił mu dzwonić, dopóki panna Dixie nie wykastrowała pierwszego z napastników za pomocą małego noża z zakrzywionym ostrzem, który miała ukryty we włosach.

Podniósł leniwie słuchawkę telefonu.

– Policja w Amity, posterunkowy Hendricks – przedstawił się. – W czym mogę pomóc?

– Tu Jack Foote, dom przy Old Mill Road. Chcę zgłosić zaginięcie osoby. A przynajmniej sądzę, że zginęła.

– Niech pan powtórzy. – Hendricks służył w Wietnamie jako łącznościowiec i chętnie odwoływał się do wojskowych zachowań.

– Kobieta, która gości w moim domu, poszła popływać nad ranem – mówił Foote. – I do tej pory nie wróciła. Jej przyjaciel znalazł jej ubrania na plaży.

Hendricks zaczął gryzmolić litery w notatniku.

– Jak nazywa się ta osoba?

– Christine Watkins.

– Wiek?

– Nie wiem. Sekundkę. Myślę, że około dwudziestu pięciu lat. Jej chłopak to potwierdza.

– Wzrost i waga?

– Chwileczkę... – A po chwili przerwy: – Jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu i około pięćdziesięciu pięciu kilogramów wagi.

– Kolor włosów i oczu?

– Niech pan posłucha, panie posterunkowy, po co to panu wszystko potrzebne? Jeśli ta kobieta utonęła, to chyba byłaby jedyna taka ofiara, jaką macie, przynajmniej

dzisiejszej nocy, mam rację? Przecież nie macie przeciętnie więcej niż jedno utonięcie na noc, prawda?

– A kto powiedział, że ona utonęła, panie Foote? Może po prostu poszła na spacer?

– Kompletnie naga i samotna, nad ranem? Czy ma pan jakieś raporty o spacerującej nagiej kobiecie?

Hendricks delektował się szansą zachowania spokoju.

– Nie, panie Foote, jeszcze nie. Ale kiedy zaczyna się sezon letni, nigdy nie wiemy, czego się spodziewać. W sierpniu zeszłego roku gromada pedziów zorganizowała przed klubem tańce nudystów. Kolor włosów i oczu?

– Jej włosy są... taki brudny blond, tak sędzę. Piaskowe. Nie wiem, jaki ma kolor oczu. Spytałem jej przyjaciela. Nie, on też nie wie. Powiedzmy, że orzechowe.

– W porządku, panie Foote. Zajmiemy się tym. Jak tylko coś znajdziemy, skontaktujemy się z panem.

Hendricks odłożył słuchawkę i spojrział na zegarek. Było dziesięć po piątej. Szef wstanie nie wcześniej niż za godzinę, a Hendricks nie miał ochoty budzić go z powodu tak niejasnej sprawy jak meldunek o zaginięciu człowieka. Przede wszystkim kto mógł wiedzieć, czy kobitka nie gziła się gdzieś w krzakach z jakimś gościem, którego spotkała na plaży? Z drugiej strony, jeśli została wyrzucona gdzieś na brzeg, szef będzie pragnął zająć się całą sprawą, nim jakaś niania z gromadką dzieci znajdzie ciało i stanie się to sprawą publiczną.

Porządna ocena sytuacji, jak powtarzał szef, to podstawa, aby stać się dobrym gliną. A wyzwania umysłowe, jakie wiązały się z pracą w policji, odegrały znaczącą rolę w decyzji Hendricksa, aby dołączyć do sił porządkowych w Amity po powrocie z Wietnamu. Płaca na początek wynosiła dziewięć tysięcy dolarów rocznie, a po piętnastu latach wzrastała do piętnastu tysięcy, do tego dodatki socjalne. Praca w policji zapewniała bezpieczeństwo, regularny czas służby i szanse na pewną zabawę – nie samo lanie niesfornych dzieci albo nawalonych urzędników, ale raczej rozwiązywanie zagadek kradzieży z włamaniem i okazjonalne próby chwytania gwałcicieli (poprzedniego lata czarnoskóry ogrodnik zgwałcił siedem bogatych białych kobiet i żadna nie stawiała się przed sądem, aby zeznawać przeciwko niemu), a w dalszej perspektywie pozwalała stać się szanowanym, aktywnym członkiem miejscowej społeczności. Bycie gliną w Amity nie było niebezpieczne, z pewnością nie tak bardzo jak praca w policji w dużym mieście. Ostatni związany ze śmiercią policjanta wypadek zdarzył się w 1957 roku, gdy gliniarz próbował zatrzymać

pijanego kierowcę pędzącego po Montauk Highway i został odrzucony siłą rozpędu na kamienny mur.

Hendricks był przekonany, że jak tylko oderwie się od przeklętej przez Boga służby od północy do ósmej rano, będzie mógł naprawdę cieszyć się pracą. Chociaż obecnie wiało nudą. Doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego objął właśnie tę zmianę. Brody lubił powoli wprowadzać swoich młodych podwładnych w obowiązki, każąc im zgłębiać podstawy policyjnej pracy – dobre wyczucie, prawidłową ocenę sytuacji, tolerancję i uprzejmość – w porze, gdy nie byli nadmiernie obciążeni pracą.

Regulaminowa zmiana trwała od ósmej rano do czwartej po południu i wymagała doświadczenia oraz dyplomacji. Wtedy pracowało sześciu ludzi. Jeden kierował w okresie letnim ruchem ulicznym na skrzyżowaniu ulic Main i Water. Dwóch stanowiło ekipę patrolową w radiowozach. Kolejny obsługiwał telefony w komisariacie, a jeszcze jeden odwalał papierkową robotę. Sam szef zajmował się kontaktami z ludnością – z paniami, które skarżyły się, że nie mogły spać z powodu hałasów dochodzących z Randy Bear albo Saxon's, dwóch miejskich spelunek, z właścicielami domów skarżącymi się, że menele zaśmiecają plażę albo zakłócają spokój. Do tego jeszcze bankierzy na urloпах, brokerzy i prawnicy, którzy zatrzymywali się, aby przedyskutować z nim swoje pomysły, jak zmienić Amity w nieskazitelny i luksusowy kurort.

Od czwartej do północy trwała kłopotliwa zmiana, kiedy młodzi studenci z hotelu Hampton gromadzili się w Randy Bear i wdawali w bójki albo po prostu upijali tak bardzo, że stawali się zagrożeniem na drogach, i kiedy rzadko, bardzo rzadko, kilku sępów z Queens mogło czaić się w ciemności ulic, aby napadać na przechodniów. Albo jeszcze wtedy, gdzieś dwa razy w miesiącu w okresie letnim, gdy policja zbierze dość dowodów i poczuje się zmuszona zorganizować obławę na miłośników marihuany i innych używek w jednym z wielkich domów stojących na nabrzeżu. Od czwartej do północy też było sześciu ludzi, sześciu największych w policji, wszyscy między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia.

Od północy do ósmej na ogół panowała cisza. Przez dziewięć miesięcy w roku spokój był w zasadzie gwarantowany. Najważniejszym wydarzeniem poprzedniej zimy była burza elektromagnetyczna, która przerwała połączenia alarmowe policji z czterdziestoma ósmioma największymi i najbardziej luksusowymi domami w Amity. Normalnie nocną służbę w lecie od północy do ósmej rano pełniło trzech funkcjonariuszy, jednak jeden z nich, młody gość, nazywający się Dick Angelo, wziął

dwutygodniowy urlop, nim sezon naprawdę się rozkręci. Został jeszcze jeden, trzydziestojednoletni weteran, Henry Kimble, który wybrał tę zmianę, ponieważ pozwalało mu to się przespać – w dzień pracował jako barman w Saxon's. Hendricks próbował wywołać Kimble'a przez radio, aby spacerował się wzdłuż plaży przy Old Mill Road, ale wiedział, że to beznadziejne. Kimble jak zwykle spał jak zabity w wozie patrolowym, zaparkowanym za apteką w Amity. Dlatego Hendricks podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer telefonu domowego szefa.

Martin drzemał w tym przelotnym stanie przed obudzeniem, kiedy sny szybko się zmieniają i pojawiają się momenty nieodespanej półświadomości. Pierwszy dzwonek zlał się z jego snem – wizją, że znowu był w szkole średniej i obmacywał dziewczynę na klatce schodowej. Drugi dzwonek przerwał sen zupełnie.

– Co jest?

– Szefie, tu Hendricks. Nienawidzę niepokoić tak wcześnie, ale...

– Która godzina?

– Dwadzieścia po piątej.

– Leonard, lepiej, żeby było to coś naprawdę ważnego.

– Myślę, że mamy pływaka w rozkładzie zajęć.

– Pływaka? Na Chrystusa Pana, co to jest pływak?

Tego „pływaka” Hendricks zaczerpnął z nocnej lektury.

– Utonięcie – powiedział zakłopotany, a potem opowiedział o rozmowie telefonicznej z Foote'em. – Nie wiedziałem, czy nie będzie pan chciał tego sprawdzić, nim ludzie zaczną złazić się na plażę. Chodzi mi o to, że zapowiada się ładny dzień.

Brody westchnął przesadnie głęboko.

– A gdzie jest Kimble? – spytał i zaraz dodał: – Zresztą nieważne. To było głupie pytanie. Pewnego dnia tak zablokuję jego radiotelefon, że nie będzie mógł go wyłączyć.

Hendricks odczekał moment, a potem powiedział:

– Jak powiedziałem, szefie, nie znoszę niepokoić...

– Tak, wiem, Lenny. Dobrze, że zadzwoniłeś. Skoro już nie śpię, to równie dobrze mogę wstać. Ogołę się, wezmę prysznic, wypiję trochę kawy i po drodze zerknę na plażę przed Old Mill i Scotch, aby upewnić się, że nasz „pływak” nie zaległ na którejś z nich. A kiedy przyjdą chłopcy z dziennej zmiany, pojedę pogadać z Foote'em i chłopakiem tej dziewczyny. Zobaczymy się później.

Brody odłożył słuchawkę telefonu i przeciągnął się. Spojrzał na żonę, leżącą obok

niego w szerokim łożu małżeńskim. Poruszyła się, gdy zadzwonił telefon, ale gdy tylko uznała, że nie dzieje się nic wyjątkowego, zapomniała o wszystkim i ponownie zapadła w sen.

Ellen Brody miała trzydzieści sześć lat i była pięć lat młodsza od męża, a fakt, że wyglądała zaledwie na trzydzieści lat, był dla Martina źródłem zarówno dumy, jaki i rozdrażnienia. Dumy, ponieważ wyglądała powabnie i młodo, a do tego była jego żoną, przez co uważał, iż miał doskonały gust i był atrakcyjnym mężczyzną. Rozdrażnienia, gdyż pomimo obciążeń związanych z urodzeniem trójki dzieci nadal trzymała się świetnie, podczas gdy on – choć przy jego 185 centymetrach wzrostu i wadze 90 kilogramów trudno było go nazwać otyłym – zaczynał martwić się o ciśnienie krwi i tłuszcz na brzuchu. Czasami latem Brody chwycił się na tym, że wpatrywał się z leniwym pożądaniem w którąś z długonogich dziewczyn, które paradowały po mieście – ich nieskrępowane niczym piersi kusząco podskakiwały pod koszulkami z najcieńszej bawełny. Ale nigdy nie cieszył się z tych wrażeń, gdyż zawsze wzbudzały w nim ciekawość, czy Ellen czuła się tak samo poruszona, kiedy patrzyła na opalonych, szczupłych, młodych mężczyzn, którzy tak doskonale pasowali do długonogich dziewcząt. Kiedy tylko pojawiały się takie myśli, od razu zaczynał czuć się gorzej, gdyż uznawał to za sygnał, że znalazł się w drugiej połowie życia, przekraczając czterdziestkę.

Lato to był zły okres dla Ellen Brody, gdyż wtedy nawiedzały ją myśli, którymi nie chciała się zajmować – o straconych szansach i wygodniejszym życiu. Obserwowała ludzi z okresu dorastania; koleżanki ze szkoły podstawowej, które powychodziły za mąż za bankierów i maklerów giełdowych, spędzających lato w Amity, a zimy w Nowym Jorku, teraz eleganckie kobiety, z jednakową łatwością uderzające piłki tenisowe i ożywiające wszelkie dyskusje. Kobiety, które (była o tym przekonana) żartowały skrycie między sobą na temat jej, Ellen Shepherd, poślubiającej policjanta, ponieważ – jak głosiła plotka – zaszła z nim w ciążę na tylnym siedzeniu jego forda, model z 1948 roku.

Ellen miała dwadzieścia jeden lat, gdy spotkała Brody'ego. Właśnie skończyła trzeci rok nauki w college'u Wellesley i spędzała w Amity lato z rodzicami – jak to robiła przez poprzednie jedenaście lat, odkąd agencja reklamowa zatrudniająca jej ojca przeniosła go z Los Angeles do Nowego Jorku. Chociaż, inaczej niż jej kilka przyjaciółek, Ellen nie miała raczej obsesji na punkcie małżeństwa, uznała, że rok albo dwa po skończeniu college'u mogłaby jednak poślubić kogoś o zbliżonym statusie

społecznym i materialnym. Jednak nie przywiązywała do tego większej wagi. Korzystała ze względnego dobrobytu, jaki zapewniał ojciec, podobnie jak czyniła to matka. Ale nie miała ochoty przeżyć życia, które byłoby powtórką losów jej rodziców. Poznała już drobne problemy swojej klasy społecznej, a te ją nudziły. Uważała się za prostą dziewczynę, dumną z faktu, że w księdze rocznika 1953 w szkole panny Potter opisano ją jako Królową Szczerości.

Jej pierwszy kontakt z Brodym był związany z jego zawodem. Została aresztowana – albo raczej jej ówczesny adorator został aresztowany. Był kompletnie pijany, gdy późną nocą odwoził ją do domu. Jechał bardzo szybko wąskimi ulicami. Ich rozpędzony samochód dogonił i zatrzymał policjant w radiowozie. Facet zaimponował Ellen młodością, wyglądem i uprzejmością. Po wystawieniu wezwania sądowego zabrał kluczyki od samochodu chłopaka Ellen i odwiózł ich oboje do domów. Następnego ranka, gdy robiła zakupy, nagle zorientowała się, że znalazła się blisko posterunku policji. Wesoła jak szczygieł wpadła do środka i zapytała o imię i nazwisko młodego funkcjonariusza, który pracował w tamtej okolicy minionej nocy. Potem wróciła do domu i napisała podziękowania dla Brody'ego za to, że był tak miły, jak również list wychwalający go do szefa policji, zwierzchnika Martina. Brody zatelefonował do niej, dziękując za wyrazy wdzięczności.

Kiedy później zadzwonił do niej i powiedział, że ma wolny wieczór, oraz zaprosił ją na kolację, a potem do kina, zgodziła się ze zdziwieniem. Rzadko kiedy choćby rozmawiała z policjantami, a co dopiero się z jakimś umawiać! Brody był nerwowy, ale Ellen zdawała się nim szczerze zainteresowana, tak samo jak jego pracą, przez co wreszcie się uspokoił i miło spędzili czas. Ellen uznała go za zachwycającego: silny, prosty, szczerzy typ mężczyzny. Był policjantem od sześciu lat. Powiedział, że jego ambicją było zostać szefem policji w Amity, mieć synów, polować na kaczki jesienią oraz oszczędzić tyle pieniędzy, aby co drugi albo trzeci rok wyjechać na prawdziwe wakacje.

Pobrali się w listopadzie. Rodzice Ellen chcieli, aby skończyła college, i Brody miał nawet chęć poczekać do kolejnego lata, ale ona nie wyobrażała sobie, żeby jeden rok mógł coś zmienić w życiu, które chciała prowadzić.

Było trochę trudnych momentów w pierwszych kilku latach ich wspólnego życia. Przyjaciółki Ellen zapraszały ich na kolacje albo obiady, czy nawet aby popływać. Nieraz zgadzali się na takie spotkania, ale Brody czuł się nieswojo i obawiał się protekcjonalnego traktowania. Kiedy spotykali się z przyjaciółmi Brody'ego,

przeszłość Ellen zdawała się ich zawstydzać i tłumić zabawę. Ludzie w jej obecności zachowywali się, jakby bali się popełnić jakiś nietakt. Stopniowo pojawiły się przyjaźnie i zniknęło początkowe zakłopotanie, ale już nigdy więcej nie spotykali starych przyjaciół Ellen. Chociaż pozbycie się piętna „letniczki” przyniosło jej sympatię stałych mieszkańców Amity, to jednak kosztowało ją utratę wielu wygod i przyjemności, których doświadczała przez pierwsze dwadzieścia jeden lat życia. To było tak, jakby przeniosła się do zupełnie innego kraju. Obca wśród swoich.

Jeszcze cztery lata temu nie przeszkadzało jej zerwanie dawnych kontaktów. Była zbyt zajęta i szczęśliwa, wychowywała dzieci i nie pozwalała umysłowi rozważać sensu wyboru z przeszłości. Ale kiedy dzieci poszły do szkoły, poczuła się zagubiona i zaczęła szukać w pamięci, jak jej matka spędzała czas, gdy jej dzieci już się wyprowadziły: wyprawy na zakupy (zabawne, ponieważ było dość pieniędzy, aby kupić wszelkie, nawet ekstrawagancko drogie przedmioty), długie lunchy z przyjaciółkami, tenis, przyjęcia koktajlowe, weekendowe wyprawy. To, co kiedyś wydawało się płytkie i nudne, teraz w pamięci jawiło się jako raj.

Najpierw starała się odbudować więzi z przyjaciółmi, których nie widziała od lat, ale zgodność zainteresowań i przeżyć już dawno gdzieś znikła. Ellen opowiadała z ożywieniem o społeczności, lokalnych politykach albo pracy jako wolontariuszka w szpitalu Southampton; o wszystkich tematach, o których jej dawni przyjaciele – a wielu z nich przyjeżdżało do Amity każdego lata przez ponad trzydzieści lat – wiedzieli niewiele i jeszcze mniej ich to zajmowało. Oni rozmawiali o politykach z Nowego Jorku, o galeriach sztuki, malarzach, pisarzach, których znali. Większość rozmów kończyła się wspomnieniami i rozważaniami, gdzie mogli teraz przebywać inni starzy przyjaciele. Zawsze pojawiały się obietnice wzajemnych kontaktów telefonicznych i ponownych spotkań.

Okazyjnie próbowała znaleźć nowych przyjaciół wśród letników, których wcześniej nie знаła, ale te związki były wymuszone i miały krótki żywot. Mogłyby przetrwać, gdyby Ellen miała mniej kompleksów z powodu skromnego domu i niskich zarobków męża. Starła się przekonać każdego, iż zaczynała życie w Amity, mając zupełnie inne plany. Była świadoma tego, co robiła, i nienawidziła siebie za to, ponieważ w rzeczywistości kochała do głębi męża, uwielbiała dzieci, a przez większość roku była całkiem zadowolona ze swojego losu.

Obecnie w dużej mierze zrezygnowała z aktywnego uczestnictwa w społeczności letników, ale sentyment i tęsknota nie ustępowały. Była nieszczęśliwa i uczucie to

przenosiła na męża, z czego oboje zdawali sobie sprawę. Żałowała, że nie mogła przespać letniego sezonu.

Brody obrócił się do Ellen, oparł na łokciu i podparł dłonią głowę. Drugą ręką strzepnął kosmyk włosów, który łaskotał jej nos, aż marszczyła twarz. Nadal miał wzwód po resztkach ostatniego snu i rozważał, czy nie zbudzić jej na kwadransik higieny seksualnej. Wiedział, że budziła się powoli, a jej poranne nastroje były raczej zrzędlive niż romantyczne. Nadal jednak mogło być miło. Ostatnio w domostwie Brody'ego nie było zbyt dużo radości i seksu. Nawet mniej, od kiedy Ellen znowu popadła w letnie przygnębienie.

Właśnie wtedy dolna szczęka Ellen opadła i kobieta zaczęła delikatnie pochrapywać. Brody poczuł, jakby ktoś oblał mu klejnoty lodowatą wodą. Wstał i poszedł do łazienki.

Dochodziła już szósta trzydzieści, kiedy Brody skręcił w Old Mill Road. Słońce było dość wysoko. Straciło już czerwień poranka i przechodziło z pomarańcza w jasną żółć. Niebo było bezchmurne.

Teoretycznie prawo pozwalało na przejazd między wszystkimi domami, aby ułatwić ludności dostęp do plaży, która mogła być prywatną własnością jedynie do oznaczenia średniego poziomu przypływu. Ale większość przerw między domami była zabudowana garażami albo porośnięta żywopłotami. Z drogi nie było widać plaży. Brody mógł dostrzec jedynie szczyty wydm. I tak co sto metrów zatrzymywał wóz patrolowy i przechodził między domami, aby dojść do miejsca, z którego mógł przyjrzeć się plaży.

Nie było śladu ciała. Wszystko, co dostrzegł na szerokim, białym pasie piachu, to kilka kawałków drewna wyrzuconego na ląd oraz jedną albo dwie puszkę i szeroki na metr pas wodorostów wyrzuconych na brzeg przez południową bryzę. Praktycznie nie było fal ani piany, więc łatwo byłoby dostrzec ciało unoszące się na wodzie. Jeśli topielica gdzieś tam była, pomyślał Brody, to unosiła się pod powierzchnią wody i nie da się jej dostrzec, chyba że zostanie wyrzucona na brzeg.

Przed siódmą rano Brody obszedł całą plażę wzdłuż Old Mill i Scotch. Jedyna rzecz, która przyciągnęła jego uwagę, to papierowy talerz z trzema starannie ponacinanymi skórkami pomarańczy – znak, że letnie pikniki na plaży mogą być całkiem eleganckie.

Przejechał z powrotem wzdłuż Scotch Road, skręcił na północ do miasta w Bayberry Lane i dziesięć po siódmej zjawił się na posterunku.

Hendricks kończył papierkową robotę, gdy Brody wkroczył do środka, i zauważył z rozczarowaniem, że szef nie ciągnął za sobą ciała topielca.

– Brak szczęścia, szefie? – spytał.

– To zależy od tego, co rozumiesz przez szczęście, Leonardzie. Jest już Kimble?

– Nie.

– No cóż. Mam nadzieję, że już nie śpi. Wyglądałoby zabawnie, gdyby chrapał w radiowozie, kiedy ludzie zaczną robić zakupy.

– Będzie tutaj przed ósmą – powiedział Hendricks. – Zawsze jest.

Brody nalał kawę do kubka, wszedł do biura i zaczął przerzucać poranną prasę – wczesne wydanie nowojorskiego „Daily News” i miejscową gazetę z Amity, „Leader”, która ukazywała się co tydzień w zimie i codziennie w lecie.

Kimble zjawił się kilka minut przed ósmą i wyglądał dość głupio, jakby spał w mundurze, a potem napił się trochę kawy z Hendricksem, gdy czekali na dzienną zmianę. Zmiennik Hendricksa pojawił się dokładnie o ósmej, a ten już zakładał lekką skórzaną kurtkę i gotów był do wyjścia, kiedy Brody wyszedł z biura.

– Chciałbym zobaczyć się z Foote’em – oznajmił. – Chcesz jechać ze mną? Nie musisz, ale pomyślałem, że może chciałbyś pociągnąć sprawę swojego... pływaka. – Uśmiechnął się.

– Pewnie – odparł Hendricks. – Nic się dzisiaj nie będzie działo, więc mogę spać całe popołudnie.

Pojechali samochodem Brody’ego. Kiedy wjeżdżali na podjazd domu Foote’a, Hendricks zapytał:

– O co się założysz, że jeszcze śpią? Pamiętam, jak w ubiegłym roku zadzwoniła jakaś kobieta i spytała, czy możemy przyjechać jak najwcześniej następnego dnia rano, gdyż sądziła, że zginęła jej biżuteria. Zaproponowałem, że zrobię to od razu, ale ona odmówiła, gdyż chciało jej się spać. W każdym razie pokazałem się u niej o dziesiątej rano, a ona mnie wyrzuciła, mówiąc: „Nie sądziłam, że będziesz tak wcześnie”.

– Zobaczmy – powiedział Brody. – Jeśli naprawdę martwią się o tę damę, to nie będą spać.

Drzwi otworzyły się, ledwie zapukał.

– Czekaliśmy na wieści od was – powiedział młody człowiek. – Jestem Tom Cassidy. Czy znaleźliście ją?

– Jestem komendantem miejscowego posterunku, Martin Brody. To jest posterunkowy Hendricks. Nie, panie Cassidy, nie znaleźliśmy jej. Czy możemy wejść?

– Oczywiście, oczywiście, przepraszam bardzo. Wejdźcie do salonu. Pójdę po Foote'a.

Mniej niż pięć minut zabrało Brody'emu, aby dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebował. Potem, jakby miał nadzieję dowiedzieć się czegoś użytecznego, poprosił o pokazanie ubrania zaginionej kobiety. Wskazano mu sypialnię, gdzie przejrzał garderobę leżącą na łóżku.

– Nie miała ze sobą kostiumu kąpielowego?

– Nie – odparł Cassidy. – Jest tam, w górnej szufladzie. Sprawdzalem.

Brody przerwał na chwilę, jakby ważąc słowa, a potem spytał:

– Panie Cassidy, nie chcę, aby to zabrzmiało złośliwie, ale czy pani Watkins miała zwyczaj zachowywać się dziwnie? Chodzi mi o rozbieranie się w środku nocy albo spacerowanie nago.

– Tego nie wiem – powiedział Cassidy. – Tak naprawdę nie znałem jej zbyt dobrze.

– Rozumiem – stwierdził Brody. – W takim razie będzie lepiej, jak jeszcze raz pójdziemy na plażę. Nie musicie iść. Ja i Hendricks zajmiemy się tym.

– Chciałbym pójść, jeśli nie macie nic przeciwko.

Trzej mężczyźni zeszli na plażę. Cassidy pokazał policjantom miejsce, w którym zasnął, i klepnął dłonią tam, gdzie znalazł ubrania kobiety.

Brody rozglądał się po plaży. Jak sięgnąć wzrokiem, ponad milę w obydwu kierunkach, była pusta. Jedynymi ciemnymi plamami na białym piasku były kępy wodorostów.

– Przejdźmy się – powiedział. – Leonard, ty idziesz na wschód, aż do końca cypla. Panie Cassidy, my pójdziemy na zachód. Masz swój gwizdek, Leonard? Tak w razie czego.

– Mam – powiedział Hendricks. – Czy mogę zdjąć buty? Tak jest łatwiej chodzić po twardym piasku. Nie chcę, aby zamokły.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział Brody. – Formalnie rzecz biorąc, jesteś po służbie. Możesz nawet zdjąć spodnie, jeśli tak ci się spodoba. Oczywiście wtedy aresztuję cię za nieprzyzwoite obnażanie się.

Hendricks ruszył na wschód. Mokry piasek chrząścił pod stopami i je chłodził. Szedł z opuszczoną głową i rękami w kieszeni, wpatrując się w niewielkie muszelki

i płataninę wodorostów. Kilka pluskwiaków, wyglądających jak czarne żuki, zmykało mu z drogi, a kiedy woda cofała się w pasie zalewowym, widział, jak maleńkie bąbelki pękają nad otworami zrobionymi przez piaskówki. Cieszył się ze spaceru. To zabawne, pomyślał, że gdy mieszkasz w takim miejscu przez całe życie, prawie nigdy nie robisz rzeczy, dla których przyjeżdżają tutaj turyści – jak spacery po plaży albo pływanie w oceanie. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz wlaź do wody. Nawet nie był pewny, czy nadal posiadał kąpielówki. To było jak coś, co słyszał o Nowym Jorku – że połowa ludności żyjącej w mieście nigdy nie była na szczycie Empire State Building ani nie odwiedziła Statuy Wolności.

Co chwila spoglądał w górę, aby sprawdzić, jak daleko był od końca cypla. W pewnej chwili odwrócił się, aby zobaczyć, czy Brody i Cassidy czegoś nie znaleźli. Uznał, że byli prawie pół mili od niego.

Gdy odwrócił się i zaczął ponownie iść, dostrzegł coś przed sobą – stertę wodorostów i krasnorostów, która wydała mu się nienaturalnie duża. Był jakieś trzydzieści metrów od tego miejsca, gdy przyszło mu do głowy, że wodorosty mogą przylegać do czegoś.

Gdy doszedł do sterty wodorostów, pochylił się i odsunął część z nich na bok. Nagle znieruchomiał. Przez kilka sekund gapił się, zeszywniały jak na mrozie. Pogrzebał w kieszeni spodni, aby wydobyć gwizdek, wsadził go do ust i spróbował dmuchnąć. Zamiast tego zwymiotował, zatoczył się do tyłu i uklęknął.

W płataninie wodorostów tkwiła głowa kobiety, nadal połączona z ramionami, częścią przedramienia i prawie jedną trzecią korpusu. Masa porozrywanego ciała była już pokryta sinoniebieskimi plamami. A gdy już Hendricks wylał z siebie zawartość brzucha na piasek, pomyślał – a ta myśl ponownie wywołała w nim odruch wymiotny – że resztkę piersi kobiety wyglądała jak płaski kwiatek, ściśnięty i zasuszony w pamiętniku.

– Poczekaj – powiedział Brody, zatrzymując się i dotykając ramienia Cassidy'ego. – Wydaje mi się, że to był odgłos gwizdka.

Nasłuchiwał, mrużąc oczy w porannym słońcu. Wpatrywał się w martwy punkt, który był według niego Hendricksem, a potem wyraźniej dosłyszał gwizd.

– Chodź – powiedział i dwaj mężczyźni zaczęli biec truchtem wzdłuż plaży.

Hendricks nadal klęczał, gdy dobiegli do niego. Przestał wymiotować, ale nadal miał zwieszoną głowę, otwarte usta i oddychał ciężko, charcząc.

Brody był kilka kroków przed Cassidym.

– Panie Cassidy, niech pan zostanie na chwilę z tyłu, dobrze?

Odgarnął trochę wodorostów na bok, a kiedy zobaczył, co było w środku, poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Przełknął ją i zamknął oczy. Po chwili powiedział:

– Może pan również spojrzeć, panie Cassidy, i powiedzieć mi, czy to ona.

Cassidy był przerażony. Jego spojrzenie błędziło między Hendricksem a stertą wodorostów.

– To? – zapytał, wskazując na kłęb morskiej roślinności. Odruchowo cofnął się o krok. – Ta rzecz? Co to znaczy, czy to jest ona?

Brody nadal walczył z odruchem wymiotnym.

– Myślę – powiedział – że to jest część jej ciała.

Z wyraźną niechęcią Cassidy zrobił krok do przodu. Brody odsunął kawałek wodorostu, aby Cassidy mógł wyraźnie przyjrzeć się sonej twarzy z rozwartymi ustami.

– O mój Boże! – wydusił z siebie Cassidy i zasłonił dłonią usta.

– To ona?

Cassidy tylko pokiwał głową, nadal wpatrując się w twarz. Potem odwrócił się i zapytał:

– Co się jej stało?

– Nie mam pewności – powiedział Brody. – Tak bez ogródek, powiedziałbym, że zaatakował ją rekin.

Kolana pod Cassidym ugięły się i klęknął na piasku.

– Wydaje mi się, że będę wymiotować.

Pochylił głowę i zaczął rzygać.

Brody niemal od razu poczuł odór wymiocin i wiedział, że też przegrał walkę z żołądkiem.

– Jestem z wami – powiedział i też zwymiotował.

ROZDZIAŁ 3

Minęło kilka minut, nim Martin Brody poczuł się na tyle dobrze, aby wstać, wrócić do samochodu i wezwać ambulans ze szpitala Southampton. Ten przyjechał po prawie godzinie, a resztki okaleczonego ciała zostały zapakowane do gumowej torby i wywiezione z plaży.

Przed jedenastą Brody był z powrotem w biurze, wypełniając formularze związane z wypadkiem. Skompletował już wszystko poza „przyczyną śmierci”, gdy zadzwonił telefon.

– Tu Carl Santos. Martin? – W słuchawce rozległ się głos koronera.

– Tak, Carl. Co masz dla mnie?

– Jeśli nie masz powodów, aby podejrzewać morderstwo, to sądzę, że to był rekin.

– Morderstwo? – zdziwił się Brody.

– Niczego nie sugeruję. Myślę, że nie można wykluczyć, iż jakiś sadysta załatwił dziewczynę za pomocą siekiery i piły.

– Nie sądzę, żeby to było morderstwo, Carl. Nie mam motywu, narzędzia zbrodni i – chyba że jestem z innej planety – podejznanego.

– W takim razie to rekin. I to wielki skurczybyk. Nawet śruba napędowa wielkiego liniowca oceanicznego nie zdołałaby tego dokonać. Mogła ją przeciąć na dwoje, ale...

– W porządku, Carl, oszczędź mi krwawej jatki. Mój żołądek ma już dość tortur.

– Przepraszam, Martin. W każdym razie stawiam na atak rekina. Powiedziałbym, że to sensowne również dla ciebie, chyba że są... no wiesz... inne przesłanki.

– Nie – powiedział Brody – Nie tym razem. Dzięki za rozmowę.

Odwiesił słuchawkę i wystukał na maszynie do pisania „atak rekina” w kratce formularza „przyczyna śmierci”. Odchylił się na krześle do tyłu.

Możliwość, że „inne przesłanki” związane były z tą sprawą, nie przyszła Brody’emu do głowy. Takie rozważania były najbardziej drażliwą częścią jego pracy, zmuszającą nieustannie do szukania najlepszych środków ochrony dobra publicznego bez kompromisów z samym sobą albo prawem.

To był początek letniego sezonu, a Brody wiedział, że od powodzenia albo zapaści tych dwunastu krótkich tygodni zależał dobrobyt Amity przez pozostałą część roku. Obfity sezon oznaczał dobrą koniunkturę, która pozwalała wygodnie przetrwać trudy zimy. O tej porze roku liczba ludności miasteczka wynosiła około tysiąca, a w dobrym sezonie letnim wzrastała do dziesięciu tysięcy. A tych dziewięć tysięcy wakacyjnych gości utrzymywało stałych mieszkańców przy życiu przez cały rok.

Sprzedawcy – od właścicieli sklepów z żelastwem czy sprzętem sportowym i dwóch stacji benzynowych po lokalnego aptekarza – potrzebowali letniego ożywienia, aby utrzymać się przez zimę, podczas której jeszcze nigdy nie zbankrutowali. Żony cieśli, elektryków, hydraulików pracowały w lecie jako kelnerki albo jako agentki handlu nieruchomościami. Rybacy do wynajęcia ze swymi łodziami potrzebowali każdej szansy, jaką mogli dostać: dobrej pogody, obfitych połowów i przede wszystkim tłumu turystów.

Nawet po najlepszych wakacjach zima w Amity była ciężka. Trzy na każde dziesięć rodzin potrzebowało wsparcia, w mieście brakowało pracy dla ciemnoskórych, z których większość była w sezonie ogrodnikami, kamerdynerami, barmanami i pokojówkami. A dwa albo trzy kiepskie sezony z rzędu – na szczęście od ponad dwudziestu lat nic takiego nie nastąpiło – mogły zapoczątkować cykl, który doprowadziłby miasteczko do ruiny. Gdyby ludzie nie mieli dość pieniędzy na zakup ubrań, paliwa albo dostatecznie dużych zapasów żywności, jeśli nie mogliby pozwolić sobie na naprawę domów i ich wyposażenia, wtedy sprzedawcy i firmy usługowe nie zdołaliby zarobić dość, aby przetrwać do następnego lata. Miejscowość straciłaby dochody podatkowe. Służby miejskie podupadłyby, a ludzie zaczęli wyjeżdżać.

Istniało powszechne, milczące porozumienie mieszkańców miasteczka, zrodzone z potrzeby przetrwania. Po każdym spodziewano się, że wykona swoją część pracy, aby Amity pozostało atrakcyjnym kurortem. Kilka lat temu, Brody to pamiętał, pewien młody człowiek i jego brat przenieśli się do miasta i podjęli pracę jako cieśle. Przybyli na wiosnę, gdy brakowało rąk do pracy przy przygotowaniach domów dla letnich gości, więc zostali przyjęci z otwartymi ramionami. Nawet kilku miejscowych rzemieślników zaczęło im zlecać podwykonawstwo, gdyż wydawali się solidni w swym fachu.

Ale jeszcze przed połową lata pojawiły się niepokojące relacje o braciach Felix. Albert Morris, właściciel składu materiałów budowlanych, podał do wiadomości, że kupowali tanie, stalowe gwoździe zamiast galwanizowanych i obciążali swoich

klientów kosztami droższego materiału. W klimacie nadmorskim stalowe gwoździe zaczynały korodować już po kilku miesiącach. Dick Spotzer, który prowadził skład tarcicy, powiedział komuś, że Felixowie zamówili transport niskiej jakości świeżego drewna, aby wykorzystać je do wykonania szafek w niektórych domach przy Scotch Road. Drzwiczki takich szafek zaczęły się wypaczać niedługo po zamontowaniu. Pewnej nocy w barze starszy z Felixów, Armando, chwalił się kumplowi podczas popijawy, że w obecnej pracy płacili mu za wstawianie kołków mocujących co szesnaście cali, ale on robił to co dwadzieścia cztery cale. A młodszy z Felixów, dwudziestojednoletni Danny z trwałym trądzikiem na twarzy, lubił pokazywać przyjacielom erotyczne książki, które, jak się chwalił, ukradł z domów pracodawców.

Inni stolarze przestali zlecać Felixom kolejne prace, ale oni na tyle rozbudowali interes, że byli w stanie przetrwać zimę. Porozumienie społeczne w Amity zaczęło się uaktywniać. Na początku było tylko kilka grzecznych aluzji do Felixów, że przestali być mile widziani. Armando zareagował arogancko. Wkrótce zaczęły im dokuczać drobne, niefortunne zdarzenia. Ze wszystkich opon w ich samochodzie w tajemniczy sposób zeszło powietrze, a kiedy wezwali pomoc ze stacji paliw Gulfa w Amity, dowiedzieli się, że kompresor był zepsuty. Gdy skończył się propan w kuchennej butli gazowej, miejscowy dostawca gazu dowiózł im nową dopiero po ośmiu dniach. Ich zamówienia na tarcicę albo inne materiały w niewytłumaczalny sposób gdzieś ginęły albo się opóźniały. W sklepach, gdzie kiedyś mogli uzyskać kredyt, obecnie musieli płacić gotówką. Przed końcem października bracia Felix stracili zlecenia i wyjechali.

Generalnie udział Brody'ego w porozumieniu w Amity – obok pilnowania przestrzegania prawa i porządku w mieście – składał się z weryfikowania plotek, a po konsultacji z Harrym Meadowsem, wydawcą miejskiej gazety „Leader”, podawania do publicznej wiadomości tych zdarzeń, które można było uznać za znaczące.

Poprzedniego lata w „Leaderze” znalazły się co prawda relacje o gwałtach, jednak były zbagatelizowane (przedstawiono zdarzenia jako molestowanie), ponieważ Brody i Meadows zgodzili się, że widmo czarnego gwałciiciela śledzącego każdą kobietę w Amity nie pomogłoby branży turystycznej. W takim przypadku trzeba było zadbać o to, aby żadna z ofiar gwałtu nie rozpowiadała o tym na prawo i lewo.

Kiedy któryś z bogatszych gości Amity bywał aresztowany za jazdę po pijanemu, Brody chętnie zapisywał główne wykroczenie jako brak prawa jazdy kierowcy, i takie obwieszczenie zgodnie z przyjętymi zasadami pojawiała się w „Leaderze”. Ale Martin dla pewności ostrzegwał kierowcę, że jeśli jeszcze raz zostanie zatrzymany pod

wpływem alkoholu, zostanie oskarżony i skazany za jazdę po pijanemu.

Relacje Brody'ego z Meadowssem opierały się na delikatnej równowadze. Kiedy grupa młodzieży przyjechała z Hampton do miasta i wywoływała awanturę, Meadows otrzymywał wszelkie dane – nazwiska, wiek i rodzaj wniesionych oskarżeń. Kiedy nastolatki z Amity robili zbyt dużo hałasu podczas przyjęcia, „Leader” zazwyczaj drukował jedną wzmiankę, bez nazwisk i adresów, informując społeczność, że policja interweniowała, aby opanować drobne zajście, powiedzmy, przy Old Mill Road.

Ponieważ kilku letnich rezydentów uznało za zabawne prenumerowanie „Leadera” przez cały rok, to kwestia wandalizmu w domach letniskowych była szczególnie delikatna. Przez lata Meadows ignorował tę kwestię – pozostawiając Brody'emu odpowiedzialność za powiadomienie właściciela, ukaranie sprawcy i umówienie fachowców do naprawy uszkodzeń. Ale w zimie 1968 roku szesnaście domów zostało zdewastowanych w okresie kilku tygodni. Brody i Meadows uzgodnili, że trzeba przeprowadzić w „Leaderze” kampanię na pełną skalę przeciwko zimowym wandalom. Rezultatem było połączenie instalacji alarmowej czterdziestu ośmiu domów z posterunkiem policji. Ponieważ miejscowa ludność nie wiedziała, które z nich miały takie zabezpieczenia, nie wyeliminowało to zupełnie wandalizmu, ale sprawiło, że praca Brody'ego stała się łatwiejsza, a Meadows zyskał wizerunek wojującego wydawcy, troszczącego się o sprawy publiczne.

Czasami Brody i Meadows ścierali się ze sobą. Meadows był żarliwym przeciwnikiem używania narkotyków. Był też człowiekiem z niezwykłym reporterskim wyczuciem, a gdy odkrył aferę – taką bez podejrzeń o „inne przesłanki” – potrafił ją tropić jak posokowiec na polowaniu. W lecie 1971 roku córka jednej z najbogatszych rodzin w Amity zmarła na plaży przy Scotch Road. Dla Brody'ego nie było dowodów przestępstwa, a ponieważ rodzina sprzeciwiała się sekcji zwłok, uznano, że oficjalną przyczyną śmierci było utonięcie.

Ale Meadows miał powody sądzić, że dziewczyna była na prochach, które dostarczył jej syn polskiego plantatora ziemniaków. Prawie dwa miesiące zajęło mu drażnienie tej historii i w końcu wymusił sekcję zwłok, która wykazała, że dziewczyna, nim się utopiła, była nieprzytomna z powodu przedawkowania heroiny. Wytropił też diler narkotykowego i ujawnił dzięki temu dość duży rynek narkotykowy w rejonie Amity. Ta historia źle odbiła się na opinii miasta i jeszcze gorzej na Brodym, który z powodu kilku federalnych przestępstw związanych z tą historią nie był w stanie odkupić swojej wcześniejszej niefrasobliwości poprzez aresztowanie jednego czy

dwóch podejrzanych, a Meadows zyskał dwie regionalne nagrody dziennikarskie.

Teraz to Brody chciał podać w gazecie pełne informacje o tragedii. Zamierzał zamknąć plażę na kilka dni, aby dać rekinowi czas na odpłynięcie dalej od linii brzegowej Amity. Nie wiedział, czy takie drapieżniki mogły przyswoić sobie smak ludzkiego mięsa (a słyszał, że tygrysy to potrafią), ale był zdecydowany pozbawić rybę szans na kolejne zdobycze tego rodzaju. Tym razem zażądał publikacji, aby ludzie dowiedzieli się o niebezpieczeństwie i trzymali się od wody z daleka.

Ale wiedział też, że nie może przesadzać w nagłaśnianiu ataku. Podobnie jak reszta kraju Amity nadal odczuwało skutki ostatniej recesji. Jak dotąd sezon letni rozwijał się marnie. Co prawda sporo domów wynajęto jeszcze w poprzednim roku, ale nie były z nimi związane „dobre” czynsze. Wiele z nich było „grupowych”, a bandy dziesięciu czy piętnastu mieszczuchów z Nowego Jorku rozdzielało między siebie czynsz za duży dom. Przynajmniej tuzin domów nad brzegiem morza, wynajmowanych za siedem do dziesięciu tysięcy dolarów, stało nadal pustych, tak samo jak dużo więcej w klasie za pięć tysięcy. Rewelacje o ataku rekina mogłyby zmienić marność w katastrofę.

Brody wciąż myślał, że jedna śmierć w połowie czerwca, nim zjadą się tłumy urlopowiczów, szybko pójdzie w zapomnienie. Oczywiście kłopoty zaczęłyby się przy drugiej, trzeciej czy kolejnej śmierci. Rekin mógł już zniknąć, ale Brody nie miał chęci ryzykować niczym życiem; szanse były spore, ale stawka niewspółmiernie wysoka.

Wybrał numer telefonu Meadowsa:

– Hej, Harry – powiedział. – Znajdziesz dla mnie chwilę podczas lunchu?

– Byłem ciekawy, kiedy zadzwonisz – odparł Meadows. – Ty do mnie przyjedziesz czy ja do ciebie?

Nagle Brody pożałował, że zadzwonił w porze posiłku. Jego żołądek nadal jęczał, a myśl o jedzeniu wywoływała kolejne mdłości. Spojrzał na kalendarz na ścianie. Był czwartek. Jak wszyscy ich przyjaciele z raczej skromnymi dochodami, rodzina Brodych robiła zakupy, pilnując promocji w supermarkecie. Specjalnością poniedziałku był kurczak, wtorku jagnięcina, i tak dalej, przez cały tydzień. Gdy już każdy artykuł promocyjny został zjedzony, Ellen odznaczała go na liście i przenosiła na następny tydzień. Jedyłą zmianę stanowiły okonie lub podobne do nich tasergale, które trafiały do jadłospisu, gdy zaprzyjaźniony rybak miał nadwyżkę połowu. Specjalnością czwartku były hamburgery, ale Brody dzisiaj widział za dużo siekanego

mięsa jak na jeden dzień.

– Ja do ciebie. – powiedział. – Może zamówimy coś na wynos z Cy's? Moglibyśmy zjeść w twoim biurze.

– Czytasz w moich myślach – odparł Meadows. – Na co masz ochotę? Zaraz zamawiam.

– Kanapkę z jajkiem i szklanekę mleka. Zaraz u ciebie będę.

Potem zadzwonił do Ellen, aby powiedzieć jej, że nie wróci do domu na obiad.

Harry Meadows był zwalistym facetem, dla którego nawet oddychanie stanowiło taki wysiłek, że na czole pojawiały się krople potu. Był już blisko pięćdziesiątki, jadł zbyt dużo, palił jedno za drugim tanie cygara, pijał sezonowanego bourbona i w opinii jego lekarza był czołowym kandydatem świata zachodniego do ogromnego zawału serca.

Kiedy Brody przyjechał, Meadows stał obok biurka i wymachiwał ręcznikiem w otwartym oknie.

– Z całym szacunkiem, ale twoje zamówienie obiadowe mówi mi, że masz żołądek po przejściach – powiedział. – Dlatego próbuję oczyścić powietrze z aromatu „Białej Sowy”.

– Doceniam to – powiedział Brody.

Rozejrzał się po małym, zagraconym pokoju, szukając miejsca, gdzie mógłby usiąść.

– Odrzuć po prostu szpargały z tamtego krzesła – poradził mu Meadows. – To są tylko sprawozdania rządowe. Raporty z okręgu, stanowe, z komisji do spraw dróg i wodnej. Prawdopodobnie kosztowały miliony dolarów, a z informacyjnego punktu widzenia nie zawierają nawet tego, co jest w spluwaczce.

Brody zebrał stertę papierów i ułożył je w stosie na kaloryferze. Przetawił krzesło obok biurka Meadowsa i usiadł.

A ten zaczął grzebać w dużej papierowej torbie i wyciągnął z niej plastikowy kubek oraz opakowaną w celofan kanapkę, po czym pchnął je lekko przez biurko w stronę Brody'ego. Potem zaczął rozpakowywać własny obiad, cztery oddzielne pakunki, które otwierał i układał przed sobą z pietyzmem godnym jubilera pokazującego rzadkie klejnoty: bułkę z klopsiem wielkości odpowiedniej tylko dla olbrzymów, polanym sosem pomidorowym, plastikowe pudełko pełne smażonych na oleju ziemniaków, ogórki konserwowe wielkości małych kabaczków i ćwiartkę cytrynowego bezowego ciasta. Sięgnął za krzesło do małej lodówki i wyciągnął z niej półlitrową puszkę piwa.

– Cudownie – powiedział ze śmiechem, błogo spoglądając na swoją ucztę.
– Zdziwiający – stwierdził Brody, czując, jak soki żołądkowe podchodzą mu do gardła. – Niewiarygodnie popieprzona sprawa! Zjadłem z tobą tysiące posiłków, Harry, ale nadal nie mogę się przyzwycząić do twojego wilczego apetytu.
– Każdy ma swoje dziwactwa, przyjacielu – powiedział Meadows, unosząc olbrzymią kanapkę do ust. – Niektórzy ludzie uganiają się za cudzymi żonami. Inni topią się w whiskey. A ja znalazłem pociechę w naturze własnego odżywiania.
– To zostaw trochę pociechy dla Dorothy, kiedy twoje serce powie: „Dość, koleś, adios”.

– Dyskutowałem z nią o tym – powiedział Harry, sącząc słowa przez usta pełne pieczywa i mięsa – i jesteśmy zgodni, że jedną z nielicznych przewag człowieka nad zwierzęciem jest zdolność do wyboru sposobu zadania sobie śmierci. Jedzenie może rzeczywiście mnie zabić, ale również czyni życie tak przyjemnym. Poza tym wolę mój sposób niż koniec w brzuchu rekina. A po tym poranku jestem pewien, że zgodzisz się ze mną.

Brody był w środku połykania kanapki z pastą jajeczną i starał się nią nie udławić.

– Nie rób mi tak więcej – powiedział.

Przez kilka chwil jedli w milczeniu. Brody skończył kanapkę i wypił mleko, zmiął papierowe opakowanie i wcisnął do plastikowego kubka. Odchylił się rozluźniony na oparcie krzesła i zapalił papierosa. Meadows nadal jadł, ale Martin wiedział, że żadna dyskusja nie zmniejszy jego apetytu. Przypomniawszy sobie dzień, gdy Meadows odwiedził miejsce krwawego wypadku samochodowego i prowadził wywiad z policjantem i ocalałymi ludźmi, oblizując loda kokosowego na patyku.

– A w sprawie Watkins – zaczął Brody – mam kilka przemyśleń, jeśli chcesz o nich posłuchać.

Meadows skinął głową.

– Po pierwsze, wydaje się, że przyczyna śmierci jest raczej oczywista. Już rozmawiałem z Santosem i...

– Ja też z nim rozmawiałem.

– Tak więc podejrzewasz chyba to samo, co on. To był atak rekina, jasne i proste. A gdybyś jeszcze widział ciało, to nie miałbyś żadnych wątpliwości.

– Widziałem je.

Brody zdziwił się, głównie dlatego, że nie wyobrażał sobie kogoś, kto widział taki koszmar i mógł teraz siedzieć tutaj i oblizywać okruchy ciasta cytrynowego

przylepione do palców.

– Czyli się zgadzasz?

– Tak. Zgadzam się, że to ją zabiło. Ale jest kilka spraw, których nie jestem pewien.

– Takich jak?

– Jak to, dlaczego pływała o tej porze? Czy wiesz, jaka temperatura była koło północy? Szesnaście stopni Celsjusza. A wiesz, jaka była temperatura wody? Około dziesięciu. Musiałbyś być niespełna rozumu, żeby pływać w takich warunkach.

– Albo być pijanym – powiedział Brody. – A ona prawdopodobnie była.

– Może masz rację, to prawdopodobne. Pogrzebałem trochę wokół tego i wiem, że Foote nie bawił się trawką, meskaliną ani innymi używkami. Chociaż jest inna sprawa, która mnie niepokoi.

Brody zaczął się denerwować.

– Na rany Chrystusa, Harry, przestań ścigać cienie. Raz na jakiś czas ludzie giną w wypadkach.

– Nie o to chodzi. Tylko to cholernie dziwne, że mamy tutaj rekina, kiedy woda jest nadal tak chłodna.

– Naprawdę? Może są rekiny, które lubią zimną wodę. Znasz się na nich?

– Są takie gatunki. Choćby grenlandzkie rekiny, ale nigdy nie wypływają tak daleko, a nawet jeśli to robią, to zazwyczaj nie niepokoją ludzi. Kto zna się na rekinach? Powiem ci to. W tej chwili wiem o nich znacznie więcej niż jeszcze rano. Gdy zobaczyłem, co zostało z panny Watkins, zadzwoniłem do mojego znajomego z Instytutu Oceanograficznego Woods Hole. Opisałem mu stan ciała, a on powiedział, że jest tylko jeden gatunek rekina, który mógłby dokonać takiego dzieła jak to.

– Jaki gatunek?

– Żarłacz biały. Są inne, które też atakują ludzi, na przykład rekiny tygrysie, młoty i nawet mokosy albo błękitne, ale ten koleś, Matt Hooper, powiedział, że przecięcie kobiety na pół to sprawa ryby, która ma taką paszczę. – Rozsunął ręce na metr od siebie. – I tylko jedna ryba wyrasta na tak dużą i atakuje ludzi, a to jest żarłacz biały. Ma jeszcze inną nazwę.

– Och? – Brody zaczął tracić zainteresowanie. – Jaką?

– Ludojad. Inne rekiny zabijają raz na jakiś czas, z różnych powodów: z głodu, przez pomyłkę albo może dlatego, że po prostu poczuły smak krwi w wodzie. A przy okazji, czy panna Watkins nie miała okresu ostatniej nocy?

– A skąd, do diabła, miałbym o tym wiedzieć?

– Pytam z ciekawości. Hooper powiedział, że jest to jeden ze sposobów zagwarantowania sobie ataku rekina, gdy ten jest w pobliżu.

– Powiedział coś o zimnej wodzie?

– Że żarłaczki białe dość często przybywają do zimnych wód. Kilka lat temu koło San Francisco został zabity chłopak. Temperatura wody wynosiła wtedy siedem stopni Celsjusza.

Brody głęboko zaciągnął się dymem z papierosa.

– Naprawdę się w to zaangażowałeś, Harry.

– Wydaje mi się, że sprawą społecznego interesu jest dokładne ustalenie, co się stało, i ocena szans, czy może wydarzyć się ponownie.

– A ty już oszacowałeś te szanse?

– Tak. I prawie nie istnieją. Z tego, co ustaliłem, to był naprawdę niecodzienny przypadek. Zgodnie z tym, co mówił Hooper, jedyna dobra rzecz związana z żarłaczami białymi jest taka, że należą do rzadkości. Są wszelkie powody, aby wierzyć, że ten, który zaatakował Watkins, już odpłynął. Tutaj wokoło nie ma raf. Nie ma też przetwórci ryb albo rzeźni, skąd krew albo wnętrzności trafiałyby do wody. Nie ma kompletnie nic, co interesowałoby takiego rekina.

Meadows przerwał i spojrzał na Brody'ego, który wpatrywał się w niego w ciszy.

– Dlatego wydaje mi się, Martin, że nie ma powodu, aby niepokoić ludność czymś, co prawie na pewno nie zdarzy się ponownie.

– To jest tylko jeden z punktów widzenia, Harry. Inny to taki, że jeśli to prawdopodobnie nigdy więcej się nie powtórzy, to nie ma powodów, aby ukrywać to przed ludźmi.

Meadows westchnął.

– Z dziennikarskiego punktu widzenia może masz rację. Ale to jest jedna z tych chwil, Martin, kiedy musimy zapomnieć o zasadach i przepisach, a pomyśleć o tym, co jest najważniejsze dla ludzi. Wątpię, aby w interesie publicznym leżało rozpowszechnianie tego dookoła. Nie myślę o ludności miasteczka. Wkrótce się o tym dowiedzą, przynajmniej ci, którzy jeszcze tego nie zrobili. Ale co z ludźmi, którzy czytają „Leaders” w Nowym Jorku, Filadelfii albo w Cleveland?

– Pochlebiasz sobie!

– Jaja sobie robisz! Wiesz, o co mi chodzi. I wiesz, jaka jest sytuacja, gdy zbliża się lato. Jesteśmy dokładnie na skraju przetrwania, podobnie jak inne miejscowości, takie jak Nantucket, Vineyard i East Hampton. Są ludzie, którzy nie mają jeszcze planów na

lato. Dopiero teraz wybierają miejsca na wakacje. A nie brakuje domów do wynajęcia... gdziekolwiek. Jeśli dowiedzą się, że młoda kobieta została niemal w całości pożarta przez monstrualnego rekina niedaleko Amity, to nie wynajmiemy już żadnego domu. Rekiny są jak patologiczni zabójcy, a ludzie reagują na nich z instynktowną paniką. Jest w nich coś szalonego, złego i nie da się nad nimi zapanować. Jeśli powiemy ludziom, że rekin morderca jest gdzieś tutaj, możemy pocałować lato na do widzenia!

Brody przytaknął.

– Trudno nie zgodzić się z tym, co powiedziałaś, Harry, i nie mam zamiaru trąbić ludziom, że gdzieś w pobliżu jest rekin morderca. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Nie kłóć się z twoją oceną ryzyka. Masz prawdopodobnie rację. Ten rekin już pewnie odpłynął kilkaset mil stąd i więcej się nie pojawi. Najgroźniejszy w tych wodach jest powrotny prąd podczas przyływu. Ale Harry, istnieje szansa, że się mylisz, i nie sądzę, że możemy podjąć takie ryzyko. Przypuśćmy... tylko teoretycznie... że nie powiemy o tym nawet słowa, a ktoś jeszcze zostanie zaatakowany przez tę rybę. Co wtedy? Będę miał przechlapane. Powinienem chronić tych ludzi, a jeśli nie potrafię tego zrobić, to przynajmniej mogę ich ostrzec, że pojawiło się jakieś zagrożenie. Twój tyłek też jest zagrożony. Masz donosić o ważnych wydarzeniach, a wiadomość, że rekin kogoś zabił, jest takim. Chcę, abyś wydrukował tę informację, i zamknę plażę. Tylko na kilka dni, tak profilaktycznie. To nie będzie żaden problem. Jeszcze nie mamy zbyt wielu turystów, a woda jest nadal zimna. Jeśli po prostu powiemy ludziom, co się stało i dlaczego robimy to, co robimy, myślę, że będziemy mieli tę historię za sobą.

Meadows usiadł ponownie na krześle i zamyślił się.

– Nie mam prawa mówić ci, co masz robić, ale jeśli chodzi o mnie, to już podjąłem decyzję – powiedział powoli.

– Co to znaczy?

– Nie będzie wzmianki o ataku rekina w „Leaderze”.

– Tak po prostu?

– No, nie całkiem. To nie była do końca moja decyzja, chociaż myślę, że się z nią ogólnie zgadzam. Jestem wydawcą tej gazety, Martin, i po części właścicielem, ale nie na tyle dużym udziałowcem, aby oprzeć się pewnym naciskom.

– Jakim?

– Od rana miałem już sześć telefonów. Pięć od reklamodawców: restauratora,

hotelarza, dwa od handlarzy nieruchomości i jeden z lodziarni. Bardzo im zależało, aby dowiedzieć się, czy wydrukuję historię sprawy Watkins, a jeszcze bardziej, abym pamiętał, że dla Amity będzie najlepiej, gdyby cała sprawa całkowicie przycichła. Szóstą rozmowę przeprowadziłem z panem Colemanem, który posiada połowę udziałów w gazecie. Wydaje się, że on też odebrał kilka telefonów. Powiedział mi, że nie będzie tej historii w „Leaderze”.

– Pewnie nie wspomniał, że jego żona handluje nieruchomościami. Zapewne nie miało to wpływu na jego decyzję.

– Nie – przyznał Meadows. – Nic na ten temat nie powiedział.

– Ważna figura. W porządku, Harry, ale co nam pozostaje? Nie masz zamiaru jak na razie drukować tej historii, a jeśli chodzi o stałych czytelników „Leadera”, nic się przecież nie stało. Mam zamiar zamknąć kilka plaż i postawić trochę znaków informujących, dlaczego tak się stało.

– Okej, Martin. To twoja decyzja. Ale pozwól, że ci coś przypomnę. Jesteś wybieralnym urzędnikiem, prawda?

– Tak jak prezydent. Na cztery pełne nerwów lata.

– Wybór może zostać poddany pod wątpliwość, urzędników można usunąć.

– Czy to groźba, Harry?

Meadows uśmiechnął się.

– Ty wiesz lepiej. Poza tym kim jestem, aby rzucać groźby? Chcę, abyś był świadomy tego, co robisz, nim zaczniesz majstrować przy źródłach utrzymania tych wszystkich mądrych i wybrednych dusz, które cię wybrały, jasne?

Brody uznał, że to koniec. Wstał i ruszył do wyjścia.

– Dzięki, Harry. Zawsze słyszałem, że na szczycie człowiek jest samotny. Ile jestem ci winien za lunch?

– Daj spokój. Nie mogę wziąć pieniędzy od człowieka, którego rodzina będzie wkrótce żebrać o kupony na żywność.

Brody zaśmiał się.

– Nie ma mowy. Nie słyszałeś? Wielkim atutem pracy w policji jest poczucie bezpieczeństwa.

Dziesięć minut później Brody wrócił do biura. Dzwonek domofonu zabrzączał i czyjś głos oznajmił:

– Szefie, jest tu burmistrz i chce cię zobaczyć.

Brody zaśmiał się. Burmistrz. Nie Larry Vaughan, który wpadł, żeby pogawędzić. Nie Lawrence Vaughan z biura pośrednictwa handlu nieruchomościami Vaughan & Penrose, który przyszedł, aby poskarżyć się na hałaśliwych najemców. Ale burmistrz Lawrence P. Vaughan, wybrany przez ludzi – zebrał siedemdziesiąt jeden głosów podczas ostatnich wyborów.

– Wpuść szanownego burmistrza do środka – powiedział Brody.

Larry Vaughan był przystojnym mężczyzną, trochę po pięćdziesiątce, ze szpakowatymi włosami i w dobrej kondycji fizycznej dzięki ćwiczeniom. Chociaż pochodził z Amity, przez lata wypracował sobie dyskretną elegancję i styl wyższych sfer. Dorobił się wielkich pieniędzy na powojennych nieruchomościach spekulacyjnych w Amity i był większościowym udziałowcem (niektórzy sądzą, że nawet jedynym, gdyż nikt jeszcze w biurze Vaughana nie spotkał ani nie rozmawiał z żadnym Penrose'em) w cieszącym się największym powodzeniem w mieście biurze handlu nieruchomościami. Ubierał się z estetyczną prostotą, w ponadczasowe brytyjskie marynarki, koszule z przypinanymi na guziki kołnierzykami oraz mokasyny firmy Weejun. Inaczej niż Ellen Brody, która spadła z ligi ludzi „lata” do ligi ludzi „zimy” i nie potrafiła się do tego przyzwyczaić, Vaughan wspinał się gładko w drugą stronę, stawiając każdy kolejny krok z wielką gracją. Nie był jednym z kategorii letników, gdyż praktycznie rzecz biorąc, był miejscowym biznesmenem, więc tamci nie zapraszali go, aby ich odwiedził w Nowym Jorku albo Palm Beach. Ale w Amity poruszał się swobodnie wśród wszystkich gości poza najbardziej powściągliwymi członkami letniej społeczności, co oczywiście dobrze wpływało na stan jego interesów. Był zapraszany na najważniejsze letnie przyjęcia, ale zawsze przychodził sam. Tylko nieliczni jego przyjaciele wiedzieli, że miał w domu żonę: prostą, kochającą go kobietę, która spędzała większość czasu na haftowaniu przed odbiornikiem telewizyjnym.

Brody lubił Vaughana. Nie widywał go zbyt często latem, ale po Święcie Pracy w pierwszy poniedziałek września, kiedy wszystko się uspokajało, Vaughan schodził trochę z drabiny społecznej i co kilka tygodni razem z żoną zapraszali Brody'ego z Ellen na uroczystą kolację w jednej z lepszych restauracji w Hampton. Ellen uwielbiała takie wieczory i już to wystarczało, aby uszczęśliwić Brody'ego. A Vaughan zdawał się rozumieć Ellen. Zawsze zachowywał się uprzejmie, traktując Ellen jak członka tego samego klubu i przyjaciółkę.

Vaughan wkroczył do biura Brody'ego i usiadł.

– Właśnie rozmawiałem z Meadowsem – powiedział.

Vaughan był wyraźnie zmartwiony, co zainteresowało Brody'ego. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Rozumiem – stwierdził. – Widzę, że Harry nie tracił czasu.

– Gdzie masz zamiar zdobyć upoważnienie do zamknięcia plaż?

– Pytasz mnie jako burmistrz, jako pośrednik w handlu nieruchomościami czy może jako troskliwy przyjaciel, Larry?

Vaughan ledwie się hamował, więc Martin uznał, że tamten miał problem z kontrolowaniem emocji.

– Chcę wiedzieć, gdzie masz zamiar zdobyć zezwolenie. Chcę to wiedzieć teraz!

– Oficjalnie, to nie wiem, czy już go nie posiadam – zaczął Brody. – Jest coś w regulaminie praw i obowiązków, że mogę podjąć jakiegokolwiek działania, które uznaję za stosowne w nadzwyczajnych okolicznościach, ale myślę, że to radni powinni ogłaszać stan nadzwyczajny. Nie wyobrażam sobie, abyś chciał przechodzić przez tak skomplikowaną procedurę.

– Nie ma szans.

– Cóż, w takim razie nieoficjalnie oświadczam, że moim obowiązkiem jest zapewnienie w jak największym stopniu bezpieczeństwa mieszkającym tutaj ludziom. Uznaję, że to oznacza zamknięcie plaż na kilka dni. I jeśli nawet do tego dojdzie, to nie mam pewności, czy mogę aresztować kogoś, kto przyjdzie popływać. Chyba że – Brody uśmiechnął się – będzie to przypadek karalnej głupoty.

Vaughan zignorował ostatnią uwagę.

– Nie chcę, abyś zamykał plaże – powiedział.

– Rozumiem.

– Wiesz przecież dlaczego. Czwarty lipca już niedaleko, a to będzie kluczowy weekend. Poderżnąłbyś nam wszystkim gardła.

– Znam ten argument i jestem pewien, że znasz przyczyny, dla których chcę zamknąć plaże. To nie jest tak, że mam cokolwiek do zyskania.

– Wiem, że nie o to ci chodzi. Ale ty też wiesz, Martin, to miasteczko nie potrzebuje takiego rodzaju rozgłosu.

– Ale też nie potrzebuje więcej ofiar.

– Nikt więcej nie zginie, na miłość boską. Przez zamknięcie plaż tylko ściągniesz gromadę dziennikarzy, a ci zaczną węszyć w nie swoich sprawach. Łowcy tanich sensacji.

– Tak? To zjadą się tutaj, powęszą, zobaczą, że nic tu po nich, i wrócą do domów. Nie wyobrażam sobie, aby „New York Times” był zainteresowany piknikami letników lub kolacjami w klubach ogrodników.

– Po prostu tego nie potrzebujemy. Przypuśćmy, że coś znajdą. Będzie wiele hałasu, co nie zrobi nikomu dobrze.

– Na przykład co, Larry? Co mogliby odkryć? Nie mam nic do ukrycia. A ty masz?

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko tak myślałem... może zeszłoroczne gwałty? Coś podejrzanego.

– Brednie – uznał Brody. – To już zamierzchła historia.

– A niech to, Martin! – Vaughan przerwał na chwilę, starając się zapanować nad sobą. – Jeśli nie słuchasz rozsądku, to posłuchaj mnie jako przyjaciela! Moi współpracownicy mocno na mnie naciskają. Coś takiego mogłoby nas sporo kosztować.

Brody zaśmiał się.

– To jest pierwszy raz, kiedy usłyszałem, że przyznajesz się do współpracowników, Larry. Myślałem, że prowadzisz ten interes jako imperator.

Vaughan był zakłopotany, jakby poczuł, że powiedział za dużo.

– Moje interesy są bardzo skomplikowane – stwierdził wymijająco. – Bywa, że sam nie jestem pewny, czy rozumiem, o co w nich chodzi. Wyświadcz mi przysługę. Przynajmniej tym razem.

Brody spojrzał na Vaughana, próbując pojąć jego motywy.

– Przykro mi, Larry. Nie mogę. Nie wykonałbym własnej roboty.

– Ty mnie nie słuchasz – Vaughan nie ustępował. – Możesz zaraz nie mieć tej roboty.

– Nie masz nade mną żadnej władzy. Nie możesz zwolnić żadnego gliniarza w mieście.

– Nie na siłę. Ale wierz lub nie, naprawdę mam władzę zwierzchnią nad szefem policji.

– Nie wierzę w to.

Vaughan wyjął z kieszeni marynarki kopię statutu wspólnoty miasta Amity.

– Możesz sam przeczytać – powiedział, przelatując wzrokiem przez tekst, dopóki nie znalazł strony, której szukał. – To właśnie tutaj.

Podał broszurę Brody’emu.

– Widzisz wyraźnie, że nawet jeśli zostałeś wybrany do tej roboty przez wszystkich ludzi, to radni i tak mają moc, aby cię zwolnić.

Brody przeczytał paragraf wskazany przez Vaughana.

– Masz rację – przyznał. – Ale bardzo chciałbym dowiedzieć się, co uznajesz za „dobrą i wystarczającą przyczynę”.

– Mam najszczęśliwszą nadzieję, że do tego nie dojdzie, Martin. Liczyłem, że ta rozmowa nie zajdzie tak daleko. Liczyłem, że się dogadamy, gdy już wiesz, co sądzi o tym rada miasta.

– Wszyscy radni?

– Większość.

– Czyli kto?

– Nie mam zamiaru siedzieć tutaj i wymieniać nazwisk. Nie muszę. Wystarczy, że wiesz, iż mam za sobą radę i jeśli nie zrobisz tego, co właściwe, wsadzimy na twoje miejsce kogoś, kto to zrobi.

Brody nie widział nigdy Vaughana w tak wrednym nastroju. Był zafascynowany, ale też lekko wstrząśnięty.

– Ty rzeczywiście tego chcesz, prawda, Larry?

– Tak – powiedział spokojnie Vaughan, wyczuwając zwycięstwo. – Zaufaj mi, Martin. Nie będziesz żałował.

Brody westchnął.

– Gównu – powiedział. – Nie podoba mi się to. To śmierdzi na odległość. Ale niech tak będzie, jeśli to takie istotne.

– Tak, to ważne. – Po raz pierwszy od chwili przybycia Vaughan uśmiechnął się. – Dziękuję, Martin – powiedział i wstał już rozluźniony. – Teraz mam całkiem niewdzięczne zadanie odwiedzić Foote’a.

– Jak masz zamiar powstrzymać go przed pójściem z tym do „New York Timesa” albo „Newsa”?

– Mam nadzieję, że zdołam odwołać się do jego poczucia solidarności – przyznał Vaughan. – Tak samo apelowałem do ciebie.

– Brednie.

– Mamy naprawdę dobry atut, który możemy wykorzystać. Panna Watkins była nikim. To typ włóczęgi. Bez rodziny, bliskich przyjaciół. Powiedziała, że przyjechała na wschód autostopem z Idaho. Tak więc nikt się o nią nie upomni.

Brody przyjechał do domu trochę przed piątą. Jego żołądek przestał wariować na tyle, że mógł napić się piwa albo dwóch przed kolacją. Ellen była w kuchni, nadal

ubrana w różowy strój szpitalnej wolontariuszki. Dłonie miała oblepione mielonym mięsem, z którego ugniatała klopsiki.

– Cześć – powiedziała, odwracając głowę do męża, aby mógł pocałować ją w policzek. – Co to był za kryzys?

– Byłaś w szpitalu. Nie słyszałaś?

– Nie, dzisiaj był dzień kąpieli starszych pań. Nigdy wtedy nie wychodzę poza skrzydło Fergusona.

– Dziewczyna została zabita przy Old Mill.

– Jak to się stało?

– Rekin. – Brody sięgnął do lodówki po piwo.

Ellen przestała ugniatać mięso i spojrzała na niego.

– Rekin? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Widuje się je raz na jakiś czas, ale nigdy nic nie zrobiły.

– Tak, wiem. Ale to właśnie ten pierwszy raz.

– Co masz zamiar zrobić?

– Nic.

– Naprawdę? Czy to sensowne? To znaczy... Czy nie ma czegoś, co mógłbyś zrobić?

– Na pewno dałoby się coś zrobić. Przynajmniej formalnie. Ale obecnie jestem bezsilny. To, co o tym myślimy, nie ma większego znaczenia. Władze miasta uznały, że nie warto się gorączkować tym, że jakaś obca została niemal zjedzona przez rybę. Chcą zaryzykować i uznać to za sporadyczny wypadek, i tyle. Albo raczej liczą, że oficjalnie wezmę to na siebie.

– Co masz na myśli przez władze miasta?

– Larry Vaughan, jako pierwszy przykład.

– Och, nie spodziewałam się, że już rozmawiałeś z Larrym.

– Przyszedł do mnie od razu, gdy tylko dowiedział się, że chciałem zamknąć plażę. Nie był, jak to ty nazywasz, subtelny, gdy namawiał mnie, bym zrezygnował z tego pomysłu. Jawnie groził, że stracę pracę, jeśli go nie posłucham.

– Nie mogę uwierzyć. Larry nie jest taki.

– Ja też tak sądziłem. A przy okazji, co wiesz o jego wspólnikach?

– W interesach? Nie sądzę, aby jacyś istnieli. Myślałam, że Penrose to drugie imię albo coś podobnego. W każdym razie zakładałam, że cały interes należy do niego.

– Ja też. Ale widocznie tak nie jest.

– Może to lepiej, że rozmawiałeś z Larrym, nim podjąłeś decyzję. Zazwyczaj ma szersze, bardziej ogólne spojrzenie niż większość ludzi. Chyba naprawdę wie, co jest najlepsze.

Brody poczuł, jak podnosi mu się ciśnienie krwi.

– Bzdety – powiedział po prostu.

Potem zerwał metalową zawleczkę z wieczka puszki piwa i wrzucił ją do kosza na śmieci, a po chwili wyszedł do salonu, aby włączyć telewizor na wieczorne wiadomości.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że rozmawiałam niedawno z kimś przez telefon – zawołała Ellen z kuchni.

– Kto dzwonił?

– Nie wiem, nie przedstawił się. Tylko wspomniał, aby ci powiedzieć, że wykonujesz wspaniałą robotę. To miło z jego strony, że zadzwonił, nie sądzisz?

ROZDZIAŁ 4

Przez kilka następnych dni było słonecznie i cicho. Wiatr wiał niezmiennie i łagodnie z południowego zachodu i tylko delikatna bryza marszczyła powierzchnię wody, która nawet się nie pieniała. Powietrze było rześkie tylko nocami, a po dniach nieustannego słońca ziemia i piasek były nagrzane.

Niedziela była dwudziestym dniem czerwca. W szkołach państwowych jeszcze przez tydzień miała trwać nauka przed letnią przerwą, ale te prywatne w Nowym Jorku już zwolniły podopiecznych. Rodziny posiadające letnie domy w Amity zjawiały się tu na weekendy już od początku maja. Letnicy, którzy wynajmowali domy od 15 czerwca do 15 września, rozpakowywali się, znając już ich rozkład i wiedząc, w których szafkach stoi dobra chińska porcelana, gdzie leżą przedmioty codziennego użytku, a które łóżka są twardsze niż inne. Już zaczęli czuć się jak w domu.

Do południa plaże przy Scotch i Old Mill były już zatłoczone ludźmi. Mężowie leżeli w półletargu na ręcznikach plażowych, próbując nabrać sił dzięki słońcu przed popołudniowym tenisem i podróżą powrotną do Nowego Jorku w ekspresie Cannonball, jadącym przez całą Long Island. Ich żony wylegiwały się na leżakach z aluminiowymi stelażami i zaczytywały książkami Helen MacInes, Johna Cheevera i Taylora Caldwell, przerywając czasami lekturę, aby nalać do kubka wytrawne martini z chłodziarek.

Nastolatki leżeli w zwartych, symetrycznych rzędach. Chłopcy wiercili biodrami w piasku z podniecenia i od czasu do czasu wyciągali szyję, aby uchwycić przelotne spojrzenia roznegliżowanych dziewcząt, które leżały na plecach z kusząco rozłożonymi nogami.

To nie byli buntownicy hippisowskiej Ery Wodnika. Nie wypowiadali komunałów o pokoju albo zanieczyszczeniu powietrza, sprawiedliwości społecznej czy rewoltach. Wychowano ich w genetycznej pewności należnych im przywilejów. Ich niebieskie lub brązowe oczy tak samo jak gusty i przekonania były dziedzictwem poprzednich

pokoleń. Nie zaznali głodu ani nędzy. Ich zęby – dzięki odżywianiu albo ortodoncji – były proste, równe i białe. Ciała ich były smukłe, mięśnie mieli wyrzeźbione lekcjami boksu, odkąd mieli po dziewięć lat, jeździectwa od dwunastego roku życia i tenisa, od kiedy pamiętali. Nie wiedzieli, co to smród. Kiedy się spocili, to ciała dziewcząt pachniały delikatnie perfumami, a chłopców po prostu czystością.

Nie można powiedzieć, że byli głupi albo źli. Gdyby zbadać masowo ich współczynnik inteligencji, to ich wrodzone zdolności dawał im szczytowe miejsce w całej populacji. A oni kształcili się i kształcą w szkołach zapewniających każdy rodzaj wiedzy, w tym związanej z drażliwymi kwestiami mniejszości narodowych, rewolucyjnymi filozofiami, hipotezami rodzącej się ekologii, taktyką zdobywania władzy politycznej, narkotykami i seksem. Intelktualnie prezentowali bardzo wysoki poziom. Praktycznie wybrali jednak brak wiedzy. Byli ukształtowani w wierze (albo przynajmniej w poczuciu), że problemy świata ich nie dotyczyły. I mieli rację. Nic ich nie obchodziło – zamieszki rasowe w miejscach takich jak Trenton, stolica New Jersey czy Gray w Indianie; ani fakt, że rzeka Missouri była tak zanieczyszczona, iż czasami samoistnie się zapalała; ani korupcja policji w Nowym Jorku czy rosnąca liczba morderstw w San Francisco, nie mówiąc o rewelacjach, że hot dogi zawierają resztki owadów i heksachlorofen, powodujący uszkodzenia mózgu. Byli nawet odporni na kryzysy ekonomiczne, które rujnowały resztę Ameryki. Spadki na rynkach giełdowych zauważali dopiero wtedy, gdy ich ojcowie zaczęli lamentować nad rzeczywistością lub urojoną rozrzutnością.

To właśnie oni wracali do Amity każdego lata. Inni – zawzięci indywidualiści – maszerowali w buntowniczych protestach i łączyli się w grupy, aby spędzić letnie wakacje, pracując dla różnych organizacji społecznych o przedziwnych nazwach. Ponieważ przeważnie pogardzali Amity, a co najwyżej pojawiali się okazjonalnie podczas wrześnieowego święta pracy, nie odgrywali ważniejszej roli w życiu miasteczka.

Małe dzieci bawiły się w piasku na skraju wody, kopiąc w nim doły i obrzucając się błotem, nieświadome, zupełnie nie przejmując się przyszłością.

Sześcioletni chłopiec znudził się puszczaniem kaczek na wodzie. Poszedł w głąb plaży, gdzie jego matka leżała na wielkim ręczniku kąpielowym, i usiadł ociężale obok niej.

– Hej, mamó – powiedział, bazgrząc bezcelowo palcem na piasku.

Kobieta odwróciła się, przesłaniając oczy przed promieniami słońca.

- To ty?
 - Nudzę się.
 - Jak możesz się już nudzić? Nie ma jeszcze nawet lipca.
 - Nie obchodzi mnie to. Nudzę się. Nie wiem, w co się bawić.
 - Masz całą plażę do zabawy.
 - Wiem. Ale nie ma na niej co robić. O rany, ale się nudzę.
 - Dlaczego nie pójdziesz porzucać piłką?
 - Z kim? Nie ma tutaj nikogo.
 - Widzę wielu ludzi. Czy szukałeś Harrisów? A co z Tommym Conversem?
 - Nie ma ich tutaj. Nikogo nie ma.
 - Och, na miłość boską, Alex!
 - Mogę pójść popływać?
 - Nie, woda jest zbyt zimna.
 - A skąd wiesz?
 - Wiem i już. A poza tym nie możesz iść sam.
 - Pójdziesz ze mną?
 - Do wody? Z pewnością nie.
 - Nie. Chodzi mi o to, abyś tylko obserwowała.
 - Alex, mamusia pada ze zmęczenia, jestem zupełnie wyczerpana. Nie możesz znaleźć sobie jeszcze jakiegoś zajęcia?
 - A mogę popływać na materacu?
 - Dokąd?
 - Tam, tylko trochę dalej. Nie wpadnę do wody. Tylko położę się na materacu.
- Mama usiadła i założyła okulary przeciwsłoneczne. Rozejrzała się po plaży. Kilkadziesiąt metrów dalej stał po pas w wodzie mężczyzna z dzieckiem w ramionach. Kobieta spojrzała na niego i przez krótki moment pożałowała, że nie zostawiła dziecka pod opieką męża.
- Nim odwróciła głowę, chłopiec jakby odgadł, co czuła, i powiedział:
- Założę się, że tata by mi pozwolił.
 - Alex, chyba już wiesz, że to jest zły sposób, aby mnie namówić do zrobienia czegokolwiek. – Spojrzała w drugą stronę, na plażę.
- Poza kilkoma osobami w oddali nie było nikogo.
- No dobrze – powiedziała. – Idź. Ale nie odpływaj zbyt daleko. I nie wskakuj do wody z materaca.

– Okej – powiedział.

Wstał, chwycił materac i pociągnął go do wody. Podniósł go i trzymał przed sobą, wchodząc do morza. Kiedy woda sięgała mu do pasa, pochylił się do przodu. Fala chwyciła materac i poniosła go z chłopcem na wierzchu. Ułożył się na środku, aby łatwiej utrzymać równowagę. Wiosłował równomiernie rękami. Stopy aż do kostek zwisały poza materac. Przepłynął kilka metrów, potem skręcił i zaczął płynąć równoległe do plaży. Nie zauważył, że delikatny prąd odpływowy spychał go powoli coraz dalej w morze.

Piętnaście metrów od brzegu dno oceanu opadało stromo – nie tak pionowo jak ściana kanionu, ale z nachyleniem od dziesięciu do ponad czterdziestu pięciu stopni. Woda miała głębokość około pięciu metrów, gdy nachylenie zaczęło się zmieniać. Wkrótce miała już głębokość ośmiu, potem dwunastu, a następnie piętnastu metrów. Dno wyrównywało się na głębokości trzydziestu metrów i było płaskie przez prawie osiemset metrów, a potem wznosiło się milę od brzegu w postaci płytkiej, piaszczystej ławicy. Potem dno morza opadało szybko do sześćdziesięciu metrów, a dalej już zaczynała się głębia oceaniczna.

W głębokiej na dziesięć metrów wodzie powoli pływała wielka ryba. Machała ogonem jedynie na tyle, aby się poruszać. Nie widziała nic, gdyż woda była mętna z powodu wodorostów i zawiesiny glonów. Poruszała się równoległe do linii brzegowej. Teraz skręciła, przechylając się lekko, i płynęła tuż nad łagodnie wznoszącym się dnem. Dostrzegała coraz więcej światła, ale nadal nie rozróżniała konturów.

Chłopiec odpoczywał z nogami swobodnie zwisającymi w wodzie. Jego stopy zanurzały się i wynurzały w rytmie fal. Głowę odwrócił w stronę brzegu i dopiero wtedy zauważył, że wyniosło go poza strefę, którą mama uznała za bezpieczną. Widział, że leżała na ręczniku, a mężczyzna i dziecko skakali przez małe fale. Nie obawiał się, gdyż woda była spokojna i tak naprawdę nie odpłynął daleko od brzegu – zaledwie jakieś piętnaście metrów. Jednak chciał podpłynąć bliżej, bo inaczej mama mogła usiąść i kazać mu wyjść z wody. Zsunął się lekko do tyłu, aby wspomóc się nogami w pływaniu. Zaczął nimi przebierać i zbliżył się do brzegu. Pracował ramionami w wodzie niemal bezszelestnie, ale kopnięcia stopami wywoływały chaotyczny plusk, zawirowania w wodzie wraz z bąbelkami powietrza.

Ryba nie słyszała dźwięków, tylko raczej wyczuwała ostre i rwące vibracje wody, wywoływane kopnięciami stóp. To były słabe sygnały, ale realne, i ryba skierowała

się do ich źródła. Uniosła się, początkowo powoli, a potem zwiększyła prędkość, gdy sygnały stały się silniejsze.

Chłopiec przestał na chwilę się poruszać, aby odpocząć. Sygnały ustały, więc ryba zwolniła, przekręcając łeb z boku na bok, próbując je ponownie namierzyć. Chłopiec leżał zupełnie nieruchomo i ryba przepłynęła pod nim, niemal szorując o dno. Ponownie zawróciła.

Malec zaczął znowu wiosłować. Nogami przebierał jedynie co trzecie, czwarte uderzenie rękami. Odpychanie się stopami od wody stanowiło większy wysiłek niż stałe wiosłowanie rękami. Ale nawet te rzadkie kopnięcia pobudziły rybę. Tym razem skupiła się na ich od razu, gdyż była prawie dokładnie pod chłopcem. Zbliżała się do powierzchni niemal pionowo, bo zauważyła ruch nad sobą. Nie miała przekonania, że to coś, co wierzgało ponad nią, było pożywieniem, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ryba była stworzona do ataku; jeśli coś nadawało się do przełknięcia, to była to żywność, a jeśli nie, to wypluwała to później. Otworzyła paszczę i wraz z ostatnim wymachem sierpowatego ogona uderzyła.

Ostatnią myślą chłopca było to, że coś uderzyło go w brzuch. W jednej chwili stracił oddech. Nie miał czasu nawet krzyknąć, a gdyby miał, to nie wiedziałby, co zawołać, ponieważ nie potrafił dostrzec ryby. Jej łeb jak taran wyrzucił materac nad wodę. Szczęki zgrzytnęły o siebie, pochłaniając głowę, ramiona, barki, korpus i miednicę, a także większość nadmuchiwanego materaca. Ryba niemal połową ciała wyłoniła się z wody ze ślizgiem w przód, a potem na dół, by klapnąć brzuchem o powierzchnię morza, mieląc zębami na miazgę ciało, kości i gumę. Nogi chłopca, urwane na wysokości ud, opadły na dno, obracając się powoli w niemal nieruchomej wodzie.

Mężczyzna z dzieckiem zaczął krzyczeć na plaży:

– Hej! – ale nie był pewny, co właściwie widział.

Spoglądał na morze, a potem odwrócił głowę, kiedy jakiś odgłos przyciągnął jego uwagę. Odwrócił głowę ponownie w stronę morza, ale nic już nie dostrzegł poza kolistą rozchodzącymi się falami spowodowanymi uderzeniem brzucha ryby o powierzchnię wody.

– Widziałeś to?! – krzyczał. – Widziałeś to?!

– Co, tato? – Dziecko gapiło się na niego w podnieceniu.

Matka chłopca, wpół śpiąca na ręczniku, otworzyła oczy i spojrzała z ukosa na mężczyznę. Widziała, jak wskazywał na wodę, i słyszała, że coś mówił do dziecka, które pobiegło w głąb plaży i stanęło przy stercie ubrań. Mężczyzna zaczął biec do

niej, gdy już usiadła. Nie rozumiała, co do niej mówił, ale on cały czas wskazywał na wodę, więc przysłoniła oczy i spojrzała na morze. W pierwszej chwili fakt, że nic nie zauważyła, nie wydał się jej dziwny. A potem oprzytomniała i powiedziała:

– Alex!

Brody jadł obiad złożony z pieczonego kurczaka i purée ziemniaczanego z groszkiem.

– Gniecione ziemniaczki – powiedziała Ellen, podając mu talerz.

– To jakiś podstęp?

– Nie chcę, żebyś zmarniał. Poza tym wyglądasz, jakby przydał ci się solidny posiłek.

Zadzwoił telefon.

– Ja odbiorę – powiedziała Ellen, ale Brody i tak wstał z krzesła.

Tak się zazwyczaj działo. Mówiła: „Ja odbiorę”, ale to on był tym, który podnosił słuchawkę. Tak samo kiedy zapomniła czegoś z kuchni. Wtedy mówiła: „Zapomniałam o serwetkach. Przyniosę je”. Ale oboje wiedzieli, że to on wstanie i je przyniesie.

– Zostaw – powiedział. – To prawdopodobnie i tak do mnie.

Przypuszczał, że telefon był raczej do niej, ale słowa wypowiedział odruchowo.

– Tu Bixby, szefie – odezwał się posterunkowy.

– Co jest, Bixby?

– Lepiej, żebyś się tu zjawiał.

– A to dlaczego?

– No, jest sprawa, szefie... – Bixby wyraźnie nie chciał podawać szczegółów.

Brody słyszał, że tamten mówił coś jeszcze do kogoś innego, a potem ponownie zwrócił się do słuchawki telefonu.

– Mam obok siebie histeryzującą kobietę, szefie.

– A dlaczego histeryzuje?

– Z powodu dziecka. Coś się stało na plaży.

Brody poczuł ukłucie niepokoju w żołądku.

– Co się stało?

– Jest... – Bixby zawahał się, a potem dodał szybko: – ...czwartek.

– Słuchaj, gamoniu... – Brody przerwał, gdyż nagle pojawił się, o co mogło chodzić jego podwładnemu. – Zaraz tam będę.

Odwiesił słuchawkę telefonu.

Poczuł wypieki na twarzy, niemal jak atak gorączki. Strach, poczucie winy i wściekłość mieszały się w porywie szarpiącego wnętrza bólu. Poczuł się jednocześnie zdrajcą i zdradzonym, oszustem i oszukanym. Był przestępcą zmuszonym do zbrodni, zmuszoną do nierządu dziwką. Musiał wziąć winę na siebie, chociaż nie był sprawcą. Spoczywała na Larrym Vaughanie i jego współnikach, kimkolwiek oni byli. Chciał postąpić uczciwie, ale oni zmusili go do zmiany decyzji. Ale kim byli ci, przed którymi się ugiął? Jeśli nie potrafił postawić się Vaughanowi, to jakim był gliniarzem? Powinien był zamknąć plaże.

Przypuśćmy, że tak by zrobił. Ryba mogła odpłynąć wzdłuż plaży – powiedzmy do East Hampton – i tam kogoś zabić. Ale tak się nie stało. Plaże pozostały otwarte i niewinny dzieciak zginął z tego powodu. To było tak oczywiste. Przyczyna i skutek. Nagle znienawidził sam siebie. I tak samo nagle poczuł wielką litość.

– Co jest? – spytała Ellen.

– Właśnie zginęło dziecko.

– Jak?

– Ten przeklęty sukinsyn rekin.

– Gdybyś zamknął plaże... – Przerwała zakłopotana.

– Tak, wiem.

Harry Meadows już czekał na parkingu na tyłach posterunku policji, kiedy Brody przyjechał. Otworzył boczne drzwi od strony pasażera i usadowił swoje cielsko na fotelu.

– To koniec naszej gry – powiedział.

– Ciekawe, a kto jest na posterunku, Harry?

– Człowiek z „Timesa”, dwóch z „Newsday” i jeden z moich ludzi. I ta kobieta oraz gość, który twierdzi, że to widział.

– Jak „Times” się do tego dobrał?

– Po prostu pech. Ich człowiek był na plaży. Tak jak jeden z chłopaków z „Newsday”. Obydwaj przyjechali na weekend. Byli na miejscu w dwie minuty.

– Kiedy to się stało?

Meadows spojrział na zegarek.

– Piętnaście, dwadzieścia minut temu. Nie więcej.

– Czy wiedzą o sprawie Watkins?

– Nie wiem. Mój człowiek tak, ale wie na tyle dużo, aby nic nie mówić. A co do

innych, to zależy, z kim rozmawiali. Wątpię, aby byli na dobrym tropie. Mieli za mało czasu na drażnienie tematu.

– Ale wpadną na to wcześniej czy później.

– Wiem – przyznał Meadows. – A to stawia mnie w raczej kłopotliwej sytuacji.

– Ciebie? Nie rozśmieszaj mnie.

– Poważnie, Martin. Jeśli ktoś z „Timesa” dorwie się do tej historii i opíše ją, to ukaże się w jutrzejszym numerze gazety razem z wiadomością o dzisiejszym ataku, a wtedy „Leader” będzie wyglądać jak kłamczuch. Mam zamiar to wykorzystać, aby ratować własną opinię, nawet jeśli inni tego nie chcą.

– Wykorzystać, ale jak, Harry? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem. Jak powiedziałem, jestem w sytuacji prawie bez wyjścia.

– A powiesz przynajmniej, kto kazał ci ukłęcić łęb sprawie? Larry Vaughan?

– Niezupełnie.

– Niby ja?

– Nie, nie. Nie mam zamiaru pisać, że ktoś kazał to wyciszyć. Nie było żadnej zmowy. Mam zamiar porozmawiać z Carlem Santosem. Jeśli uda mi się go przekonać do odpowiedniej wersji, to oszczędzi nam wszystkim sporo zmartwień.

– A co z prawdą?

– A co ci po niej?

– To nie liczy się prawda, w jaki sposób się to stało? Napiszesz, że chciałem zamknąć plażę i ostrzec ludzi, ale radni się na to nie zgodzili? A ponieważ byłem zbyt tchórzliwy, aby walczyć, i nie chciałem ryzykować stanowiska, poddałem się? Powiesz, że wszyscy ważniacy w Amity uznali, że nie warto straszyć ludzi tylko dlatego, że gdzieś w pobliżu grasuje rekin lubiący zajądać dzieci?

– Daj spokój, Martin. To nie był twój błąd ani niczyja wina. Podjęliśmy decyzję, aby zagrać z losem, i przegraliśmy. To wszystko, i tyle.

– Niesamowite. Teraz muszę powiedzieć matce dziecka, jak jest nam okropnie przykro, że jej syn skończył jako frytki.

Brody wysiadł z samochodu i poszedł do tylnych drzwi posterunku. Meadows wolniej się wygramolił i szedł kilka kroków za nim.

Martin zatrzymał się.

– Wiesz, co chciałbym wiedzieć, Harry? Kto naprawdę podjął decyzję. Zgodziłeś się z nią. Ja się z nią zgodziłem. Nie sądzę, aby Larry Vaughan był rzeczywiście mózgiem, który podjął decyzję. Myślę, że on też tylko na nią przystał.

- Czemu tak twierdzisz?
 - Nie mam pewności. Czy wiesz coś o jego współnikach?
 - Nie ma rzeczywistych współników, prawda?
 - Zaczynam w to wątpić. W każdym razie, pieprzyć to... Przynajmniej teraz.
- Brody zrobił jeszcze krok, a kiedy Meadows nadal za nim podążał, powiedział:
- Lepiej idź dookoła, od frontu, Harry... ze względów wizerunkowych.

Wszedł do biura bocznymi drzwiami. Matka chłopca siedziała przed biurkiem, ściskając w dłoni chusteczkę. Miała na sobie krótki płaszcz kąpielowy, narzucony na kostium plażowy. Stopy miała gołe. Brody spojrzał na nią nerwowo, czując jeszcze raz przypływ poczucia winy. Nie potrafił powiedzieć, czy płakała, gdyż jej oczy zasłaniały duże, owalne okulary przeciwsłoneczne.

Mężczyzna stał przy ścianie z tyłu gabinetu. Martin uznał, że to domniemany świadek wypadku. Wpatrywał się bezmyślnie w kolekcję pamiątkowych pochwał, jakie otrzymał Brody od lokalnej społeczności, i zdjęcia z różnymi dygnitarzami. Wolał z pewnością nudę tego zajęcia niż ryzyko rozmowy z kobietą.

Martin nigdy nie był mistrzem w pocieszaniu ludzi, więc po prostu przedstawił się i zaczął zadawać pytania. Kobieta powiedziała, że nic nie widziała; w jednej chwili chłopiec tam był, a w następnej już go nie było. „Wszystko, co widziałam, to kawałek materaca” – mówiła słabym, ale stabilnym głosem. Mężczyzna opisał to, co widział, albo że wydawało mu się, iż widział.

- Czyli nikt tak naprawdę nie widział rekina – powiedział Brody, szukając jakiejś nadziei w zakamarkach umysłu.

- Nie – przyznał mężczyzna. – Przypuszczam, że nie. Ale co innego to mogło być?
- Mogło być sporo innych przyczyn. – Brody okłamywał zarówno sam siebie, jak i ich, sprawdzając niejako, czy potrafiłby uwierzyć we własne kłamstwa, zaciekawiony, czy mogłyby stać się wiarygodne. – Materac mógł pęknąć, a chłopiec utonąć.

- Alex jest dobrym pływakiem – zaprotestowała kobieta. – Albo... raczej był...

- A co w takim razie z głośnym pluskiem? – spytał mężczyzna.

- Chłopiec mógł wymachiwać rękami i nogami.

- Nawet nie krzyknął. Zniknął bez słowa.

Brody zdał sobie sprawę, że cała jego gimnastyka umysłowa była bezowocna.

- Okej – powiedział. – Możliwe, że wszystko wkrótce się wyjaśni.

- Co ma pan na myśli? – spytał mężczyzna.

– Tak czy inaczej ludzie, którzy utonęli, zazwyczaj są wyrzucani na brzeg. Jeśli to był rekin, to nie będzie pomyłki.

Kobieta od razu się zgarbiła i Brody przeklinał siebie za brak wyczucia w takiej sytuacji.

– Przepraszam – powiedział.

Ale kobieta tylko pokręciła z niedowierzaniem głową i zaczęła płakać.

Martin poprosił kobietę i mężczyznę, aby poczekali w biurze, i wyszedł przed budynek posterunku. Przy drzwiach na zewnątrz stał Meadows i opierał się o ścianę. Młody człowiek – przypuszczalnie reporter z „Timesa” – zadawał mu pytania, energicznie przy tym gestykulując. Był wysoki i szczupły. Nosił sandały, strój kąpielowy i koszulkę z krótkim rękawem oraz emblematem aligatora przyszytym na lewej piersi, co spowodowało, że Brody instynktownie, niemal od razu, poczuł do niego niechęć. W młodszych czasach sądził, że takie koszulki były oznaką bogactwa i pozycji. Nosili je wszyscy letnicy. Martin wiercił mamie dziurę w brzuchu, dopóki mu takiej nie kupiła – „koszulki za dwa dolary z jaszczurką za sześć dolarów” – jak powiedziała – a kiedy nagle zorientował się, że w stadzie wczasowiczów to nic nie znaczyło, poczuł się upokorzony. Zerwał aligatora z kieszonki koszulki i używał jej do czyszczenia kosiarki do trawy, która zapewniała mu dochody w lecie. Niedawno Ellen nalegała na zakup kilku koszulek wykonanych przez tego samego producenta, na co ledwie mogli sobie pozwolić, przepłacając za emblemat aligatora – co miało jej pomóc w powrocie do starego towarzystwa. Ku swemu przerażeniu Brody pewnego wieczoru zorientował się, że wypominał Ellen zakup „sukienki za dziesięć dolarów z jaszczurką za dwadzieścia dolarów”.

Na ławce siedzieli dwaj mężczyźni – reporterzy z „Newsday”. Jeden miał na sobie kąpielówki, a drugi marynarkę klubową i luźne spodnie. Reporter Meadowsa – Brody znał go jako Nata czy jakoś podobnie – opierał się na biurku i gawędził z Bixbym. Przerwali rozmowę, gdy zjawił się Martin.

– Co mogę dla panów zrobić? – spytał Brody.

Młody człowiek obok Meadowsa zrobił krok naprzód i powiedział:

– Jestem Bill Whitman z „New York Timesa”.

– Niebywałe! – Co powinienem zrobić, pomyślał Brody, paść z wrażenia?

– Byłem na plaży.

– I co pan widział?

Wtrącił się reporter z „Newsday”:

– Nic, też tam byłem. Nikt niczego nie widział. Może tylko poza gościem w pańskim biurze.

– Wiem – powiedział Brody – ale on nie jest pewien tego, co widział.

Człowiek z „Timesa” spytał:

– Czy jest pan skłonny uznać to za atak rekina?

– Nie jestem przygotowany do stwierdzenia czegokolwiek, ale sugeruję, abyście nie wyciągali wniosków, dopóki nie dowiemy się znacznie więcej, niż wiemy teraz.

Człowiek z „Timesa” uśmiechnął się.

– Proszę dać spokój, komendancie, a czego się pan spodziewa? Mamy to nazwać tajemniczym zniknięciem? Chłopiec zagubiony w morzu?

Brody z trudem powstrzymywał się od złośliwej odpowiedzi.

– Słuchaj, panie Whitman, czy tak? No, Whitman – powiedział. – Nie mamy żadnego świadka, który potwierdziłby coś poza pluskiem. Facet w moim biurze mówi, że widział dużego i srebrnego, i stwierdził, że mógł to być rekin. Mówi, że nigdy w swoim życiu nie widział rekina, więc nie nazwałbym tego oświadczeniem znawcy. Nie mamy ciała, żadnego realnego dowodu, że coś dziwnego stało się z chłopcem. Wiemy tylko, że zaginął. Można przyjąć, że utonął. Albo uznać, że doznał jakiegoś rodzaju ataku i też utonął. I nie można wykluczyć, że został zaatakowany przez jakiś rodzaj ryby albo zwierzęcia, a nawet człowieka. Nie ma rzeczy niemożliwych, tylko mało prawdopodobne, a dopóki nie uzyskamy...

Chrzęst opon na żwirze parkingu miejskiego przerwał wywód Brody’ego. Drzwi samochodu zamknęły się z trzaskiem i Lenny Hendricks wpadł na posterunek, nie mając na sobie nic poza kąpielówkami. Jego ciało było w szaro-białych cętkach, jak kubek styropianowy po kawie. Wyhamował dopiero na środku biura.

– Szefie!

Martin wstrząsnął się na niezwykle widok Hendricksa w kąpielówkach – jego przyszczatych ud i ciasnych kąpielówek uwydatniających genitalia.

– Byłeś popływać, Leonard?

– Widziałem kolejny atak – wyrzucił z siebie Leo.

A facet z „Timesa” zapytał szybko:

– A kiedy był pierwszy atak?

Nim Hendricks zdołał odpowiedzieć, Brody wtrącił się:

– Już o tym dyskutowaliśmy, Leonard. Nie chcę, abyś ty albo ktokolwiek inny wyskoczył z jakimś wnioskiem, dopóki nie dowiemy się, o czym mówisz. Na miłość

boską, chłopiec mógł utonąć.

– Chłopiec? – spytał Hendricks. – Jaki chłopiec? To był starszy mężczyzna. Pięć minut temu. Był zaraz za strefą przyboju, gdy nagle wrzasnął „morderca”, a jego głowa zniknęła pod wodą, a potem znowu się pojawiła i krzyczał coś dalej, ale znowu poszedł na dno. Wszędzie dookoła woda zmieszana z krwią tryskała jak z fontanny. Rekin powracał i atakował go raz za razem. To była największa pieprzona ryba, jaką widziałem w całym swoim życiu, wielka jak pieprzony samochód kombi. Wszedłem do wody po pas i próbowałem podejść do gościa, ale nadal na niego nacierała.

Hendricks przerwał i wpatrywał się w podłogę. Powietrze z jego płuc wydobywało się jak seria krótkich wystrzałów.

– A potem przestała. Może odpłynęła. Nie wiem. Brnąłem tam, gdzie unosił się ten gość. Twarz miał zanurzoną w wodzie. Ścisnąłem go za jedno ramię i pociągnąłem.

– I co dalej? – spytał Brody.

– Wypadło mi z ręki. Rekin musiał je odgryźć poza jednym kawałkiem skóry.

Hendricks spojrział w górę, a przerażone oczy pełne były łez.

– Chcesz wymiotować? – spytał Brody.

– Nie sędzę. Nie wiem.

– Wezwalesz karetkę pogotowia?

Hendricks pokręcił głową.

– Karetkę? – wtrącił się reporter „Timesa”. – Czy to nie trochę musztarda po obiedzie?

– Zamknij gębę, mądralo – powiedział Brody. – Bixby, dzwoń do szpitala. Leonard, czy nadajesz się do jakiejś pracy?

Hendricks pokiwał głową.

– Tam są ubrania i znajdź jakieś tablice z zakazem wejścia na plażę.

– A mamy takie?

– Nie wiem. Może są z tyłu w magazynie, tam gdzie znaki „strefa pod ochroną policji”. Jeśli nie, musimy je zrobić i czekać, aż dostaniemy porządne. Nieważne. I tak zamykamy tę cholerną plażę.

Brody zjawił się w biurze w poniedziałek trochę po siódmej rano.

– Masz coś? – spytał Hendricksa.

– Leży na twoim biurku.

– Dobrze czy źle? Zresztą nieważne, sam sprawdzę.

– Nie musisz długo szukać.

Lokalne wydanie „New York Timesa” leżało na środku biurka Martina. Gdzieś w trzech czwartych prawej kolumny na pierwszej stronie zobaczył nagłówek: Rekin zabił dwoje ludzi na Long Island.

– Ale afera – westchnął tylko i czytał dalej.

William F. Whitman

Specjalnie dla „New York Timesa”

Amity na Long Island, 20 czerwca – sześciolatek i 65-letni starszy mężczyzna zostali dzisiaj zabici przez rekina, który w ciągu godziny dwa razy zaatakował przy plażach tego kurortu.

Chociaż ciało chłopca, Alexa Kintnera, nie zostało jeszcze odnalezione, to oficjalnie nie ma wątpliwości, iż został zabity przez rekina. Świadek, Thomas Daguerre z Nowego Jorku, powiedział, że widział duży obiekt srebrnego koloru, który wyskoczył z wody i chwycił chłopca z materacem, po czym zniknął w głębinie z głośnym pluskiem.

Koroner z Amity, Carl Santos, oświadczył, że znalazł ślady krwi na odnalezionym później kawałku gumy i nie miał wątpliwości, że chłopiec zginął gwałtowną śmiercią.

Przynajmniej piętnaście osób było świadkami ataku na Morrisa Cartera, lat 65, który zdarzył się około drugiej po południu, pięćset metrów dalej od miejsca, gdzie został zaatakowany młody Kintner.

Rzeczywiście pan Carter pływał poza strefą przyboju, kiedy od tyłu rzucił się na niego rekin. Wzywał pomocy, ale nikt nie mógł go uratować.

„Wszedłem do wody po pas i próbowałem go wydostać – powiedział policjant z Amity, Leonard Hendricks, który był wtedy na plaży – ale rekin bez przerwy go atakował”.

Pan Carter, hurtownik jubilerski z biurami przy 1224 Avenue of the Americas (6. Aleja), po przewiezieniu do szpitala w Southampton został uznany za zmarłego.

Te wypadki są pierwszymi udokumentowanymi przypadkami napaści rekina na kąpiących się na Wschodnim Wybrzeżu od ponad dwóch dekad.

Zgodnie z opinią doktora Davida Dietera, ichtiologa z nowojorskiego akwanarium na Coney Island, niemal z pewnością można uznać, że obydwie ataki były dziełem tego samego osobnika.

„O tej porze roku – stwierdził doktor Dieter – jest bardzo mało rekinów. To rzadkość w tym okresie, aby rekiny podpływały tak blisko brzegu. Dlatego też szansa, że dwa rekiny mogły być przy tej samej plaży w tym samym czasie – i każdy by kogoś zaatakował – jest znikomo mała”.

*Kiedy doktor Dieter otrzymał informację, że jeden ze świadków opisał rekina, który zaatakował pana Cartera, jako „wielki jak samochód kombi”, uznał, że był to żarłacz biały (*Carcharodon Carcharias*), gatunek znany na świecie ze swej żarłoczności i agresji.*

Powiedział, że w 1916 roku żarłacz biały zabił jednego dnia cztery kąpiące się osoby w New Jersey – jedyny odnotowany do tej pory w tym wieku przypadek wielokrotnego, śmiertelnego ataku rekina w Stanach Zjednoczonych. Doktor Dieter uznał atak za „pechowy”, absolutną rzadkość. „Rekin prawdopodobnie tylko przepływał przez tę okolicę. Zbiegiem okoliczności był ładny dzień, ludzie pływali i zdarzyło się, że drapieżnik się pojawił. Czysty przypadek”.

Amity jest letniskową miejscowością na południowym brzegu Long Island z populacją 1 000 mieszkańców, którą w lecie odwiedza 10 000 turystów.

Brody skończył czytać artykuł i odłożył gazetę na biurko. Przypadek, ten doktor powiedział, czysty przypadek. Co by powiedział, gdyby wiedział o pierwszym ataku? Nadal czysty przypadek? Albo czy było to zaniedbanie, obrzydliwe i niewybaczalne? Teraz nie żyła trójka ludzi, z których dwoje mogło żyć dalej, gdyby tylko Brody...

- Widziałeś „Timesa”? – spytał Harry, stając w drzwiach.
- Tak, widziałem. Nie odkryli sprawy Watkins.
- Wiem. Coś dziwnego, szczególnie po tym, jak Len zaczął mieć ozorem.
- Ale ty to wykorzystałeś.
- Tak, musiałem. Popatrz tutaj.

Meadows podał Martinowi egzemplarz „Leadersa”. Duży nagłówek biegł przez sześć kolumn pierwszej strony: *Dwoje zabitych przez ogromnego rekina przy plaży w Amity.*

Poniżej, mniejszą czcionką, wydrukowany był podtytuł:

Liczba ofiar rekina zabójcy wzrasta do trzech.

- Ty wiesz, jak wzbudzić sensację, Harry.
- Czytaj.

Dwaj letnicy w Amity zostali wczoraj brutalnie zamordowani przez rekina ludojada,

przebywającego w chłodnej wodzie przy plaży koło Scotch Road.

Alexander Kintner (6 lat), który mieszkał z matką w domu przy Goose Neck Lane, należącym do pana Richarda Packera i jego żony, miał zginąć pierwszy – zaatakowany od dołu, gdy leżał na gumowym materacu. Jego ciała nie odnaleziono.

Mniej niż pół godziny później Morris Carter (65 lat), spędzający weekend w zajezdzie Abelard Arms, został napadnięty z tyłu, gdy pływał w pobliżu plaży publicznej.

Gigantyczna ryba uderzała raz za razem, rozszarpując go na kawałki, gdy wzywał pomocy. Posterunkowy Len Hendricks, który przez czysty przypadek pływał tam po raz pierwszy od pięciu lat, próbował mężnie pomóc walczącej o życie ofierze, ale ryba nie miała litości. Pan Carter zmarł, nim udało się go wyciągnąć z wody na brzeg.

Były to druga i trzecia ofiara rekina w okolicy Amity w ciągu ostatnich pięciu dni.

W środową noc panna Christine Watkins, gość państwa Foote'ów z Old Mill Road, poszła popływać i zaginęła.

W czwartek rano szef miejscowej policji Martin Brody i posterunkowy Hendricks odnaleźli jej ciało. Zgodnie z oświadczeniem koronera, Carla Santosa, przyczyną śmierci był „ponad wszelką wątpliwość atak rekina”.

Pytany, dlaczego przyczyna śmierci nie została upubliczniona, pan Santos odmówił odpowiedzi.

Brody spojrzął znad gazety.

– Santos naprawdę odmówił komentarza?

– Nie. Powiedział, że nikt poza nami nie pytał o przyczynę śmierci, więc nie czuł się zobowiązany rozgłaszać tego dookoła. Rozumiesz, że nie mogłem wydrukować takiej odpowiedzi. Wtedy przyczepiliby się do ciebie i do mnie. Myślałem, że uda mi się go namówić, aby powiedział coś w stylu: „Jej rodzina prosiła, aby przyczyna śmierci pozostała kwestią prywatną, a ponieważ nie było w tym zbrodni, to się zgodziłem”, ale on nie chciał. Nie mogłem mieć do niego o to pretensji.

– Co więc zrobiłeś?

– Próbowałem złapać Larry'ego Vaughana, ale wyjechał na weekend. Pomyślałem, że byłby najlepszym rzecznikiem w tej sprawie.

– A kiedy nie mogłeś do niego dotrzeć, to co zostało?

– Czytaj.

Łatwo zrozumieć, dlaczego policja w Amity i miejscowi urzędnicy zdecydowali, aby nie ujawniać tej informacji w trosce o interes publiczny. „Ludzie mają tendencję do panicznych reakcji, kiedy słyszą o ataku rekina”, powiedział jeden z radnych miejskich. „Nie chcemy wszczynać paniki. A mamy opinię fachowca, że szanse na kolejny atak są astronomicznie małe”.

- Kto był tym gadatliwym radnym? – spytał Brody.
- Wszyscy i nikt z nich – przyznał Meadows. – W zasadzie wszyscy to powiedzieli, ale żaden z nich nie chciał tego autoryzować.
- A co z tym, że plaże nie zostały zamknięte? Zająłeś się tym?
- Ty to zrobiłeś.
- Ja?

W odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie kazał zamknąć plaż, dopóki grasujący rekin stanowił zagrożenie, szef miejscowej policji Martin Brody stwierdził: „Ocean Atlantycki jest ogromny. Ryby pływają w nim z jednego miejsca do drugiego. Rzadko pozostają w tym samym rejonie, szczególnie tutaj, gdzie trudno dla nich o źródła pożywienia. Co powinniśmy zrobić? Zamknąć plaże w Amity? Ludzie pojedą do East Hampton i tam będą pływać. A szanse natknięcia się na rekina w Amity czy East Hampton są w zasadzie takie same”.

Po wczorajszych atakach jednak policja zdecydowała się zamknąć plaże aż do kolejnych komunikatów.

– Jezu Miłosierny, Harry – powiedział Brody – ty rzeczywiście zważyłeś to na mnie. Wpakowałeś mnie w obronę przegranej sprawy, a teraz muszę robić to, co powinniśmy zrobić na początku. To naprawdę gówniana sztuczka. Nawarzyliście piwa, a ja muszę je teraz pić.

– To nie była sztuczka. Musiałem powołać się na kogoś z władz, a Vaughana nie było, więc zostałeś mi ty. Musisz przyznać, że zgodziłeś się z tą decyzją; nieważne, że wbrew sobie. Nie widzę żadnego sensu w nagłaśnianiu brudów z prywatnej rozmowy.

– Tak przypuszczam. W każdym razie, stało się. Czy jest jeszcze coś, co powinienem z tego przeczytać?

– Nie, tylko cytowałem Matta Hoopera, tego faceta z Woods Hole. Stwierdził, że byłoby dziwne, gdybyśmy kiedyś jeszcze mieli kolejny atak. Ale był trochę mniej

pewny siebie niż ostatnim razem.

– Czy on myśli, że narozrabiała tylko jedna ryba?

– Ręki sobie za to nie da uciąć, ale raczej się z tym zgadza. Myśli, że to był żarłacz biały.

– Ja też tak sądzę. To znaczy, nie znam białych, zielonych albo niebieskich, ale uważam, że to był jeden rekin.

– Dlaczego?

– Prawdę mówiąc, sam nie jestem pewny. Ale wczoraj po południu dzwoniłem do Straży Wybrzeża w Montauk i pytałem, czy widzieli ostatnio dużo rekinów w pobliskich wodach. A oni odpowiedzieli, że żadnego. Żadnego od wiosny. Jest nadal wczesna pora roku, więc nie jest to zbyt dziwne. Powiedzieli, że wyślą łódź patrolową i zadzwonią, jeśli coś zauważą. Wreszcie ja do nich ponownie zadzwoniłem. Powiedzieli, że krążyli w tym rejonie przez dwie godziny i nie widzieli rekinów. Dlatego są pewni, że nie ma ich tu zbyt dużo. Powiedzieli też, że kiedy one się pojawiają, to są to przeważnie średniej wielkości rekiny błękitne – mniej więcej od półtora do trzech metrów – oraz rekiny pisakowe, które w zasadzie nie nękają ludzi. Z tego, co mówił Leonard, jestem niemal pewny, że to nie był średniej wielkości rekin błękitny.

– Hooper powiedział, że jest jedna rzecz, którą możemy zrobić – przyznał Meadows.

– Teraz, kiedy masz plaże zamknięte, możemy rzucić przynętę. Wiesz, rozrzucić w wodzie rybie wnętrzości i podobne smakołyki. Jeśli gdzieś jest rekin, jak powiedział, powinno go to zwabić.

– To cudownie. Jeszcze tylko tego nam brakowało. A co, jeśli się pojawi? Co wtedy zrobimy?

– Schwytny go.

– Czym? Moją starą wędką?

– Nie, harpunem.

– Harpunem, Harry? Ja nawet nie mam zwykłej łódki policyjnej, nie mówiąc o takiej z harpunem.

– Ale dookoła są rybacy. Oni mają łodzie.

– Tak, jest ich mnóstwo i chcą jeszcze więcej za dzień pracy. Nawet sto pięćdziesiąt dolarów.

– To prawda, ale nadal wydaje mi się... – Zamieszanie i hałas na korytarzu spowodowały, że Meadows przerwał w połowie zdania.

On i Brody usłyszeli, jak Bixby mówi:

– Powiedziałem już pani, że ma odprawę.

W kobiecym głosie wyczuwało się furię:

– Nie pieprz bzdur! Nie obchodzi mnie, co robi. Wchodzę tam!

Tupot stóp – najpierw jednej pary, a potem dwóch. Drzwi do biura Brody’ego otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich matka Alexandra Kintnera, ściskając gazetę w ręce, z twarzą zalaną łzami.

Za nią zjawił się Bixby i powiedział:

– Przykro mi, szefie. Próbowałem ją zatrzymać.

– W porządku, Bixby. – Brody starał się zachować spokój. – Proszę wejść, pani Kintner.

Meadows wstał i wskazał jej własne krzesło, stojące najbliżej biurka Martina. Nie zwróciła na to uwagi i podeszła do Brody’ego, który stał po drugiej stronie.

– Co mogę zrobić...?

Kobieta uderzyła go na odlew w twarz gazetą. Poczł raczej zaskoczenie niż ból. Gazeta upadła na podłogę.

– Co ty na to? – wrzeszczała kobieta. – Co powiesz na to?

– Na co? – zapytał Brody.

– Na to, co tutaj wysmarowali. Wiedziałeś wcześniej, że pływanie może być niebezpieczne. Że rekin już kogoś zabił. Trzymałeś to w sekrecie!

Martin nie wiedział, co powiedzieć. Oczywiście była to prawda, przynajmniej formalnie rzecz biorąc. Nie potrafił temu zaprzeczyć. A przecież nie mógł przyznać, że to nie była cała prawda.

– W gruncie rzeczy – powiedział – ma pani rację, ale proszę spojrzeć na to inaczej, pani Kintner...

Pragnął, aby się opanowała, nim jej wszystko wyjaśni.

– Zabiłeś Alexa! – wydierała się piskliwym głosem, a Martin był pewny, że słycać ją było na parkingu, na ulicy, w centrum miasta, na plażach i w ogóle w całym Amity. Z pewnością usłyszeli ją jego żona i synowie.

Jak ją powstrzymać? – zastanawiał się w duchu – zanim powie coś jeszcze? Ale potrafił tylko powiedzieć:

– Cii...

– Zrobiłeś to. Zabiłeś go!

Zaciskała pięści bezsilnie, wysunęła głowę do przodu, jakby chciała wcisnąć te

słowa w Brody'ego.

– Nie wywiniesz się z tego!

– Proszę, pani Kintner – powiedział Brody. – Niech się pani uspokoi. Tylko na chwilę. Niech mi pani pozwoli coś wyjaśnić.

Sięgnął ręką, aby dotknąć jej ramienia i pomóc usiąść na krześle, ale ona tylko się wzdrygnęła z odrazą.

– Trzymaj z dala ode mnie te brudne łapska! – darła się. – Wiedziałeś! Wiedziałeś cały czas, ale nie powiedziałeś! A teraz sześćoletni chłopiec, śliczny sześćoletni chłopiec, mój chłopiec...

Łzy strumieniami tryskały z jej oczu, gdy drżała z wściekłości, obejmując się ramionami, jakby była naga, i spojrzała w oczy Brody'ego.

– Dlaczego?

– To jest... – szukał odpowiednich słów. – To długa opowieść.

Czuł, że traci grunt pod nogami, sparaliżowany, jakby stanął przed plutonem egzekucyjnym. Nie widział, czy teraz potrafi cokolwiek wyjaśnić. Nie był nawet pewny, czy był w stanie mówić.

– Założę się, że długa. – Głos kobiety brzmiał jak wycie upiornej wyroczni. – Jesteś złym, nikczemnym człowiekiem. Ty potworze...

– Przestań! – krzyk Brody'ego był jednocześnie błaganem i poleceniem.

To ją powstrzymało.

– Teraz niech pani posłucha, pani Kintner, źle to pani odbiera. To nie tak wyglądało! Proszę spytać pana Meadowsa.

Harry, sparaliżowany całym wydarzeniem, w osłupieniu tylko skinął głową.

– No jasne, że tak powie. Dlaczegoż by nie? Jest twoim kumplem, prawda? Prawdopodobnie powiedział ci, że dobrze robisz. – Jej wściekłość znowu narastała, wypełniała ją, ożywiana przez kolejny wybuch rozpaczy. – Prawdopodobnie razem to wymyśliliście. Tak jest łatwiej, prawda? Masz z tego pieniądze?

– Co takiego?

– Czy zarabiasz pieniądze na krwi mojego syna? Czy ktoś ci zapłacił, abyś nie mówił prawdy?

Brody był przerażony.

– Nie! Chryste, oczywiście, że nie!

– To dlaczego? Powiedz mi. Powiedz mi dlaczego! Zapłacę ci. Tylko powiedz mi dlaczego!

– Ponieważ nie wierzyłem, że coś takiego może znowu się wydarzyć. – Brody był zaskoczony własną otwartością. Tym razem powiedział prawdę.

Kobieta na chwilę ucichła, pozwalając przeniknąć tym słowom do otumanionego umysłu. Wydawało się, że powtarza w głowie jego słowa, powoli pojmując ich sens.

– Och – powiedziała, a zaraz potem dodała głośniejszym głosem: – Jezu!

I nagle, jakby ktoś wyłączył w środku niej kontakt, odcinając prąd, przestała panować nad sobą. Osunęła się na krzesło obok Meadowsa i zaczęła spazmatycznie łkać.

Meadows próbował ją uspokoić, ale nic do niej nie docierało. Nie słyszała Brody'ego, kiedy polecił Bixby'emu, aby wezwał lekarza. W zasadzie była nieświadoma, gdy lekarz wszedł do biura i wysłuchał opisu wydarzeń Brody'ego. Próbował do niej mówić, podał jej librium i zaprowadził ją przy pomocy jednego z ludzi Martina do swojego samochodu, aby przewieźć ją do szpitala.

Kiedy to się skończyło, Brody spojrzął na zegarek i powiedział:

– Jeszcze nawet nie ma dziewiątej. Chyba nigdy nie miałem ochoty napić się tak wcześnie.

– Jeśli mówisz poważnie – powiedział Meadows – to mam trochę bourbona w biurze.

– Nie. Jeśli tak wyglądał początek dnia, to boję się myśleć o wieczorze. Lepiej nie zamulać sobie głowy.

– Wiem, że to trudne, ale staraj się zapomnieć i nie przejmować tym, co mówiła ta kobieta. Była w szoku, i tyle.

– Wiem, Harry. Każdy lekarz potwierdziłby, że nie wiedziała, co mówi. Problem w tym, że już przemyślałem wiele ze spraw, o których mówiła. I w zasadzie miała rację.

– Daj spokój, Martin, przecież wiesz, że nie możesz się obwiniać.

– Wiem. Mógłbym winić Larry'ego Vaughana. Albo nawet ciebie. Ale nie zaprzeczysz, że dwóm wczorajszym śmierciom mogłem zapobiec. Mogłem, ale tego nie zrobiłem. Koniec i kropka.

Zadzwoił telefon. Ktoś odebrał go w pokoju operacyjnym, a przez wewnętrzny komunikator powiedział:

– To pan Vaughan.

Brody nacisnął migoczący przycisk, podniósł słuchawkę i powiedział:

– Cześć, Larry. Miałeś przyjemny weekend?

– Aż do jedenastej wczorajszej nocy – powiedział Vaughan – kiedy włączyłem radio w samochodzie, jadąc do domu. Miałem pokusę, aby zadzwonić do ciebie poprzedniej nocy, ale uznałem, że miałeś już dość ciężki dzień, więc dałem sobie z tym spokój.

– To była mądra decyzja.

– Nie wracajmy ciągle do tego, Martin. Dość kiepsko się czuję.

Brody pragnął powiedzieć: „Naprawdę, Larry?”. Chciał rozdrapać świeżą ranę, aby ulżyć swemu cierpieniu i przerzucić je na kogoś jeszcze. Ale wiedział, że nie byłoby to w porządku, więc tylko powiedział:

– Na pewno.

– Rano już dwóch ludzi odwołało rezerwacje na ten sezon. Wysokie ceny najmu, dobrzy klienci. Już podpisali umowy, więc zagroziłem, że mogę podać ich do sądu. Powiedzieli, że się nie boją i poszukają kwater gdzieś indziej. Obawiam się kolejnych takich rozmów. Nadal mam dwadzieścia domów, które mogą stać puste w sierpniu.

– Żałuję, Larry, ale mogę ci jedynie powiedzieć, że chyba będzie gorzej.

– Co masz na myśli?

– Zamykamy plaże.

– Jak długo to potrwa?

– Nie wiem. Tak długo, jak będzie trzeba. Kilka dni. Może dłużej.

– Wiesz, że w następnym tygodniu zaczyna się weekend Czwartego lipca, Dzień Niepodległości.

– Oczywiście, że wiem.

– Już za późno, aby liczyć na zyskowne lato, ale może dałoby się uratować cokolwiek, może przynajmniej sierpień, jeśli uda nam się czwarty lipca.

Brody nie wyczuł jego intencji z tonu wypowiedzi.

– Chcesz się ze mną spierać, Larry?

– Nie. Tylko głośno myślałem. Albo głośno się modliłem. W każdym razie, do kiedy planujesz trzymać plaże zamknięte? Bez końca? Skąd będziesz wiedział, że zagrożenie minęło?

– Aż tak daleko nie wybiegałem myślami w przyszłość. Nawet nie wiem, dlaczego to zwierzę jest tutaj. Pozwól mi o coś zapytać, Larry. Tak z ciekawości.

– O co?

– Kim są twoi wspólnicy?

Minęła długa chwila, nim Vaughan odpowiedział:

– A dlaczego chcesz to wiedzieć? Co to ma wspólnego z całą sprawą?

- Jak powiedziałem, pytam z ciekawości.
- Pilnuj raczej swojej pracy, Martin. Pozwól mi martwić się o mój biznes.
- Pewnie, Larry. Bez obrazy.
- Więc co masz zamiar zrobić? Nie możemy tak po prostu siedzieć beczynnie i mieć nadzieję, że to coś odpłynie. Moglibyśmy zagłodzić się na śmierć, tak czekając.
- Wiem. Meadows i ja już rozmawialiśmy o różnych możliwościach. Jakiś ichtiolog, przyjaciel Harry’ego, mówił, że moglibyśmy spróbować go złapać. Co sądzisz o wysupłaniu kilku setek dolarów, aby wynająć na dzień czy dwa łódź Bena Gardnera? Nie wiem nawet, czy on kiedykolwiek schwytał rekina, ale może warto byłoby spróbować.
- Warto podjąć każde ryzyko, aby uwolnić się od tego potwora i wziąć znowu los w swoje ręce. Do roboty! Powiedz mu, że wykombinuję pieniądze.
- Brody odwiesił słuchawkę telefonu i powiedział do Meadowsa:
 - Nie wiem, dlaczego zaczęło mnie to interesować, ale dałbym wiele, aby dowiedzieć się czegoś więcej o sprawach biznesowych pana Vaughana.
 - Dlaczego?
 - On jest bardzo bogatym człowiekiem. Nieważne, jak długo ta sprawa z rekinem będzie się ciągnąć, on na tym źle nie wyjdzie. Oczywiście, straci trochę forsy, ale podchodzi do tego wszystkiego, jakby to była sprawa życia i śmierci. Nie martwi się o miasto, tylko ratuje sam siebie.
 - Może jest po prostu sumiennym facetem.
 - To nie jego sumienie przemawiało przez telefon. Wierz mi, Harry. Ja wiem, co to jest sumienie.

Dziesięć mil od wschodniego wierzchołka Long Island dryfował leniwie kuter rybacki. Dwie stalowe liny zwisały za rufą w oleistej plamie na wodzie. Kapitan łodzi, wysoki, szczupły mężczyzna, siedział na mostku nawigacyjnym i wpatrywał się w powierzchnię morza. Poniżej w kokpicie dwaj ludzie, którzy wynajęli łódź, siedzieli i czytali. Jeden książkę, a drugi „New York Timesa”.

- Hej, Quint – odezwał się ten z gazetą – czy widziałeś artykuł o rekinie, który zabił tamtych ludzi?
- Widziałem – odparł kapitan.
- Myślisz, że możemy na niego wpaść?
- Nie.

- A skąd wiesz?
- Wiem.
- Przypuśćmy, że go poszukamy.
- Nie poszukamy.
- Dlaczego nie?
- Tu mamy rozrzuconą przynętę. Stoimy w miejscu
Mężczyzna potrząsnął głową i zaśmiał się:
- Chłopie, to byłoby trochę prawdziwego sportu.
- Ryby takie jak ta to nie sport – powiedział kapitan.
- Jak daleko jest stąd do Amity?
- Popłyniesz wzdłuż brzegu i zaraz jesteś na miejscu.
- No, to jeśli ona jest gdzieś tutaj, to może lada dzień na nią wpadniesz.
- Z pewnością się spotkamy. Ale nie dzisiaj.

ROZDZIAŁ 5

Czwartkowy poranek był mglisty – wilgotna mgła przy ziemi była tak gęsta, że smakowała cierpko i słono. Ludzie jeździli ostrożnie samochodami z zapalonymi światłami. Koło południa mgła podniosła się i kłębiaste cumulusy płynęły bezładnie pod wysoką pokrywą cirrusów. Przed siedemnastą warstwa chmur zaczęła się rozpadać, jakby znikwały fragmenty puzzli. Przez dziury w zwartej dotychczas powłoce przenikały promienie słońca, tworząc połyskujące łaty błękitu na szarozielonej powierzchni morza.

Brody siedział na plaży miejskiej z łokciem wspartym o kolano, aby przytrzymać nieruchomo w dłoniach lornetkę. Kiedy ją opuścił, ledwie widział łódź – białą plamkę, która pojawiała się i znikła wśród fal oceanicznych. Przez silne soczewki miał dobry, chociaż nieco drżący obraz. Brody siedział tu już prawie godzinę i próbował różnych sztuczek, aby widzieć jeszcze lepiej. Zaklął, a potem opuścił lornetkę, zawieszoną na pasku wokół szyi.

– Hej, szefie – rzucił Hendricks, podchodząc do Brody’ego.

– Cześć, Leonard. Co ty tutaj robisz?

– Po prostu przejeżdżałem i zobaczyłem twój samochód. Co robisz?

– Próbuję ustalić, co, do diabła, wyczynia Ben Gardner.

– Prawdopodobnie łowi ryby, nie sądzisz?

– Za to mu się właśnie płaci, ale jest to najbardziej intrygujący połów ryb, jaki widziałem. Jestem tu już od godziny i nie zarejestrowałem żadnego ruchu na łodzi.

– Mogę zerknąć?

Brody wręczył mu lornetkę. Hendricks uniósł ją do oczu i popatrzył na morze.

– No, miałaś rację. Jak długo tam tkwi?

– Cały dzień. Rozmawiałem z nim ostatniej nocy i powiedział, że wypłynie o szóstej rano.

– Popłynął sam?

– Nie wiem. Powiedział, że chciał zabrać swojego kumpla, Danny’ego,

zapomniałem, jak się nazywa, ale tamten coś mówił o wizycie u dentysty. Mam nadzieję, do diabła, że nie popłynął sam.

– Chcesz popłynąć i sprawdzić?

– Ale czym tam popłyniemy?

– Pożyczę łódź Chickeringa. Ma aquasporta z ośmiokonnym silnikiem Evinrude. To solidny sprzęt.

W Martinie zbudził się lęk. Był kiepskim pływakiem, a perspektywa wyprawy morskiej, nie mówiąc o kąpeli, wywoływała w nim coś, co jego matka nazywała „pietrem” – spocone dłonie, nieustanne pragnienie i skurcze żołądka – w zasadzie reakcja na stres, jaką niektórzy mają w związku z lataniem. W jego wyobraźni głębiny morskie zamieszkiwały dzikie stworzenia przypominające ryczące i jęczące demony, zjawiające się z otchłani i porywające ludzi.

– Okej – powiedział. – Chyba nie mamy nic lepszego do roboty. Może nim dotrzemy do portu, on ruszy się z miejsca. Załatw łódź. Ja podjadę na posterunek i zadzwonię do jego żony. Zobaczą też, czy Ben ma włączoną radiostację.

Miejska przystań w Amity była krótka, z jedynie dwudziestoma pochylniami i pomostami cumowniczymi, nabrzeżem paliwowym i drewnianą szopą, gdzie sprzedawano hot dogi i smażone małże w kartonowych pudełkach. Pochylnie znajdowały się w małej zatoczce, osłoniętej od otwartego morza kamiennym falochronem, który ciągnął się przez pół szerokości wejścia do zatoczki.

Hendricks stał w aquasporcie z pracującym silnikiem i rozmawiał z człowiekiem w dwudziestopięciostopowym kutrze rybackim, przycumowanym przy sąsiednim pomoście. Brody szedł drewnianym pomostem aż do krótkiej drabiny, po której dostał się na pokład łodzi.

– Co powiedziała jego żona? – spytał Hendricks.

– W zasadzie nic. Próbowала połączyć się z nim przez pół godziny, ale uznała, że musiał wyłączyć radio.

– Jest sam?

– Sądzi, że tak. Jego kumplowi wyrzynał się ząb mądrości i miał go dzisiaj usuwać.

Facet z kutra odezwał się:

– Nie chcę się wtrącać, ale według mnie to trochę dziwne.

– Dlaczego? – spytał Brody.

– Wyłączać radio, gdy jest się samemu na pokładzie? Ludzie tak nie robią.

– Nie wiem. Ben zawsze psioczył na gadanie między łodziami, kiedy był na rybach.

Może się znudził i je wyłączył?

– Może.

– Ruszamy, Leonard – powiedział Brody. – Czy wiesz, jak tym się kieruje?

Hendricks odrzucił linę dziobową, przeszedł na rufę, odplątał cumę i wrzucił ją na pokład. Podeszedł do konsoli przy sterze i pchnął do przodu gałkę dźwigni gazu. Łódź skoczyła do przodu ze stłumionym warkotem silnika. Lenny przesunął dźwignię bardziej do przodu i silnik zaczął dudnić bardziej regularnie. Rufa nieco się obniżyła, a dziób uniósł. Kiedy wykonali zwrot wokół falochronu, Hendricks pchnął dźwignię całą naprzód i dziób opadł.

– Weszliśmy w ślizg po wodzie – oznajmił Hendricks.

Brody chwycił się stalowej rączki z boku konsoli.

– Czy są tu jakieś kamizelki ratunkowe? – spytał.

– Tylko poduszki powietrzne – odparł Hendricks. – Utrzymają cię na pewno, jeśli jesteś ośmioletnim chłopcem albo nie ważysz więcej niż ośmioletni chłopiec.

– Dzięki za pociechę.

Bryza w zasadzie zamarła i morze było niemal nieruchome. Ale zjawiały się też małe fale i łódź radziła sobie z nimi opornie, gdy uderzała w nie dziobem i wracała do poziomu z drzeniem, które wyraźnie wytrącało Martina z równowagi.

– Ta łajba rozpadnie się na kawałki, jeśli nie zwolnisz – powiedział.

Hendricks uśmiechnął się, zadowolony z chwilowego poczucia kontroli nad sytuacją.

– Bez obaw, szefie. Jeśli zwolnię, to zaczniemy się kołysać. Tydzień zabrałoby nam wydostanie się stąd, a twój żołądek mógłby znowu doznać rozstroju.

Łódź Gardnera stanęła jakieś trzy czwarte mili od wybrzeża. Gdy dopłynęli bliżej, Brody dostrzegł, że kołysała się delikatnie na falach. Mógł nawet zauważyć czarne litery na pawęży: „Pięknisia”.

– Jest na kotwicy – powiedział Hendricks. – Chłopie, tu jest kupa wody pod nami. Musimy mieć ponad trzydzieści metrów do dna. Trudno będzie zakotwiczyć.

– Martwa fala – powiedział Brody. – To jest to, co chciałem usłyszeć.

Kiedy byli jakieś pięćdziesiąt metrów od „Pięknisi”, Hendricks zmniejszył gaz i motorówka zaczęła powoli dopływać burtą do burty małego kutra. Brody stanął na platformie na dziobie łodzi. Nie widział oznak życia. Nie było wędek ani uchwytów do nich.

– Hej, Ben! – zawołał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

– Może jest poniżej – powiedział Hendricks.

Brody zawołał ponownie:

– Hej, Ben!

Dziób aquasporta znajdował się zaledwie dwa metry od lewej burty „Pięknisi”. Hendricks przesunął dźwignię na luz, a potem dał mocno wstecz. Aquasport zatrzymał się po następnej fali, przytulając się do nadburcia „Pięknisi”.

– Hej, Ben!

Hendricks wyciągnął linę z szafki narzędziowej z tyłu kokpitu, poszedł na przód łodzi i przywiązał ją do knagi na dziobie motorówki. Zapętlił linę na relingu drugiej łodzi i zawiązał prosty węzeł.

– Chcesz wejść na pokład? – spytał.

– Tak. – Brody wspiął się na „Pięknisię”.

Hendricks poszedł za nim i stanęli w kokpicie. Lenny wsadził głowę w przedni luk.

– Jesteś tam, Ben?

Rozejrzał się dookoła i wycofał głowę.

– Tam go nie ma.

– Nie ma go też na pokładzie – stwierdził Brody. – Nie ma już innych możliwości.

– Co tam jest? – spytał Hendricks, wskazując na wiadro w narożniku rufy.

Brody podszedł tam i pochylił się. Odór ryb i oleju uderzył go w nos. Wiadro było pełne krwawych wnętrzności.

– To musi być przynęta – powiedział. – Rybie flaki i trochę innego śmiecia. Rozrzucasz to do wody i czekasz, aż zjawią się rekiny. Niewiele tego zużył. Wiadro jest prawie pełne.

Nagły odgłos spowodował, że Brody podskoczył.

– Whiskey, zebra, echo, dwa, pięć, dziewięć – zaskrzeczał głos w radiostacji – Tu „Pretty Belle”. Jesteś tam, Ben?

– To tyle z naszej teorii – zauważył Brody. – Wiemy już, że nie wyłączył radia.

– Nie pojmuję tego, szefie. Nie ma wędek. Nie woził ze sobą pontonu, więc nie mógł nim odpłynąć. A pływał jak ryba, więc gdyby spadł z pokładu, to wdrapałby się na niego.

– Widzisz gdzieś harpuny?

– A jak one wyglądają?

– Nie wiem. Po prostu jak harpuny. I beczki. Przypuszczam, że używał ich jako splotników.

– Nie widzę nic takiego.

Brody stał przy sterburcie i wpatrywał się w gdzieś w bezmiar wody. Łódź kołysała się lekko, a on przytrzymał się burty prawą ręką. Odczuwał coś dziwnego i spojrzał w dół. Tam, gdzie powinna być knaga, były cztery pełne drzazg otwory. Te śruby na pewno nie zostały wykręcone śrubokrętem, dziury po nich były zbyt postrzępione.

– Spójrz na to, Leonard.

Hendricks przeciągnął dłonią po dziurach. Potem spojrzał na lewą burtę, gdzie knaga nadal siedziała solidnie w drewnie.

– Musiała być tak duża, jak ta po tamtej stronie – powiedział. – Naprawdę potrzeba sporo siły, aby taką wyrwać.

– Zobacz jeszcze to, Lenny.

Brody przesunął palcem wskazującym po krawędzi nadburcia. Była tam rysa długości dwudziestu centymetrów, gdzie farba została zdarta, a drewno uszkodzone.

– Wygląda, jakby ktoś bawił się pilnikiem do drewna.

– Albo mogło zostać starte naciągniętym jak struna kawałkiem grubej liny.

Brody przeszedł na lewą stronę kokpitu i zaczął bezcelowo macać wzdłuż zewnętrznej strony nadburcia.

– To jedyne takie miejsce – powiedział.

Kiedy doszedł do rufy, przechylił się przez jej krawędź i spojrzał w dół na wodę.

Przez chwilę gapił się w osłupieniu, niewidzącym wzrokiem. A potem zrozumiał, co widzi.

Kilka głębokich wyłobień w drewnianej ścianie rufy, tworzących w przybliżeniu półkole o średnicy prawie metra. Obok był jeszcze jeden podobny układ śladów. A na dole rufy, na linii wody, trzy rozmazane smugi krwi. Proszę, Boże, pomyślał Martin, tylko nie to...

– Chodź tutaj, Leonard! – zawołał.

Hendricks podszedł do rufy i spojrzał nad nią.

– Co tam jest?

– Jeśli przytrzymam cię za nogi, to będziesz mógł się wychylić i przyjrzeć tym śladom. Spróbujemy ustalić, skąd się wzięły.

– A ty myślisz, że czyje to dzieło?

– Nie wiem. Ale coś to zrobiło. Chcę się dowiedzieć co. Dalej. Jeśli tego nie ustalimy w minutę albo dwie, zapominamy o tym i wracamy do domu. Okej?

– W porządku. – Hendricks przechylił się przez krawędź burty. – Tylko trzymaj

mnie mocno, szefie... proszę.

Brody pochylił się i chwycił podwładnego za kostki stóp.

– Nie martw się – powiedział.

Zaklinował stopy Hendricksa pod swoimi pachami i posterunkowy przechylił się przez burzę.

– Okej? – spytał Brody.

– Jeszcze trochę niżej, ale bez przesady. Jezu, właśnie wsadziłeś mi głowę do wody.

– Przepraszam, teraz lepiej?

– Okej, dobrze jest. – Hendricks zaczął sprawdzać otwory. – A co, jeśli rekin pojawi się właśnie teraz? – stękał chłopak. – Jak nic wyrwie mnie z twoich rąk.

– Nie myśl o tym. Rozglądaj się.

– Rozglądam, rozglądam. – A po paru chwilach powiedział: – Sukinsyn. Spójrz na to. Hej, podciągnij mnie, potrzebny mi nóż.

– Co tam jest? – spytał Brody, gdy Hendricks ponownie stanął na pokładzie.

Lenny otworzył główne ostrze ze scyzoryka.

– Nie wiem – odpowiedział. – Jakiś biały odłamek utkwiał w jednym z otworów.

Ze scyzorykiem w dłoni pozwolił, aby Brody jeszcze raz opuścił go poza rufę. Chwilę grzebał ostrzem, skręcając ciałem i stękając z wysiłku. A potem zawołał:

– Okej! Mam to! Wyciągaj mnie!

Brody cofnął się, dźwigając Hendricksa ponad rufę, potem pomógł mu stanąć stopami na pokładzie.

– Spójrzmy – powiedział, wyciągając dłoń przed siebie.

Na rękę Brody'ego spadł trójkątny, połyskujący przedmiot podobny do zęba. Miał prawie pięć centymetrów długości. Krawędzie przypominały ostrze piły. Brody podrapał zębem po drewnianej burcie i pozostały po tym głębokie rysy. Spojrzał w dal, potrząsnął głową i powiedział:

– Mój Boże.

– To jest ząb, prawda? – spytał Hendricks. – Jezu Chryste Wszechmocny! Myślisz, że rekin dopadł Bena?

– Nie wiem jeszcze, co myśleć – przyznał Brody.

Znowu spojrział na ząb, a potem wrzucił go do kieszeni.

– W zasadzie możemy stąd zniknąć. Tutaj już nic nie możemy zrobić.

– A co z łodzią Bena?

– Zostawimy ją tu do jutra. Wtedy każemy komuś po nią popłynąć i zabrać.

– Odwiozę ją, jeśli chcesz.

– I zostawisz mi kierowanie motorówką? Zapomnij o tym.

– Moglibyśmy ją holować.

– Nie, robi się ciemno i nie chcę tracić czasu, próbując wprowadzić po zmroku do portu dwie łodzie. Tej nic się nie stanie przez noc. Tylko sprawdź, czy kuter jest dobrze zakotwiczony. A potem ruszamy. Nikt nie będzie potrzebował jej do jutra, a już na pewno nie Ben Gardner.

Dobili do portu już dawno po zmierzchu. Harry Meadows i drugi mężczyzna, którego Brody nie znał, czekali na nich.

– Ty to masz wyczucie, Harry – powiedział, gdy wchodził po trapie na pomost.

Meadows uśmiechnął się po takim pochlebstwie.

– To mój zawód, Martin – odparł, a potem wskazał na człowieka obok siebie. – To jest Matt Hooper, a to szef policji, Brody.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– To ty jesteś tym gościem z Woods Hole – stwierdził Brody, usiłując dobrze mu się przyjrzeć w gasnącym świetle. Miał około dwudziestu pięciu lat, był przystojny, opalony, ze spłowiałymi od słońca włosami. Był prawie tak wysoki jak Martin, niemal sto osiemdziesiąt pięć centymetrów, ale szczuplejszy. Oceniał jego wagę na osiemdziesiąt pięć kilogramów wobec swoich dziewięćdziesięciu. Podświadomie przyglądał się Hooperowi jako potencjalnemu zagrożeniu. Potem jednak z młodzieńczą beztroską uznał, że gdyby kiedyś doszło do spotkania z rekinem, to obecność Hoopera mogłaby się okazać przydatna. Jego doświadczenie przecież coś znaczyło.

– To prawda – przyznał Hooper.

– Harry korzystał z twojej wiedzy na odległość – powiedział Brody. – Jak to się stało, że jesteś tutaj?

– Ja go wezwałem – odezwał się Meadows. – Pomyślałem, że mógłby pomóc nam ustalić, co się tutaj dzieje.

– Gównno, Harry. Mogłeś po prostu spytać mnie – powiedział Brody. – Powiedziałbym ci. Widzisz, ta ryba jest gdzieś tutaj i...

– Wiesz, o co mi chodzi.

Brody poczuł urazę, że ktoś wtrąca się w jego sprawy, oraz bał się, że fachowość Hoopera może podważać jego autorytet. Ale po chwili uznał swoje pretensje za głupie.

– Nie jestem pewien – powiedział. – Chodźmy z powrotem na posterunek i wprowadzę was w sprawę.

– Czy Ben ma zamiar zostać tam całą noc?

– Na to wygląda, Harry. – A potem Brody zwrócił się do Hendricksa, który wiązał cumy łodzi. – Idziesz do domu, Leonard?

– Tak. Chcę się umyć, nim pójdę do pracy.

Brody przyjechał na posterunek policji przed Meadowsem i Hooperem. Była prawie ósma. Miał do wykonania dwa telefony – do Ellen, aby dowiedzieć się, czy została dla niego kolacja, czy musi kupić coś do zjedzenia w drodze do domu, i ten drugi, którego okropnie się bał, do Sally Gardner. Najpierw zadzwonił do Ellen – w domu do odgrzania czekała duszona wołowina z warzywami. Może będzie smakowała jak trampek, ale będzie przynajmniej ciepła. Odwiesił słuchawkę, sięgnął po książkę telefoniczną i wyszukał numer telefonu do Gardnerów. Wystukał kilka cyfr.

– Sally, tu Martin Brody.

Nagle pożałował, że zadzwonił, zanim nie przemyślał całej rozmowy. Jak dużo powinien jej powiedzieć? Nie za dużo, zdecydował, przynajmniej dopóki nie będzie miał szansy ustalić z Hooperem, czy jego teoria była wiarygodna, czy absurdalna.

– Martin, gdzie jest Ben? – Głos miała spokojny, ale Brody wyczuł w nim niepokój.

– Nie wiem, Sally.

– Co to znaczy, że nie wiesz? Przecież tam popłynąłeś.

– Tak, ale jego nie było na łodzi.

– Ale łódź tam była.

– Łódź tam była.

– Wszedłeś na pokład? Wszystko przejrzałeś? Nawet pod pokładem?

– Tak. – A potem cień nadziei: – Ben nie woził pontonu, prawda?

– Nie. Jak mogło go tam nie być? – Teraz jej głos zaczął drżeć nieprzyjemnie.

– Ja...

– Gdzie on jest?

Brody wychwycił ton rodzącej się hysterii. Żałował, że nie pojechał do jej domu.

– Jesteś sama, Sally?

– Nie, dzieci są ze mną.

Wydawała się spokojniejsza, ale Martin wiedział, że była to cisza przed burzą rozpaczy, która nadejdzie, gdy zda sobie sprawę, że to, czego obawiała się każdego dnia przez szesnaście lat, odkąd Ben został zawodowym rybakim – lęk budzący się

w chwilach zwątpienia i nigdy niewypowiadany, ponieważ wydawałby się śmieszny – właśnie się wydarzyło.

Brody grzebał w pamięci, aby przypomnieć sobie wiek dzieci Gardnera. Może dwanaście, potem dziewięć i potem około sześciu. Jakim dzieckiem był dwunastolatek? Nie wiedział. Kto był najbliższym sąsiadem? Cholera! Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Finleyowie.

– Sekundkę, Sally.

Zawołał do policjanta siedzącego przy biurku w głównej sali:

– Clements, dzwoń do Grace Finley i powiedz jej, aby zbierała tyłek i leciała natychmiast do domu Sally Gardner.

– A jak zapyta dlaczego?

– Po prostu jej powiedz, że ja tak powiedziałem i później to wyjaśnię.

A potem wrócił do telefonu.

– Przykro mi, Sally. Wszystko, co mogę ci powiedzieć, to że popłynęliśmy do kutra Bena. Weszliśmy na pokład, ale jego tam nie było. Rozglądaliśmy się dookoła, wszędzie, gdzie się dało.

Meadows i Hooper przyszli do biura Brody'ego. Wskazał im ruchem ręki, aby usiedli na krzesłach.

– Ale gdzie mógłby być? – spytała Sally Gardner. – Nie zostawił tak po prostu łodzi na środku oceanu.

– No nie.

– I nie mógł wypaść za burtę. To znaczy mógł, ale dostałby się ponownie na pokład.

– Tak.

– Może ktoś podpłynął i zabrał go na inną łódź? Może silnik się zepsuł i musiał popłynąć z kimś innym. Sprawdzaliście silnik?

– Nie – powiedział zakłopotany Brody.

– To w takim razie prawdopodobnie tak się stało.

W jej głosie pojawił się cień nadziei, a kiedy ta zawiedzie, wszystko rozpadnie się jak domek z kart.

– A jeśli padł akumulator, to może wyjaśniać, dlaczego nie wzywał przez radio.

– Radio działało, Sally.

– Poczekaj chwilę. Kto tam? A, to ty.

Potem przerwa. Brody usłyszał, jak Sally mówiła coś do Grace Finley, a później już do niego.

– Grace powiedziała, że kazałeś jej do mnie przyjść. Dlaczego?

– Pomyślałem...

– Myślisz, że on nie żyje, prawda? Myślisz, że utonął.

Gra pozorów skończyła się i kobieta zaczęła szlochać.

– Obawiam się, Sally, że tak. Wszystko na to wskazuje. Pozwól mi porozmawiać przez minutę z Grace, dobrze?

Kilka sekund później odezwała się Grace Finley:

– Tak, Martin?

– Przykro mi, że spadło to na ciebie, ale nie miałem lepszego pomysłu. Możesz z nią zostać przez chwilę?

– Będę z nią całą noc.

– To może być dobry pomysł. Później spróbuję do was przyjechać. Dziękuję.

– Co się stało, Martin?

– Nie wiem tego na pewno.

– Czy to... znowu ta rzecz?

– Może. To właśnie próbujemy ustalić. Proszę cię jeszcze, Grace, nie mów nic Sally o rekinie. Jest już źle tak, jak jest.

– W porządku, Martin. Poczekaj. Poczekaj minutę.

Zakryła dłonią mikrofon słuchawki i Brody słyszał jedynie przytłumioną rozmowę. A potem Sally Gardner znowu dorwała się do telefonu.

– Dlaczego to zrobiłeś, Martin?

– Co zrobiłem?

Grace Finley najwyraźniej próbowała wyrwać jej słuchawkę z dłoni, gdyż Brody słyszał, jak Sally powiedziała:

– Daj mi mówić, a niech cię!

A potem rzekła do niego:

– Dlaczego go tam posłałeś? Dlaczego Ben?

Nie mówiła szczególnie głośno, ale z takim naciskiem, jakby krzyczała.

– Sally, jesteś...

– To nie musiało się wydarzyć – powiedziała. – Mogłeś to powstrzymać.

Brody miał ochotę odłożyć słuchawkę. Nie chciał powtórki sceny z matką małego Kintnera. Ale musiał się bronić. Przekonać ją, że to nie była jego wina. Jak mogła go obwiniać? Dlatego powiedział:

– Nonsens. Ben był rybakiem, i to dobrym. Znał ryzyko.

– Gdybyś nie...

– Przestań, Sally. – Brody niemal brutalnie przerwał potok jej słów. – Spróbuj trochę odpocząć.

Odwiesił słuchawkę. Był wściekły, a to powodowało mętlik w głowie. Był zły na Sally Gardner za to, że go oskarżała, i zły na siebie za swoją reakcję. „Gdybyś nie...”, powiedziała. Gdyby nie co? Gdyby nie posłał Bena. Pewnie. A gdyby świnie miały skrzydła, byłyby orłami. Gdyby popłynął sam. Ale to nie był jego zawód. Przecież wysłał znawcę. Spojrzał na Meadowsa.

– Słyszałeś?

– Nie wszystko, ale dość, aby wywnioskować, że Ben Gardner stał się ofiarą numer cztery.

Brody skinął głową.

– Tak myślę.

Opowiedział Meadowsowi i Hooperowi o wyprawie z Hendricksem. Raz czy dwa Meadows przerwał pytaniem, a Hooper tylko słuchał. Jego kanciasta twarz była łagodna i jasnoniebieskimi oczami wpatrywały się w Brody’ego. A pod koniec opowieści Martin sięgnął do kieszeni spodni.

– Znaleźliśmy to – powiedział. – Leonard wydłubał to z drewna.

Rzucił ząb w stronę Hoopera, który obrócił go w dłoni.

– Co o tym sądzisz, Matt? – spytał Meadows.

– To żarłacza białego.

– Jak dużego?

– Nie jestem pewien, ale dużego. Pięć, może sześć metrów. To jakaś fantastyczna ryba – powiedział, spoglądając na Meadowsa. – Dzięki, że do mnie zadzwoniłeś. Mógłbym całe życie spędzić wśród rekinów i nie spotkać takiego osobnika.

– A ile mogłaby ważyć ryba taka jak ta? – spytał Brody.

– Dwie i pół, może trzy tony.

– Trzy tony – gwizdnął Brody.

– Masz jakieś przemyślenia na temat tego, co się stało? – spytał Meadows.

– Z tego, co mówił nasz naczelnik, wynika, że ryba zabiła pana Gardnera.

– Ale jak? – spytał Brody.

– Gardner mógł wypaść za burtę. Bardziej prawdopodobne, że został wyciągnięty. Może jego nogi zaplątały się w linę harpuna. Mógł być nawet wyciągnięty, kiedy wychylił się poza rufę.

- A jak wyjaśnisz ten ząb w rufie?
- Ryba zaatakowała kuter.
- Ale po co, do diabła?
- Rekiny nie są zbyt bystre. Żyją dzięki instynktowi i bodźcom. A głód to bardzo silny bodziec.
- Ale trzydziestostopowa łódź...
- Rekin nie myśli. Dla niego to nie była łódź. To było coś wielkiego.
- I niejadalnego.
- Nie, zanim nie spróbował. Nie rozumiesz. Nie ma w morzu niczego, czego te rekiny mogłyby się obawiać. Inne ryby uciekają przed większymi rzeczami. Taki mają instynkt. Ale te nie uciekają przed niczym. Nie boją się. Mogą być ostrożne, powiedzmy, gdy chodzi o nawet większego żarłacza. Ale bać się... W żaden sposób.
- Co jeszcze atakują?
- Cokolwiek.
- Tak jak tutaj. Cokolwiek.
- Praktycznie wszystko, tak.
- Czy masz jakiś pomysł, dlaczego ten rekin kręci się tutaj tak długo? – spytał Brody. – Nie wiem, jak dobrze znasz tutejsze wody, ale...
- Dorastałem tutaj.
- Naprawdę? W Amity?
- Nie, w Southampton. Spędzałem tam każde lato, od początku do końca szkoły podstawowej.
- Każde lato. To tak naprawdę nie dorastałeś tutaj. – Brody znalazł coś, co przywracało pewną równowagę, a nawet dawało mu przewagę nad młodym człowiekiem. To zadowalało jego swoisty snobizm, który był dość popularną postawą wśród stałych mieszkańców kurortu. To stanowiło ich oręż przeciwko wyczuwanej pogardzie, promieniującej od wczasowiczów. To była postawa „Jestem w porządku, Jack”, takie społeczne poczucie męskości, które utożsamiało bogactwo ze zniewieściałością, prostotę z dobrocią i ubóstwo (do pewnego stopnia) z uczciwością. Normalnie Martin uznawał to za prymitywne i głupie, ale teraz poczuł się zagrożony przez młodego człowieka, choć nie wiedział dlaczego, co wydało mu się dziwne. Sięgnął więc po najłatwiejszy sposób obrony, jaki dostarczył mu sam Hooper.
- Szukasz dziury w całym – stwierdził cierpko Hooper. – Okej, nie urodziłem się tutaj. Ale spędziłem wiele czasu na tych wodach i napisałem dużą pracę o tym

wybrzeżu. A w każdym razie wiem, do czego zmierzasz, i masz rację. Ta linia brzegowa nie jest środowiskiem, które normalnie pozwala dłużej przebywać rekinowi.

– To dlaczego pozostaje tu tak długo?

– Trudno w tej chwili powiedzieć. To jest z definicji nietypowe, ale rekiny robią tak wiele nietypowych rzeczy, że zmienność stała się ich normalnością. Każdy, kto zaryzykuje pieniądze, nie wspominając o życiu, przewidując, co zaręcz białą zrobi w danej sytuacji, jest głupcem. Taki osobnik mógłby być na przykład chory. Sposób ich życia jest tak dalece poza jego kontrolą, że uszkodzenie jednego małego mechanizmu może spowodować u niego dezorientację i dziwne zachowania.

– Jeśli tak działa, gdy jest chory – powiedział Brody – to nie chcę wiedzieć, co wyprawia, gdy dobrze się czuje.

– Nie. Osobiście nie sądzę, aby był chory. Są inne rzeczy, które mogły spowodować, że pozostaje tutaj. I wielu z nich nigdy nie pojmiemy. To mogą być naturalne czynniki, kaprysy.

– Takie jak?

– Zmiany temperatury wody, przepływu prądów lub modelu żywieniowego. Gdy źródła pokarmu się przemieszczają, to samo robią drapieżniki. Kilka lat temu coś niesamowitego wydarzyło się na części wybrzeża Connecticut i Rhode Island. Cała linia brzegowa została zasypana śledziami atlantyckimi. Rybacy nazywają je mossbunker. Ogromna ławica. Miliony ryb. Pokrywały wodę jak plama oleju. Było ich tak dużo, że można było zarzucić goły hak i wyciągać je, a jeszcze częściej nie trzeba było ich łapać nawet na zwykłe haczyki. Tasergale i okonie żywią się śledziami, więc nagle masowo pojawiły się przy samych plażach. W Watch Hill na Rhode Island ludzie brodzili w wodzie i zbierali je grabiami. Grabiami ogrodowymi! Po prostu wygarniali je z wody. A potem pojawiły się duże drapieżniki – wielkie tuńczyki, ważące dwieście, nawet trzysta kilogramów. Dalekomorskie łodzie rybackie łowiły je zaledwie sto jardów od brzegu. Czasami na przystaniach. A potem nagle wszystko się skończyło. Śledzie odpłynęły, tak samo zrobiły inne ryby. Spędziłem tam trzy tygodnie, próbując dojść przyczyn tego fenomenu. I nadal nie wiem. To wszystko część równowagi ekologicznej. Jeśli coś przechyla się zbyt mocno w jedną lub drugą stronę, dzieją się rzeczy osobliwe.

– Ale to jest jeszcze dziwniejsze – powiedział Brody. – Ten rekin pozostaje w jednym miejscu, jednym akwenie wodnym wielkości jednej lub dwóch mil kwadratowych, już od tygodnia. Nie przesunął się ani w górę, ani w dół wybrzeża. Nie

tknął nikogo w East Hampton ani w Southampton. Co jest takiego w Amity?

– Nie wiem. I wątpię, aby ktoś udzielił ci dobrej odpowiedzi.

– Minnie Eldridge zna odpowiedź – stwierdził Meadows.

– Jaja sobie robisz!

– Kim jest Minnie Eldridge? – spytał Hooper.

– To naczelniczka poczty – powiedział Brody. – Ona mówi, że to wola Boga albo coś podobnego. Jesteśmy karani za nasze grzechy.

Hooper zaśmiał się.

– Jak dla mnie to też sensowna odpowiedź.

– To zachęcające – wymamrotał Brody. – Czy planujesz coś zrobić, aby rozwiązać tę zagadkę?

– Jest kilka rzeczy, które mogę zrobić. Pobiorę próbki wody tutaj i w East Hampton. Spróbuję sprawdzić, jak zachowują się inne ryby; czy coś nadzwyczajnego jest w okolicy lub czy zniknął jakiś czynnik środowiskowy. I spróbuję znaleźć tego rekina. Co przypomina mi, że potrzebna będzie łódź.

– Przykro mi to mówić – powiedział Brody – ale jest łódź Bena Gardnera. Zawieziemy cię do niej rano i możesz z niej korzystać, dopóki nie obmyślimy czegoś z jego żoną. Czy naprawdę sądzisz, że możesz schwytać rekina po tym, co stało się z Benem Gardnerem?

– Nie powiedziałem, że będę próbował go złapać. Nie sądzę, abym chciał tego próbować. Nie sam, w każdym razie.

– To co, do diabła, masz zamiar robić?

– Nie wiem. To zależy od okoliczności.

Brody spojrzał prosto w oczy Hoopera i powiedział:

– Chcę, aby ten rekin został zabity. Jeśli ty tego nie potrafisz, to znajdziemy kogoś, kto to zrobi.

Hooper zaśmiał się.

– Gadasz jak gangster. „Chcę, aby ten rekin został zabity”. To wystaw na niego kontrakt. Komu masz zamiar zlecić tę robotę?

– Nie wiem. A co z tobą, Harry? Ty znasz najlepiej okolicę i wiesz, co się tu dzieje. Czy nie ma innego rybaka na tej całej cholernej wyspie z ekwipunkiem do polowania na rekiny?

Meadows zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział:

– Może jest jeden. Nie wiem o nim zbyt wiele, ale nazywa się Quint. I mieszka przy

prywatnej przystani koło stacji kolejowej Promised Land. Trochę później znajdę o nim coś więcej, jeśli chcesz.

– Dlaczego nie – stwierdził Martin. – To brzmi całkiem sensownie.

Hooper powiedział:

– Słuchaj, Martin, nie możesz być w gorącej wodzie kąpany, szukając zemsty na rybie. Ten rekin nie jest złem. On nie jest mordercą. Tylko podporządkowuje się swoim instynktom. Próba wymierzenia kary rybie to szaleństwo.

– Słuchaj, ty... – W Brodym narastał gniew zrodzony z frustracji i upokorzenia.

Wiedział, że Hooper miał rację, ale uważał też, że dobro i zło były nieistotne w tej sytuacji. Rekin był wrogiem. To dotyczyło społeczności i zabitych dwóch mężczyzn, kobiety i dziecka. Ludność Amity będzie domagać się jego śmierci. Chcieli zobaczyć rekina martwego, nim poczują się bezpieczni na tyle, aby powrócić do normalnego życia. Nade wszystko Martin pragnął jego śmierci, gdyż to byłoby dla niego jak katharsis, uwolnienie się od koszmaru. Hooper dotknął czułego miejsca, i to jeszcze bardziej rozjuszyło Brody'ego. Ale pohamował gniew i powiedział:

– Nie ma o czym mówić.

Zadzwoił telefon.

– To do ciebie, szefie – powiedział Clements. – Pan Vaughan.

– No to pięknie. Tylko tego jeszcze potrzebowałem.

Stuknął w migoczący przycisk na telefonie i podniósł słuchawkę.

– Tak, Larry?

– Halo, Martin. Jak się masz? – Głos Vaughana brzmiał przyjacielsko, niemal wylewnie.

Brody przypuszczał, że to były miłe złego początki.

– Całkiem nieźle jak na to, co dzieje się dookoła, Larry.

– Długo pracujesz. Próbowałem złapać cię w domu.

– Tak. No cóż, kiedy jesteś szefem policji, a twoi wyborcy giną co dwadzieścia minut, to trudno się nudzić.

– Słyszałem o Benie Gardnerze.

– A co słyszałeś?

– Że zaginął.

– Wieści szybko się rozchodzą.

– Jesteś pewny, że to znowu rekin?

– Pewny? Tak przypuszczam. Trudno o inne wyjaśnienie.

– Martin, co masz zamiar zrobić? – W głosie Vaughana brzmiał żalospny niepokoó.
– To dobre pytanie, Larry. Właśnie robimy wszystko, co w naszej mocy. Mamy zamknięte plaże. My...

– Tego jestem świadomy, mówiąc łagodnie.

– Co to ma w takim razie znaczyć?

– Czy kiedykolwiek próbowałeś sprzedać zdrowym ludziom posiadłość w kolonii trędowatych?

– Nie, Larry – powiedział oschle Brody.

– Codziennie dostaję odwołania rezerwacji. Ludzie rezygnują z wynajmu. Nie miałem nowego klienta od niedzieli.

– To co chcesz, abym zrobił?

– No cóż. Myślałem... Zastanawiam się, czy może nie zareagowaliśmy zbyt gwałtownie w całej sprawie.

– Żartujesz. Powiedz mi, że żartujesz.

– Opanuj się nieco, Martin. Przedyskutujmy to rozsądnie.

– Jestem rozsądny, tylko nie wiem, czy ciebie to dotyczy.

Po chwili milczenia Vaughan powiedział:

– A co byś powiedział na otwarcie plaż na sam weekend czwartego lipca?

– Nie zaryzykuję. Żadnych pieprzonych szans.

– Posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj, Larry. Ostatnim razem posłuchałem ciebie i miałem dwóch zabitych ludzi. Jeśli złapiemy tego rekina, jeśli zabijemy tego sukinsyna, wtedy otworzymy plaże. Do tego momentu zapomnij o tym.

– A co z sieciami?

– Co z nimi?

– Dlaczego nie moglibyśmy rozciągnąć stalowych sieci, aby chronić plaże? Ktoś mi mówił, że tak robią w Australii.

On musi być pijany, pomyślał Brody.

– Larry, tu jest prosta linia brzegowa. Masz zamiar założyć sieci wzdłuż czterokilometrowej plaży? W porządku. Zdobądź pieniądze. Powiedziałbym, milion dolarów, tak na początek.

– A co z patrolami? Możemy wynająć ludzi, aby patrolowali w łodziach wzdłuż plaż.

– To ma być ten dobry pomysł, Larry? Co jest z tobą? Twój wspólnicy znowu

dobierają ci się do tyłka?

– To nie jest twój zafajdany interes, Martin. Na miłość boską, człowieku, to miasto umiera!

– To wiem, Larry – powiedział łagodnie Martin. – I wiem, do cholery, że nic nie możemy jak dotąd z tym zrobić. Dobrej nocy.

Odłożył słuchawkę telefonu. Meadows i Hooper wstali, aby wyjść. Brody odprowadził ich do drzwi posterunku. Gdy przez nie przechodzili, Martin powiedział do Meadowsa:

– Harry, zostawiłeś w środku zapalniczkę.

Meadows chciał coś powiedzieć, ale Brody go uprzedził.

– Chodź z powrotem, to ci ją dam. Jeśli zostawisz ją tu na noc, to najprawdopodobniej zniknie. Do zobaczenia – machnął Hooperowi na pożegnanie.

Kiedy wrócili na posterunek, Meadows wyciągnął zapalniczkę z kieszeni i powiedział:

– Chyba masz mi coś ważnego do powiedzenia.

Brody zamknął drzwi biura.

– Sądzisz, że potrafisz znaleźć coś na temat wspólników Larry’ego?

– Wydaje mi się, że tak. Ale dlaczego?

– Jak tylko zaczęła się ta afera, Larry cały czas wiercił mi dziurę w brzuchu, aby plaże były otwarte. A teraz, gdy to wszystko już się wydarzyło, powiedział, że chce, aby otworzyć je w Dzień Niepodległości. Innego dnia powiedział, że wspólnicy na niego naciskają. Mówiłem ci o tym.

– I co z tego?

– Sądzę, że powinniśmy wiedzieć, kim jest ten ważniak, który zmusił Larry’ego do gadania tych bredni. Nie martwiłbym się, gdyby nie był burmistrzem miasta. Ale jeśli są ludzie, którzy mówią mu, co robić, to chyba powinniśmy wiedzieć, kim oni są.

Meadows westchnął.

– W porządku, Martin. Zrobię, co mogę. Ale grzebanie wokół spraw Larry’ego Vaughana nie jest moją definicją dobrej zabawy.

– Ostatnimi czasy brakuje nam jednak zabawy, prawda?

Odprowadził Meadowsa do drzwi, a potem usiadł na krześle za biurkiem. W jednej kwestii zgadzał się z Vaughanem. Amity wykazywało wszelkie objawy nadciągającej śmierci. To nie był tylko rynek nieruchomości, chociaż choroba była zaraźliwa jak ospa. Evelyn Bixby, żona jednego z podwładnych Brody’ego, straciła pracę jako

agentka w handlu nieruchomościami. Już teraz pracowała jako kelnerka w garkuchni przy drodze numer 27.

Dwa nowe butiki miały być uroczyście otwarte następnego dnia, ale ich właściciele przełożyli to na trzeciego lipca, a teraz żalili się Martinowi, że jeśli plaże nie zostaną otwarte do tej pory, to wcale nie zaczną sprzedaży. Jeden z nich już rozglądał się za miejscem do wynajęcia w East Hampton. Sklep z artykułami sportowymi umieścił wywieszki informujące o wyprzedaży – co normalnie odbywało się dopiero podczas wrześniowego Święta Pracy. Jedyną dobrą rzeczą w sytuacji ekonomicznej Amity, przynajmniej jeśli chodziło o Brody'ego, było to, że Saxon tracił klientów, więc zwolnili stamtąd Henry'ego Kimble'a. Teraz nie miał dodatkowej pracy, więc spał za dnia i mógł czasami przetrwać całą zmianę w policji bez chwili drzemki.

Od pierwszego dnia zamknięcia plaż Brody wysyłał tam dwóch policjantów do ich pilnowania. W sumie mieli siedemnaście przypadków konfrontacji z ludźmi, którzy chcieli popływać. Jeden z mężczyzn nazywał się Robert Dexter i twierdził, że miał konstytucyjne prawo do pływania na własnej plaży. Próbował poszczuć psem policjanta na służbie, dopóki ten nie wyciągnął pistoletu i nie zagroził, że zastrzeli zwierzaka. Kolejna zadyma wydarzyła się na plaży publicznej, kiedy nowojorski prawnik zaczął czytać policjantom konstytucję Stanów Zjednoczonych w otoczeniu rzeszy wiwatującej młodzieży.

Brody jednak był przekonany, że jak dotąd nikt jeszcze nie poszedł pływać.

W środę dwoje dzieciaków wypożyczyło lekką łódkę i wypłynęło na godzinę jakieś sto metrów od brzegu, rozlewając krew i wyrzucając za burtę wnętrzności kurczaków oraz kacze łby. Zauważyła ich załoga przepływającego kutra rybackiego i wezwała Brody'ego za pośrednictwem właściciela przystani. Martin zadzwonił po Hoopera i razem popłynęli na „Pięknisi”, aby przyholować chłopców do brzegu. Ci mieli na łódce osęk przywiązany do sznura na białiznę o długości prawie sześćdziesięciu metrów, przymocowanego do dziobu za pomocą węzła refowego. Powiedzieli, że planowali zahaczyć osękiem rekina i przejechać się „jak na saniach aż do Nantucket”. Brody zagroził im, że jeśli kiedykolwiek znowu spróbują zrobić taki numer, to aresztuje ich za próbę samobójstwa.

Pojawiły się cztery raporty o obecności rekina. Jeden dotyczył dryfującego pnia. Dwa kolejne zgodnie z relacjami rybaków okazały się ławicami odpowiednich rybek dobrych na przynętę. A ostatni był zwyczajnym fałszywym alarmem.

Już po wtorkowym zmroku Brody otrzymał anonimowy telefon, że jakiś mężczyzna wrzucił przynętę na rekiny koło publicznej plaży. Okazało się, że nie był to mężczyzna, tylko kobieta ubrana w męski płaszcz przeciwdeszczowy – Jessie Parker, jedna z kasjerek ze sklepu papierniczego Waldena. Początkowo wszystkiemu zaprzeczała, ale w końcu przyznała, że wrzuciła do wody papierową torbę z trzema pustymi butelkami po wermucie.

Dlaczego nie wyrzuciłaś ich do śmieci? – spytał Brody.

Nie chciałam, aby śmieciarze sądzili, że jestem pijaczką.

To dlaczego nie wrzuciłaś ich komuś innemu do śmietnika?

To nie byłoby uczciwe – powiedziała. – Śmieci są... prywatną sprawą, nie sądzisz?

Brody powiedział jej, że powinna puste butelki wsadzać w plastikową torbę, a potem w brązową papierową i wtedy potłuc je młotkiem na drobne części. Wtedy nikt nie będzie wiedział, że to były butelki.

Brody spojrział na zegarek. Było już po dziewiątej, zbyt późno, aby składać wizytę Sally Gardner. Miał nadzieję, że już spała. Może Grace Finley dała jej tabletki nasenne i szklankę whiskey, aby trochę ją uspokoić. Nim wyszedł z biura, zadzwonił do oficera dyżurnego straży przybrzeżnej w Montauk, aby poinformować go o Benie Gardnerze. Oficer zobowiązał się, że wraz ze świtem wyśle łódź patrolową na poszukiwanie ciała.

– Dzięki – powiedział Brody. – Mam nadzieję, że znajdziecie to, zanim zostanie wyrzucone na brzeg.

Nagle przeraził się sobą samym. Przecież „to” odnosiło się do Bena Gardnera, przyjaciela. Co by powiedziała Sally, gdyby usłyszała, że wyraził się o jej mężu „to”? Piętnaście lat przyjaźni wymazane, zapomniane. Już nie będzie więcej Bena Gardnera. Teraz to było „to”, które trzeba znaleźć, nim stanie się drastycznym problemem.

– Spróbujemy – powiedział oficer. – Chłopie, współczuję wam wszystkim. Latem będziecie tam pewnie mieli piekło.

Gdy wjeżdżał na podjazd, zauważył znajome niebieskoszare światło bijące z okna w salonie. Chłopcy oglądali telewizję. Wszedł przez frontowe drzwi, zapalił światło na zewnątrz domu i wsadził głowę w ciemność wielkiego pokoju dziennego. Najstarszy z chłopców, Billy, leżał na kanapie, wspierając się na łokciu. Martin, dwunastoletni średni syn, wylegiwał się w głębokim fotelu, bosc nogi trzymał na stoliku do kawy. Ośmioletni Sean siedział na podłodze, opierał się plecami o kanapę i głaskał kota trzymanego na kolanach.

- Jak leci? – spytał Brody.
- Dobrze, tato – powiedział Billy, nie odrywając wzroku od telewizora.
- Gdzie jest wasza mama?
- Na górze. Kazała ci powiedzieć, że kolację masz w kuchni.
- Okej. Sean, czy nie jest już zbyt późno? Już prawie wpół do dziewiątej.
- Dobrze, tato – odparł najmłodszy z braci.

Brody wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyciągnął piwo. Wołowina z warzywami w otoczce zastygłego sosu była na patelni stojącej na stole kuchennym. Mięso było brązowawoszare i włókniste.

- Ale kolacja – mruknął do siebie Brody.

Zajrzał do lodówki, aby zrobić kanapkę. Było trochę hamburgerów, paczka kurzych nóżek, z tuzin jajek, słoik z ogórkami w occie i dwanaście puszek z napojami gazowanymi. Znalazł też kawałek białego amerykańskiego sera, wysuszonego i poskręcane ze starości. Zwinął go i włożył do ust. Zastanawiał się nad potrawką z wołowiny, a potem powiedział głośno:

- Do diabła z tym!

Wziął dwa kawałki chleba, posmarował je musztardą, ściągnął nóż do krojenia mięsa z tablicy magnetycznej na ścianie i uciął gruby plaster wołowiny. Położył go na jednej z kromek chleba, na górze kilka plasterków ogórka konserwowego, a wszystko przykrył drugim kawałkiem chleba. Całą kanapkę spłaszczył trochę nasadą dłoni. Położył ją na talerzu, wziął piwo i poszedł na górę do sypialni.

Ellen siedziała na łóżku i czytała „Cosmopolitan”.

- Cześć – powiedziała. – Ciężki dzień? Nic nie mówiłeś przez telefon.

Ciężki dzień. Jak wszystko ostatnio. Słyszałaś o Benie Gardnerze? Nie do końca w to wierzyłem, gdy z tobą rozmawiałem.

Postawił talerz z kanapką i piwo na toaletce, usiadł na skraju łóżka, po czym zaczął zdejmować buty.

– Tak, rozmawiałam z Grace Finley. Pytała mnie, czy wiem, gdzie jest doktor Craig. Jego personel nie potrafił tego powiedzieć, a Grace chciała dać Sally coś na uspokojenie.

- Znalazłaś go?
- Nie, ale kazałam jednemu z chłopców zanieść jej seconal.
- A co to jest?
- Tabletki na sen.

– Nie wiedziałem, że je bierzesz.

– Nie biorę ich często, tylko od czasu do czasu.

– Gdzie je dostałaś?

– Od doktora Craiga, kiedy byłam u niego ostatni raz z powodu nerwów. Mówiłam ci.

– Och... – Brody rzucił buty w kąt pokoju, wstał, zdjął spodnie i powiesił je starannie na oparciu krzesła. Zdjął koszulę, wsadził na wieszak i powiesił w szafie. W koszulce i krótkich spodenkach usiadł na łóżku i zaczął zajadać kanapkę. Mięso było suche i rozpadało się. Smakowała mu jedynie musztarda.

– Nie znalazłeś pieczeni? – spytała Ellen.

Brody miał pełno w ustach, więc tylko skinął głową.

– To co w takim razie jesz?

– Pieczeń – powiedział, gdy już przełknął.

– Podgrzałeś ją?

– Nie, nie przeszkadza mi, że jest zimna.

Ellen zrobiła rozbawioną minę i powiedziała:

– Ech!

Brody jadł w milczeniu, a Ellen bezcelowo przerzucała strony czasopisma. Po kilku chwilach położyła je na kolanach i powiedziała:

– Tragedia.

– O co chodzi?

– Właśnie myślałam o Benie Gardnerze. To okropne. Jak myślisz, co Sally zrobi?

– Nie wiem – odpowiedział Brody. – Martwię się o nią. Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z nią o pieniądzach?

– Nie. Ale nigdy im się nie przelewało. Nie sądzę, aby jej dzieci miały w tym roku nowe ubrania i zawsze mówiła, że dałby dużo, aby pozwolić sobie na mięso więcej niż raz w tygodniu, zamiast jeść ryby, które łowił Ben. Dostanie jakiś zasiłek?

– Myślę, że tak, ale nie będzie tego dużo. Jest jeszcze opieka społeczna

– Spaliłaby się ze wstydu – stwierdziła Ellen.

– Poczekaj. Duma nie jest czymś, na co będzie mogła sobie pozwolić. Teraz już nawet nie będzie więcej ryb.

– Jest coś, co możemy zrobić?

– My? Raczej nie. Nie jesteśmy w krainie złota. Ale może miasto jednak coś zrobi. Porozmawiam o tym z Vaughanem.

- Zrobiliście jakieś postępy?
 - Masz na myśli schwytanie tej przeklętej ryby? Nie, ale Meadows wezwał z Woods Hole przyjaciela, który jest oceanografem. Już jest tutaj. Nie wiem, czy potrafi nam pomóc.
 - Jaki on jest?
 - W porządku, tak mi się wydaje. Młody, sympatyczny chłopak. Trochę zarozumiały, ale to nie zaskakuje. Wygląda, że dobrze zna nasze wody przybrzeżne.
 - Tak? A to ciekawe.
 - Powiedział, że jako dzieciak wielokrotnie bywał w Southampton. Spędzał tam wszystkie wakacje.
 - Pracując?
 - Nie wiem, prawdopodobnie mieszkał z rodzicami. Wygląda, że jest typowym przykładem.
 - Typowym przykładem czego?
 - Bogacza. Szacowna rodzina. Taki letni typ. Ty powinnaś to znać, na miłość boską!
 - Nie złość się, po prostu pytam.
 - Nie jestem zły. Tylko powiedziałem, że powinnaś znać ten rodzaj ludzi, to wszystko. Mam na myśli, że ty sama jesteś tego rodzaju.
- Ellen uśmiechnęła się.
- Byłam kiedyś, teraz jestem szacowną matroną.
 - Bzdury! – powiedział. – Dziewięć na dziesięć tych letnich damulek z miasta nie wygląda w stroju kąpielowym tak dobrze jak ty. – Był szczęśliwy, widząc, jak chętnie słuchała komplementów, dumny z siebie, że je prawił. To było jeden z rytualnych wstępów do seksu, a widok Ellen w łóżku nieustannie pobudzał w nim męski zapach. Miała włosy aż do ramion, na końcach zwijały się do wewnątrz. Jej koszula nocna miała tak głębokie wcięcie z przodu, że widać było niemal całe piersi, poza sutkami, które przesłaniał lekki, muślinowy materiał. Brody był pewny, że dostrzegłby je nawet w ciemności.
 - Idę umyć zęby – powiedział. – Zaraz wracam.
- Kiedy wyszedł z łazienki, był podniecony jak młody byczek. Podeszedł do toaletki i zgasił światło.
- Wiesz – powiedziała Ellen – myślę, że powinniśmy załatwić chłopcom lekcje tenisa.
 - Po co? Powiedzieli, że chcą grać w tenisa?

– Nie. Nie takimi słowami. Ale dobrze byłoby, gdyby poznali ten sport. To im pomoże, kiedy dorosną. To wejście w inny świat.

– W jaki?

– Świat ludzi, których powinni poznać. Jeśli dobrze grasz w tenisa, możesz dostać się do dowolnego klubu i zyskać dobre znajomości. Teraz jest dobry czas na naukę.

– A gdzie mieliby chodzić na lekcje?

– Myślałam o Field Club.

– O ile wiem, nie jesteśmy członkami.

– Myślę, że moglibyśmy się tam dostać. Nadal znam ludzi, którzy do niego należą. Jeśli ich poproszę, to założę się, że nas poprą.

– Daj spokój.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim nie możemy sobie na to pozwolić. Zakładam, że tysiąc dolców potrzeba na wpisowe, potem przynajmniej kilka setek na rok. Nie mamy takich pieniędzy.

– Mamy oszczędności.

– Nie na lekcje tenisa, na miłość boską!

Zapalił światło.

– To byłoby dobre dla chłopców.

Brody położył dłoń na szafce nocnej.

– Słuchaj, my nie jesteśmy takimi ludźmi. Nie czulibyśmy się tam dobrze. Oni nas tam nie chcą.

– A skąd wiesz? Nigdy nie próbowaliśmy.

– Zapomnij o tym.

Zgasił światło, podszedł do łóżka, odrzucił nakrycie i wślizgnął się obok Ellen.

– Poza tym – powiedział, muskając jej szyję – jest inny rodzaj sportu, w którym jestem lepszy.

– Chłopcy się obudzą.

– Oglądają właśnie telewizję. Nie zauważyliby, nawet gdyby bomba wybuchła w pobliżu.

Pocałował ją w szyję i zaczął kolistymi ruchami pocierać jej brzuch, przy każdym okrążeniu przesuwał dłoń coraz wyżej.

Ellen ziewnęła.

– Jestem taka śpiąca – powiedziała. – Wzięłam tabletkę na sen, zanim wróciłeś do

domu.

Brody przestał ja pieścić.

– Po jakiego diabła?

– Nie spałam dobrze poprzedniej nocy i nie chciałam się obudzić, gdybyś późno wrócił do domu. Dlatego wzięłam tabletkę.

– Mam zamiar wyrzucić te cholerne pigułki. – Pocałował ją w policzek, a potem spróbował w usta, ale w tym momencie ona ziewnęła.

– Przepraszam – powiedziała – ale obawiam się, że to nie zadziała.

– Popracuję sam. Wszystko, co masz zrobić, to mi trochę pomóc.

– Jestem taka zmęczona. Ale działaj, jeśli chcesz. Postaram się nie zasnąć.

– To bez sensu – powiedział Brody i przekręcił się na swoją stronę łóżka. – Nie zamierzam bzykać zwłok.

– To było nie na miejscu.

Brody nie odpowiedział. Leżał na plecach, wpatrywał się w sufit i czuł, jak mijało podniecenie. Ale popęd wewnętrzny nadal istniał i powodował ból w pachwinie.

Chwilę później Ellen spytała:

– A jak nazywa się przyjaciel Harry’ego Meadowsa?

– Hooper.

– Nie David Hooper?

– Nie, wydaje mi się, że ma na imię Matt.

– Byłam związana z Davidem Hooperem, ale dawno, dawno temu. Pamiętam... – Nim skończyła, zamknęła oczy i wkrótce zapadła w sen, oddychając głęboko przez usta.

Kilka budynków dalej, w oszalowanym deskami domku, ciemnoskóry mężczyzna siedział u podnóża łóżka syna.

– Jaką bajkę mam ci przeczytać? – spytał.

– Nie chcę, żebyś mi czytał – powiedział siedmioletni chłopiec. – Chce, żeby mi opowiedział historię.

– Okej, o czym ci opowiedzieć?

– O rekinie. Opowiedz mi coś o rekinie.

Mężczyzna skrzywił się z niechęcią.

– Opowiem ci o... niedźwiedziu.

– Nie, o rekinie. Chcę poznać tę o rekinie.

- Masz na myśli opowieść z gatunku: „pewnego razu”?
 - Pewnie. No wiesz: pewnego razu był rekin, który zjadał ludzi.
 - To nie jest ładna opowieść.
 - Dlaczego rekiny jedzą ludzi?
 - Przypuszczam, że są głodne. Nie wiem.
 - Czy krwawisz, gdy rekin cię zjada?
 - Tak – odpowiedział mężczyzna. – Ale już dość tego. Opowiem ci historię o innym zwierzęciu. Będziesz miał w nocy koszmary, jeśli opowiem ci o rekinie.
 - Nie, nie chcę. Gdyby rekin spróbował mnie zjeść, walnąłbym go w nos.
 - Żaden rekin nie będzie próbował cię zjeść.
 - Dlaczego nie? Jeśli pójdę popływać, to założę się, że jakiś spróbuje. Czy rekiny nie jedzą czarnych ludzi?
 - Przestań w tej chwili! Nie chcę nic więcej słyszeć o rekinach.
- Mężczyzna sięgnął do stosu książek leżących na stoliku przy łóżku.
- Mam! Poczytamy *Piotrusia Pana*.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 6

W drodze do domu w piątkowe południe, po porannej zmianie jako wolontariuszka w szpitalu w Southampton, Ellen wstąpiła na pocztę, aby kupić rulon znaczków i odebrać korespondencję. W Amity nie było listonoszy. W teorii tylko specjalne przesyłki dostarczano do drzwi domów – ale jedynie w promieniu mili od budynku poczty. Faktycznie zaś nawet listy ekspresowe (poza wyraźnie oznaczonymi i wysłanymi przez władze federalne) były przetrzymywane na poczcie, aż ktoś się po nie zgłosi.

Urząd pocztowy mieścił się w niewielkim, kwadratowym budynku przy Teal Street, niedaleko Main Street.

Było w nim pięćset skrzynek na listy, z czego trzysta czterdzieści dzierżawili stali mieszkańcy Amity. Pozostałe sto sześćdziesiąt przeznaczonych było dla letnich gości, ale zgodnie z kaprysami naczelniczki urzędu, Minnie Eldridge. Ci, których lubiła, dostawali pozwolenie na wynajęcie skrzynek przez lato. Ci, których nie lubiła, musieli czekać w kolejce przy kontuarze na odbiór korespondencji. Ponieważ nie zgadzała się dzierżawić letnikom skrzynek na cały rok, to wczasowicze nigdy nie wiedzieli, czy będą mogli nadal mieć skrzynkę pocztową, gdy wrócą kolejnego roku w czerwcu.

Ogólnie sądzono, że Minnie Eldridge była już trochę po siedemdziesiątce, ale jakoś musiało jej się udać przekonać władze w Waszyngtonie, że daleko jej było do przymusowego wieku emerytalnego. Była malutka i pozornie słabowita, ale zwodniczo silna, potrafiła przerzucać paczki i kartony prawie tak szybko jak dwaj młodzi ludzie, którzy pracowali z nią w urzędzie pocztowym. Nigdy nie wspominała o przeszłości ani życiu prywatnym. Ogólnie wiadano o niej, że urodziła się na wyspie Nantucket i opuściła ją zaraz po I wojnie światowej. Mieszkała w Amity tak długo, że każdy z żyjących tam ludzi, sięgając pamięcią wstecz, sądził, że zawsze tam była, a ona uznawała się nie tylko za miejscową, ale i za ekspertkę w kwestii historii miasta. Nie musiała wcale wtrącać się w dyskusje na temat pochodzenia nazwy Amity od żyjącej w siedemnastym wieku kobiety, Amity Hopewell, która została skazana za

czary. Znajdowała za to przyjemność w wyliczaniu listy ważniejszych wydarzeń z przeszłości miasta: lądowanie kilku brytyjskich oddziałów podczas rewolucji w ramach niefortunnej próby oskrzydlenia oddziałów kolonialnych (Brytyjczycy zgubili trasę i blądali się bez celu w tę i z powrotem po Long Island), pożar z 1833 roku, który zniszczył wszystkie budynki w mieście poza jedynym kościołem, katastrofa przewożącego rum statku w 1922 roku (transportowiec został ostatecznie zepchnięty z mielizny, ale cały ładunek, który został przeniesiony na ląd, aby go odciążać, gdzieś zniknął), huragan z 1938 roku oraz szeroko opisywane (nigdy w pełni niepotwierdzone) lądowanie niemieckich dywersantów na plaży przy Scotch Road w 1942 roku.

Ellen i Minnie działały sobie na nerwy. Ellen wyczuwała, że Minnie jej nie lubiła, i miała rację. A Minnie czuła się rozdrażniona, ponieważ nie potrafiła sklasyfikować Ellen. Według niej nie należała ona ani do kategorii letników, ani do miejscowych. Ellen nie zasłużyła według niej na całoroczną skrzynkę pocztową, ona ją tylko poślubiła.

Minnie była sama na poczcie i sortowała listy, gdy przyszła Ellen.

– Dzień dobry – powiedziała, wchodząc.

– Chyba już popołudnie – odpowiedziała Minnie, najpierw zerkając na zegar nad kontuarem.

– Mogłabym dostać zwój znaczków za osiem dolarów? – Ellen położyła na ladzie banknot pięciodolarowy i trzy monety dolarowe.

Minnie wepchnęła jeszcze kilka listów do skrzynek, odłożyła resztę pliku i podeszła do lady. Dała Ellen zwitek znaczków i wrzuciła pieniądze do szuflady.

– Co Martin zamierza zrobić z tym rekinem?

– Nie wiem. Przypuszczam, że spróbuje go schwytać.

– Nie można złapać lewiatana na hak.

– Przepraszam, nie dosłyszałam?

– Księga Hioba – powiedziała Minnie. – Żaden śmiertelnik nie da rady złapać tej ryby.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie jest nam przeznaczone, aby ją schwytać. Jeszcze na to nie zasłużyliśmy.

– Na co?

– Dowiemy się, gdy przyjdzie na to czas.

– Rozumiem. – Ellen wsunęła zwitek do torebki. – No cóż, może masz rację,

Minnie.

Odwróciła się i podeszła do drzwi.

– Z całą pewnością się nie mylę – powiedziała Minnie na odchodne.

Ellen wyszła na Main Street i skręciła w prawo, obok butiku i sklepu z antykami. Zatrzymała się przy sklepie z artykułami przemysłowymi i weszła do środka. Nikt nie zareagował na brzęk dzwonka, gdy otwierała drzwi. Poczekała kilka sekund, a potem zawołał:

– Albert?

Poszła na zaplecze magazynu, do otwartych drzwi prowadzących do piwnicy. Słyszała, jak poniżej rozmawiało dwóch mężczyzn.

– Zaraz będę na górze! – zawołał Albert Morris. – Tu jest ich pełna skrzynia. – Morris mówił do drugiego mężczyzny. – Przejrzyj i zobacz, czy znajdziesz to, czego szukasz.

Morris podszedł do podnóża schodów i zaczął po nich wchodzić na górę – powoli i niemal majestatycznie, stopień po stopniu, trzymając się poręczy. Już jakiś czas temu przekroczył sześćdziesiątkę, a dwa lata temu przeżył zawał serca.

– Knagi – powiedział, stając na szczycie schodów.

– Co? – spytała Ellen, nie rozumiejąc.

– Knagi. Koleś chce knagi do łodzi. Rozmiar, jakiego szuka, wskazuje, że musi być kapitanem pancernika. W każdym razie, co mogę dla ciebie zrobić?

– Wykruszyła mi się gumowa wylewka do zlewu, muszę kupić nową.

– Nie ma problemu. Tam są, chodź tędy.

Morris poprowadził Ellen do szafki na środku magazynu.

– To miałaś na myśli? – Podniósł gumową wylewkę.

– Doskonale.

– Osiemdziesiąt centów. Na rachunek czy gotówka?

– Zapłacę za to. Nie chcę robić zaległości przez osiemdziesiąt centów.

– Wpisywałem w zeszyt mniejsze kwoty – powiedział Morris. – Mógłbym opowiedzieć ci historie, od których napuchłyby ci uszy.

Przeszli przez wąski magazynek do kasy i gdy Morris wbijał klawiszami kwotę, powiedział:

– Wielu ludzi jest zaniepokojonych rekinem.

– Wiem. Nie możesz ich za to winić.

– Uważają, że plaże powinny być znowu otwarte.

– No cóż, ja...

– Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że to... przepraszam za wyrażenie... głównie prawda. Sądzę, że Martin dobrze robi.

– Cieszę się, że tak mówisz, Albercie.

– Może ten nowy koleś pomoże.

– Kto to jest?

– Ekspert od ryb z Massachusetts.

– A, tak. Słyszałam, że jest w mieście.

– Właśnie tutaj.

Ellen rozejrzała się, ale nikogo nie zauważyła.

– Co to znaczy?

– Na dole, w piwnicy. To on wybiera te knagi.

I wtedy Ellen usłyszała odgłosy kroków na schodach. Odwróciła się i zobaczyła Hoopera przechodzącego przez drzwi, i nagle poczuła przypływ dziewczęcego zmieszania, jakby zobaczyła ukochanego, którego nie widziała od lat. To był obcy mężczyzna, ale miał w sobie coś znajomego.

– Znalazłem – oznajmił Hooper, pokazując dwie wielkie knagi z nierdzewnej stali. Podszedł do lady sklepowej, uśmiechnął się grzecznie do Ellen i powiedział do Morrisa: – Te się nadają.

Położył żelastwo na ladzie i wręczył Morrisowi dwudziestopięciodolarowy banknot.

Ellen spojrzała na Hoopera, próbując obudzić wspomnienia. Miała nadzieję, że Albert Morris przedstawi ich sobie, ale chyba nie miał takiego zamiaru.

– Proszę o wybaczenie – zwróciła się do Hoopera – ale muszę o coś zapytać.

Hooper spojrzał na nią i uśmiechnął się ponownie – miły, przyjacielski uśmiech, który złagodził kanciastość jego postaci i spowodował, że jego błękitne oczy zalśniły.

– No pewnie – odpowiedział. – Proszę pytać.

– Nie jesteś przypadkiem krewnym Davida Hoopera?

– Jest moim starszym bratem. Ty znasz Davida?

– Tak – powiedziała Ellen – a raczej znałam go kiedyś. Chodziłam z nim dawno temu. Jestem Ellen Brody. Kiedyś Ellen Shepherd, to znaczy byłam wtedy.

– No jasne. Pamiętam cię.

– Niemożliwe.

– Możliwe, nie żartuję. Mogę ci to udowodnić. Niech pomyślę... Wtedy miałaś krótsze włosy, fryzurę „na pazia”. Nosiałaś bransoletkę z zawieszką w kształcie wieży

Eiffla. I w kółko śpiewałaś jedną piosenkę. Jak ona się nazywała...? Sh-Boom albo coś podobnego. Prawda?

Ellen zaśmiała się.

– Na niebiosa! Masz zdumiewającą pamięć. Zapomniałam o tej piosence.

– To pokręcone, jakie rzeczy pamiętamy z dzieciństwa. Chodziłaś z Davidem przez ile, dwa lata?

– Dwa letnie sezony – sprecyzowała Ellen. – Były fajne. Nie myślałam o tym zbyt dużo przez ostatnie lata.

– A mnie pamiętasz?

– Mgliście. Nie jestem pewna. Pamiętam, że David miał młodszego brata. Musiałeś mieć jakieś dziewięć, dziesięć lat.

– Coś blisko tego. David jest dziesięć lat starszy ode mnie. Pamiętam jeszcze jedną rzecz. Wszyscy nazywali mnie Matt. Myślałem, że to brzmi dorośle. Ale ty nazywałaś mnie Matthew. Powiedziałaś, że to brzmiało bardziej dostojnie. Prawdopodobnie byłem w tobie zakochany.

– Och? – Ellen zaczerwieniła się, a Morris zaśmiał.

– Tak bywało – powiedział Hooper. – Zakochiwałem się we wszystkich dziewczynach, z którymi chodził David.

– Ojej!

Morris wręczył resztę Hooperowi, a ten powiedział do Ellen:

– Jadę na nabrzeże, może cię podwieźć?

– Nie ma potrzeby. Mam samochód.

Podziękowała Morrisowi i razem z Hooperem wyszli ze sklepu.

– A więc jesteś naukowcem? – spytała, gdy już byli na zewnątrz.

– Chyba przez przypadek. Zacząłem od anglistyki. Ale potem poszedłem na biologię morską, aby sprostać przedmiotom obowiązkowym i – bingo! Dostałem bzika.

– Z jakiego powodu? Ocean?

– Nie... To znaczy tak i nie. Zawsze miałem wariację na punkcie oceanu. Kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat, moim pomysłem na wielką przygodę było wziąć śpiwór na plażę i spędzić noc, leżąc i słuchając szumu fal oraz zastanawiając się, skąd przybyły i jaką drogę pokonały. W college’u zwariowałem na punkcie ryb, albo, żeby być dokładnym, rekinów.

Ellen zaśmiała się.

– Koszmarny obiekt pożądania. To jakby mieć zamiłowanie do szczurów.

– Tak właśnie myśli większość ludzi – przyznał Hooper. – Ale się mylą. Rekiny są wszystkim, o czym marzy naukowiec. Są piękne... Boże, jakie one są piękne! Są jak nieprawdopodobnie doskonałe maszyny. Pełne gracji jak jakieś ptaki. Tajemnicze jak każde zwierzę na ziemi. Nikt nie wie, jak długo żyją oraz na jakie impulsy – poza głodem – reagują. Jest ponad dwieście gatunków rekinów i każdy z nich różni się od reszty. Naukowcy spędzają całe lata, próbując ustalić jakąś teorię na temat ich życia, i gdy wydaje im się, że już to osiągnęli, jakiś drobiazg ją obala. Ludzie przez ponad dwa tysiące lat poszukiwali skutecznego sposobu ochrony przed rekinami. Nigdy nie znaleźli takiego, który by naprawdę działał.

Przerwał i spojrzał na Ellen.

– Przepraszam, nie chciałem zanudzać się wykładem. Ale jak widzisz, jestem nałogowcem.

– Wyobrażam sobie, że poszedłeś na Yale? – powiedziała Ellen.

– Oczywiście! A gdzieżby indziej? Przez cztery pokolenia tylko jeden mężczyzna z naszej rodziny nie poszedł na Yale i to był mój wujek, który porzucił Andover i skończył na Uniwersytecie Miami w Ohio. Po Yale poszedłem na studia uzupełniające na Uniwersytecie Floryda, a potem spędziłem kilka lat, uganiając się za rekinami po całym świecie.

– To musiało być interesujące.

– Dla mnie to był raj. To jakby dać alkoholikowi klucze do destylarni. Znakowaliśmy rekiny w Morzu Czerwonym i nurkowałem z nimi w Australii. Im więcej się dowiadywałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, jak mało o nich wiem.

– Nurkowałeś z nimi?

Hooper skinął głową.

– Głównie w klatce, ale czasami bez. Wiem, co sobie pomyślałaś. Wielu ludzi sądziło, że szukałem śmierci. Szczególnie moja matka. Ale jeśli wiesz, co robisz, to potrafisz zmniejszyć niebezpieczeństwo niemal do zera.

– To musisz być najlepszym żyjącym znawcą rekinów.

– Coś ty! – zawołał Hooper ze śmiechem. – Ale staram się. Przepadła mi ekspedycja Petera Gimbela. A dałbym wszystko, aby na nią pojechać. Powstał z niej film. Marzę o takiej wyprawie. Byli w wodzie z dwoma żarłaczami białymi, rekinami tego samego gatunku, jaki teraz jest tutaj.

– W takim razie cieszę się, że nie pojechałeś na tę wyprawę – powiedziała Ellen. –

Prawdopodobnie próbowałbyś sprawdzić, jaki widok byłby z wnętrza jednego z tych rekinów. Ale opowiedz mi o Davidzie. Jak mu się wiedzie?

– W porządku, jeśli weźmie się wszystko pod uwagę. Jest brokerem w San Francisco.

– Co to znaczy, jeśli wszystko weźmie się pod uwagę?

– No cóż. Jest z drugą żoną. Jego pierwszą – może ją znasz – była Patty Fermont.

– Oczywiście. Grywałam z nią w tenisa. Zdecydowała się przejść Davida ode mnie. Tak ładnie bym to nazwała.

– To trwało trzy lata, dopóki nie uczepiła się kogoś z ogromnym rodzinnym interesem i domem w Antibes we Francji. I David odszedł, by znaleźć sobie dziewczynę, której ojciec był głównym udziałowcem w kompanii naftowej. Jest dość ładna, ale ma inteligencję karczocha. Gdyby David miał jakiś rozum, to wiedziałby, kiedy było mu dobrze, i trzymałby się ciebie.

Ellen zarumieniła się i powiedziała wzruszona:

– To ładne, że tak mówisz.

– Mówię poważnie. Tak właśnie bym zrobił, gdybym był nim.

– A co ty robiłaś? Jaka szczęśliwa dziewczyna cię złowiła?

– Żadna, przynajmniej jak dotąd. Przypuszczam, że dookoła są dziewczyny, które nie wiedzą, jakie mogłyby mieć szczęście – zaśmiał się Hooper. – Powiedz coś o sobie. Albo nie, niech zgadnę. Trójka dzieci, prawda?

– Prawda. Nie wiedziałam, że tak bardzo to widać.

– Nie, nie. Nie o to mi chodziło. Tego zupełnie nie widać. Twój mąż... pomyślmy... to prawnik. Wielki apartament w mieście i wygodny dom letniskowy tutaj. Na pewno jesteś szczęśliwa. To właśnie coś, czego bym ci życzył.

Ellen pokręciła głową i zaśmiała się.

– Niezupełnie. Nie mam na myśli szczęścia, tylko resztę. Mój mąż jest szefem policji w Amity.

Hooper przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Potem klepnął się otwartą dłonią w czoło i powiedział:

– Ale dureń ze mnie. Oczywiście, Brody! Dlaczego tego wcześniej nie skojarzyłem! To wspaniale. Spotkałem twójgo męża ostatniej nocy. Wydaje się niczego sobie chłopem.

Ellen pomyślała, że wyczuła nutkę ironii w głosie Hoopera, ale potem powiedziała sobie: „Nie bądź głupia, wymyślasz to sobie”.

– Jak długo tu zostaniesz? – spytała.

– Nie wiem. To zależy od tego, jak potoczy się afera z rekinem. Jak tylko stąd zniknie, ja też wyjeżdżam.

– Mieszkasz w Woods Hole?

– Nie, ale niedaleko. W Hyannisport. Mam mały dom na wodzie. Lubię być blisko wody. Jeśli znajdę się dziesięć mil w głębi lądu, zaczynam odczuwać klaustrofobię.

– Żyjesz samotnie?

– Zupełnie sam. Tylko ja i wart dla mnie stu milionów dolarów sprzęt stereofoniczny oraz milion książek. Hej, czy ty nadal tańczysz?

– Tańczę?

– Tak. To pamiętam. David często powtarzał, że byłaś najlepszą tancerką, jaką spotkał. Wygrałaś turniej, prawda?

Przeszłość – jak uwolniony z klatki, długo w niej przetrzymywany ptak – poderwała się do lotu i wirowała wokół głowy, budząc tęsknotę.

– Zawody samby – przyznała. – W Beach Club. Zapomniałam. Nie, już potem nie tańczyłam. Martin nie tańczy, a nawet gdyby tak było, to myślę, że już nikt nie gra tego rodzaju muzyki.

– To też szkoda. David mówił, że byłaś wspaniała.

– To była wspaniała noc – wyznała Ellen i pozwoliła, aby jej umysł odpłynął w przeszłość, rozpoznając cienie wspomnień. – To była grupa Lestera Lanina. Beach Club był udekorowany krepiną i balonami. David miał na sobie ulubioną marynarkę z czerwonego jedwabiu.

– Mam ją do teraz – wyznał Hooper. – Odziedziczyłem ją po nim.

– Grali te wszystkie cudowne piosenki. Mountain Geenery była jedną z nich. A on tak dobrze tańczył swinga. Ledwie mogłam za nim nadążyć. Tylko jednej rzeczy nie potrafił, walca. Mówił, że powoduje u niego zawroty głowy. Wszyscy byli tak opaleni. Wydaje mi się, że przez całe lato ani razu nie spadł deszcz. Pamiętam, że wybrałam żółtą sukienkę. Chyba były dwa konkursy, charlestona wygrali Susie Kendall i Chip Fogerty. A potem konkurs samby. W finale zegrali *Brazil*, a my tańczyliśmy, jakby zależało od tego nasze życie. Wyginaliśmy się na boki i do tyłu jak szaleńcy. Myślałam, że się przewrócę, gdy już to wszystko się skończyło. Wiesz, co zdobyliśmy jako pierwszą nagrodę? Kurczaka w puszcze. Trzymałam ją tak długo w swoim pokoju, aż zaczęła puchnąć i ojciec kazał mi ją wyrzucić. – Ellen zaśmiała się. – To były fajne czasy. Staram się nie myśleć o nich zbyt często.

– Dlaczego?

– Przeszłość zawsze wydaje się lepsza, gdy na nią spoglądasz z przyszłości. A terażniejszość też nie wygląda tak dobrze jak wtedy, gdy będzie się na nią patrzeć z przyszłości. To przygnębiające, jeśli spędzasz zbyt dużo czasu, wracając do starych radości. Myślisz potem, że nie spotka się już nic równie dobrego.

– Łatwo mi jest trzymać umysł z dala od przeszłości.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie była po prostu zbyt wzniosła. David był pierworodny. Ja pojawiłem się znacznie później. Sądzę, że moim przeznaczeniem było utrzymanie razem małżeństwa rodziców. I nie udało się. To parszywe uczucie, gdy zawodzisz przy pierwszej sprawie, którą miałeś załatwić. David miał dwadzieścia lat, gdy rodzice się rozwodzili. Ja nie miałem nawet jedenastu. A rozwód nie był specjalnie przyjemny. Również kilka wcześniejszych lat nie było pogodnych. W każdym razie cieszę się z innych rzeczy. I nie spoglądam za siebie zbyt często.

– Spodziewam się, że tak jest zdrowiej.

– Nie wiem. Może gdybym miał wspaniałą przeszłość, to spędzałbym cały czas, żyjąc wspomnieniami. Ale... dość już o tym. Powinienem już jechać na przystań. Jesteś pewna, że nigdzie nie mogę cię podrzucić?

– Zdecydowanie. Mam samochód po drugiej stronie ulicy.

– Okej. No cóż... – Hooper wyciągnął rękę. – Bardzo się cieszę, że mogłem cię znów zobaczyć, i mam nadzieję, że zanim wyjadę, jeszcze się spotkamy.

– Chciałabym – powiedziała Ellen, ściskając jego dłoń.

– Nie spodziewam się, że uda mi się zabrać cię na kort tenisowy któregoś popołudnia?

– Och... Nie pamiętam, kiedy ostatnio trzymałam w dłoni raketę tenisową. Ale dzięki za zaproszenie.

– Okej. Dobrze... Do zobaczenia.

Hooper odwrócił się i podbiegł kilka kroków chodnikiem do samochodu, zielonego forda pinto.

Ellen stała i patrzyła, jak Hooper skręcił na parkingu i wyjechał na ulicę. Gdy koło niej przejeżdżał, uniosła dłoń na wysokość ramienia i pomachała nieśmiało, jakby z obawą. Hooper wysunął rękę przez okno i zamachał. A potem samochód skręcił i zniknął za rogiem budynku.

Okropny, bolesny smutek ogarnął Ellen. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej

poczuła, że jej życie – przynajmniej jego najlepsza część, pełna zabaw i beztroski – już przeminęła. Powrót do wspomnień wzbudził w niej poczucie winy, jakby miała być nieczułą matką i zawiedzioną małżonką. Nienawidziła własnego życia i nienawidziła siebie za tę nienawiść. Pomyślała o słowach z piosenki, którą słyszała na sprzęcie stereo Billy'ego: *Sprzedam wszystkie jutra za jedno wczoraj*. Czy mogła dokonać takiej transakcji? Zastanawiała się. Ale jaki sens miały takie rozważania? Wczoraj odeszło, znikając w studni pamięci, która nie miała dna. Niczego z dawnego bogactwa, niczego z tamtej radości nie dało się już odzyskać.

Wizja śmiejącego się Hoopera trwała w jej umyśle. Zapomnij o tym, powiedziała sobie. To głupie. Gorzej. To daremne.

Przeszła na drugą stronę ulicy i wsiadła do samochodu. Włączyła się do ruchu ulicznego i zobaczyła Larry'ego Vaughana, stojącego na rogu ulicy. Boże, pomyślała, wyglądał tak smutno, aż żal ogarniał.

ROZDZIAŁ 7

Weekend minął tak spokojnie, jakby był już koniec jesieni. Przy zamkniętych plażach widać było tylko policję. Amity wyglądało na wymarłe. Hooper krążył wzdłuż wybrzeża w łodzi Bena Gardnera, ale jedyne oznaki życia, jakie dostrzegał w wodzie, to kilka ławic śledziowatych albo sardeli oraz jedna mała ławica błękitnych tasergali. Przed niedzielną nocą, gdy plaże koło East Hampton były przez cały dzień zatłoczone i nie pojawił się tam żaden rekin, Matt powiedział Brody'emu, że według niego drapieżnik powrócił w głębiny oceaniczne.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Nie ma po nim żadnego śladu – stwierdził Hooper. – W przeciwieństwie do innych ryb. Gdyby żarłacz biały był w sąsiedztwie, to wszystkie by przed nim umykały. Potwierdzają to wszyscy nurkowie, którzy mieli kontakt z żarłaczami. Gdy one się zjawiają, to w wodzie panuje przeraźliwy spokój.

– Nie jestem przekonany – powiedział Brody. – Przynajmniej nie na tyle, aby otworzyć plaże. Jeszcze nie.

Wiedział, że po weekendzie pozbawionym zdarzeń pojawią się naciski – ze strony Vaughana albo innych agentów nieruchomości oraz sklepikarzy – aby otworzyć plaże. Prawie żałował, że Hooper nie znalazł rekina. Teraz nie było nic poza pośrednimi dowodami, a to dla policyjnego umysłu było za mało.

W poniedziałek po południu Brody siedział w biurze, kiedy Bixby powiedział mu, że dzwoni Ellen.

– Wybacz, że ci przeszkadzam – powiedziała – ale chciałam coś z tobą ustalić. Co myślisz o zorganizowaniu towarzyskiej kolacji?

– A po co?

– Aby spotkać się ze znajomymi. Nie robiliśmy tego w tym roku. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio organizowaliśmy przyjęcie.

– Nie – powiedział Brody. – Ja też nie pamiętam.

To już było kłamstwo. Pamiętał zbyt dobrze ich ostatnie wieczorne przyjęcie. Trzy

lata temu Ellen była w środku krucjaty, aby odbudować związki ze społecznością letników. Zaprosiła trzy pary z tego środowiska. To byli raczej mili ludzie, jak wspominał Brody, ale rozmowy były sztywne, trywialne i krępujące. Brody i goście poszukiwali wspólnych tematów czy zainteresowań, ale nic z tego nie wyszło. Dlatego po chwili zrezygnowali z tych wysiłków i zaczęli dyskutować we własnym gronie, z zażenowaniem i grzecznie pozwalali wtrącać się Ellen, kiedykolwiek mówiła coś w stylu: „Och, pamiętam go”. Zachowywała się nerwowo i chaotycznie, a kiedy goście już wyszli, pozmywała naczynia i powiedziała dwukrotnie do Brody’ego: „Czy to nie był udany wieczór?” – po czym zamknęła się w łazience i zaczęła płakać.

– Co o tym sądzisz? – spytała teraz.

– Nie wiem. Od ciebie zależy, czy chcesz to zrobić. A kogo masz zamiar zaprosić?

– Przede wszystkim myślę, że powinniśmy ściągnąć Matta Hoopera.

– A po co? On objada się u Abelarda. I wszystko jest wliczone w cenę pokoju.

– To nie ma znaczenia, Martin. Wiesz o tym. Jest sam w mieście, a poza tym jest bardzo miły.

– A skąd to wiesz? Nie wiedziałem, że go znasz.

– Nie mówiłam ci? Natknęłam się na niego w piątek u Alberta Morrisa. Byłam pewna, że ci o tym wspominałam.

– Nie, ale mniejsza o to. To niczego nie zmienia.

– Okazało się, że jest bratem Hoopera, którego kiedyś znałam. Pamiętał mnie lepiej niż ja jego. Ale on jest dużo młodszy.

– Ho, ho! A kiedy planujesz to wielkie przyjęcie?

– Myślałam o jutrzejszym wieczorze. I to nie będzie żadne wielkie przyjęcie. Po prostu myślałam, że moglibyśmy zorganizować kolację dla kilku par. Może razem sześć do ośmiu osób.

– Myślisz, że znajdziesz chętnych w tak krótkim terminie?

– Oj, tak. Ludzie raczej nudzą się w ciągu tygodnia. Jest kilka grup brydżowych, ale to praktycznie wszystko.

Ale – podchwycił Brody – ty masz na myśli wczasowiczów.

– To właśnie miałam na myśli. Matt z pewnością będzie czuł się z nimi swobodnie. A co z Baxterami? Mogą być zabawni.

– Nie sądzę, abym ich znał.

– Znasz, ty głuptasie. Clem i Cici Baxter. Ona była kiedyś Cici Davenport. Mieszkają przy Scotch. On ma teraz wakacje. Wiem o tym, gdyż spotkałam go rano na

ulicy.

– Okej. Spróbuj ich zaprosić, jeśli chcesz.

– Kto jeszcze?

– Może ktoś, z kim ja mogę pogadać. Co z Meadowsem?

– Tylko że Matt już zna Harry'ego.

– Ale nie zna Dorothy. A ona jest gadatliwa.

– W porządku – zgodziła się Ellen. – Sądzę, że trochę lokalnego kolorytu nie zaszkodzi. A Harry wie o wszystkim, co dzieje się dookoła.

– Nie myślałem o lokalnym kolorycie – zachnął się Brody. – To są nasi przyjaciele.

– Wiem. Nie to miałam na myśli.

– Jeśli chcesz lokalnego kolorytu, to wystarczy po prostu spojrzeć na drugą stronę łóżka.

– Wiem, powiedziałam, że przepraszam.

– Kto jeszcze? – spytał Martin. – Wydaje mi się, że powinnaś znaleźć jakąś miłą towarzyszkę dla Hoopera.

Przez chwilę panowała cisza, nim Ellen powiedziała:

– Jeśli tak myślisz...

– Tak naprawdę nie dbam o to. Po prostu pomyślałem, że będzie zadowolony, jeśli będzie miał kogoś w swoim wieku, z kim mógłby pogadać.

– On nie jest aż tak młody, Martin. A my nie jesteśmy tak starzy. Ale w porządku. Zobaczę, czy potrafię znaleźć kogoś, kto mógłby go zabawiać.

– Zobaczymy się później – powiedział Brody i odłożył słuchawkę. Był przygnębiony, gdyż wyczuwał coś złowieszczonego w tym wieczornym spotkaniu. Nie był pewny, ale wierzył – a im więcej o tym myślał, tym bardziej zaczynał wierzyć – że Ellen wzniecała kolejną kampanię, aby dostać się ponownie do starego świata, z którego ją zabrał, i tym razem znalazła wytrych, przy pomocy którego chciała otworzyć drzwi do niego. Tym wytrychem był Hooper.

Następnego dnia Brody wrócił do domu trochę po siedemnastej. Ellen siedziała w jadalni przy dużym stole. Brody pocałował ją w policzek o powiedział:

– O rany! Minęło już tyle czasu, odkąd widziałem te srebra! – To były srebrne sztucce, które Ellen dostała od rodziców w prezencie ślubnym.

– Wiem. Godziny zajęło mi ich wypolerowanie.

– I będziesz się w tym przeglądać? – Brody podniósł lampkę do wina z tulipanowym

kielichem. – Gdzie je dostałaś?

– Kupiłam je w sklepie Lurego.

– Ile za nie dałaś?

Brody postawił kieliszek na stole.

– Nie tak dużo – powiedziała, składając serwetkę, aby położyć ją pod sztuccami.

– Ile?

– Dwadzieścia dolarów. Ale to za cały tuzin.

– Ty nie żartujesz, gdy zabierasz się za organizowanie przyjęcia.

– Nie mieliśmy żadnych porządnych kieliszków do wina – odpowiedziała na swoją obronę. – Ostatni z naszych starych zbił się miesiąc temu, gdy Sean przewrócił się na kredens.

Brody policzył krzesła stojące wokół stołu.

– Tylko sześć? – spytał. – Co się stało?

– Baxterowie nie mogą przyjść. Dzwoniła Cici. Clad musiał pojechać do miasta w jakichś sprawach, a ona uznała, że musi jechać z nim. Tam spędzą noc. – Uniosła lekko głos z fałszywą beztroską.

– Och! – powiedział Brody z fałszywym smutkiem. – Szkoda.

Bał się pokazać, jaką przyjemność sprawiła mu ta informacja.

– Kogo znalazłaś dla Hoopera, jakąś młodą i miłą laleczkę?

– Daisy Wicker. Pracuje u Gibby’ego w Bibelocie. To miła dziewczyna.

– O której przyjdą goście?

– Meadowsowie i Daisy o siódmej trzydzieści. Matthew o siódmej.

– Myślałem, że ma na imię Matt.

– Och, tak. Tylko przypomniał mi się stary żart. Rzeczywiście nazywałam go Matthew, kiedy był jeszcze młody. Chciałam, żeby przyszedł wcześniej, aby dzieciaki miały szansę lepiej go poznać. Wierzę, że będą nim zauroczone.

Brody spojrział na zegarek.

– To znaczy, że nie zaczniemy jeść przed ósmą trzydzieści albo nawet dziewiątą. Prawdopodobnie jeszcze przed tym zagłodzę się na śmierć. Zrobię sobie jakąś kanapkę.

Poszedł do kuchni.

– Tylko się nie opychaj – powiedziała Ellen. – Przygotowałam wspaniałą kolację.

Brody wciągał nosem zapachy z kuchni, przyglądał się stojącym w nieładzie garnkom i opakowaniom po zakupach, po czym spytał:

– Co gotujesz?

– Nazywa się to luzowana jagnięcina – powiedziała – i mam nadzieję, że jej nie spartaczyłam.

– Pachnie dobrze – powiedział Brody. – Co to za cudactwo jest przy zlewie? Mam to wyrzucić i umyć garnek?

Ellen odezwała się z jadalni:

– Jakie cudactwo?

– To w garnku.

– Och, nie. Mój Boże! – zawołała i pobiegła do kuchni. – Nawet nie śmiej tego wyrzucać!

Zobaczyła uśmiech na twarzy męża.

– Ty szcurze! – zawołała i uderzyła go dłonią w plecy. – To zupa gazpacho!

– Jesteś pewna, że nadal jest dobra? – drażnił ją. – Bo wygląda na trochę spleśniałą.

– Tak jak powinna wyglądać, ty tłumoku!

Brody pokręcił głową.

– Poczciwy Hooper pożałuje, że nie zjadł czegoś porządnego u Abelarda.

– Ty bestio – powiedziała. – Poczekaj, dopóki nie spróbujesz. Wtedy zmienisz zdanie.

– Może. Jeśli pożyję na tyle długo. – Zaśmiał się i podszedł do lodówki.

Pogrzebał w niej i znalazł plasterki mortadeli oraz sera na kanapkę. Otworzył piwo i wszedł do jadalni.

– Sądzę, że trochę pooglądam wiadomości, a potem wezmę prysznic i przebiorę się – powiedział.

– Położyłam ci czyste rzeczy na łóżku. Mógłbyś się też ogolić. Masz nieładny zarost po porannym goleniu.

– Dobry Boże, kto tu przychodzi na kolację? Księżę Filip i Jackie Onassis?

– Chcę tylko, abyś ładnie wyglądał, to wszystko.

Pięć minut po siódmej rozbrzmiał dzwonek u drzwi i Brody otworzył je. Miał na sobie koszulę w niebieską kratkę madrasową, błękitne spodnie od garnituru oraz buty ze znakomitej skóry cordovan. Czuł się świeży i czysty, jak mówiła Ellen. Ale kiedy przyjrzał się Hooperowi, to poczuł się, jeśli nie stłamszony, to przynajmniej zdeklasowany. Matt miał na sobie dzwonowate niebieskie dżinsy, miękkie mokasyny Weejun bez skarpetek i czerwoną koszulkę Lacoste, oczywiście z aligatorem na piersi. To był strój młodych i bogatych turystów w Amity.

– Cześć – powiedział Martin. – Wchodź.

– Cześć – powtórzył Hooper i uścisnęli sobie dłonie.

Ellen wyszła z kuchni. Zdążyła włożyć na siebie długą batikową spódnicę, pantofelki i jedwabną niebieską bluzkę. Miała też na szyi sznur hodowlanych pereł, który dał jej Brody jako prezent ślubny.

– Matthew – powiedziała – cieszę się, że przyszedłeś.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś – powiedział Hooper, ściskając dłoń gospodyni. – Przepraszam, że nie wyglądam bardziej szykownie, ale nie zabrałem ze sobą innych ubrań poza tymi do pracy. Wszystko, co mogę o nich powiedzieć, to że są czyste.

– Nie przesadzaj – powiedziała Ellen – wyglądasz świetnie. Czerwony świetnie pasuje do twojej opalenizny i włosów.

Hooper zaśmiał się, po czym odwrócił i powiedział do Martina:

– Nie masz nic przeciwko, że dam coś Ellen?

– Co masz na myśli? – spytał Brody i pomyślał: Co chcesz jej dać? Całusa? Pudełko czekoladek? Cios w nos?

– Prezent. To nic wielkiego. Po prostu coś znalazłem.

– Nie ma problemu – powiedział Martin, nadal skonsternowany zadaniem pytaniem.

Hooper sięgnął do kieszeni dzinsów i wyciągnął małe pudełeczko owinięte w bibułkę. Wręczył je Ellen.

– Dla gospodyni – powiedział. – To w ramach przeprosin za mój prostacki strój.

Ellen zachichotała i odwinęła cienki papier. W środku było coś, co przypominało talizman albo wisiołek do naszyjnika, szerokości około cala.

– Prześliczny – stwierdziła. – Co to jest?

– Ząb rekina – odparł Hooper. – Aby być dokładniejszym, ząb rekina tygrysięgo. W srebrnej oprawie.

– Gdzie to dostałeś?

– W Makao. Przejeżdżałem tamtędy kilka lat temu w ramach pracy na uniwersytecie. W bocznej uliczce był malutki sklepik, gdzie jeszcze mniejszy Chińczyk spędzał całe życie, szlifując zęby rekinów, aby oprawiać je do srebrnych kolczyków. Nie mogłem się oprzeć.

– Makao – powiedziała Ellen. – Nie sądzę, abym potrafiła znaleźć to miejsce na mapie, nawet gdyby mi kazali. To musiało być fascynujące.

– To niedaleko Hong Kongu – wtrącił się Martin.

– Właśnie – potwierdził Hooper. – W każdym razie istnieje przesąd, że jeśli masz

coś takiego ze sobą, to uchroni cię przed atakiem rekina. W obecnych okolicznościach pomyślałem, że to może być odpowiedni prezent.

– Zgadzasz się – przyznała Ellen. – Ty też masz taki?

– Tak – odparł Hooper – ale nie wiem, jak go nosić. Nie lubię mieć niczego na szyi, a jeśli chciałbym go nosić w kieszeni spodni, to są z tym dwa problemy. Pierwszy, że może ci się wbić w nogę, a drugi, że w końcu i tak potniesz sobie spodnie. To jak noszenie otwartego scyzoryka w kieszeni. Dlatego w moim przypadku praktyka bierze górę nad przesądem, przynajmniej gdy jestem na suchym lądzie.

Ellen zaśmiała się i zwróciła do męża:

– Martin, mam do ciebie ogromną prośbę. Mógłbyś skoczyć na górę i przynieść cieniutki srebrny łańcuszek z mojej szkatułki na biżuterię? Założę na niego od razu ząb od Matthew.

A potem obróciła się do Hoopera.

– Nigdy nie wiesz, kiedy możesz spotkać rekina na kolacji.

Brody wchodził po schodach, a Ellen jeszcze zawołała za nim:

– Martin, powiedz chłopcom, żeby zeszli na dół.

Gdy był na szczycie schodów, usłyszał jeszcze, jak Ellen powiedziała:

– Wspaniale znowu się spotkać.

Martin wszedł do sypialni i usiadł na krawędzi łóżka. Wziął głęboki oddech i zaczął zaciskać i otwierać dłonie. Walczył z gniewem i zamętem w głowie, czuł się zagubiony. Jakby intruz dostał się do jego domu i groził mu, posiadając subtelną, niedostrzegalną broń, z którą nie mógł sobie poradzić: wygląd, młodość, wyrafinowanie, a przede wszystkim wspólnotę wspomnień z Ellen. Wiedział o tym. Wcześniej sądził, że Ellen planowała wykorzystać Hoopera, aby zaimponować innym letnim gościom, jednak teraz miał wrażenia, że chciała przypodobać się samemu Hooperowi. Nie wiedział dlaczego. Może się mylił. Przecież Ellen i Matt znali się od dawna. Może wyolbrzymiał wszystko, a dwójka przyjaciół próbowała jedynie odnowić relacje. Przyjaciele? Chryste, Hooper musiał być młodszy od Ellen o jakieś dziesięć lat. To jakimi przyjaciółmi mogli być w młodości? Znajomymi. Zaledwie. To dlaczego zachowywała się z taką kokieteryą? To ją poniżało, pomyślał Brody, i poniżało jego samego, gdy próbowała w ten sposób ukryć kompleksy z powodu ich prowincjonalnego stylu życia.

– Pieprzyć to – rzucił głośno do siebie.

Wstał, otworzył szufladę komody i grzebał w niej, dopóki nie znalazł szkatułki na

bizuterię Ellen. Wyjął srebrny łańcuszek, zamknął szufladę i wrócił na korytarz. Wsadził głowę do pokoju chłopców i powiedział:

– Idziemy, żołnierze – oznajmił, a potem zszedł po schodach.

Ellen i Matt siedzieli na dwóch końcach kanapy, a gdy Martin wchodził do sypialni, usłyszał, jak żona mówi:

– Może byś wolał, abym nie nazywała cię Matthew?

Hooper zaśmiał się i powiedział:

– Nie przeszkadza mi to. To budzi pewne wspomnienia, ale bez względu na to, co powiedziałem tamtego dnia, nie ma w tym nic złego.

Tamtego dnia? Brody zamyślił się. W sklepie żelaznym Morrisa? To tam musiała odbyć się między nimi jakaś rozmowa.

– Proszę – powiedział, wręczając Ellen łańcuszek.

– Dziękuję – odparła.

Zdjęła z szyi sznur pereł i odrzuciła go na stolik do kawy.

– A teraz pokaż mi, Matthew, jak to powinno wyglądać.

Brody chwycił sznur pereł ze stolika i włożył do kieszeni.

Chłopcy schodzili po schodach rzędem, porządnie ubrani w sportowe koszulki i luźne, letnie spodnie. Ellen zapięła srebrny łańcuszek na szyi, uśmiechnęła się do Matta i powiedziała:

– Chodźcie tutaj, chłopcy. Poznacie pana Hoopera. To jest Billy. Ma czternaście lat.

Chłopak uściskał dłoń gościa.

– A to Martin junior. Ma dwanaście. A to jest Sean. Ma dziewięć... prawie dziewięć. Pan Hooper jest badaczem oceanów.

– Obecnie ichtiologiem – wyjaśnił gość.

– A kto to jest? – spytał Martin junior.

– Zoolog, który specjalizuje się w życiu ryb.

– A kto to jest zoolog? – spytał Sean.

– Ja to wiem – powiedział Billy. – To gość badający zwierzęta.

– Racja – zgodził się Hooper. – Dobry jesteś.

– Czy masz zamiar schwycić rekina? – spytał Martin junior.

– Chciałbym go odnaleźć – odparł Hooper. – Ale nie wiem, czy to się uda. Może już odpłynął.

– Czy kiedykolwiek schwyciłeś rekina?

– Tak. Ale nie tak dużego jak ten.

– Czy rekiny składają jaja? – spytał Sean.

– Tak, młody człowieku – odpowiedział Hooper. – To dobre pytanie i jednocześnie skomplikowane. Ale nie tak jak kury, jeśli o to ci chodziło. Ale tak, rekiny składają jaja.

– Dajcie szansę panu Hooperowi – powiedziała Ellen i zwróciła się do męża: – Martin, mógłbyś zrobić nam drinki?

– Oczywiście. A co ma być?

– Ja poproszę o dżin z tonikiem – powiedział Hooper.

– A dla ciebie, Ellen?

– Może poproszę trochę wermutu z kostkami lodu.

– Hej, mamó – zawołał Billy. – A co ty masz na szyi?

– Ząb rekina, kochanie. Pan Hooper mi go dał.

– O, rany! Jest naprawdę fajny! Mogę go obejrzeć?

Brody wszedł do kuchni. Alkohol trzymali w szafce nad zlewem. Drzwiczki były zatrzaśnięte. Szarpnął za metalową rączkę, ale ta pozostała w jego dłoni. Bez wahania wyrzucił uchwyt do kosza na śmieci. Z szuflady wyciągnął śrubokręt i podważył nim drzwiczki szafki.

Wermut. Do cholery, jakiego koloru była ta butelka? Nikt nie pije wermutu z kostkami lodu. Kiedy Ellen już piła, co zdarzało się rzadko, to decydowała się zwykle na wódkę żytnią z imbirem. Z tyłu wypatrzył zieloną butelkę. Chwycił ją, odkręcił nakrętkę i powąchał. Pachniało jak te tanie wina owocowe, które pijaczkowie kupują po 69 centów za pół litra.

Zrobił dwa drinki, a potem nalał dla siebie whiskey z piwem imbirowym. Zwyczajowo zaczął odmierzać whiskey przy pomocy kieliszka, a potem zmienił pomysł i nalał alkohol do jednej trzeciej wysokości szklanki, dopełnił piwem imbirowym, wrzucił kilka kostek lodu i sięgnął po dwie pozostałe szklanki. Jedyne dogodne sposoby niesienia ich w dłoni polegały na chwyceniu jednej szklanki kciukiem i trzema ostatnimi palcami dłoni, a potem wsparcia drugiej o pierwszą poprzez wsadzenie palca wskazującego do środka szklanki. Napił się sporo własnego drinka i wrócił do jadalni.

Bill i Martin junior stali blisko kanapy, na której siedzieli Ellen i Hooper. Sean prawie leżał na podłodze. Brody usłyszał, jak Matt mówił coś Martinowi o świniach, a ten wydał okrzyk zachwyty.

– Proszę – powiedział Brody, wysuwając rękę ze szklankami. Ta z palcem w środku

była dla Ellen.

– Nie mam dla ciebie napiwku – powiedziała. – I dobrze, że nie zdecydowałeś się na karierę kelnera.

Brody spojrzął na nią, tłumiąc złośliwość, ale zadowolił się słowami:

– Wybacz, księżniczko.

Wręczył drugą szklankę Hooperowi i powiedział:

– Sądzę, że to miałeś na myśli.

– Wspaniale, dziękuję.

– Matt opowiadał nam o rekinie, którego schwytał – powiedziała Ellen. – Miał w sobie prawie całą świnie.

– Bez żartów – powiedział Martin z niedowierzaniem, siadając na fotelu naprzeciwko kanapy.

– A to nie wszystko, tato – dodał mały Martin. – Była tam też rolka papy.

– I ludzka kość – wtrącił się Sean.

– Powiedziałem, że wyglądało to tylko na ludzką kość – wyjaśnił Hooper. – Wtedy nie byliśmy tego pewni. To mogło być też żebro wołowe.

– Myślałem, że naukowcy od razu oceniają takie rzeczy – stwierdził Brody.

– Nie zawsze – powiedział Hooper. – Szczególnie wtedy, gdy mamy do czynienia z kawałkiem kości podobnym do żebra.

Brody wziął spory łyk drinka i powiedział:

– Och!

– Hej, tato – odezwał się Billy. – Czy wiesz, jak morświny zabijają rekina?

– Z karabinu?

– Nie! Wałą w niego głowami jak taranem, aż umrze. Tak mówił pan Hooper.

– Niesamowite – przyznał Brody i dopił whiskey ze szklanki. – Mam ochotę na kolejnego drinka. Czy ktoś jeszcze chce więcej?

– Wieczorem w środku tygodnia? – odezwała się Ellen.

– Dlaczego nie? Przecież nie każdej nocy organizujemy wariackie wieczorne przyjęcie. – Brody ruszył do kuchni, ale zatrzymał go dzwonek u drzwi wejściowych. Otworzył je i zobaczył Dorothy Meadows, małą i drobną, ubraną jak zazwyczaj, w ciemnoniebieską sukienkę z pojedynczym sznurem pereł. Za nią stała dziewczyna, którą Brody uznał za Daisy Wicker – wysoka, szczupła, z długimi prostymi włosami. Nosila luźne spodnie i sandały, nie miała makijażu. Za nią stał zwalistej postury Harry Meadows.

– Cześć – rzekł gospodarz. – Wchodźcie!

– Dobry wieczór – powiedziała Dorothy Meadows. – Spotkaliśmy pannę Wicker, gdy wchodziliśmy na podjazd.

– Przyszłam piechotą – dodała Daisy Wicker. – Miło było się przespacerować.

– Dobrze, już dobrze. Wchodź, jestem Martin Brody.

– Wiem, widziałam, jak jeździłeś samochodem. Musisz mieć interesującą pracę. Brody zaśmiał się.

– Opowiedziałbym ci o niej, ale mogłabyś przy tym zasnąć.

Potem zaprowadził ich do salonu i zostawił pod opieką Ellen, która miała przedstawić ich Hooperowi. Przyjął zamówienia na drinki – bourbon z kostkami lodu dla Harry’ego, wodę gazowaną z cienkim plasterkiem cytryny dla Dorothy i dżin z tonikiem dla Daisy Wicker. Ale nim je przygotował, zrobił świeży dla siebie i popijał go, przygotowując resztę. Kiedy był już gotowy do powrotu do jadalni, wypił prawie połowę swojego drinka, więc dolał sobie solidną dawkę whiskey i odrobinę piwa imbirowego.

Najpierw podał szklanki Daisy i Dorothy, a później wrócił do kuchni po picie dla Meadowsa, no i dla siebie. Jeszcze ostatni, spory łyk, nim dołączył do towarzystwa, ale wtedy do kuchni weszła Ellen.

– Nie sądzisz, że lepiej byłoby, gdybyś trochę zwolnił? – spytała z lekkim wyrzutem.

– Dam sobie radę – powiedział. – Nie martw się o mnie.

– Nie jesteś specjalnie uprzejmy.

– Nie? Wydawało mi się, że jestem czarujący.

– Troszkę przesadzasz.

Uśmiechnął się do niej i powiedział:

– A to pech. – Lecz gdy to mówił, zdał sobie sprawę, że miała rację, więc lepiej, aby trochę odpuścił. Wrócił do salonu.

Chłopcy już poszli na górę. Dorothy Meadows usiadła na kanapie obok Hoopera i rozmawiała z nim o jego pracy w Woods Hole. Meadows na krześle naprzeciwko nich przysłuchiwał się w ciszy. Daisy Wicker stała samotnie po drugiej stronie pokoju, przy kominku, i rozglądała się dookoła z powściągliwym uśmiechem na twarzy. Brody wręczył Meadowsowi drinka i podszedł do Daisy.

– Uśmiechasz się – powiedział.

– Ja? Nie zauważyłam.

– Myślisz o czymś zabawnym?

– Nie. Byłam po prostu zainteresowana. Nigdy wcześniej nie byłam w domu policjanta.

– A czego się spodziewałaś? Krat w oknach? Wartownika przy drzwiach?

– Nie, niczego. Byłam ciekawa.

– I co ustaliłaś? Wygląda jak dom normalnej osoby, prawda?

– Sądzę, że tak. Coś w tym rodzaju.

– Co to znaczy?

– Nic.

– Ojej.

Wzięła mały łyk dzinu z tonikiem, a potem zapytała:

– Lubisz swoją pracę?

Martin nie potrafił ocenić, czy w jej pytaniu czaił się jakiś podstęp.

– Tak – powiedział. – To dobra robota i ma jakiś sens.

– Co to za sens?

– A jak myślisz? – spytał lekko zirytowany. – Stanie na straży prawa.

– Czy nie czujesz się wyobcowany?

– A dlaczego powinienem czuć się wyobcowany? Wyobcowany z czego?

– Wyobcowany ze społeczeństwa. Chodzi mi o to, że jedyną rzeczą, która usprawiedliwia twoje istnienie, jest mówienie ludziom, co mogą, a czego nie wolno im robić. Czy nie wydaje ci się to dziwne?

Przez moment Brody pomyślał, że go podpuszcza albo kpi z niego, ale dziewczyna nawet się nie uśmiechnęła i nie odrywała od niego oczu.

– Nie czuję się dziwnie – odpowiedział. – Nie rozumiem, dlaczego miałbym czuć się dziwniej niż ty, pracując w Coştamzwąbelocie.

– W Bibelocie.

– No właśnie. A przy okazji, co tam sprzedajesz?

– Sprzedajemy ludziom ich przeszłość. To daje im dobre samopoczucie.

– Co to znaczy: ich przeszłość?

– Antyki. Kupują je ludzie, którzy nienawidzą teraźniejszości i potrzebują poczucia bezpieczeństwa przeszłości. Jeśli nie swojego, to kogoś innego. Założę się, że dla ciebie to też jest ważne.

– Co, przeszłość?

– Nie, bezpieczeństwo. Czy to nie jest jedna z tych ważnych spraw związanych

z byciem gliną?

Brody rozejrzał się po salonie i zauważył, że szklanka Meadowsa była pusta.

– Wybacz mi – powiedział – muszę zająć się innymi gośćmi.

– Jasne. Miło się z tobą gawędziło.

Martin zabrał szklanki swoją i Meadowsa do kuchni. Ellen właśnie wsypywała do miski chipsy.

– Gdzie, do diabła, znalazłaś tę dziewczuchę? – spytał. – Przybyła z innego świata?

– Kto? Daisy? Mówiłam ci, że pracuje w Bibelocie.

– Czy ty kiedykolwiek z nią rozmawiałaś?

– Tylko trochę. Wydaje się miła i pogodna.

– Jest nawiedzona. Jest jak te dzieciaki, które zamykamy na komisariacie, a potem zaczynają bezczelnie się odszczekiwać.

Zrobił drinka dla Meadowsa, a potem nalał dla siebie. Podniósł wzrok i zobaczył, że Ellen patrzyła na niego.

– O co ci chodzi?

– Po prostu nie lubię obcych ludzi, którzy przychodzą do mojego domu i mnie obrażają.

– Szczerze mówiąc, Martin, jestem pewna, że nie chciała cię rozmyślnie obrazić. Ona prawdopodobnie mówiła zupełnie otwarcie. Wiesz, jak jest z młodymi w dzisiejszych czasach.

– Dobrze, ale jeśli jeszcze bardziej się otworzy, to wyleci stąd. Powiem jej o tym.

Wziął dwie szklanki z blatu kuchennego i ruszył do drzwi.

– Martin – powiedziała Ellen, a on się zatrzymał. – Ze względu na mnie... proszę.

– Nie martw się o to. Wszystko będzie dobrze. Jak to mówią w spotach telewizyjnych, wyluzuj.

Napełnił szklanki Hoopera i Daisy, nie dolewając nic do swojej. A potem usiadł i wpatrywał się w szklankę podczas długiej opowieści Meadowsa. Czuł się dobrze – całkiem rozluźniony – i wiedział, że gdyby mniej wypił przed kolacją, czułby się wspaniale.

O ósmej trzydzieści Ellen przyniosła z kuchni talerze na zupę i rozstawiła na stole.

– Martin – spytała – otworzyłbyś wino, gdy będziemy siadać przy stole?

– Wino?

– Trzy butelki są w kuchni. Białe w lodówce, a dwa czerwone na blacie w kuchni. Możesz otworzyć wszystkie trzy. Czerwone potrzebują czasu, aby pooddychać.

- Oczywiście, że potrzebują – stwierdził Brody. – Jak my wszyscy.
- Och, a tire-bouchon jest na blacie kuchennym obok czerwonych.
- Co takiego?
- Tire-bouchon, czyli korkociąg – wtrąciła się Daisy Wicker.

Martin poczuł mściwą satysfakcję, widząc, jak Ellen spłoszyła, gdyż to uwolniło go od własnego zakłopotania. Znalazł korkociąg i wziął się do pracy przy dwóch butelkach czerwonego wina. Wyciągnął sprawnie korek z jednej z nich, ale drugi kruszył się przy każdym obrocie i oderwane kawałki spadały do środka. Wyjął białe wino z lodówki i niemal połamał język, próbując wymówić jego nazwę. Montrachet. Doszedł do czegoś, co było jego zdaniem dopuszczalną wymową, wytarł butelkę ręcznikiem kuchennym i zaniósł ją do jadalni.

Ellen siedziała przy stole najbliżej kuchni. Hooper po jej lewej stronie, a Meadows po prawej. Dalej obok niego Daisy Wicker, potem puste miejsce przy drugim końcu stołu dla Brody'ego, a naprzeciwko Daisy Dorothy Meadows.

Brody założył lewą rękę za plecami jak rasowy kelner i stojąc nad prawym ramieniem Ellen, nalał wino do kieliszka.

– Kieliszek Mount Ratchet – powiedział. – Bardzo dobry rocznik, 1970. Dobrze pamiętam jego smak.

– Dość – przerwała mu Ellen, odchylając do góry szyjkę butelki. – Nie nalewaj do pełna.

– Przepraszam – powiedział Brody i zaczął nalewać wino Meadowsom.

Usiadł, kiedy już skończył rozlewać wino. Spojrzał na talerz zupy, który stał przed nim. Rozejrzał się ukradkiem wokół stołu i zobaczył, że wszyscy ją jedli. To nie był dowcip. Też wziął łyżkę. Była zimna i nie smakowała jak zupa, ale nie była zła.

– Kocham gazpacho – wyznała Daisy. – Ale to taki problem, aby ją przyrządzić, więc nie jadam jej zbyt często.

– Mniem – powiedział Brody, wkładając kolejną łyżkę zupy do ust.

– Często ją jesz?

– Nie – powiedział – nie za często.

– A czy kiedykolwiek próbowałaś „T i G”?

– Nie mogę powiedzieć, że tak.

– Powinieneś spróbować. Oczywiście możesz nie być zadowolony, gdyż to łamanie prawa.

– Masz na myśli, że jedzenie tego to łamanie prawa? Ale jak to? Co to jest?

– Trawa i gazpacho. Zamiast ziół posypujesz to marihuaną. A potem trochę palisz i trochę jesz, trochę palisz i trochę jesz. To naprawdę odjazd!

Dopiero po chwili Brody zdał sobie sprawę, o czym ona mówiła, i nawet kiedy załapał, nie potrafił od razu zareagować. Przechylił do siebie miskę zupy, nabrał jej resztkę łyżką, wypił jednym haustem kieliszek wina i wytarł usta serwetką. Spojrzał na Daisy, która się do niego uśmiechała, a potem na Ellen, która też się śmiała, mówiąc coś do Hoopera.

– To naprawdę niezłe – zapewniła Daisy.

Brody był rozdrażniony, ale zdecydował, że będzie powściągliwy i dobroduszny, więc opanował się, aby nie denerwować Ellen.

– Wiesz – powiedział. – Nie uważam...

– Założę się, że Matt jej próbował.

– Może tak. Nie widzę, co to...

Daisy powiedziała podniesionym głosem:

– Matt, przepraszam.

Rozmowa przy drugim końcu stołu ucichła.

– Jestem ciekawa, czy kiedykolwiek próbowałeś „T i G”? A przy okazji, pani Brody, to gazpacho jest wspaniałe.

– Dziękuję ci – odezwała się Ellen. – Ale co to jest „T i G”?

– Kiedyś próbowałem – odpowiedział Hooper. – Ale nie przepadam za tym.

– Musisz mi powiedzieć – upierała się Ellen. – Co to jest?

– Matt ci wyjaśni – powiedziała Daisy, a gdy Brody chciał się do niej obrócić, aby coś powiedzieć, ona pochyliła się do Meadowsa i poprosiła:

– Powiedz coś więcej o tym poziomie wód gruntowych.

Martin wstał i zaczął sprzątać talerze po zupie ze stołu. Gdy przechodził do kuchni, poczuł delikatny przypływ nudności i zawrót głowy, a pot wystąpił mu na czoło. Ale nim wstawił naczynia do zlewu, wszystko minęło.

Ellen poszła za nim do kuchni i zawiązała fartuch wokół pasa.

– Potrzebuję trochę pomocy przy krojeniu – powiedziała.

– W porządeczku – odezwał się Brody i zaczął grzebać w szufladzie w poszukiwaniu noża do krojenia mięsa i długiego widelca. – A co ty o tym myślisz?

– O czym?

– O tym pomyśle z „T i G”. Czy Hooper powiedział ci, co to jest?

– Tak. To całkiem zabawne, prawda? Muszę powiedzieć, że wydaje się smaczne.

– A skąd miałybyś wiedzieć?

– Ty chyba nigdy się nie dowiesz, co robię na spotkaniach z dziewczynami ze szpitala. Ale teraz kroimy.

Widelcem kuchennym z dwoma szpicami przeniosła kawał jagnięciny na deskę do krojenia.

– Plastry grubości około dwóch centymetrów, czyli jakbyś kroił stek.

Ta sucz Wicker miała rację w jednej sprawie, pomyślał Brody, gdy kroił mięso. Jestem tutaj jak z innej planety. Kiedy kawałek mięsa odpadł od reszty, powiedział głośno:

– Chyba mówiłaś, że to jagnięcina.

– Bo tak jest.

– To jeszcze niegotowa. Spójrz na to.

Podniósł plaster mięsa, który ukroił. Był różowy, a blisko środka niemal czerwony.

– Właśnie tak chciałam, by wyglądał.

– Nie, jeśli to jest jagnię, prawda? To mięso powinno być upieczone na wskroś, dobrze zrobione.

– Martin, uwierz mi. To normalne, że luzowana jagnięcina jest średnio wypieczona. Przysięgam.

– Nie mam zamiaru jeść surowego jagnięcia – warknął Martin.

– Ciiiiicho! Na miłość boską, nie możesz mówić ciszej?

Ale on nie odpuszczał i powiedział chrapliwym szeptem:

– To włóż to cholerne coś z powrotem do piekarnika, aż nie będzie gotowe.

– Jest gotowe! – broniła się Ellen. – Jeśli nie chcesz tego jeść, to nie jedz, ale właśnie w taki sposób mam zamiar to podać!

– To krój sobie sama! – Brody odrzucił nóż i widelec na deskę do krojenia, po czym chwycił dwie butelki czerwonego wina i wyszedł z kuchni.

– Będzie małe opóźnienie – oznajmił, podchodząc do stołu w jadalni. – Kucharka właśnie zabija naszą kolację. Próbowwała podać ją tak, jak jest, ale to coś ugryzło ją w nogę.

Uniósł jedną z butelek nad czystym kieliszkiem wina i powiedział:

– Zastanawiam się, dlaczego nie wolno podawać czerwonego wina w tym samym szkle, co białe wino.

– Mają różne smaki – powiedział Meadows. – Nie pasują do siebie.

– To stwierdzenie daje ci tytuł mistrza – powiedział Brody, napełnił sześć

kieliszków i usiadł na krześle.

Wziął mały łyk wina i powiedział:

– Dobrze.

A potem kolejny łyk i kolejny. Napełnił ponownie kieliszek.

Ellen przyniosła z kuchni deskę do krojenia. Postawiła ją na kredensie obok sterty talerzy. Wróciła do kuchni i doniosła dwa półmiski z jarzynami.

– Mam nadzieję, że będzie wam smakować – powiedziała. – Nawet tego nie próbowałam.

– A co to jest? – spytała Dorothy Meadows. – Pachnie wspaniale.

– Luzowana jagnięcina. Marynowana.

– Naprawdę? W jakiej marynacie?

– Imbir, sos sojowy, całe grono innych przypraw.

Położyła na każdym talerzu gruby plaster mięsa, szparagi i młody kabaczek, a potem podawała je Meadowsowi, aby przekazywał je dalej wokół stołu.

Kiedy już wszyscy dostali swoje talerze, Ellen usiadła, a Hooper uniósł kieliszek.

– Toast za szefową kuchni.

Inni też unieśli kieliszki, a Brody powiedział:

– Powodzenia.

Meadows wziął kawałek mięsa, przeżuł, posmakował i powiedział:

– Fantastyczna. Smakuje jak najdelikatniejsza polędwica wołowa, tylko lepiej. Co za wspaniały smak.

– Twoje zdanie, Harry – rzekła Ellen – to najwspanialszy komplement.

– Wyśmienite – stwierdziła Dorothy. – Obiecuj, że dasz mi przepis. Harry mi nie daruje, jeśli przynajmniej raz na tydzień nie będę podawała czegoś takiego.

– Lepiej niech już teraz napadnie na bank, gdyż to takie tanie danie – mruknął Brody.

– Ależ to jest pyszne, nie sądzisz Martin?

Nie odpowiadał. Zaczął przeżuwać kawałek mięsa, kiedy zalała go ponownie fala mdłości. Znowu pot pojawił się na jego czole. Czuł się bezwładny, jakby ktoś za niego poruszał ciałem. Poczul panikę i utracił kontrolę nad ruchami. Widelec zrobił się ciężki i przez moment obawiał się, że mógłby wysunąć mu się z palców i z brzękiem uderzyć o stół. Chwycił go całą dłonią i trzymał mocno. Jego język zrobił się sztywny i był pewny, że zacznie bełkotać przy próbie mówienia. To przez wino. To musiało być wino. Z przesadną powolnością wyciągnął rękę, aby odsunąć od siebie kieliszek

z winem. Przesuwał go delikatnie po obrusie, chcąc zminimalizować ryzyko przewrócenia. Odsunął się od stołu i wziął głęboki oddech. Wzrok mu się rozmył. Próbował skupić spojrzenie na obrazie wiszącym pod głową Ellen, ale przeszkadzała mu jej rozmowa z Hooperem. Za każdym razem, gdy coś mówiła, dotykała jego ramienia – lekko, ale Martin sądził, że zmysłowo, jakby dzielili się jakimiś sekretami. Nie słyszał, o czym konkretnie rozmawiali. Ostatnie słowa, jakie zapamiętał, słuchając, to: „Nie sądzisz?”. Jak długo to trwało? Kto to powiedział? Nic nie kojarzył. Spojrzał na Meadowsa, który rozmawiał z Daisy. A potem zerknął na Dorothy i powiedział bełkotliwie:

– Tak.

– Co mówiłeś, Martin? – Teraz to ona na niego spojrzała. – Mówiłeś coś?

Nie mógł mówić. Chciał wstać i wyjść do kuchni, ale nie ufał własnym nogom. Za nic tego nie zrobi, nie przytrzymując się czegoś. Tylko siedź spokojnie, mówił sobie. To przejdzie.

I tak się stało. W głowie zaczęło się rozjaśniać. Ellen znowu dotykała Hoopera. Rozmowa i dotyk, rozmowa i dotyk.

– O rany, jak gorąco! – powiedział.

Wstał i ostrożnie, ale pewnie podszedł do okna i otworzył je, szarpiąc. Oparł się o parapet i przycisnął twarz do siatki przeciwko owadom.

– Ładna noc – stwierdził, a potem wyprostował się. – Chyba jednak napiję się wody.

Poszedł do kuchni, potrząsając głową. Odkręcił kran z zimną wodą i wtarł jej trochę w czoło. Napełnił szklanę. Wrócił do jadalni i usiadł przy stole. Spojrzał na jedzenie na swoim talerzu. Wreszcie poskromił drżenie i uśmiechnął się do Dorothy.

– Może jeszcze trochę dla kogoś? – spytała Ellen. – Jest jeszcze dużo.

– Naprawdę? – spytał Meadows. – Lepiej najpierw nałóż innym. Jeśli zostawisz to mnie samemu, to zjem wszystko!

– I wiesz, co wtedy mówiłbyś jutro rano – dodał Martin.

– A co takiego?

Brody zniżył głos i powiedział poważnie:

– Nie mogę uwierzyć, że sam to wszystko zjadłem.

Meadows i Dorothy roześmiali się, a Hooper zakwilił falsetem:

– Nie, Ralph, ja to zjadłam.

Teraz nawet Ellen się zaśmiała. Wszystko wydawało się w porządku.

Do chwili, gdy pojawił się deser – lody kawowe w kremie z likieru kakaowego – już

poczuł się dobrze. Zjadł dwie porcje lodów i gawędził przyjacielsko z Dorothy. Uśmiechał się, kiedy Daisy opowiadała historię o zaprawianiu marihuaną nadzienia do indyka na ostatnie Święto Dziękczynienia.

– Miałam jedno zmartwienie – powiedziała Daisy – gdyż rano w święto zadzwoniła ciotka i spytała, czy może przyjść na obiad. Indyk był już gotowy i nafaszerowany nadzieniem.

– I co się stało? – spytał Brody.

– Próbowałam podać jej ukradkiem mięso bez nadzienia, ale ona niemal zrobiła aferę, pytając, gdzie, do diabła, jest ten farsz, więc dałam jej dużą łyżkę.

– Co dalej?

– Do końca posiłku chichotała jak mała dziewczynka. Nawet chciała tańczyć. I to do *Hair*.

– To dobrze, że mnie tam nie było – powiedział Brody – gdyż aresztowałbym cię za deprawację niewinnej ciotki.

Kawę wypili w salonie, Brody zaproponował drinki, ale tylko Meadows miał ochotę na alkohol.

– Maleńką brandy, jeśli jeszcze masz – powiedział.

Brody spojrzał pytająco na Ellen.

– Powinna być w kredensie – poinstruowała go.

Nalał Meadowsowi drinka i przez chwilę zastanawiał się, czy nie nalać i sobie. Ale powstrzymał się, żeby nie kusić losu.

Trochę po dziesiątej Meadows ziewnął i powiedział:

– Dorothy, najlepiej będzie, jak powiemy do widzenia. Sądzę, że trudno jest cieszyć się zaufaniem publicznym, jeśli się późno chodzi spać.

– Ja też powinnam już iść – stwierdziła Daisy. – Muszę być w pracy o ósmej. Ale nie dlatego, że ostatnio mamy dużo klientów.

– Nie jesteś sama, moja droga – powiedział Meadows.

– Wiem. Ale kiedy pracujesz na prowizji, to odczuwasz, co to brak ruchu.

– W porządku, mam nadzieję, że najgorsze już za nami. Z tego, co dowiedziałem się od naszego eksperta, to jest spora szansa, że lewiatan odpłynął – powiedział Meadows, wstając.

– Szansa... – westchnął Hooper. – Możemy tylko mieć nadzieję.

Również podniósł się z krzesła.

– Ja również powinienem się zbierać.

– Och, nie idź jeszcze! – zawołała Ellen do Hoopera.

Jej słowa zabrzmiały głośniej, niż tego pragnęła. I zamiast prośby, wyszło z tego piskliwe błaganie. Była zakłopotana i szybko dodała:

– Chodzi mi o to, że jeszcze jest wcześnie. Jest dopiero dziesiąta.

– Wiem – powiedział Hooper. – Ale jeśli jutro będzie dobra pogoda, to chcę wcześnie wstać i ruszyć na wodę. Poza tym mam samochód i mogę podrzucić Daisy po drodze do domu.

– To byłoby miłe – przyznała dziewczyna. Jej głos był jak zawsze bezbarwny i nic nie można było wyczytać z intonacji.

– Meadowsowie też mogą ją podrzucić – stwierdziła Ellen.

– Prawda – zgodził się Hooper – ale ja naprawdę muszę już iść, jeśli chcę wstać wcześnie rano. Ale dzięki za propozycję.

A potem pożegnali się przy drzwiach wyjściowych – zdawkowe komplementy i krótkie, kurtuazyjne podziękowania.

Hooper miał wychodzić ostatni i kiedy wyciągnął rękę do Ellen, ona chwyciła ją dwiema dłońmi i powiedziała:

– Dziękuję ci za ząb rekina.

– Proszę bardzo. Cieszę się, że ci się spodobał.

– I dziękuję, że byłeś tak miły dla chłopców. Są zafascynowani spotkaniem z tobą.

– Ja też. Chociaż to było nieco dziwne. Musiałem być mniej więcej w wieku Seana, kiedy cię poznałem. Zupełnie się nie zmieniłaś.

– Tak, ale ty się zmieniłeś.

– Mam nadzieję. Nienawidziłbym być przez całe życie dziewięciolatkiem.

– Zobaczymy się jeszcze, nim wyjedziesz?

– Liczę na to.

– Cudownie – powiedziała, puszczając jego rękę.

Szybko pożegnał się z Martinem i poszedł do samochodu.

Ellen czekała w drzwiach, aż ostatni z gości odjechał, a potem zgasiła światło na zewnątrz. Bez słowa zaczęła zbierać kieliszki, filiżanki do kawy i popielniczki z salonu.

Martin zaniósł stertę talerzy do kuchni i wstawił do zlewu, a potem powiedział:

– No, było w porządku i nareszcie koniec.

Jego uwaga nic nie znaczyła i oczekiwał jedynie rutynowego potwierdzenia.

– Nie podziękuję ci – powiedziała Ellen.

– Co?

– Byłeś okropny.

– Ja, okropny? – Był zupełnie zaskoczony gwałtownością jej ataku. – Wiem, że przez chwilę miałem trochę mdłości, ale nie sądziłem...

– Przez cały wieczór, od początku do końca, byłeś okropny.

– To jakiś stek bzdur!

– Obudzisz dzieci.

– Gwiżdżę na to! Nie mogę pozwolić ci stać tutaj i wyładowywać się na mnie za twoje obsesje, mówiąc mi, że jestem dupkiem.

Ellen zaśmiała się gorzko.

– Widzisz? Znowu cię poniosło.

– Gdzie niby mnie niesie? O czym ty mówisz?

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– No właśnie. Nie chcesz o tym rozmawiać. Słuchaj... Okej. Byłem zły o to cholerne mięso. Nie powinienem dostawać białej gorączki. Przykro mi. A teraz...

– Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać.

Martin był gotowy do walki, ale wycofał się, zdając sobie sprawę, że jego jedyną bronią były okrucieństwo i insynuacje, a Ellen była już bliska płaczu. A jej łzy, czy rozlewane w orgazmie, czy gniewie, zawsze go rozbrajały. Dlatego powiedział jedynie:

– Przepraszam za to.

Wyszedł z kuchni i poszedł na górę.

Gdy się rozbierał w sypialni, wpadł na myśl, że przyczyną tych wszystkich nieprzyjemności, źródłem całego zamieszania, była ryba, bezmyślna bestia, której nigdy nie widział. Absurdalność tej wizji wywołała u niego uśmiech.

Wczołgał się do łóżka i niemal równocześnie z dotknięciem poduszki głową zapadł w sen.

Chłopak i dziewczyna siedzieli i pili piwo przy końcu mahoniowego kontuaru w barze Randy Bear. On miał osiemnaście lat i był synem właściciela apteki w Amity.

– Kiedyś będziesz musiał mu o tym powiedzieć – rzekła dziewczyna.

– Wiem. Ale kiedy to zrobię, to go chyba szlag trafi.

– To nie była twoja wina.

– Wiesz, co powie? Że to musiała być moja wina. Że musiałem coś narozrabiać

i przez to nie chcieli mnie zatrzymać, a wywalić kogoś innego.

– Ale zwolnili wiele dzieciaków!

– Dużo też zatrzymali.

– Jak decydują, kogo zatrzymać?

– Nie powiedzieli. Wiem tylko, że nie mają dość gości, aby utrzymać tak liczny personel. O rany, mój stary to chyba wyleci przez komin.

– Nie może do nich zadzwonić? Musi tam kogoś znać. Przecież wie, że naprawdę potrzebujesz pieniędzy na college.

– Nie zrobiłby tego. To byłaby jałmużna. – Chłopak skończył piwo. – Jest tylko jedna rzecz, którą mogę zrobić. Dilerka.

– Och! Michael! Nie rób tego, to zbyt niebezpieczne. Możesz pójść do więzienia.

– To jest właśnie wybór, prawda? – stwierdził kwaśno chłopak. – Szkoła albo więzienie.

– Co powiedziałbyś ojcu?

– Nie wiem. Może mu powiem, że sprzedaję paski.

ROZDZIAŁ 8

Martin obudził się gwałtownie z przeświadczeniem, że stanie się coś złego. Sięgnął ręką przez łóżko, aby dotknąć Ellen. Nie było jej tam. Usiadł i zobaczył, że siedziała na krześle przy oknie. Krople deszczu waliły o szyby i słyszał, jak wiatr z szumem kołysał drzewami.

– Podły dzień, co? – mruknął.

Nie odpowiedziała, nadal wpatrując się nieruchomo w krople wody ześlizgujące się po szybie.

– Dlaczego wstałaś tak wcześnie?

– Nie mogłam zasnąć.

Ziewnął.

– Nie miałem z tym problemów.

– Nie jestem zaskoczona.

– O rany! Znowu zaczynamy?

Ellen potrząsnęła głową.

– Nie, przepraszam. Nie o to mi chodziło.

Wydawała się jakaś przygnębiona i smutna.

– W czym rzecz?

– W niczym.

– Jak chcesz.

Martin wstał z łóżka i poszedł do łazienki.

Kiedy już umył się i ogolił, szedł do kuchni. Chłopcy kończyli śniadanie, a Ellen smażyła dla niego jajka.

– Co będziecie robić, chłopcy, w taki paskudny dzień?

– Będę czyścić kosiarki do trawy – odezwał się Billy, który w lecie pracował dla miejscowego ogrodnika.

– A co z wami dwoma? – spytał Martina i Seana.

– Martin idzie do klubu dla chłopców – powiedziała Ellen. – A Sean spędzi dzień

u Santosów.

– A ty?

– Ja mam cały dzień w szpitalu. A to przypomina mi, że nie będę w domu na obiad. Możesz coś zjeść na mieście?

– Oczywiście. Nie wiedziałam, że w środy pracujesz przez cały dzień.

– Zazwyczaj nie. Ale jedna z naszych dziewcząt zachorowała i obiecałam, że ją zastąpię.

– Och.

– Będę z powrotem na kolację.

– Świetnie.

– Czy możesz podrzucić Martina i Seana po drodze do pracy? Chcę zrobić małe zakupy po drodze do szpitala.

– Nie ma problemu.

– Zabiorę ich, wracając do domu.

Brody i dwaj młodszy synowie wyszli jako pierwsi. Billy, ubrany od stóp do głowy w strój przeciwdeszczowy, pojechał na rowerze do pracy.

Ellen spojrzała na zegar wiszący na kuchennej ścianie. Do ósmej brakowało jeszcze kilku minut. Zbyt wcześnie? Może. Ale lepiej złapać go teraz, zanim gdzieś wyjdzie i przepadnie szansa spotkania. Wyciągnęła przed siebie prawą rękę i próbowała zapanować nad drżeniem palców. Zaśmiała się nerwowo sama do siebie i szepnęła:

– Zachowujesz się jak zazdrosna kochanka.

Weszła po schodach do sypialni i wyciągnęła zieloną książeczkę telefoniczną. Odnalazła numer telefonu Abelard Arms Inn i położyła rękę na telefonie, wahając się jeszcze przez chwilę. A potem podniosła słuchawkę i wybrała numer.

– Abelard Arms, słucham?

– Z pokojem pana Hoopera, proszę. Matt Hooper.

– Chwilę... Hooper, jest! Cztery... nie, pięć. Zaraz panią połączę.

Ellen usłyszała dzwonek telefonu, a potem jeszcze raz. Słyszała, jak bije jej serce, i czuła, jak puls walił jej w prawym nadgarstku. Trzymaj się, mówiła do siebie. Trzymaj się, jeszcze możesz się rozmyślić.

– Halo? – usłyszała głos Hoopera.

Och, pomyślała, dobry Boże, a może Daisy jest w jego pokoju?

– Halo? – rozległo się po raz drugi.

Ellen przełknęła ślinę i powiedziała:

- Cześć. To ja... to znaczy Ellen.
- O, cześć.
- Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.
- Nie, właśnie się przygotowywałem, aby zejść na dół i zjeść śniadanie.
- Dobrze. To nie jest dobry dzień do pracy, prawda?
- Nie, ale tak naprawdę mi to nie przeszkadza. To dla mnie luksus, móc spać tak długo.
- Czy możesz... czy chcesz dzisiaj pracować?
- Nie wiem. Staram się właśnie to ocenić. Nie wiem, czy wypływanie łodzią ma jakiś sens.
- Och... – Przerwała na chwilę, próbując zapanować nad sobą. Naprzód, mówiła do siebie. Zadaj to pytanie. – Byłam ciekawa... – Nie, bądź ostrożna, odpuść trochę. – Chciałam ci podziękować za cudowny amulet.
- Miło mi. Cieszę się, że ci się spodobał. Ale to ja powinienem ci podziękować. Dobrze się wczoraj bawiłem.
- Ja też, raczej my oboje. Cieszę się, że przyszedłeś.
- Miło to słyszeć.
- Teraz albo nigdy, powiedziała sobie. Zaczęła mówić, nim zdała sobie z tego sprawę.
- Wydaje mi się, że jeśli dzisiaj nie masz nic do roboty... To znaczy, jeśli nie możesz wypłynąć łodzią... To może spotkalibyśmy się na obiedzie? Masz wtedy wolne, prawda?
- Obiad?
- Tak. Wiesz, jeśli nie masz nic do roboty. Pomyślałam, że moglibyśmy pójść na obiad.
- My? Masz na myśli siebie, Martina i mnie?
- Nie, tylko ja i ty. Martin zazwyczaj jada obiady u siebie w biurze. Nie chcę wtrącać się w twoje plany. To znaczy, jeśli masz dużo pracy, to...
- Nie, nie. W porządku, właściwie dlaczego nie. Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?
- Jest takie przytulne miejsce w Sag Harbor. U Bannerera. Znasz je?
- Miała nadzieję, że nie. Ona też go nie znała, co znaczyło, że nikt jej tam też nie znał. Ale słyszała, że było cicho i dyskretnie i podawali dobre jedzenie.
- Nigdy tam nie byłem – przyznał Hooper. – Ale aż w Sag Harbor? To spory spacer przed lunchem.

– Naprawdę nie jest tak źle, tylko piętnaście albo dwadzieścia minut. Mogę się z tobą spotkać gdziekolwiek ci się spodoba.

– Dla mnie każda pora i miejsce będą dobre.

– W takim razie około dwunastej trzydzieści.

– Dwunasta trzydzieści. Wtedy się widzimy.

Ellen odwiesiła słuchawkę. Ręce jej nadal drżały, ale poczuła niemal euforię i ekstazę. Jej zmysły stały się nadzwyczaj wrażliwe. Za każdym razem, gdy wciągała powietrze, wyczuwała wszystkie zapachy wokół siebie. W uszach dosłownie dzwoniły najdrobniejsze domowe odgłosy – skrzypienie, szelesty i stukoty. Odczuwała swoją kobiecość intensywniej niż przez wszystkie ostatnie lata – ciepłe, wilgotne uczucie, równie wspaniałe, co kłopotliwe.

Poszła do łazienki, aby wziąć prysznic. Ogoliła nogi i dołki pod pachami. Żałowała, że nie kupiła jednego z tych dezodorantów do higieny kobiecej, które widziała w reklamie, ale nie mając ich, skorzystała z pudru i posmarowała wodą kolońską skórę za uszami, w zgięciach łokci, pod kolanami, a także sutki i wzgórek łonowy.

W sypialni było pełnowymiarowe lustro i teraz stanęła przed nim, oglądając własne ciało. Czy nadal mogła wzbudzać pożądanie? Czy nadal była atrakcyjna? Ćwiczyła, aby utrzymać smukłą sylwetkę i wdzięki młodości. Nie mogła znieść myśli o odrzuceniu.

Była naprawdę godna pożądania. Zmarszczki na szyi nieliczne i ledwie widoczne. Kształtna twarz o alabastrowej, gładkiej skórze bez worków pod oczami. Stała prosto i podziwiała zarys własnych piersi. W talii była wąska, brzuch płaski – nagroda za niekończące się ćwiczenia po każdym z dzieci. Jedyne problem, jeśli krytycznie oceniała swoje ciało, to były biodra. Nie dało się nikomu wmówić, że były dziewczęce. Zdradzały macierzyństwo. Były, jak to kiedyś Brody określił, stworzone do rodzenia. Wspomnienia przyniosły krótki błysk wyrzutów sumienia, ale podniecenie szybko odrzuciło je na bok. Nogi miała długie – kuszące pośladki i szczupłe uda. Kostki delikatne, a stopy – ze starannie przyciętymi paznokciami – drobne i prawie doskonałe. Niemal idealna wersja dojrzałej Sandry Dee.

Ubrała się w strój szpitalny. Z tyłu szafy wnekowej wyjęła plastikową torbę na zakupy, do której włożyła parę majtek od stroju bikini, starannie złożoną letnią sukienkę lawendowego koloru, parę czółenek na niskim obcasie i dezodorant w sztyfcie, plastikową butelkę pudru kąpielowego, szczoteczkę oraz pastę do zębów. Zniosła torbę do garażu i wrzuciła ją na tylne siedzenie volkswagena garbusa,

zjechała tyłem z podjazdu i pojechała do szpitala w Southampton.

Monotonna jazda jedynie zwiększyła znużenie, jakie odczuwała przez poprzednie godziny. Nie spała całą noc. Najpierw leżała w łóżku, potem siedziała przy oknie, walcząc z wyrzutami sumienia, huśtawką emocjonalną, pragnieniem, żalem, tęsknotą i pretensją. Nie wiedziała dokładnie, kiedy zdecydowała się na ten wyraźnie ryzykowny i niebezpieczny plan. Myślała o tym i próbowała go uniknąć – od chwili spotkania z Hooperem. Oceniała ryzyko i jakoś jej wyszło, że warto podjąć grę, chociaż nie była pewna, co mogła zyskać na tej przygodzie. Wiedziała, że pragnęła zmiany, jakiegokolwiek zmiany. Chciała upewnić się, że budziła pożądanie nie tylko męża, gdyż zaczynała go lekceważyć, ale ludzi, których uznawała za naprawdę sobie równych, wśród których nadal się liczyła. Czuła, że bez remedium ta jej część, którą najbardziej ceniła, będzie umierać. Wiedziała, że nie da się przywrócić przeszłości. Ale mogła chociaż na chwilę przywołać ją fizycznie i psychicznie. Chciała transfuzji emocji z przeszłości i widziała w Matcie Hooperze jedynego możliwego dawcę. Pomysł o miłości nigdy nie wkradł się do jej mózgu. Nie chciała i nie przewidywała trwałego i głębokiego związku. Pragnęła tylko, aby ożywił wspomnienia i przywrócił sens życia.

Była wdzięczna po przyjeździe do szpitala, że przydzielona jej praca wymagała koncentracji i rozmów, dzięki czemu emocje trochę opadły. Ona i inna wolontariuszka zmieniały pościel starszym pacjentom, dla których szpital był niemal domem, a one rodziną zastępczą. Musiała pamiętać imiona ich dzieci, mieszkających w odległych miastach, wymyślać usprawiedliwienia, dlaczego nie pisały i nie odwiedzały rodziców. Opowiadać intrygi z telewizyjnych seriali i spekulować, dlaczego jakiś bohater porzucił żonę dla kobiety, która była ewidentnie awanturnicą.

Piętnaście minut przed południem Ellen powiedziała zwierzchnicze wolontariuszek, że nie czuje się dobrze. Zmyśliła, że odezwała się jej tarczyca, i jeszcze zaczął okres. Wspomniała, że pójdzie się położyć na chwilę na kozetce dla personelu. I jeszcze oznajmiła, że jeśli drzemka jej nie pomoże, to pojedzie do domu. Miała nadzieję, że sytuacja była na tyle niejednoznaczna i mglista, iż zniechęci każdego do poszukiwania jej.

Położyła się na kozetce, licząc do dwudziestu, a potem ostrożnie otworzyła drzwi, aby sprawdzić, czy ktoś był na korytarzu. Przejście było puste, gdyż większość personelu oddaliła się już na obiad do stołówki w drugiej części budynku albo właśnie tam zmierzała. Wyszła na korytarz, zamknęła cicho drzwi za sobą i pobiegła za róg,

do bocznych drzwi szpitala, prowadzących na parking.

Przejechała większość drogi do Sag Harbor, nim zatrzymała się na stacji benzynowej. Kiedy napełniła zbiornik i zapłaciła za paliwo, spytała, czy może skorzystać z damskiej toalety. Pracownik stacji dał jej klucz, a ona objechała budynek dookoła, zatrzymując się pod drzwiami z kółkiem i trójkątem. Otworzyła je, ale nim weszła do środka, oddała klucz pracownikowi. Wróciła do samochodu, zabrała torbę z tylnego siedzenia i weszła do części kobiecej, a potem zamknęła drzwi od wewnątrz.

Rozebrała się i stała bosymi stopami na zimnej posadzce, spoglądając na własne odbicie w lustrze zawieszonym ponad umywalką. Drżała ze strachu i podniecenia. Popsikała dezodorantem pachy i stopy. Wyjęła czyste majtki z plastikowej torby i założyła. Wsypała trochę pudru do każdej miseczki biustonosza i założyła go na ramiona. Wyjęła sukienkę z torby, rozłożyła ją i sprawdziła zagniecenia, a potem wciągnęła przez głowę. Wytarła podeszwy stóp, wsypała puder do czółenek i założyła je. Później umyła zęby, przeczesała włosy, wepchnęła strój szpitalny do plastikowej torby i wreszcie otworzyła drzwi. Rozejrzała się dookoła, czy nikt jej nie obserwował, i wyszła z damskiej toalety. Wrzuciła torbę do samochodu i wsiadła do niego.

Gdy wyjeżdżała ze stacji benzynowej, pochyliła się nad kierownicą, aby pracownik stacji nie dostrzegł, że zmieniła ubranie. Jeśli oczywiście miałyby okazję się jej przyjrzeć.

Była dwunasta dwadzieścia, gdy dojechała do małej restauracji Bannera ze stekami i owocami morza, znajdującej się na wodzie w Sag Harbor. Parking znajdował się na tyłach budynku, z czego była bardzo zadowolona. W sytuacji, gdyby ktoś ze znajomych przejeżdżał w pobliżu Sag Harbor, nie miał praktycznie szans, aby zauważyć jej samochód.

Wybrała Bannera między innymi dlatego, że restauracja była znana jako miejsce wieczornych spotkań żeglarzy i letników, co oznaczało, że prawdopodobnie niewiele się tu działo w porze obiadowej. A do tego panowała drożyzna, więc raczej nikt ze stałych mieszkańców Amity ani miejscowych przedsiębiorców nie przyjeżdżał tu na lunch. Ellen sprawdziła zawartość portmonetki. Miała niecałe pięćdziesiąt dolarów – prawie wszystkie pieniądze, jakie z Martinem trzymali w domu. Zliczyła w pamięci banknoty: dwudziestka, dwie dziesiątki, piątka i trzy jedyńki. Chciała je zapamiętać, żeby później zwrócić wszystko, co zabrała z puszkii po kawie stojącej w kuchennym kredensie.

Na parkingu stały jeszcze dwa inne samochody, chevrolet vega i większy,

jasnobrązowy. Pamiętała, że samochód Hoopera był zielony. Wyszła z volkswagena i weszła do restauracji, trzymając dłonie nad głową, aby chronić włosy przed rzadkim deszczem.

W restauracji było ciemno, ale ponieważ na zewnątrz panowała szaruga, potrzebowała jedynie kilku sekund, aby przyzwyczać się do półmroku wewnątrz. Była tylko jedna sala, z barem po prawej stronie i około dwudziestoma stolikami pośrodku. Ściana po lewej stronie miała osiem boksów. Reszta ścian ozdobiona była plakatami filmowymi i z walk byków.

Ellen zwróciła uwagę na parę trzydziestolatków, która siedziała przy oknie i coś piła. Barman, młody człowiek z brodą w stylu Van Dyke'a, w koszuli z kołnierzykiem przypinanym na guziki, siedział przy kasie, czytając nowojorskie wydanie „Daily News”. To byli jedyni ludzie na sali. Ellen spojrzała na zegarek. Prawie dwunasta trzydzieści.

Barman spojrzał na nią i zapytał:

– Witaj, mogę w czymś pomóc?

Podeszła do baru.

– Tak, za minutę. Ale chciałabym... czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest damska toaleta?

– Na końcu baru w prawo. Pierwsze drzwi po lewej stronie.

– Dziękuję.

Ellen przeszła szybko wzdłuż baru, skręciła w prawo i weszła do łazienki.

Staną przed lustrem i wyciągnęła prawą rękę. Drżała, więc zacisnęła ją w pięść. Uspokój się, mówiła sobie. Musisz się uspokoić albo nic z tego nie będzie. Inaczej wszystko stracone. Była coraz bardziej zdenerwowana, ale kiedy włożyła rękę pod sukienkę i dotknęła pachy, ta była sucha. Przeczesała włosy i przyjrzała się zębom. Przypomniała sobie słowa chłopaka, z którym kiedyś chodziła: „Od razu zbiera mi się na pawia, kiedy widzę dziewczynę mającą jakieś paskudztwo między zębami”. Spojrzała na zegarek; była dwunasta trzydzieści pięć.

Wróciła do sali restauracyjnej i rozejrzała się. Ci sami ludzie, barman i kelnerka składająca przy barze serwetki.

Kelnerka wreszcie zwróciła na nią uwagę i odezwała się:

– Witam, w czym mogę pomóc?

– Proszę o stół na obiad.

– Dla jednej osoby?

– Nie, dla dwóch.

– Oczywiście – powiedziała kelnerka.

Odłożyła serwetki, wzięła bloczek i zaprowadziła Ellen do stolika na środku sali.

– Ten będzie dobry?

– Nie. To znaczy, chciałabym stolik w narożnym boksie, jeśli to nie problem.

– Proszę bardzo – powiedziała kelnerka. – Jaki się pani spodoba. Nie mamy dzisiaj tłoku.

Poprowadziła Ellen za kolejne przepierzenie, a ta precyzyjnie się obok stołu i usiadła plecami do drzwi wejściowych. Hooper odnajdzie ją bez trudu. Jeśli tylko przyjdzie.

– Mogę przynieść coś do picia?

– Tak. Dżin z tonikiem.

Kiedy kelnerka odeszła od stolika, Ellen uśmiechnęła się do siebie. To był pierwszy raz od czasu ślubu, kiedy piła w ciągu dnia.

Kelnerka przyniosła szklanekę koktajlową i Ellen wypła od razu zawartości, spragniona rozluźniającego ciepła alkoholu. Co kilka sekund spoglądała na drzwi albo na zegarek. Nie miał zamiaru przyjść, pomyślała. Była prawie dwunasta czterdzieści pięć. Poczwała zimno w stopach. Czyżby wystraszył się Martina? Może wystraszył się mnie? Co zrobię, jeśli nie przyjdzie? Pewnie zjem obiad i wrócę do pracy. Musi przyjść! Nie może mi tego zrobić.

– Halo!

To słowo przestraszyło Ellen. Podskoczyła na siedzeniu i wyszeptała bezwiednie:

– Och!

Hooper osunął się na krzesło naprzeciwko niej i powiedział:

– Nie chciałem cię wystraszyć. I przepraszam, że się spóźniłem. Musiałem zatrzymać się po paliwo, a na stacji była kolejka. Ruch był okropny. I tyle moich usprawiedliwień. Powinienem zostawić sobie więcej czasu. Przepraszam.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. A ona zajrzała w szklanekę.

– Nie musisz przepraszać. Sama się spóźniłam.

Przy stoliku zjawiała się kelnerka.

– Czy mogę przynieść jeszcze coś do picia? – spytała.

Zauważył szklanekę Ellen i powiedział:

– Jak już pani tu jest, to poproszę o dżin z tonikiem.

– I jeszcze jeden dla mnie – dodała Ellen.

Kelnerka odeszła, a Hooper powiedział:

– Normalnie nie piję przy obiedzie.
– Ani ja.
– Po trzech drinkach zaczynam wygadywać głupoty. Nigdy dobrze nie znosiłem mocnych trunków.

Ellen skinęła potakująco głową.

– Znam to uczucie. Też mam ochotę wariować.
– Budzą się żywioły. U mnie też.
– Naprawdę? Nie mogę sobie wyobrazić, że jesteś impulsywny. Myślałam, że naukowcy nigdy nie bywają gwałtowni.

Hooper zaśmiał się i powiedział teatralnie:

– Tak tylko się wydaje, że poślubiliśmy nasze próbówki. Ale pod lodową powłoką nauki biją serca najbardziej bezczelnych i popędliwych ludzi na świecie.

Ellen uśmiechnęła się. Kelnerka przyniosła drinki i zostawiła dwie karty dań na skraju stołu. Wspominali czasy i ludzi, których wcześniej znali, później rozmawiali o ambicjach Matta związanych z ichtologią. Ani razu nie wspomnieli o rekinie ani o dzieciach Ellen. To była przyjemna, rozwlekła rozmowa, która pasowała Ellen. Drugi drink rozluźnił ją, poczuła się szczęśliwa i odzyskała panowanie nad sobą.

Pragnęła, aby Hooper wypił kolejną porcję alkoholu, ale wyczuwała, że on raczej nie przejmie inicjatywy, więc sama zamówiła. Wzięła jedną z kart, mając nadzieję, że kelnerka zauważy ten ruch, i powiedziała:

– Zobaczmy, co smacznego tutaj podają.

Hooper wziął drugą kartę i zaczął czytać, a po minucie czy dwóch kelnerka podeszła do nich leniwym krokiem.

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

– Nie wiem jeszcze – powiedziała Ellen. – Mam ochotę na wszystko. A ty jesteś gotów, Matt?

– Niezupełnie – odpowiedział Hooper.

– Może zamówimy jeszcze coś do picia, nim wybierzemy coś odpowiedniego?

– Dla obojga? – zapytała kelnerka.

Hooper zdawał się zastanawiać przez chwilę, a Ellen starała się ocenić własne możliwości. Trzy drinki były dla niej dość dużym wyzwaniem i chciała się upewnić, czy nie zacznie jej szumieć w głowie albo nie będzie się plątał język.

Jak to się mówi, alkohol zwiększa pożądanie, ale zmniejsza możliwości. Ale tak przeważnie działa się z facetami. Dobrze, że nie muszę się o to martwić. Ale co

z nim? Przypuszczam, że nie może... Czy jest jeszcze coś, co mogę zrobić? Ale to głupie. Nie po dwóch drinkach. Do tego potrzeba pięciu lub sześciu, a nawet siedmiu. Mężczyzna potrafi być nieprzewidywalny. Ale nie wtedy, kiedy się przestraszy. Czy on wyglądał na takiego? Zerknęła ponad kartą na Matta. Nie wyglądał na nerwowego. Jeśli cokolwiek, to był lekko zakłopotany.

– Jakiś problem? – spytała.

– O co ci chodzi? – Spojrzał na nią zdziwiony.

– Ściągnęłaś brwi. Wyglądasz na skonsternowanego.

– Oj, to nic. Tylko szukałem przegrzebków, albo tego, co tak tutaj nazywają. Często udają je flądry przycięte do odpowiednich kształtów.

Kelnerka przyniosła im kolejne drinki i zapytała:

– Czy można przyjąć zamówienie?

– Tak – odparła Ellen. – Poproszę koktajl z krewetek i kurczaka.

– Jaki rodzaj sosu chce pani do sałaty? Mamy francuski, roquefort, tysiąca wysp i oliwę z octem.

– Poproszę roquefort.

– To są naprawdę małże z zatoki? – spytał Hooper.

– Sądzę, że tak – powiedziała kelnerka. – Jeśli tak jest napisane w karcie.

– W porządku. Chcę te przegrzebki i francuski sos do sałaty.

– A coś na początek? Jakieś przekąski?

– Nie – powiedział Hooper, unosząc szklanę. – To wystarczy.

Po kilku minutach kelnerka przyniosła koktajl z krewetek. A kiedy odeszła, Ellen powiedziała:

– Wiesz, na co mam ochotę? Na trochę wina.

– To bardzo interesujący pomysł – oświadczył Hooper, patrząc na nią. – Ale pamiętaj, co mówiłem o popędliwości. Mogę stać się nieodpowiedzialny.

– Nie martwię się o to. – Gdy Ellen to mówiła, poczuła, że spłoszyły jej policzki.

– To dobrze. Ale najpierw sprawdzę, co mam w skarbcu.

Sięgnął po portfel do tylnej kieszeni spodni.

– Nie, nie. To ja stawiam.

– Nie bądź głupia.

– Nie, naprawdę. To ja zaprosiłam ciebie. – Zaczęła panikować. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że będzie nalegać na zapłacenie rachunku. Nie chciała naprzykrzać mu się poprzez naciąganie na duży rachunek. Z drugiej strony musiała unikać matkowania

i obrażania jego męskości.

– Wiem – powiedział. – Ale to ja chciałbym zabrać cię na lunch.

Czy prowadził z nią grę? Nie potrafiła powiedzieć. Jeśli tak było, to nie chciała odmawiać, ale jeśli to było z grzeczności...

– Jesteś słodki – zaczęła – ale...

– Mówię poważnie. Proszę, zgódź się.

Spojrzała na talerz i zaczęła bawić się jedną z krewetek, jakie pozostały w naczyniu.

– Dobrze...

– Wyglądasz na spiętą – powiedział Hooper – ale wyluzuj. Czy David nie opowiadał ci o naszym dziadku?

– Tego nie pamiętam. A co z nim?

– Stary Matt zwany był, niezbyt pieszczotliwie, Bandytą. Gdyby dzisiaj żył, to prawdopodobnie stałbym na czele bandy, która żądałaby jego skalpu. Ale jego już nie ma, więc mój jedyny problem to wybór, czy zatrzymać stertę forsy, jaką mi zostawił, czy też ją rozdać. To nie jest trudny moralnie wybór. Sądzę, że mogę je wydać równie dobrze jak każdy, komu bym je oddał.

– Czy David też ma dużo pieniędzy?

– Tak. To jedna z jego cech, która mnie zawsze zaskakiwała. Ma ich dość, żeby utrzymać siebie i kilka żon przez całe życie. Czemu więc skończył przy kotlecikach drugiej żony? Dlatego, że ona ma więcej pieniędzy niż on? Nie wiem. Może pieniądze nie dają zadowolenia, dopóki nie ożenisz się dla nich.

– A na czym twój dziadek zbił majątek?

– Koleje i kopalnie. Tak mówiło się oficjalnie. Ale w zasadzie był stręczycielem. W pewnym momencie posiadał większość Denver. Był właścicielem całej dzielnicy czerwonych latarni.

– To musiało być dochodowe.

– Nie tak bardzo, jak ci się może wydawać – powiedział Hooper ze śmiechem. – Z tego, co słyszałem, lubił zbierać swoje udziały w naturze.

To mogła być wstępna zagrywka, pomyślała Ellen. Co miałyby powiedzieć?

– To mogła być fantazja każdej uczennicy – zaryzykowała żartobliwie.

– Ale co?

– Zostać... no wiesz... prostytutką. Sypiać z całą gromadą różnych facetów.

– Twoja też?

Elen zaśmiała się, starając się ukryć zakłopotanie.

– Nie pamiętam, czy tak dokładne było – stwierdziła. – Ale sądzę, że wszyscy mamy fantazje tego albo podobnego rodzaju.

Hooper zaśmiał się i odchylił do tyłu na krześle. Zawołał kelnerkę i powiedział:

– Poprosimy butelkę zimnego chablis.

Coś się stało, pomyślała Ellen. Zastanawiała się, czy mógł wyczuć zapach podniecenia. Jak zwierzę – zapach zachęty, który roztaczała. Cokolwiek by to nie było, przechodził do ofensywy. I musiała pilnować, aby nie zgubił tropu.

Kelnerka przyniosła talarze z jedzeniem i zaraz potem wino. Hooper przyjrzał się swojemu daniu.

– To flądra – powiedział, kiedy już kelnerka odeszła. – Powinienem to przewidzieć.

– Skąd to wiesz? – spytała Ellen i natychmiast pożałowała swoich słów. Nie chciała, aby rozmowa zeszała na inny temat.

– Są za duże, to po pierwsze. A krawędzie zbyt równe. Niewątpliwie zostały obcięte.

– Przypuszczam, że możesz je zwrócić – poradziła, ale miała nadzieję, że tak się nie stanie, gdyż kłótnia z kelnerką mogłaby zniszczyć nastrój.

– Mógłbym – przyznał Hooper i parsknął śmiechem do Ellen. – Ale nie w tych okolicznościach.

Nalał wino do kieliszka Ellen, a potem do swojego i wzniósł toast:

– Za skrywane fantazje – powiedział. – Opowiedz mi o swoich.

Jego oczy były jasne jak przejrzysty błękit, a usta rozchylił w lekkim półuśmiechu.

Ellen też się zaśmiała.

– Ojej, moje nie są specjalnie interesujące. Przypuszczam, że są całkiem przeciętne.

– Jestem pewien, że to nieprawda – powiedział Hooper. – Opowiedz mi o nich.

Prosił, nie domagał się, ale Ellen czuła, że gra, którą zaczęła, wymagała dalszej zachęty z jej strony.

– Och, wiesz – powiedziała. Poczuła ciepło w żołądku, a plecy i kark były gorące. – Typowe rzeczy. Na przykład... gwałt.

– Jak to się dzieje?

Próbowała myśleć i przypominała sobie czasy, kiedy samotna, pozwalała swemu umysłowi błądzić i wyczarowywać zmysłowe wyobrażenia. Zazwyczaj leżała w łóżku, często ze śpiącym mężem obok niej. Czasami zauważała, że bezwiednie pocierała rękę pochwę, pieszcząc się.

– Na różne sposoby – powiedziała.

– Wymień jeden.

– Czasami jestem rano w kuchni, kiedy już wszyscy wyszli, i robotnik z któregoś z domów obok przychodzi przez tylne drzwi. Chce skorzystać z telefonu albo dostać szklankę wody.

Przerwała.

– A potem?

– Wpuszczam go do środka, a on grozi, że mnie zabije, jeśli nie zrobię tego, czego on chce.

– Czy rani cię?

– Och, nie. To znaczy, nie dźga mnie nożem ani nic takiego.

– Biję cię?

– Nie. Tylko... gwałci.

– Jest fajnie?

– Nie na początku. Przeróżająco. Ale potem, po chwili, gdy on...

– Kiedy już ma cię całą... gotową...

Ellen spojrzała mu w oczy, szukając oznak humoru, ironii albo okrucieństwa. Nie zauważyła ich. Hooper obliznął językiem usta, pochylił się naprzód, dopóki jego twarz nie znalazła się blisko jej twarzy.

Drzwi zostały otwarte, pomyślała Ellen. Wszystko, co musisz zrobić, to przejść przez nie.

– Tak – powiedziała.

– To w takim razie musiało być przyjemnie.

– Tak. – Przesunęła się na krześle, gdyż wspomnienie stało się bardziej namacalne.

– Miewasz wtedy orgazm?

– Czasami – przyznała. – Nie zawsze.

– Jest duży?

– Wysoki? Nie...

Rozmawiali bardzo swobodnie, niezbyt głośno, ale teraz Hooper zniżył głos do szeptu:

– Nie pytam, czy jest wysoki. Czy on... no wiesz... jest duży?

– Zazwyczaj – powiedziała Ellen i zachichotała – Wielki.

– Czy jest czarny?

– Nie. Ale słyszałam, że niektóre kobiety miewają fantazje związane z gwałtem czarnego mężczyzny. Nigdy takich nie miałam.

– Opowiedz mi kolejną.

– O nie – powiedziała, śmiejąc się. – Teraz twoja kolej.

Usłyszeli odgłos kroków i zobaczyli, że kelnerka zbliżała się do ich stolika.

– Czy wszystko w porządku? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedział Hooper krótko. – Mamy wszystko.

Kelnerka odeszła, a po chwili Ellen spytała szeptem:

– Myślisz, że wszystko słyszała?

Hooper pochylił się ku niej.

– Nie ma szans. A teraz opowiedz kolejną.

To się jednak stanie, pomyślała Ellen i poczuła nagle nerwowość. Chciała mu powiedzieć, dlaczego tak się zachowywała, wyjaśnić, że nigdy nie była w takiej sytuacji. Prawdopodobnie pomyśli, że jestem wyuzdana. Daj spokój. Nie głupiej, tylko graj dalej.

– Nie – powiedziała ze śmiechem. – Teraz twoja kolej.

– Moje to zazwyczaj orgie – powiedział. – Albo przynajmniej trójkąciki.

– Czym są trójkąciki?

– Trójka ludzi. Ja i dwie dziewczyny.

– Chciwiec! A co ty robisz?

– Różne rzeczy. Wyobraźnia nie zna granic.

– A ty jesteś... duży? – spytała.

– Większy z każdą minutą. A co z tobą?

– Nie wiem. Ale w porównaniu z czym?

– Z innymi kobietami. Niektóre są naprawdę ciasne.

Ellen zachichotała.

– Wygląda, jakbyś porównywał ceny.

– Jako świadomy konsument.

– Nie wiem, jaka jestem – powiedziała. – Nie mam porównania.

Spojrzała w dół na wpół zjedzonego kurczaka i zaśmiała się.

– Co cię rozbawiło?

– Zastanawiałam się... – zaczęła, śmiejąc się coraz głośniej. – Boże, zaczyna mnie kłuć w boku... Zastanawiałam się, czy kurczaki mają...

– Oczywiście – powiedział Hooper. – Ale mów teraz o twojej ciasnej!

Zaśmiali się razem, a gdy przestali, Ellen wyrwało się nieopatrznie:

– Stwórzmy własną fantazję.

– Okej. Ale jak chcesz zacząć?

- Co byś zrobił ze mną, jeśli mielibyśmy... no wiesz.
- To interesująca kwestia – powiedział ze sztuczną powagą. – Jednak przed rozważeniem co, powinniśmy ustalić gdzie. Zawsze jest mój pokój...
- Zbyt niebezpieczne. Wszyscy mnie znają w Abelardzie. Gdziekolwiek w Amity będzie niebezpiecznie.
- A co z twoim domem?
- Tylko nie to! Spodziewam się, że któreś z moich dzieci przyjdzie do domu. Poza tym...
- Wiem. Bez profanowania małżeńskiego łóża. W porządku, to gdzie jeszcze?
- Muszą istnieć motele stąd do Montauk. Albo jeszcze lepiej, stąd do Orient Point.
- Całkiem nieźle. Nawet jeśli tak nie jest, to zawsze pozostaje nam samochód.
- W biały dzień? Ty masz naprawdę dzikie fantazje.
- W fantazjach wszystko jest możliwe.
- W porządku. To ustalone. Co byśmy zrobili?
- Myślę, że powinniśmy postępować w sposób chronologiczny. Przede wszystkim wyjeżdżamy w jednym samochodzie. Prawdopodobnie moim, gdyż jest mniej znany. A potem wracamy, aby zabrać twój.
- Okej.
- A gdy już jedziemy... nie, nawet jeszcze przedtem, zanim wyruszymy... wysłałam cię do damskiej toalety i mówię ci, abyś zdjęła majtki.
- Dlaczego?
- Abym mógł... zagłębić się w ciebie podczas jazdy. Aby utrzymać silnik na chodzie.
- Rozumiem – powiedziała, próbując wyobrazić sobie taką sytuację. Poczwała gorąco, spłoszyła i miała wrażenie, że jej umysł ulatuje gdzieś z ciała. Była jak trzecia osoba, świadek słuchający tej rozmowy. Musiała walczyć, aby nie przesiąść się na sofę obitą sztuczną skórą, wic się na niej z jednej strony na drugą i poruszać udami na boki. Ale bała się, że zostawi mokrą plamę na siedzeniu krzesła.
- A wtedy – mówił dalej Hooper – gdy już byśmy jechali, usiadłabyś po mojej prawej stronie, abym mógł ci robić masaż. Może rozpiąłbym rozporek. Albo jednak nie, bo mogłabyś mieć pomysł, przez który bez wątpienia straciłbym kontrolę nad kierownicą, a to prawdopodobnie doprowadziłoby do poważnego wypadku, który nam obojgu przyniosłby śmierć.
- Ellen zaczęła ponownie chichotać, gdy wyobraziła sobie Hoopera leżącego na

poboczu drogi, sztywnego jak maszt flagowy, a ją samą obok niego, z ubraniami podciągniętymi do pasa, z rozchylną pochwą błyszczącą od wilgoci, aby cały świat mógł to zobaczyć.

– Musielibyśmy poszukać motelu – powiedział Hooper – z pokojami w oddzielnych domkach, aby nie przylegały do siebie ściana w ścianę.

– Dlaczego?

– Hałas. Ściany są budowane przeważnie z tekturowej gównobitki, a nie chcielibyśmy, aby powstrzymywała nas myśl, że w sąsiednim pokoju wędrowny sprzedawca butów przystawia ucho do ściany, dostaje bzika i wali konia, słuchając nas.

– Przypuszczam, że nie znalazłbyś takiego motelu.

– Raczej my – powiedział Hooper. – I przypominam, że fantazje nie znają granic.

Dlaczego nadal mówił coś takiego? Ellen zamyśliła się. Nie może przecież bawić się w grę słowną, tworzyć fantazji, której nie miał zamiaru spełnić. Próbowала szybko wymyślić pytanie, które podtrzymałoby tę zabawę.

– Pod jakim nazwiskiem chciałbyś nas zameldować?

– A tak. Zapomniałbym. W dzisiejszych czasach nie potrafię wyobrazić sobie kogoś, kto sprawdzałby drobiazgowo nasze dane, ale masz rację, że musielibyśmy podać jakieś nazwisko, w razie gdybyśmy wpadli na staromodnego właściciela motelu. A co powiesz na panią i pana Kinsey? Moglibyśmy powiedzieć, że jesteśmy w terenie na wyprawie badawczej.

– Moglibyśmy powiedzieć, że wysłemy mu kopię naszego raportu z autografami.

– I umieścimy w nim dedykację dla niego!

Zaśmiali się oboje.

– A co po tym, jak już wpisalibyśmy się do księgi meldunkowej?

– No, poszlibyśmy do pokoju i sprawdzili, czy ktoś jest w sąsiednich. Chyba że domek mielibyśmy tylko dla siebie, wtedy od razu weszlibyśmy do środka.

– Co dalej?

– Wtedy liczba naszych możliwości gwałtownie by wzrosła. Prawdopodobnie złapałbym cię i dostałabyś za swoje. Może na łóżku, a może nie. Ten czas należałby do mnie. Twój przyszedłby później.

– Co to znaczy?

– Pierwszy raz to sam żywioł, bez kontroli. Idę na całość i dziękuję, madame! Po tym bardziej bym panował nad sobą i drugi raz należałby do ciebie.

– A jak byś to zrobił?

– Finezyjnie jak artysta.

Zbliżała się kelnerka, więc wrócili na swoje miejsca i przestali rozmawiać.

– Czy będzie coś jeszcze?

– Nie – odpowiedział Hooper. – Tylko rachunek.

Ellen sądziła, że kelnerka wróci do baru, aby podliczyć rachunek, ale ona stała przy stole i skrobała długopisem, trzymając bloczek na wysokości piersi.

Ellen przesunęła się na skraj krzesła, a gdy wstawiała, powiedziała:

– Przepraszam. Chcę przypudrować nos, zanim wyjdziemy.

– Wiem – powiedział Hooper, uśmiechając się.

– Naprawdę? – zdziwiła się kelnerka, gdy Ellen przeszła obok niej. – Panie, co małżeństwo robi z ludzi! Mam nadzieję, że nikt nie zna mnie tak dobrze.

Ellen zjawiła się w domu trochę przed szesnastą trzydzieści. Weszła do łazienki na górze i napuściła wodę do wanny. Zdjęła ubranie i wcisnęła je do kosza na brudne rzeczy, mieszając je z tymi, które już tam były. Spojrzała w lustro i sprawdziła twarz oraz szyję. Żadnych znaków.

Po kąpieli natarła się pudrem, wymyła szczoteczką zęby i przepłukała usta płynem dezynfekującym. Poszła do sypialni, założyła czyste majtki i koszulę nocną, odrzuciła kołdrę z łóżka i położyła się na nim. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że szybko zapadnie w sen.

Ale sen nie był w stanie pokonać wrażeń, które nadal pojawiały się w jej umyśle. To była wizja Hoopera, z oczami szeroko otwartymi, ale niewidzącymi, wpatrującego się w ścianę, gdy dochodził. Oczy wybałuszone aż do chwili wytrysku. Ellen wydawało się, że mogłyby wyskoczyć mu z oczodołów. Hooper miał zaciśnięte zęby i zgrzytał nimi jak ludzie we śnie. W jego głosie pojawiły się bełkotliwe jęki, coraz wyższe i wyższe wraz z każdym pchnięciem do przodu. Nawet po oczywistym, obfitym wytrysku mina Hoopera nie zmieniła się. Zęby miał nadal zaciśnięte, oczy wpatrzone w ścianę, i nadal pompował jak szalony. Jakby nie zważał, że ktoś pod nim był, i może minutę po szczytowaniu, kiedy Hooper nadal się nie rozluźnił, Ellen zaczęła się obawiać – gdyż gwałtowność i natężenie jego parcia kojarzyły się jej z pościgiem policyjnym, w którym ona była jedynie samochodem. Po chwili poklepała go po plecach i powiedziała miękko:

– Hej. Ja też tu jestem.

Później, podczas kolejnego aktu, Hooper był trochę delikatniejszy, bardziej opanowany, bardziej świadomy. Ale furia pierwszego razu nadal pozostawała niepokojąco w jej pamięci.

Wreszcie jej umysł poddał się zmęczeniu i zapadła w sen.

Wydawało się, że niemal natychmiast ktoś ją obudził, mówiąc:

– Hej tam, wszystko w porządku?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Martin siedzi na skraju łóżka.

– Która godzina? – spytała, ziewając.

– Prawie szósta.

– Ojej! Muszę odebrać Seana. Phyllis Santos wpadnie w szal.

– Już to zrobiłem – powiedział Brody. – Uznałem, że tak będzie lepiej, gdy nie mogłem się z tobą skontaktować.

– Próboweś dodzwonić się do mnie?

– Kilka razy. Pytałem o ciebie w szpitalu około drugiej. Powiedzieli, że pojechałaś do domu.

– To prawda. Czułam się paskudnie. Moje tabletki na tarczycę nie działają tak, jak powinny. Dlatego pojechałam do domu.

– Potem dzwoniłem do domu.

– Ojej, stało się coś ważnego?

– Nie, bez większego znaczenia. Jeśli musisz wiedzieć, dzwoniłem, aby przeprosić, że wczoraj cię zdenerwowałem.

Ellen poczuła się zawstydzona, ale to szybko minęło i powiedziała:

– Jesteś słodki, ale nie martw się. Już o tym zapomniałam.

– To dobrze – westchnął Brody.

Czekał przez moment, aby przekonać się, czy chciała coś jeszcze dodać, a kiedy stało się jasne, że nie, zapytał:

– To w takim razie gdzie byłaś?

– Mówiłam ci, że tutaj! – Jej słowa zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzała. – Przyjechałam do domu, poszłam do łóżka i nadal w nim jestem.

– I nie słyszałaś telefonu? Przecież stoi tutaj. – Martin wskazał na szafkę po drugiej stronie łóżka.

– Nie, ja... – Chciała powiedzieć, że wyłączyła telefon, ale wtedy przypomniała sobie, że nie można go wyłączyć na stałe. – Wzięłam pigułki. Nawet jęki potępionych nie obudzą mnie, gdy zażyję jedną z nich.

Brody potrząsnął z niedowierzaniem głową.

– Naprawdę chyba wyrzucę je wszystkie do sedesu. Przez nie stajesz się ćpunką.

Wstał i poszedł do łazienki.

Ellen słyszała, jak podnosi deskę klozetową i zaczyna sikać – długi, potężny, niezmienny strumień moczu, który trwał, trwał i trwał. Uśmiechnęła się. Od zawsze miała Brody'ego za rodzaj moczowego dziwadła; mógł przechodzić niemal cały dzień bez sikania. Ale gdy już zaczął, to zdawało się to trwać wieczność. Dawno temu uznała, że jego pęcherz był wielkości arbuza. Teraz wiedziała, że duży pęcherz moczowy to nieodłączna cecha mężczyzn. Jestem już doświadczoną kobietą, przekonywała samą siebie.

– Wiesz coś o Hooperze? – Brody starał się przebić głosem przez nieustanny szum strumienia moczu.

Ellen przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Dzwonił rano z podziękowaniami. A dlaczego pytasz?

– Jego również próbowałem dzisiaj złapać. Około południa i kilka razy po południu. W hotelu powiedzieli, że nie wiedzą, gdzie pojechał. O której tutaj dzwonił?

– Zaraz po tym, jak wyszedłeś do pracy.

– Czy mówił, co ma zamiar robić?

– Mówił... powiedział, że może spróbuje popracować przy łodzi, tak mi się przynajmniej wydaje. Ale tak naprawdę to nie pamiętam.

– A to zabawne.

– Co takiego?

– Zatrzymałem się przy nabrzeżu po drodze do domu. Właściciel portu powiedział, że nie widział go przez cały dzień.

– Może zmienił zamiary.

– Prawdopodobnie baraszkował z Daisy Wicker w pokoju hotelowym.

Ellen słyszała, jak strumień powoli zmieniał się w kapanie. A potem był już tylko szum wody spłukującej sedes.

ROZDZIAŁ 9

W czwartek rano Brody odebrał telefon wzywający go do biura Vaughana na południowe spotkanie z komisją radnych. Wiedział, co będzie tematem obrad: otwarcie plaż na weekend czwartego lipca, który miał się zacząć pojutrze. Ale zanim wyszedł z biura do ratusza, analizował i porządkował argumenty, jakie wymyślił.

Wiedział, że niektóre były stronnicze, oportunistyczne, oparte na intuicji, ostrożności i niezmiennie doskwierającym poczuciu winy. Ale był święcie przekonany, że miał rację. Otwarcie plaż nie będzie rozwiązaniem ani końcem sprawy. To będzie gra hazardowa, której Amity – ani on sam – nigdy nie wygrają. Skąd mieliby mieć pewność, że rekin odpłynął? Będą żyć z dnia na dzień w trwodze, igrając z losem, aż pewnego dnia – był o tym przekonany – przegrają.

Ratusz miejski stał na początku Main Street, gdzie ulica krzyżowała się z Water Street. Stanowił niejako ukoronowanie litery T stworzonej przez te ulice. Była to imponująca budowla w pretensjonalnym stylu angielskim z przełomu XVIII i XIX wieku – czerwona cegła z białym wykończeniem i dwiema kolumnami w tym samym kolorze, eksponującymi wejście. Na trawniku przed nią stała haubica z II wojny światowej, jako pamiątka po obywatelach Amity, którzy brali udział w walkach.

Budynek przekazał miastu pod koniec lat dwudziestych XX wieku makler giełdowy, który chyba sam sobie pragnął udowodnić, że Amity pewnego dnia stanowić będzie centrum handlu we wschodniej części Long Island. Uznał, że urzędnicy miejscy powinni pracować w godnym tej wizji budynku – gdyż dotychczas zajmowali się sprawami miejskimi w dusznych pokojach niewielkiego apartamentu ponad knajpą zwaną Mill (w lutym 1930 roku zrozpaczony makler, który nie potrafił odmienić swojego losu, tak samo jak losu Amity, próbował bez sukcesów odzyskać budynek, twierdząc, że jedynie użyczył go miastu).

Sal w budynku ratusza były groteskowo wielkich rozmiarów. Z wysokich sufitów zwisały pokaźnych rozmiarów żyrandole. Zamiast zainwestować w przebudowę tych sal w przytulne gabinety, kolejne zarządy miasta upychały coraz więcej i więcej

urzędników do każdej z nich. Tylko burmistrzowi udawało się jeszcze pracować w samodzielnym pokoju.

Biuro Vaughana znajdowało się na pierwszym piętrze południowo-wschodniego narożnika ratusza, z widokiem na większość miasta i odległy Atlantyk.

Sekretarka Vaughana, ponętna dziewczyna dorodnych rozmiarów, Janet Summer, siedziała przy biurku przed wejściem do biura burmistrza. Chociaż Martin rzadko ją widywał, to po ojcowsku lubił Janet i dziwił się bez emocji, że mając dwadzieścia sześć lat, była nadal niezamężna. Zazwyczaj przed wejściem do biura Vaughana wszczywał dochodzenie, czy znowu się zakochała. Ale dzisiaj spytał po prostu:

– Czy wszyscy już są?

– Wszyscy czekają na wyrok. – A gdy Martin wchodził do biura, Janet zapytała: – Nie chcesz wiedzieć, z kim się ostatnio spotykam?

Zatrzymał się, uśmiechnął i powiedział:

– Przepraszam, mam dzisiaj mętlik w głowie. A masz kogoś?

– Nikogo. Jestem czasowo na emeryturze. Ale powiem ci jedną rzecz. – Pochyliła się i zniżyła głos. – Nie miałabym nic przeciwko, aby trochę poigrać z panem Hooperem.

– Jest tam?

Janet skinęła głową.

– Ciekawe, kiedy wybrali go na radnego.

– Nie wiem – powiedziała. – Ale on na pewno jest milutki.

– Przykro mi, Jane, ale on już jest zajęty.

– Przez kogo?

– Daisy Wicker.

Janet wybuchnęła śmiechem.

– Co w tym zabawnego? Właśnie złamałem ci serce.

– Ty nic nie wiesz o Daisy Wicker?

– Wygląda na to, że nie.

Dziewczyna ponownie zniżyła głos:

– Ona jest homo, homoniewiadomo. Mieszka ze swoją dziewczyną. Ona nawet nie jest bi, tylko regularną lesbą.

– Nie miałem zielonego pojęcia – przyznał Brody. – Ty naprawdę odwalasz kawał dobrej roboty, Jane.

A gdy już wchodził do biura, zapytał sam siebie: Okej, to gdzie, do diabła, w takim

razie był wczoraj Hooper?

Jak tylko znalazł się w środku, od razu wiedział, że będzie to samotna walka. Jedynymi obecnymi radnymi byli długoletni przyjaciele i zwolennicy Vaughana: Tony Catsoulis, właściciel firmy budowlanej, wyglądający jak hydrant przeciwpożarowy, Ned Thatcher, chorowity starzec, którego rodzina od trzech pokoleń prowadziła gospodę Abelard Arms, Paul Conover, właściciel Amity Liquors, i Rafe Lopez (wymawiany jak loops), ciemnoskóry Portugalczyk wybrany do rady przez czarną społeczność miasteczka i jej hałaśliwy obrońca.

Czterech radnych siedziało wokół stolika do kawy przy końcu ogromnej sali. Vaughan siedział za biurkiem pod przeciwległą ścianą. Hooper stał przy oknie wychodzącym na południe i wpatrywał się w morze.

– Gdzie jest Albert Morris? – spytał Brody, gdy zdawkowo przywitał się z zebranymi ludźmi.

– Nie mógł dotrzeć – powiedział Vaughan. – Wydaje mi się, że słabo się poczuł.

– A Fred Potter?

– Ta sama sprawa. Musi być jakiś wirus w powietrzu – powiedział Vaughan, wstając zza biurka. – Sądzę, że wszyscy jesteśmy. Bierz krzesło i postaw je obok stolika do kawy.

Boże, jak on okropnie wygląda, pomyślał Martin, obserwując Vaughana wlekącego przez gabinet krzesło z prostym oparciem. Burmistrz miał zapadnięte i podkrążone oczy. Jego skóra była w kolorze majonezu. Albo miał gigantycznego kaca, uznał Martin, albo nie spał jeszcze w tym miesiącu.

Kiedy wszyscy się rozsiedli, Vaughan zaczął:

– Wszyscy wiecie, dlaczego tu jesteśmy. I sądzą, że można spokojnie powiedzieć, iż tylko jednego z nas trzeba przekonać do tego, co powinniśmy zrobić.

– Chodzi ci o mnie – stwierdził Brody.

Vaughan skinął głową.

– Spójrz na to z naszego punktu widzenia, Martin. Miasto umiera. Ludzie są bez pracy. Sklepy powinny być otwarte, a nie są. Ludzie nie wynajmują domów, nie wspominając o ich kupowaniu. A przez zamknięcie plaż wbijamy kolejny gwóźdź do własnej trumny. Mówimy oficjalnie naszym gościom: „To miasto nie jest bezpieczne, trzymajcie się od niego z daleka”. A ludzie słuchają.

– Przypuśćmy, że naprawdę otworzymy plaże na czwartego lipca, Larry – powiedział Brody. – A co, jeśli ktoś zginie?

- Istnieje takie ryzyko, ale sądzę... sądzimy... że warte podjęcia.
- Dlaczego?
- Panie Hooper? – Vaughan zwrócił się do młodego naukowca.
- Z kilku powodów. Po pierwsze, nikt nie widział ryby od tygodnia.
- Ale również nikt nie włąził do wody.
- To prawda. Ale pływałem na łodzi codziennie i szukałem jej. Codziennie poza jednym dniem.
- A właśnie, chciałem o to zapytać. Gdzie byłeś wczoraj?
- Przecież padał deszcz – odezwał się Hooper. – Pamiętasz?
- To co w takim razie robiłeś?
- Ja tylko... – i przerwał od razu, a potem dokończył: – Badałem niektóre próbki wody. I czytałem.
- Gdzie? W swoim pokoju hotelowym?
- Przez część czasu, tak. Do czego zmierzasz?
- Dzwoniłem do twojego hotelu. Powiedzieli, że nie było cię przez całe popołudnie.
- No to mnie nie było – odpowiedział gniewnie Hooper. – Nie muszę meldować się co pięć minut.
- Nie, ale masz wykonywać swoją robotę, a nie uganiać się po ośrodkach wypoczynkowych, które tak lubisz.
- Posłuchaj. Nie ty mi płacisz. Robię więc, do cholery, to, co chcę.
- Dajcie spokój – wtrącił się Vaughan. – To prowadzi nas donikąd.
- W każdym razie – powiedział Hooper – nie widziałem nawet śladu tej ryby. Najmniejszego. A jeszcze pozostaje woda. Robi się z dnia na dzień cieplejsza. Teraz ma już prawie siedemnaście stopni. A wiem, że generalnie, chociaż nigdy nie ma pewności, żarłacze białe wolą wody chłodniejsze.
- Myślisz, że popłynął dalej na północ?
- Albo głębiej, w zimniejsze warstwy wody. Rekin mógł nawet popłynąć na południe. Nie można przewidzieć, co zrobi.
- O to mi właśnie chodziło – powiedział Brody. – Niczego nie można przewidzieć. Tak więc wszystko, co mówisz, to przypuszczenia.
- Nie możesz prosić o gwarancję, Martin – stwierdził Vaughan.
- Powiedz to Christine Watkins. Albo matce tego dzieciaka.
- Wiem, wiem. – Vaughan jakby zaczynał tracić cierpliwość. – Ale musimy coś zrobić. Nie możemy siedzieć beczynnienie i czekać na boskie objawienie. Bóg nie ma

zamiaru bazgrać po niebie: „rekin odpłynął”. Musimy rozważyć wszystkie za i przeciw, a potem podjąć decyzję.

Brody skinął głową.

– Tak sądzę. To z czym jeszcze przyszedł nasz genialny chłopiec?

– O co ci chodzi? – spytał Hooper. – Poproszono mnie o opinię.

– No pewnie – zgodził się Martin. – I tylko tyle?

– Tyle wiemy. Nie ma żadnego powodu, aby rekin nadal krążył po okolicy. Nie widziałem go. Straż przybrzeżna też go nie spostrzegła. Z dna nie wyrosła nagle nowa rafa. Barki ze śmieciami nie wyrzucają swoich ładunków do morza. Dookoła nie ma zbyt wielu ławic ryb. Nie ma powodów, aby tutaj przebywał.

– Ale nigdy ich nie było, prawda? A jednak się tu zjawił.

– To prawda. Tego nie potrafię wyjaśnić. I wątpię, aby ktokolwiek to potrafił.

– W takim razie dopust boży?

– Jeśli tak ci się podoba.

– I nie ma ubezpieczenia przed działaniami Boga, prawda, Larry?

– Nie wiem, co chcesz osiągnąć, Martin – oświadczył Vaughan. – Ale my musimy podjąć decyzję. Obawiam się, że jest tylko jedno wyjście.

– Widzę, że decyzja już została podjęta – stwierdził cierpko Brody.

– Możesz tak powiedzieć.

– A jeśli jeszcze ktoś zginie? Kto wtedy weźmie winę na siebie? Kto ma zamiar rozmawiać z mężem lub matką albo czyjaś żoną i powiedzieć: „Podjęliśmy ryzyko i przegraliśmy?”.

– Nie bądź takim pesymistą, Martin. Kiedy przyjdzie czas... Jeśli w ogóle tak się stanie, a ja zakładam, że nie... to wtedy sobie poradzimy.

– Nie, niech to szlag trafi! Mam dość zbierania gówna po waszych wpadkach.

– Pohamuj się, Martin.

– Mówię poważnie. Jeśli chcecie mojej zgody na otwarcie plaż, to weźmiecie też za to odpowiedzialność.

– Co to znaczy?

– Ogłaszam tylko, że tak długo, jak jestem szefem policji w tym mieście i jak długo jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo publiczne, te plaże będą zamknięte.

– Mówiąc otwarcie, Martin... – zaczął Vaughan. – Jeśli te plaże będą zamknięte przez weekend czwartego lipca, to już długo nie będziesz miał tej pracy. A ja ci nie grozę, tylko ostrzegam. Nadal możemy uratować sezon letni. Ale musimy powiedzieć

ludziom, że mogą przyjechać tutaj i czuć się bezpiecznie. Dwadzieścia minut po tym, jak mieszkańcy usłyszą, że nie otworzysz plaż, wydadzą na ciebie wyrok albo znajdą pierwszą lepszą belkę i cię na niej powieszają. Zgadzaście się, panowie?

– Cholernie zabawne – powiedział Catsoulis. – Sam im pomogę!

– Moi wyborcy nie mają roboty – poparł go Lopez. – Jeśli nie dasz im pracować, sam nie będziesz miał co robić.

Brody powiedział chłodno:

– Możesz przejąć moją robotę, kiedy tylko chcesz.

Dzwonek odezwał się na biurku Vaughana. Wstał gniewnie i przeszedł przez gabinet. Podniósł słuchawkę telefonu.

– Mówiłem ci, że nie chcę, aby nam przeszkadzano – niemal warczał, a po chwili milczenia zwrócił się do Martina. – To do ciebie. Janet mówi, że to pilne. Możesz rozmawiać tutaj albo na zewnątrz.

– Pójdę do sekretariatu – uznał Brody, dziwiąc się, co mogło być tak pilnego, aby wyciągać go ze spotkania z radnymi. Wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Janet podała mu słuchawkę telefonu stojącego na jej biurku, ale nim nacisnęła mrugający przycisk, aby zwolnić przełącznik, Martin zapytał szybko:

– Czy Larry dzwonił tego ranka do Alberta Morrisa albo Freda Pottera?

Janet przestała na niego patrzeć.

– Powiedziano mi, że mam nikomu o niczym nie mówić.

– Powiedz mi, Janet. Muszę wiedzieć.

– Ale powiesz o mnie dobre słowo temu złotemu chłopcu tam w środku?

– Umowa stoi.

– Nie. Jedyni, do których dzwoniłam, to ci czterej.

– Naciśnij przełącznik.

Janet wcisnęła guzik, a on odezwał się:

– Tu Brody, słucham.

Vaughan wpatrywał się w migające światełko na aparacie telefonicznym, delikatnie ściągnął słuchawkę z widełek i dłonią zakrył ustnik mikrofonu. Rozejrzał się po gabinecie, szukając sprzeciwu na twarzach obecnych ludzi. Nikt nie próbował zmierzyć się z jego spojrzeniem – nawet Hooper, który ocenił, że im mniej będzie mieszał się w sprawy Amity, tym lepiej dla niego.

– Cześć, Martin, tu Harry – powiedział Meadows. – Wiem, że jesteś na spotkaniu i musisz tam wrócić. Posłuchaj tylko chwilę. Będę się streszczał. Larry Vaughan tonie

po uszy w długach.

– Nie wierzę w to.

– Słuchaj, co mówię. To, że tonie w długach, nie ma znaczenia. Ważne, kto jest jego wierzycielem. Dawno temu, może dwadzieścia pięć lat, zanim Larry zarobił pierwsze poważne pieniądze, jego żona zachorowała. Nie pamiętam, na co zapadła, ale to była poważna sprawa. I kosztowna. Niewiele z tego pamiętam, ale przypominam sobie, że mówił potem o pomocy przyjaciela i pożyczce, która pozwoliła mu wyjść z kłopotów. To musiało być kilka tysięcy dolarów. Larry podał mi nawet nazwisko tego człowieka. Nie wspominałbym nawet o tym, ale to Larry polecił mi go kiedyś jako kogoś, kto chętnie pomaga ludziom z problemami. Byłem wtedy młody i też nie miałem żadnych pieniędzy. Dlatego zanotowałem nazwisko i wetknąłem tę kartkę do mojej kartoteki. I nigdy nie przyszłoby mi do głowy, aby tam sięgnąć, dopóki nie poprosiłeś mnie, abym zaczął węszyć. Ten człowiek to Tino Russo.

– Do sedna, Harry.

– Jasne. A teraz przeskok do terażniejszości. Kilka miesięcy temu, nim zaczął się dramat z rekinem, powstała kompania zwana Caskata Estate. To jest holding, czyli grupa kapitałowa. Na początku nie miała żadnych aktywów. Pierwszą rzeczą, jaką zakupiła, było wielkie pole ziemniaków zaraz na północ od Scotch Road. Mimo że sezon letni nie rozwijał się dobrze, spółka kupiła kilka kolejnych nieruchomości. To wszystko odbywało się w majestacie prawa. Kompania zyskała gdzieś zaplecze finansowe i wykorzystując zapaść na rynku, zaczęła skupywać posiadłości i domy w niskich cenach. Ale wtedy, jak tylko pojawiły się w gazetach pierwsze artykuły o sprawie z rekinem, Caskata naprawdę zaczęła kupować. Im niższe były ceny nieruchomości, tym więcej kupowała. Wszystko bardzo dyskretnie. Ceny są niemal tak niskie, jak w czasie wojny, a Caskata nadal kupuje. Bardzo mało gotówki, wszystko na krótkoterminowe weksle. Podpisane przez Larry'ego Vaughana, który w rejestrze figuruje jako prezes Caskaty. Wiceprezesem zarządzającym kompanią jest Tino Russo, którego „Times” przez lata umieszczał w drugim rzędzie gnojków w jednej z pięciu mafijnych rodzin w Nowym Jorku.

Brody tylko gwizdnął przez zęby.

– A sukinsyn jęczał, jak to niczego nie może sprzedać. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego na niego naciskano, aby otworzył plażę.

– Nie wiem. Nawet nie mam pewności, czy na niego naciskano. Może zaczął działać w desperacji. Wyobrażam sobie, że mimo wszystko mógł przeinwestować. Nie

potrafił już kupić nic więcej i nie ma znaczenia, jak niskie będą ceny. Jediną szansę uniknięcia bankructwa dawałaby poprawa sytuacji na rynku i wzrost cen. Wtedy mógłby sprzedać to, co kupił, i zgarnąć zyski. Albo Russo zgarnie zyski, to już zależy od sytuacji. Jeśli ceny będą nadal spadać – innymi słowy, jeśli miasto będzie nadal oficjalnie niebezpieczne i Larry nie sprzeda tego, co kupił – będzie musiał zapłacić za weksle. A temu prawdopodobnie nie podoła. Wydał chyba ponad pół miliona dolarów w zaliczkach. A to straci, jeśli posiadłości wrócą do pierwotnych właścicieli, albo przejmie je Russo, gdyż ten zbierze gotówkę. Nie wyobrażam sobie, aby Russo jednak chciał podjąć takie ryzyko. Ceny mogą spadać dalej, a wtedy utopi się w tym razem z Vaughanem. Przypuszczam, że Russo ma nadal nadzieję na spore zyski, ale jedyną szansą na ich uzyskanie jest wymuszenie przez Vaughana otwarcia plaż. Wtedy, jeśli nic się nie wydarzy i rekin nikogo nie zabije, ceny pójdą w górę, a Vaughan zacznie sprzedawać z zyskiem. Russo weźmie swoją działkę zysków – połowę kwoty albo cokolwiek – i Caskata zostanie rozwiązana. Vaughan dostanie to, co zostało, prawdopodobnie dość dużo, aby uniknąć ruiny. Jeśli rekin naprawdę kogoś jeszcze zabije, to jedynym, który zostanie na łodzi, będzie Vaughan. Tyle mogę powiedzieć, że Russo nie zadowolony się byle czym w tym układzie. To wszystko.

– Jesteś cholernym kłamcą, Meadows! – zaskrzeczał głos Vaughana w telefonie. – Jeśli wydrukujesz choć jedno słowo z tego gówna, to będę pozywał cię do sądu aż do śmierci! Rozumiesz?

A potem trzask, gdyż Vaughan walnął słuchawką w telefon.

– Tyle na temat prawości wybieranych przez nas urzędników – stwierdził Meadows.

– Co masz zamiar zrobić, Harry? Możesz cokolwiek wydrukować?

– Nie, przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiem równie dobrze, że mafia coraz więcej inwestuje w Long Island, wykupuje firmy, restauracje, dosłownie wszystko. Ale piekielnie trudno udowodnić, że to jest nielegalne. Nawet w przypadku Vaughana mam wątpliwości, czy doszło do złamania prawa w dosłownym tego słowa znaczeniu. Za kilka dni, gdy więcej pogrzebię, będę w stanie zebrać wszystkie kawałki w całość i powiedzieć, czy Vaughan był związany ze znanym gangsterem. To musi wszystko się trzymać kupy, gdyby Vaughan chciał mnie ciągnąć po sądach.

– Wygląda, jakbyś już miał dość materiałów – powiedział Brody.

– Dużo wiem, ale to nie są jeszcze dowody. Nie mam dokumentów, a nawet ich kopii. Widziałem je, ale to wszystko.

– Czy myślisz, że nasi radni tkwią w tym układzie? Larry zorganizował to spotkanie

przeciwko mnie?

– Nie. Chodzi ci o Catsoulisa i Conovera? To jego starzy kumple, którzy są winni Larry’emu jedną czy dwie przysługi. Jeśli jest tam Thatcher, to jest zbyt stary i przerażony, aby powiedzieć słowo przeciwko Larry’emu. A Lopez jest uczciwy, on naprawdę martwi się o los swoich ludzi.

– Czy Hooper wie coś o tym? Robi całkiem dużo, aby otworzyć plaże.

– Nie, jestem całkiem pewny, że nie. Sam pozbierałem to do kupy zaledwie kilka minut temu, ale nadal jest sporo luźnych wątków, których nie potrafię powiązać.

– Powiedz mi, co mam w takiej sytuacji zrobić? W zasadzie już zrezygnowałem. Zaproponowałem im swoją pracę, nim wyszedłem, aby z tobą porozmawiać.

– Chryste, nie poddawaj się. Po pierwsze, potrzebujemy ciebie. Jeśli zrezygnujesz, Russo dogada się z Vaughanem i razem wybiorą twojego następcę. Możesz myśleć, że wszyscy twoi ludzie są uczciwi, ale założę się, że Russo potrafi znaleźć jednego, który nie będzie miał nic przeciwko zamianie prawości na kilka dolarów albo nawet tylko na możliwość przejęcia twojego stanowiska.

– To co mi teraz zostaje?

– Gdybym był tobą, otworzyłbym plaże.

– Na miłość boską, Harry, tego właśnie chcą! Równie dobrze mógłbym być na ich liście płac.

– Sam przecież powiedziałaś, że podali mocne argumenty, aby otworzyć plaże. Sądzę, że Hooper ma rację. Musisz kiedyś otworzyć plaże, nawet jeśli już nie zobaczymy tej bestii. Mógłbyś równie dobrze zrobić to teraz.

– Oraz pozwolić mafii zgarnąć pieniądze i ulotnić się.

– A co jeszcze możesz zrobić? Trzymać je zamknięte, aż Vaughan znajdzie sposób, aby się od ciebie uwolnić, i otworzy je sam? Wtedy już nie będziesz do niczego potrzebny. Nikomu. Przynajmniej jeśli otworzysz plaże i nic się nie stanie, miasto będzie miało jakąś szansę. Wtedy, może później, poszukamy sposobu, aby dostać się do Vaughana. Nie wiem co, ale może coś się na niego znajdzie.

– Cholera – powiedział Brody. – W porządku, Harry. Pomyślę o tym. Ale jeśli mam je otworzyć, to zrobię to na swój sposób. Dzięki za rozmowę.

Odłożył słuchawkę i wrócił do gabinetu Vaughana. Ten stał przy oknie wychodzącym na południe, plecami do drzwi. Gdy usłyszał, że Brody wszedł, powiedział:

– Spotkanie jest skończone.

– Co to znaczy: skończone? – spytał Catsoulis. – Nie zdecydowaliśmy, co robimy z tym pieprzonym problemem.

Vaughan odwrócił się i powiedział:

– To koniec, Tony. Nie rób problemów. Wszystko odbędzie się tak, jak chcemy. Tylko daj mi szansę porozmawiać trochę z szefem naszej policji. Okej? A teraz wszyscy wynocha!

Hooper i czterech radnych opuściło gabinet. Brody obserwował, jak Vaughan ich pogania. Wiedział, że mógł odczuwać litość dla burmistrza, ale nie potrafił stłumić w sobie pogardy, która go zalewała. Vaughan zamknął drzwi, podszedł do kanapy i opadł na nią ciężko. Oparł łokcie na kolanach i pocierał skronie opuszkami palców.

– Byliśmy przyjaciółmi, Martin – powiedział. – Mam nadzieję, że możemy być znowu.

– Jak dużo z tego, co powiedział Meadows, jest prawdą?

– Nie powiem ci. Nie mogę. Wystarczy powiedzieć, że ten człowiek wyświadczył mi kiedyś przysługę i teraz chce, abym odpłacił mu tym samym.

– Innymi słowy, to wszystko prawda.

Vaughan spojrzał w górę, a Martin zauważył łzy w zaczerwienionych oczach.

– Przysięgam ci, Martin, że gdybym wiedział, jak daleko to zajdzie, to nigdy bym w to nie wdepnął.

– Ile mu wisisz?

– Pierwotna kwota to dziesięć tysięcy. Próbowałem spłacić go dwukrotnie, już dawno temu, ale nigdy nie mogłem wykupić swoich weksli. Oni mówili, że to był prezent i aby się o to nie martwić. Ale nigdy mi ich nie oddali. A kiedy przyszli do mnie kilka miesięcy temu, zaproponowałem im sto tysięcy dolarów. W gotówce. Powiedzieli, że to za mało. Nie chcieli pieniędzy, tylko inwestycji. Twierdzili, że wszyscy na tym zyskają.

– Ile w to wsadziłeś?

– Bóg raczy wiedzieć. Każdy posiadany cent. Więcej niż każdy cent. Prawdopodobnie blisko miliona dolarów.

Vaughan odetchnął głęboko.

– Możesz mi pomóc, Martin?

– Jedyne, jaką mogę zrobić, to skontaktować cię z prokuratorem okręgowym. Jeśli zeznasz, będziesz mógł oskarżyć tych gości o lichwę.

– I będę martwy, nim wrócę do domu z biura prokuratora, a Eleanor zostanie bez

niczego. Nie takiego rodzaju pomocy się spodziewałem.

– Wiem. – Martin spojrział z góry na Vaughana, który wyglądał jak skulone, ranne zwierzę, i naprawdę poczuł dla niego litość. Zaczął wątpić we własny upór w kwestii plaż. Jak dużo było w tym resztek poczucia winy, jak dużo obaw przed kolejnym atakiem rekina? Na jak dużo mógł sobie pozwolić, działając niby dla dobra miasta?

– Powiem ci coś, Larry. Otworzę plaże. Nie dlatego, że chcę ci pomóc, ale z powodu pewności, że jeśli tego nie zrobię, to znajdziesz sposób, aby się ode mnie uwolnić i sam je otworzysz. Otworzę plaże, gdyż nie jestem pewny, czy do końca mam rację.

– Dzięki, Martin. Doceniam to.

– Nie skończyłem. Jak powiedziałem, otworzę plaże. Ale mam zamiar rozstawić na nich ludzi. Chcę, aby Hooper na łodzi patrolował przybrzeżne wody. Chcę mieć pewność, że każda osoba, która wejdzie do wody, będzie świadoma zagrożenia.

– Nie możesz tego zrobić – zaprotestował Vauhan. – Równie dobrze mógłbyś zostawić je zamknięte.

– Mogę, Larry, i zrobię to.

– A co masz zamiar zrobić? Postawić znaki ostrzegawcze o rekinie mordercy? Dać ogłoszenie do prasy, mówiące: „Plażę otwarte – trzymajcie się od nich z daleka”? Nikt nie pójdzie na plażę, gdzie roi się od glin.

– Nie wiem, co mam zamiar zrobić. Ale na pewno coś. Nie mam zamiaru udawać, że nic wielkiego się nie stało.

– W porządku, Martin. – Vaughan wstał z kanapy. – Nie zostawiasz mi wielkiego wyboru. Jeśli cię zwolnię, to prawdopodobnie pójdziesz na plażę jako wolny obywatel i będziesz ganiał wzdłuż i w poprzek, drąc się: „Rekin!”. Zgadzam się. Ale nie nadawaj temu rozgłosu i bądź subtelny. Jeśli nie dla mnie, to ze względu na miasto.

Brody wyszedł z gabinetu. A gdy schodził po schodach, spojrział na zegarek. Było po trzynastej i poczuł głód. Powlókł się przez Water Street do Loefflera, jedynych delikatesów w Amity. Ich właścicielem był Paul Loeffler, kolega z klasy Brody’ego w szkole średniej.

Gdy Martin otwierał szklane drzwi, usłyszał, jak Loeffler mówi:

– ...jak jakiś cholerny dyktator, jeśli mnie o to pytacie. Nie wiem, jaki ma problem.

A kiedy zobaczył Brody’ego, zrobił się różowy na twarzy. W szkole średniej był chudzielcem, ale jak tylko przejął interes ojca, uległ okrutnej pokusie, która otaczała go codziennie przez dwanaście godzin od kilkunastu lat, i teraz wyglądał jak beczka tłuszczu.

Brody uśmiechnął się.

– Nie mówiłeś o mnie, prawda, Paul?

– Dlaczego tak uważasz? – spytał Loeffler, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Nieważne. Jeśli zrobisz mi tosta żytniego z szynką i serem, powiem ci coś, co cię uszczęśliwi.

– Już się robi – powiedział Loeffler, zbierając składniki na tosta.

– Zamierzam otworzyć plażę na czwartego lipca.

– Nareszcie!

– Jak interesy?

– Kiepsko.

– Dla ciebie interesy zawsze idą kiepsko.

– Ale nigdy nie było tak źle, jak teraz. Jeśli się nie poprawi, to zaczną się rozruchy rasowe.

– Co to znaczy?

– Miałem zamiar przyjąć na lato dwóch chłopaków do dostarczania zakupów. Ale nie mogę sobie pozwolić na obydwóch. Nic nie poradzę, nie mam wystarczająco dużo pracy dla obu. Mogę zatrudnić tylko jednego. Białego albo czarnego.

– Którego zatrudnisz?

– Czarnego. Wydaje mi się, że bardziej potrzebuje pieniędzy. Tylko dziękuję Bogu, że biały nie jest Żydem.

Martin zjawił się w domu dziesięć minut po piątej. Gdy wjeżdżał na podjazd, drzwi z tyłu domu były otwarte, a Ellen biegła ku niemu. Płakała i nadal była wyraźnie roztrzęsiona.

– Co się stało?

– Dzięki Bogu, że jesteś w domu. Próbowałam dodzwonić się do ciebie w pracy, ale już wyszedłeś. Chodź tutaj, szybko.

Chwyciła go za rękę i poprowadziła obok tylnych drzwi do wiaty, gdzie trzymali pojemniki na śmieci.

– W tamtym – powiedziała. – Zobacz.

Martin uniósł pokrywę pojemnika. Na stercie toreb ze śmieciami leżał kot Seana – duży i silny kocur o imieniu Frisky. Miał zupełnie przekręconą głowę, a jego żółte oczy patrzyły na grzbiet.

– Jak to się, do diabła, stało? – spytał Brody. – Samochód?

– Nie, człowiek. – Ellen nie mogła powstrzymać łkania. – Sean widział, jak to się stało. To zrobił człowiek. Wysiadł z samochodu przy krawężniku. Chwycił kota i skręcił mu kark. Sean powiedział, że słyszał okropny chrzęst. A potem rzucił kota na trawnik, wsiadł do samochodu i odjechał.

– Czy coś mówił?

– Nie wiem. Sean jest w środku. Dostał ataku hysterii, ale nie winię go za to. Martin, co się dzieje?

Brody trzasnął pokrywą śmietnika.

– Przeklęty sukinsyn – wydusił przez zęby.

Czuł, jak ścisnęło go w gardle, zacisnął zęby i napinał mięśnie szczęk.

– Wejź do środka.

Pięć minut później wybiegł przez tylne drzwi. Odrzucił na bok pokrywę pojemnika na śmieci. Sięgnął do wnętrza i wyciągnął stamtąd kocie truchło. Zaniósł je do samochodu i wrzucił przez otwarte okno, a potem sam wsiadł do środka. Wycofał samochód z podjazdu i ruszył z piskiem opon. Po przejechaniu około stu metrów, w wybuchu furii, włączył syrenę alarmową.

Zaledwie kilka minut zajęło mu dojechanie do domu Vaughana, zbudowanego z kamienia dworku w stylu tudorowskim, stojącym przy Scotch Road. Wysiadł z radiowozu, wyciągnął zabitego kota za jedną z tylnych nóg, wszedł po schodach frontowych i nacisnął dzwonek. Miał tylko nadzieję, że to nie Eleanor powita go w drzwiach.

Otworzył mu Larry i powiedział:

– Witaj, Martin. Ja...

Brody podniósł kota i wcisnął go w twarz Vaughana.

– Co powiesz na to, skurwysynu?

Ten otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– O co ci chodzi? Nie wiem, o czym mówisz.

– Zrobił to jeden z twoich przyjaciół. Tuż przed moim domem, na oczach dziecka. Zamordowali mojego pieprzonego kota. Powiedziałeś im, żeby to zrobili?

– Nie szalej, Martin. – Vaughan zdawał się autentycznie zaszokowany. – Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Nigdy!

Brody opuścił zabitego kota.

– Czy dzwoniłeś do swoich przyjaciół po moim wyjściu?

– No... tak. Ale tylko żeby powiedzieć, że plaże będą jutro otwarte.

– To wszystko, co powiedziałaś?

– Tak. A dlaczego pytasz?

– Kłamliwe pieprzenie! – Brody uderzył kotem w pierś Vaughana, a potem rzucił go na podest schodów. – Wiesz, co ten gość powiedział, gdy już zadusił mojego kota? Wiesz, co powiedział ośmioletniemu chłopcu?

– Nie. Oczywiście, że nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć?

– Powiedział to samo, co ty. Powiedział: „Powiedz swojemu staremu, żeby był subtelny”.

Brody odwrócił się i zszedł po schodach, zostawiając Vaughana nad nieruchomym stosem kości i futra, który kiedyś był kotem.

ROZDZIAŁ 10

Piątek był pochmurny, przelotnie padał deszcz, a jedynymi ludźmi, jacy pływali, była para młodych, która wzięła szybką kąpiel wcześniej rano, jak tylko Brody zjawił się na plaży. Hooper patrolował wody przez sześć godzin i nie dostrzegł nic intrygującego. W piątkową noc Brody zadzwonił do straży przybrzeżnej w sprawie prognozy pogody. Nie był pewny, czego oczekiwał. Wiedział, że powinien pragnąć ładnej pogody na trzydniowy świąteczny weekend. To ściągnęłoby ludzi do Amity i jeśli nic się nie zdarzy, jeśli nie zauważy nic groźnego, to od wtorku mógłby zacząć wierzyć, że rekin odpłynął. Jeśli nic się nie wydarzy. W głębi duszy powitałby z radością trzydniową zawieruchę, która by spowodowała w weekend pustkę na plaży. Inaczej będzie błagał wszystkie bóstwa, aby nic złego się nie stało.

Chciał też, aby Hooper wrócił do Woods Hole. I nie tylko dlatego, że jako ekspert podważał jego autorytet, negując konieczność zachowania ostrożności. Brody wyczuwał, że w jakiś sposób intruz dostał się do jego domu. Wiedział, że Ellen rozmawiała z nim od czasu wieczornego przyjęcia; młody Martin wspomniał coś, że Hooper mógłby zabrać ich na piknik na plaży, żeby zbierać muszelki. No i była jeszcze kwestia środy. Ellen powiedziała, że była chora, i z pewnością wyglądała na znużoną, kiedy zjawił się w domu. Ale gdzie był Hooper tego dnia? Dlaczego był tak ogólnikowy, gdy go o to spytał? Po raz pierwszy w małżeńskim życiu zdumiał się, a to zdumienie rodziło sprzeczne uczucia – wyrzuty sumienia z powodu braku zaufania do Ellen i obawę, że rzeczywiście miał do tego podstawy.

Pogoda zgodnie z prognozą miała być słoneczna, z południowo-zachodnim wiatrem o prędkości od ośmiu do szesnastu kilometrów na godzinę. Może tak będzie najlepiej, pomyślał Martin. Jeśli będzie słonecznie i nikt nie zostanie zjedzony przez rekina, może uda mi się uwierzyć, że najgorsze minęło. A i Hooper na pewno wyjedzie.

Martin powiedział Mattowi, że zadzwoni do niego, jak tylko porozmawia z kimś ze straży przybrzeżnej. Stał teraz przy telefonie w kuchni. Ellen zmywała talerze po kolacji. Martin wiedział, że Hooper mieszkał w Abelard Arms. Widział książkę

telefoniczną leżącą pod stosem rachunków, notatników i komiksów na blacie kuchennym. Chciał już po nią sięgnąć, ale się powstrzymał.

Muszę zadzwonić do Hoopera – powiedział. – Wiesz, gdzie jest książka telefoniczna?

– Sześć, pięć, cztery, trzy – odezwała się Ellen.

– Co?

– To numer do Abelard. Sześć, pięć, cztery, trzy.

– Skąd wiesz?

– Mam pamięć do numerów telefonów. Wiesz o tym. Zawsze miałam.

Wiedział o tym i przeklinał się za stosowanie takich głupich sztuczek. Wybrał numer telefonu.

– Abelard Arms – usłyszał młody męski głos nocnego portiera.

– Proszę z pokojem Matta Hoopera.

– Czy wie pan, jaki jest numer tego pokoju?

– Nie. – Brody zakrył mikrofon słuchawki i powiedział do Ellen: – Nie wiesz przypadkiem, jaki jest numer jego pokoju, prawda?

Spojrzała na niego i przez sekundę nie odpowiadała. A potem potrząsnęła głową.

– Mam. Cztery... Nie, pięć – powiedział portier.

Telefon zadzwonił dwa razy, nim Hooper odebrał.

– Tu Martin.

– Cześć.

Brody próbował sobie wyobrazić, jak wygląda pokój jego rozmówcy. Przywoływał wizję małego, ciemnego poddasza, rozbebeszonego łóżka, plam na pościeli i odoru po rui. Przez chwilę miał wrażenie, że jego umysł przestał funkcjonować.

– Wygląda na to, że jutro ruszamy – powiedział. – Będzie dobra pogoda.

– Tak, wiem.

– To w takim razie widzimy się w porcie.

– O której?

– Dziewiąta trzydzieści, tak zakładam. Wcześniej chyba nikt nie będzie miał ochoty włączyć do wody i pływać.

– Dobrze. Dziewiąta trzydzieści.

– Jesteśmy umówieni. A tak przy okazji... – dodał Brody. – Jak udały się sprawy z Daisy Wicker?

– Nie rozumiem?

Brody pożałował, że zadał to pytanie.

– Nic. Byłem tylko ciekawy. Wiesz, czy byliście w nocy razem.

– No... tak, skoro już o to pytasz. Czy twoja praca polega również na kontrolowaniu życia intymnego innych ludzi?

– Zapomnij o tym. Przepraszam, że o tym wspomniałem.

Odwiesił słuchawkę. Kłamca, pomyślał. Co się tutaj, do diabła, dzieje? Zwrócił się do Ellen.

– Miałem cię zapytać, Martin mówił coś o pikniku na plaży. Kiedy to miało być?

– To tylko pomysł. Nie umawialiśmy się jeszcze.

– Aha.

Spojrzał na nią, ale ona odwróciła się plecami.

– Sądzę, że już czas, abyś poszła spać.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie czułaś się dobrze. A do tego drugi raz myjesz tę samą szklanekę.

Wyjął piwo z lodówki. Szarpnął za zawleczkę puszki, ale ta urwała mu się w palcach.

– Cholera – powiedział, wrzucił puszkę do kosza na odpadki i wyszedł do salonu.

W sobotnie południe Brody stał na wydmie wieńczącej plażę przy Scotch Road i czuł się trochę jak tajny agent, a trochę jak głupek. Miał na sobie koszulkę polo i bermudy; musiał je kupić specjalnie do tego zadania. Był rozczarowany swoimi białymi nogami, niemal pozbawionymi owłosienia, które wytarło się po latach noszenia długich spodni. Miał nadzieję, że Ellen będzie mu towarzyszyć; uznał, że dzięki temu mniej rzucałyby się w oczy, ale ona wymigała się z tego, twierdząc, że musi zająć się domem, gdyż przez poprzedni tydzień nie miała na to czasu. W torbie plażowej leżącej obok Martina znajdowały się lornetka, krótkofalówka, dwa piwa i kanapka owinięta w celofan. Jakies pięćset metrów od brzegu „Pięknisia” powoli płynęła w kierunku wschodnim. Brody patrzył na łódź i powiedział sobie, że przynajmniej wie, gdzie Matt jest dzisiaj.

Straż przybrzeżna miała rację, dzień był wspaniały – bezchmurny i ciepły, z lekką bryzą od morza. Na plaży nie było zbyt wielu ludzi. Z tuzin nastolatków leżał w rytualnym rzędku. Kilka par leniwie drzemało – nieruchomo jak zwłoki, jakby ruch zakłócał kosmiczny rytuał opalania. Jakaś rodzina zgromadziła się przy palenisku z węgla drzewnego na piasku i do nosa Brody’ego docierał zapach grillowanych

hamburgerów.

Nikt jeszcze nie próbował pływać. Dwa razy rodzice poprowadzili gromadkę dzieci na skraj wody i pozwolili im brodzić w niej i chlapać w falach, ale po paru minutach, znudzeni albo wystraszeni, wracali na plażę.

Martin usłyszał za sobą chrzęst kroków w trawie porastającej wydmy i odwrócił się. Kobieta i mężczyzna, prawdopodobnie dobrze po czterdziestce i oboje ze znaczną nadwagą – z mozołem wdrapywali się na wydmy, ciągnąc za sobą dwójkę narzekających dzieci. Mężczyzna miał na sobie spodnie khaki, T-shirt i koszykarskie tenisówki. Kobieta nosiła sukienkę z nadrukiem, która podwijała się na jej otłuszczonych udach. W dłoni trzymała parę sandałów. W oddali za nimi Brody zobaczył kamper Winnebago, stojący przy Scotch Road.

– Mogę w coś pomóc? – spytał Brody, kiedy para już dotarła na szczyt wydmy.

– To plaża? – dopytywała się kobieta.

– A jakiej plaży szukacie? Publiczna jest...

– To jest to, w porządku – powiedział mężczyzna, wyciągając mapę z kieszeni. Mówił z łatwo rozpoznawalny akcentem nowojorskiego Queens. – Zjechaliśmy z dwudziestki siódemki i dojechaliśmy tą drogą aż tutaj. To jest to.

– No to gdzie jest rekin? – zapytał pucołowaty trzynastolatek. – Mówiłeś, że zobaczymy tutaj rekina.

– Zamknij się – powiedział mężczyzna, a potem zwrócił się do Brody'ego. – Gdzie jest ten rekin?

– Jaki rekin?

– Ten, który zabił tych wszystkich ludzi. Widziałem w telewizji, na trzech różnych kanałach. Jest rekin, który zabija ludzi. Właśnie tutaj.

– Tutaj był rekin – sprostował Brody. – Ale teraz go nie ma. I przy odrobinie szczęścia już nie wróci.

Facet patrzył na niego przez kilka sekund, a potem warknął:

– Jechaliśmy całą drogę tutaj, żeby zobaczyć tego rekina, a on odpłynął? Tego w telewizji nie mówili.

– To nie moja wina – powiedział Brody. – Nie wiem, kto wam powiedział, że możecie zobaczyć rekina. One nie przychodzą na plażę, aby ucisnąć rękę na powitanie.

– Nie cwaniakuj, koleś.

Martin wstał z piasku.

– Niech pan posłucha – powiedział, wyciągając portfel ze spodenek, a potem otworzył go, aby mężczyzna mógł zobaczyć odznakę policyjną. – Jestem szefem policji w tym mieście. Nie wiem, kim jesteś albo myślisz, że jesteś, ale nie włącz na prywatną plażę w Amity ani nie zachowuj się jak głupek. A teraz powiedz, o co ci chodzi, albo spadaj stąd!

Facet przestał się stawiać.

– Przepraszam – powiedział. – To z powodu tej całej jazdy w korku i dzieciaków, które drą się prosto do ucha. Pomyślałem, że przynajmniej uda nam się zobaczyć rekina. To dlatego tutaj przyjechaliśmy.

– Jechaliście dwie i pół godziny, aby zobaczyć rekina? Po co?

– Aby coś zrobić. W zeszłym tygodniu pojechaliśmy do parku Jungle Habitat w New Jersey. Pomyśleliśmy, że tym razem pojedziemy na wybrzeże. Ale potem usłyszeliśmy o tym rekinie. Dzieciaki nigdy przedtem żadnego nie widziały.

– No cóż. Mam nadzieję, że dzisiaj też go nie zobaczą.

– Cholera!

– A mówiłeś, że zobaczymy rekina! – zawodził jeden z chłopców.

– Zamknij buzię, Benny!

Mężczyzna odwrócił się do Brody'ego.

– A czy możemy zjeść tutaj lunch?

Martin wiedział, że mógłby kazać ludziom pójść na publiczną plażę, ale bez nalepki identyfikacyjnej mieszkańca miasta musieliby zaparkować kampera ponad milę od plaży, więc powiedział:

– W porządku. Jeśli jednak ktoś będzie się skarżył, będziecie musieli stąd odejść, ale wątpię, aby była taka potrzeba. Ruszajcie. Ale nie zostawiajcie na plaży niczego. Żadnego opakowania po gumach do żucia albo zapalek. Bo wlepię wam mandat za zaśmiecanie.

– Okej – powiedział mężczyzna, a potem zwrócił się do żony: – Masz przenośną lodówkę?

– Zostawiłam w samochodzie – powiedziała. – Nie wiedziałam, że tutaj zostaniemy.

– Cholera. – Mężczyzna poczłapał w dół wydmy, dysząc jak parowóz. Kobieta z dwójką dzieci podeszła jeszcze ze dwadzieścia czy trzydzieści metrów w stronę brzegu i usiadła na piasku.

Martin spojrział na zegarek, była dwunasta piętnaście. Sięgnął po torbę plażową i wyjął z niej krótkofalówkę. Nacisnął przycisk i powiedział:

– Jesteś tam, Leonard? – Po czym puścił przełącznik.

Po chwili w słuchawce odezwał się chrypliwy głos:

– Słyszę cię, szefie. Odbiór.

Hendricks na ochotnika spędzał czas na publicznej plaży, jako trzeci punkt w trójkącie obserwacyjnym. („Masz być regularnym plażowym wałkonem” – tak powiedział Brody, gdy Hendricks zgłaszał się na ochotnika, a ten roześmiał się i odparł: „Jasne, szefie. Skoro już mieszkasz w takim mieście jak nasze, to równie dobrze możesz dołączyć do szczęśliwych ludzi”).

– Co jest? – spytał Brody. – Czy coś się dzieje?

– Nic godnego uwagi, ale pojawił się mały problem. Ludzie przychodzą do mnie i próbują dawać mi bilety. Odbiór.

– Bilety na co?

– Aby dostać się na plażę. Mówią, że kupowali specjalne bilety wstępu na plażę w Amity. Powinieneś zobaczyć to cholerstwo. Mam tu jeden z nadrukiem: „Plaża rekinów, bilet jednorazowy. Dwa pięćdziesiąt”. Przypuszczam, że jakiś cwaniaczek robi szybko spory szmal, sprzedając ludziom bilety, których nie potrzebują. Odbiór.

– A jaka jest ich reakcja, kiedy nie przyjmujesz ich biletów?

– Najpierw szaleją jak cholera, kiedy im mówię, że zostali oszukani i że wejście na publiczną plażę jest za darmo. Ale jeszcze bardziej szaleją, gdy mówię im, że nie mogą na podstawie tego biletu zostawić samochodów na parkingu bez wykupienia zezwolenia. Odbiór.

– Czy powiedzieli ci, kto sprzedaje te cholerne bilety?

– Wiem tylko, że to jakiś młody chłopak. Spotkali go przy Main Street, a on powiedział im, że nie dostaną się na plażę bez wykupienia biletów. Odbiór.

– Chcę się dowiedzieć, kto, do diabła, sprzedaje te bilety, i zamierzam go powstrzymać. Idź do budki telefonicznej na parkingu i zadzwoń na posterunek. Powiedz komukolwiek, kto odbierze, że chcę, aby ktoś z naszych ludzi poszedł na Main Street i aresztował tego drania. Jeśli przyjechał spoza miasta, to go stąd wyrzućcie. A jeśli to miejscowy, to go zamknijcie.

– Na podstawie jakiego oskarżenia? Odbiór.

– Nie obchodzi mnie to. Wymyśl coś. Oszustwo. Zabierzcie go po prostu z ulicy.

– Okej, szefie.

– Jakież inne problemy?

– Nie. Jest kilku więcej chłopaków z telewizji z jedną z tych ruchomych ekip

transmisyjnych, ale nie robią nic poza przeprowadzaniem wywiadów z ludźmi.

– A o czym?

– Tylko typowe sprawy. Wiesz: czy obawiasz się pływania, co sądzisz o rekinie...

Samo takie badziewie. Odbiór.

– Jak długo już są?

– Przez większość poranka. Nie wiem, jak długo będą się jeszcze pałętać, szczególnie że nikt nie wchodzi do wody. Odbiór.

– Dopóki nie zaczną stwarzać problemów...

– Jasne. Odbiór.

– Okej. Hej, Leonard, nie musisz za każdym razem mówić „odbiór”. Powiem ci, kiedy skończymy rozmowę.

– To tylko procedura, szefie. Wtedy sprawy są jasne. Bez odbioru.

Martin odczekał chwilę, a potem nacisnął przełącznik i powiedział:

– Matt, tu Brody. Coś się tam dzieje?

Nie było odpowiedzi.

– Brody wzywa Hoopera. Czy mnie słyszysz?

Już miał trzeci raz ponowić wezwanie, gdy usłyszał głos Matta:

– Przepraszam, byłem na rufie. Wydawało mi się, że coś widziałem.

– A co widziałeś?

– Nic. Jestem pewny, że niczego tam nie było. Refleksy światła chyba mylą mój wzrok.

– Co to mogło być?

– Nie potrafię tego tak naprawdę opisać. Może cień, Nic więcej. Światło słoneczne ogłupia, bywa zwodnicze.

– I nie widziałeś nic więcej?

– Nic podejrzanego. Przez cały ranek.

– Trzymajmy się tego. Sprawdzę później, co u ciebie.

– Dobrze, za minutę albo dwie będę przed plażą publiczną.

Martin włożył krótkofalówkę do torby plażowej i wyjął z niej kanapkę. Chleb był zimny i czerstwy, gdyż leżał na wypełnionej lodem plastikowej torbie, w której znajdowały się puszki z piwem.

Przed czternastą trzydzieści plaża prawie opustoszała. Ludzie poszli grać w tenisa, żeglować albo wrócili do miasta. Jedyni, którzy na niej zostali, to z pół tuzina nastolatków i rodzina z Queens.

Martin poczuł, że nogi zaczęły piec go od słońca; niewyraźne czerwone plamki pokryły uda i wierzch stóp, więc przykrył je ręcznikiem. Wyciągnął jeszcze raz z torby walkie-talkie i wywołał Hendricksa.

- Czy coś się działo, Leonard?
- Nic szczególnego, szefie. Odbiór.
- Ktoś pływa?
- Nie. Brodzą przy brzegu. Odbiór.
- To samo tutaj. Co ustaliłeś w sprawie sprzedawcy biletów?
- Nic. Ale nikt już nie wręczał mi biletów, więc sądzę, że ktoś go popędził. Odbiór.
- A co z reporterami z telewizji?
- Pojechali. Poszli stąd kilka minut temu. Chcieli wiedzieć, gdzie jesteś. Odbiór.
- Po co?
- A bo ja wiem? Odbiór.
- Powiedziałeś im?
- Oczywiście. Dlaczego miałbym tego nie robić? Odbiór.
- Okej. Porozmawiamy później.

Martin postanowił przejść się po plaży. Przycisnął palcem jedną z czerwonych plamek na udzie. Zrobiła się biała, a potem wybuchła gniewną czerwienią, gdy oderwał od niej palec. Owinął ręcznik wokół bioder, aby chronić nogi przed słońcem, i z walkie-talkie w ręku podreptał w stronę wody.

Usłyszał odgłosy pracującego silnika, odwrócił się i wdrapał na szczyt wydmy. Przy Scotch Road zaparkowała biała furgonetka. Na boku miała wypisane czarne litery „WNBC-TV News”. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się, za środka wysiadł mężczyzna i mozolnie człapał przez piasek do Brody’ego.

Gdy się zbliżał, Martin uznał, że gdzieś już go widział. Był młody, z długimi, poskręcanyimi włosami i podkreconymi do góry węsami.

- Pan jest szefem policji w Amity? – spytał, gdy znalazł się kilka kroków od niego.
- Zgadza się.
- Powiedzieli mi, że pan tu będzie. Jestem Bob Middleton, Czwarty Kanał Wiadomości.
- Jesteś reporterem?
- Tak. Ekipa jest w furgonetce.
- Tak mi się wydawało, że gdzieś cię już widziałem. Co mogę dla ciebie zrobić?
- Chciałbym przeprowadzić z tobą wywiad.

– O czym?

– O tej całej sprawie z rekinem. Dlaczego zgodziłeś się otworzyć plażę i takie tam.

Brody zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział w duchu: „Co tam, do diabła, mała publikacja nie może zaszkodzić miastu, a szanse, że coś się wydarzy – przynajmniej dzisiaj – są ograniczone”.

– W porządku – powiedział. – Gdzie chcesz to zrobić?

– Tam na plaży. Wezmę ekipę. Kilka minut zajmie nam ustawienie wszystkiego, więc jeśli masz coś do zrobienia, to śmiało. Zawołam cię, gdy będziemy gotowi.

A potem Middleton potruchtał do samochodu.

Martin nie miał nic specjalnego do roboty, ale ponieważ szedł w stronę wody, pomyślał, że może iść dalej. I był już blisko brzegu.

Gdy przechodził obok grupy nastolatków, usłyszał:

– Co jest? Czy ktoś ma jaja? Dziesięć baksów to dziesięć baksów!

– Hej, Limbo, daj spokój – powiedziała jedna z dziewczyn.

Brody zatrzymał się kilka metrów od nich, udając, że wypatruje czegoś na pełnym morzu.

– Dlaczego? – dopytywał się chłopak. – To naprawdę dobra oferta. Nie sądzę, aby ktoś miał tyle odwagi. Pięć minut temu wszyscy mi mówiliście, że nie ma szans, aby rekin był nadal w pobliżu.

– Jak jesteś taki napalony, to dlaczego sam nie wejdiesz? – spytał inny chłopak.

– Jestem tym, który składa propozycję – odparł tamten. – A nikt z was nie zapłaci mi dziesięciu dolców za wejście do wody. No, to co powiesz?

Przez moment panował cisza, potem drugi chłopak powiedział:

– Dziesięć baksów? Gotówką?

– Jest tutaj. – Pierwszy chłopak zaczął wymachiwać dziesięciodolarowym banknotem.

– Jak daleko muszę popłynąć?

– Zobaczmy. Z pięćdziesiąt metrów. To całkiem ładny dystans. Zgoda?

– A skąd wiesz, gdzie kończy się ten dystans?

– Zgadnę. Po prostu pływ przez chwilę, a potem się zatrzymaj. Jeśli to będzie wyglądać na pięćdziesiąt metrów, pomacham ci, abyś wracał.

– Umowa stoi! – powiedział chłopak i wstał.

Wtedy wtrąciła się jedna z dziewczyn:

– Jesteś szalony, Jimmy. Dlaczego chcesz iść do wody? Nie potrzebujesz dziesięciu

dolarów.

– Myślisz, że się boję?

– Nikt tak nie twierdzi – powiedziała dziewczyna. – To nie jest konieczne, to wszystko.

– Dziesięć baksów nigdy nie jest niekonieczne – odpowiedział chłopak – szczególnie gdy stary odciął cię od kieszonkowego za wypalenie odrobiny trawki na weselu ciotki.

Chłopak zaczął biec do wody, gdy Martin zawołał:

– Hej!

Nastolatek zatrzymał się.

– Co?

Brody podszedł do niego.

– Co ty robisz?

– Idę pływać. A ty kim jesteś?

Brody wyjął portfel i pokazał odznakę.

– Chcesz iść popływać? – spytał.

Widział, że chłopak spoglądał ukosem na swoich przyjaciół.

– Oczywiście. Dlaczego nie? Przecież to legalne, prawda?

Brody pokiwał głową. Nie wiedział, czy inni byli w stanie ich usłyszeć, więc ściszył głos:

– Chcesz, abym zabronił ci to zrobić?

Chłopak spojrzał na niego i potrząsnął głową.

– Nie, człowieku. Przyda mi się dziesięć dolarów.

– Nie zostawaj tam zbyt długo – upomniał go Brody.

– Nie będę.

Chłopak podreptał do wody. Rzucił się przez szczyt małej fali i zaczął płynąć. Martin usłyszał za sobą chrzęst kroków na piasku. Bob Middleton przebiegał obok niego i zawołał do chłopaka.

– Hej, wracaj!

Pomachał rękami i zawołał ponownie.

Chłopak przestał płynąć i zatrzymał się.

– O co chodzi?

– O nic wielkiego. Chcę zrobić parę ujęć, jak wchodzisz do wody. W porządku?

– Jasne. Chyba tak – powiedział chłopak.

Zaczął brnąć przez wodę do brzegu.

Middleton odwrócił się od Brody'ego.

– Cieszę się, że dopadłem go, nim wypłynął za daleko. Przynajmniej mamy kogoś, kto tu dzisiaj pływa.

Dwaj technicy podszli blisko Martina. Jeden dźwigał 16-milimetrową kamerę i trójnog. Nosił buty wojskowe, sfatygowane spodnie, koszulkę koloru khaki i skórzaną kamizelkę. Drugi był niższy i grubszy. Miał na sobie pognieciony szary garnitur i trzymał prostokątną skrzynkę z licznymi gałkami i pokrętłami. Na jego szyi wisiły słuchawki.

– Tam będzie dobrze, Walter – powiedział Middleton. – Daj mi znać, kiedy będziecie gotowi.

Wyjął notatnik z kieszeni i zaczął zadawać jakieś pytania chłopakowi.

Starszy z mężczyzn podszedł do Middletona i podał mu mikrofon. Cofnął się do kamerzysty, rozwijając przewody ze szpuli trzymanej w ręce.

– Możemy zaczynać – powiedział kamerzysta.

– Muszę wyregulować mikrofon – wtrącił się ten ze słuchawkami.

– Powiedz coś. – Middleton podsunął mikrofon na kilka centymetrów od ust nastolatka.

– Ale co mam powiedzieć?

– Tyle wystarczy – rzucił dźwiękowiec.

– Okej – zgodził się Middleton. – Zaczynamy z bliskiego planu, Walter, a potem idź na szersze ujęcie, okej? Daj mi sygnał, jak będziesz gotowy.

Kamerzysta spojrział przez obiektyw, uniósł palec i wskazał nim na Middletona.

– Poszło! – niemal krzyknął.

Middleton spojrział w kamerę.

– Jesteśmy na plaży w Amity od wczesnego ranka i jak dotąd nikt nie śmiał zaryzykować wejścia do wody. Nie było oznak obecności rekina, ale nadal panuje atmosfera strachu. Stoję z Jimem Prescottem, młodym człowiekiem, który zdecydował się popływać. Powiedz mi, Jim, czy nie boisz się, że w tych wodach nadal czyha zagrożenie?

– Nie – powiedział chłopak. – Nie sądzę, aby coś tam jeszcze było.

– Tak więc nie boisz się?

– Nie.

– Jesteś dobrym pływakiem?

– Całkiem dobrym.

Middleton podał mu rękę.

– W takim razie powodzenia, Jim. Dziękuję za rozmowę.

Chłopak uściskał dłoń reportera.

– To wszystko? – zapytał. – Co chcesz, żeby teraz zrobić?

– Cięcie – powiedział Middleton. – Zrobimy to teraz z góry, Walter. Poczekaj sekundę.

A potem zwrócił się do chłopaka:

– Nie pytaj tak, okej? Po tym, jak ci podziękuję, po prostu się odwróć i idź do wody.

– Rozumiem – zgodził się nastolatek. Drżał i pocierał ramiona.

– Hej, Bob – zawołał kamerzysta. – Chłopak musi być suchy. Nie może wyglądać na mokrego, jeśli jeszcze nie był w wodzie.

– Tak, masz rację – przyznał Middleton. – Możesz się wytrzeć, Jim?

– No pewnie.

Chłopak pobiegł do swoich znajomych i wytarł się ręcznikiem.

– Co się dzieje? – dopytywał mężczyzna z Queens za plecami Martina.

– Telewizja – powiedział Brody. – Chcą sfilmować kogoś pływającego.

– Ach tak. Powinienem zabrać ze sobą garnitur na taką okazję.

Powtórzyli całą scenę, potem Middleton podziękował chłopakowi, a ten pobiegł do wody i zaczął płynąć.

Middleton podszedł do kamerzysty i powiedział:

– Trzymaj go dalej w obiektywie, Walter. Irv, wyłącz dźwięk. Prawdopodobnie użyjemy tego jako przebitki informacyjnej.

– Ile tego materiału potrzebujesz? – spytał kamerzysta, śledząc obiektywem chłopaka, jak pływał.

– Sto stóp albo coś koło tego – powiedział Middleton. – Ale zostań tutaj, dopóki nie wyjdzie z wody. Bądź gotowy, tak na wszelki wypadek.

Brody oswoił się z ledwie słyszalnym szumem silnika „Pięknisi” i jego umysł przestawał go rejestrować. Stał się integralną częścią plaży, jak plusk fal. Nagle tonacja silnika zmieniła się z niskiego pomruku w gwałtowny warkot. Przestał wpatrywać się w pływającego chłopaka i zobaczył, że łódź gwałtownie zmieniła kurs i przyspieszyła. To nie było już spacerowe tempo patrolowe, w jakim poprzednio płynął Hooper. Martin przyłożył krótkofalówkę do ust i zapytał:

– Widzisz coś, Matt?

Widać było, jak łódź zwolniła i zatrzymała się.

Middleton usłyszał, że Brody coś mówił.

– Daj mi dźwięk, Irv – nakazał. – A ty filmuj to, Walter.

Potem podszedł do Brody'ego.

– Coś się dzieje, szefie?

– Nie wiem. To właśnie próbuję ustalić. – A potem powiedział przez walkie-talkie: – Hooper?

– Tak – dał się słyszeć głos z łodzi. – Ale nadal nie wiem, co to jest. To był znowu ten cień. Teraz gdzieś mi zniknął. Może już mam zmęczony wzrok.

– Masz to, Irv? – spytał Middleton, ale dźwiękowiec pokręcił głową.

– Tam gdzieś pływa dzieciak – przypomniał Martin.

– Gdzie? – Matt był wyraźnie zaniepokojony.

Middleton przysunął mikrofon do twarzy Brody'ego, niemal wciskając go między usta a krótkofalówkę. Ten odsunął go ruchem ręki, ale reporter znowu przystawił mikrofon do jego warg.

– Jakieś trzydzieści metrów od brzegu. Zawołam, żeby wracał.

Potem wsunął krótkofalówkę za ręcznik, którym był opasany, i przyłożył do ust dłonie złożone w trąbkę.

– Hej, tam! – krzyknął. – Wracaj do brzegu!

– Jezu – jęknął dźwiękowiec. – Nie wrzeszcz tak, mało mi nie popękały bębunki.

Chłopak nie słyszał wezwania. Płynął prosto przed siebie. Nastolatek, który zaoferował dziesięć dolarów, usłyszał wołanie Brody'ego i podszedł do skraju wody.

– Jakiś problem? – spytał.

– Nie – odpowiedział Brody. – Tylko najlepiej, jakby jak najszybciej wyszedł z wody.

Middleton stanął między nimi i wymachiwał mikrofonem od jednego do drugiego.

– Kim pan jest?

– Jestem szefem policji. – Martin zaczął tracić panowanie nad sobą. – A teraz zabieraj stąd swój tyłek. – A potem zwrócił się do Middletona: – A ty trzymaj ten pieprzony mikrofon z daleka od mojej twarzy, dobrze?

– Nie martw się, Irv – powiedział Middleton. – Możemy to wyciąć.

Brody sięgnął po walkie-talkie i powiedział:

– Hooper, on mnie nie słyszy. Musisz podpłynąć do niego i powiedzieć mu, aby wracał do brzegu.

– Jasne – padła szybka odpowiedź. – Będę tam za minutę.

Teraz ryba zataczała nierówne kręgi tuż nad piaszczystym dnem, jakieś trzy metry pod „Pięknisią”. Przez godziny odbierała dziwne odgłosy pochodzące z góry. Dwa razy podpłynęła blisko powierzchni morza, pozwalając wzrokowi, zapachowi i kanałom nerwowym ocenić stworzenie, które tak głośno poruszało się ponad jej głową. Dwa razy przygotowywała się do ataku, ale nie potrafiła się zdecydować.

Martin widział łódź płynącą kursem zachodnim do brzegu, jak rozbryzgiwała wodę, gdy dziobem uderzała w jej powierzchnię.

– Skieruj kamerę na kuter, Walter – polecił Middleton.

W wodzie poniżej ryba wyczuła zmianę odgłosów. Zrobiło się głośniejsze, a potem ciszej, gdy łódź odpływała. Zmieniła kierunek, przechylając się na bok jak samolot, i podążała za oddalającym się dźwiękiem.

Chłopak przestał płynąć, uniósł głowę i spojrzał na brzeg. Brody machał rękami i wydzierał się:

– Wracaj na plażę!

Pływak machnął dłonią, że zrozumiał, i ruszył do brzegu. Pływał dobrze, obracając głowę na lewo, aby złapać oddech, i wykonywał bardzo skoordynowane ruchy rękami i nogami. Brody oceniał, że był od brzegu mniej niż pięćdziesiąt metrów i potrzebował minutę albo trochę więcej, aby wyjść na ląd.

– Co się dzieje? – rozległ się głos obok Brody’ego. To znowu ten turysta. Za nim stali jego dwaj synowie, śmiejąc się z przejęcia.

– Nic – wyjaśnił Brody. – Po prostu nie chcę, aby chłopak wypływał tak daleko.

– Czy to rekin? – spytał żądny wrażeń facet.

– Hej, ale zabawa! – zawołał jeden z jego dzieciaków.

– Nie wasza sprawa – odezwał się Brody. – Po prostu wracajcie na plażę.

– Daj spokój, szefie – upierał się gość z Queens. – Przejechaliśmy taki kawał drogi...

– Odwal się! – rzucił krótko Martin.

Przy piętnastu węzłach prędkości Hooperowi na łodzi zabrało zaledwie trzydzieści sekund pokonanie kilkuset metrów dzielących go od chłopca. Zatrzymał się blisko niego, pozwalając silnikowi pracować na jałowym biegu. Był zaraz poza linią przyboju i nie chciał, aby zaczęło kołysać kutrem.

Chłopak usłyszał szum silnika i uniósł głowę.

– O co chodzi? – spytał.

– Nic – powiedział Hooper. – Płyn dalej.

Chłopak opuścił głowę i popłynął. Sunąca fala pchnęła go do przodu i po dwóch czy trzech ruchach rękami mógł już dotknąć stopami dna. Woda sięgała mu do ramion i zaczął mozolnie stąpać do brzegu.

– Szybciej – zachęcał go Brody.

– Dobrze – odparł chłopak. – Tylko o co chodzi?

Kilka stóp za Martinem stał Middleton z mikrofonem w ręku.

– Kogo masz w obiektywie, Walter? – spytał.

– Dzieciaka – odpowiedział kamerzysta – i gliniarza. Obydwu. Dwa ujęcia.

– Okej. A ty nagrywasz, Irv?

Dźwiękowiec tylko skinął głową.

A Middleton mówił do mikrofonu:

– Coś się dzieje, panie i panowie, ale nie wiemy dokładnie co. Widzieliśmy, że Jim Prescott poszedł pływać, a potem nagle człowiek na łodzi coś zobaczył. Teraz szef policji Brody próbuje zmusić chłopca, aby jak najszybciej wyszedł na brzeg. To mógł być rekin, ale jeszcze tego nie wiemy.

Hooper na łodzi wrzucił wsteczny bieg, aby wydostać się ze strefy fal. Gdy wyjrzał za rufę, zobaczył srebrną smugę w szaroniebieskiej wodzie. Wyglądało to na załamanie światła na falach, ale poruszało się niezależnie. Przez sekundę Matt nie rozumiał, na co patrzy. A potem już nie zdążył się temu przyjrzeć. Zawołał:

– Uważaj!

– Co jest? – krzyknął Brody.

– Ryba! Zabieraj stamtąd dzieciaka! Szybko!

Chłopak usłyszał Hoopera i próbował biec. Ale głęboka po piersi woda spowalniała i utrudniała jego ruchy. Martwa fala zdziwiła go. Potknął się, potem stanął i pochylił się do przodu.

Martin wbiegł do wody z wyciągniętymi rękami. Fala uderzyła go w kolana i odepchnęła do tyłu.

Middleton mówił do mikrofonu:

– Człowiek na łodzi właśnie powiedział coś o rybie. Nie wiem, czy miał na myśli rekina.

– Czy to rekin? – dopytywał się człowiek z Queens, stając obok reportera. – Nie

widzę go.

– Kim jesteś? – spytał go Middleton.

– Nazywam się Lester Karslow. Chcesz zrobić ze mną wywiad?

– Zjeżdżaj.

Teraz chłopak poruszał się szybciej, gdyż płytsza woda stawiała coraz mniejszy opór. Nie mógł widzieć płetwy wyłaniającej się za nim z wody, sierpowatego ostrza brązowawej szarości.

– Tam jest! – wrzasnął Karslow. – Widzisz go, Benny? Davey? Tam jest!

– Nic nie widzę – mówił niemal z płaczem jeden z synów turysty.

– Nastawiam obiektyw – powiedział kamerzysta. – Tak, mam go wyraźnie!

– Szybko! – wołał błagalnie Brody.

Zbliżył się do chłopaka, który miał szeroko rozwarte w panice oczy. Był tak przerażony, że ledwie łapał oddech. Brody dotknął ręką jego ciała, objął wokół piersi i razem chwiejnie wyszli z wody.

Płetwa zniknęła pod powierzchnią wody, gdy ryba zmieniła kierunek i oddalała się w głębinę morza.

Martin stał na piasku i nadal obejmował chłopaka.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Chcę do domu. – Nastolatek drżał na całym ciele.

– Rozumiem. – Brody prowadził go do grona przyjaciół, ale zjawił się Middleton.

– Możesz to dla mnie powtórzyć? – spytał Middleton.

– Powtórzyć co?

– To, co powiedziałaś chłopcu. Możemy to zrobić jeszcze raz?

– Zejdź mi z drogi! – warknął Martin.

Gdy doszli do grupy nastolatków, powiedział do tego, który proponował pieniądze w zakładzie:

– Zabierz go do domu. I daj mu dziesięć dolarów.

Chłopak tylko skinął głową, blady i przerażony.

Martin zobaczył, że jego walkie-talkie kołysało się na falach uderzających o brzeg. Wyciągnął je z wody, wytarł do sucha, nacisnął przełącznik i powiedział:

– Leonard, słyszysz mnie?

– Słyszę, szefie. Odbiór.

– Rekin był tutaj. Jeśli ktoś wszedł do wody, to powiedz, żeby z niej uciekał. Natychmiast. I zostań tam, dopóki nie załatwię ci zastępstwa. Nikogo nie dopuszczaj

do wody. Plaża zostaje oficjalnie zamknięta.

– Okej, szefie. Czy ktoś został ranny? Odbiór.

– Nie, dzięki Bogu. Ale niewiele brakowało.

– Dobra, szefie. Bez odbioru.

Martin wrócił po torbę plażową.

Middleton zawołał za nim:

– Hej, szefie, czy teraz możemy przeprowadzić wywiad?

Brody zatrzymał się i już miał zaproponować Middletonowi, aby poszedł się pieprzyć, ale zamiast tego powiedział:

– Co chcesz wiedzieć? Widziałeś to samo co ja.

– Tylko parę pytań.

Martin westchnął i wrócił do miejsca, gdzie stał reporter z ekipą.

– No dobrze – zgodził się. – Zaczynaj.

– Jak dużo ci zostało z rolki, Walter? – spytał najpierw Middleton.

– Około piętnastu metrów. Tylko krótki wywiad.

– Dobra, daj mi znak.

– Kręć!

– No cóż, naczelniku Brody – zaczął Middleton. – Mieliśmy chyba szczęśliwy przełom, prawda?

– Bardzo szczęśliwy. Chłopak mógł stracić życie.

– Czy według ciebie to ten sam rekin, który już zabijał ludzi?

– Nie wiem – odparł Brody – ale wydaje mi się, że tak.

– Co pan zamierza zrobić w takiej sytuacji?

– Zamykam plażę. Obecnie tylko tyle mogę zrobić.

– To znaczy, że przyznaje pan, iż pływanie w Amity stało się niebezpieczne?

– W tej chwili to prawda.

– A co to oznacza dla samego miasta?

– Kłopoty, panie Middleton. Mamy wielkie kłopoty.

– A tak z perspektywy czasu, szefie? Co pan czuje po dzisiejszym otwarciu plaż?

– Co czuję? Co to w ogóle za pytanie? Jestem zawiedziony i zły, ale również wdzięczny, że nikt nie został ranny. Czy to wystarczy?

– Zupełnie, naczelniku – powiedział z uśmiechem Middleton. – Dziękujemy panu.

Przerwał, a potem dodał:

– Okej, Walter, zwijamy się. Wracamy do domu i zaraz potem zaczniemy montaż

tego bałaganu.

– A co z zakończeniem? – spytał kamerzysta. – Zostało mi jeszcze z siedem metrów.

– To dobrze – uznał Middleton. – Poczekaj, wymyślę coś mądrego na koniec.

Martin zabrał ręcznik i torbę plażową i przez wydnię poszedł do stojącego nieopodal samochodu. Kiedy był blisko Scotch Road, zobaczył rodzinę z Queens, stojącą przy kamperze.

– Czy to był ten rekin, który zabijał ludzi? – spytał ojciec rodziny.

– Kto to wie? – odparł Brody. – A co to za różnica?

– Nie wyglądał tak groźnie, widziałem tylko kawałek płetwy. Jestem rozczarowany, nie było w tym nic wielkiego.

– Słuchaj, ty cymbale. Chłopak o mało nie zginął. Jesteś rozczarowany, że tak się nie stało?

– Nie rób z igły wideł – bronił się grubas. – Przecież to coś było jeszcze daleko od chłopaka. Założę się, że to była zwykła ustawka dla tych gości z telewizji.

– Panie, spadaj stąd! Ty i ta twoja cała cholerna gromada. Zabieraj ich stąd. Ale już!

Martin poczekał, aż facet załadował rodzinę i dobytek do kampera. A gdy odchodził, usłyszał, jak tamten mówił do żony:

– Mówiłem, że wszyscy tutaj to zwykli nadęci tandeciarze. I miałem rację. Nawet ten gliniarz jest taki.

O szóstej po południu Martin siedział na posterunku z Hooperem i Meadowsem. Wcześniej już rozmawiał przez telefon z Larrym Vaughanem, który pijany i zalewający się łzami mruczał coś o zrujnowanym życiu. Zabrzęczał dzwonek na biurku, więc podniósł słuchawkę telefonu.

– Gość nazywający się Bill Whitman chce się z tobą widzieć, szefie – oznajmił Bixby. – Mówi, że jest z „New York Timesa”.

– Och, jeszcze tego... A, co tam, do diabła! Przyślij go tutaj.

W otwartych drzwiach stanął Whitman.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Nie – zapewnił Brody. – Wejdz. Pamiętasz Harry’ego Meadowsa. To jest Matt Hooper z instytutu oceanograficznego w Woods Hole.

– Dobrze pamiętam pana Harry’ego Meadowsa – powiedział Whitman. – To dzięki niemu mój szef przejechał się na moim tyłku z jednego końca Czterdziestej Trzeciej Ulicy na drugi.

– A co on takiego zrobił? – spytał Brody.

– Pan Meadows niejako z zasady zapomniał mi powiedzieć o ataku na Christine Watkins. Ale nie omieszkał napisać o tym swoim czytelnikom.

– Musiało mi umknąć w natłoku wydarzeń – bronił się Meadows.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytał Brody.

– Ciekawi mnie – zaczął Whitman – czy według ciebie ten sam rekin zabił tych wszystkich ludzi.

Martin wskazał na Hoopera, który powiedział:

– Nie mogę stwierdzić tego jednoznacznie. Nie widziałem ryby, która zabiła poprzednio i nawet nie przyjrzałem się tej dzisiaj. Wszystko, co widziałem, to coś w kształcie cygara o srebrzystej barwie. Nie mam tego z czym porównać. Mogę tylko mówić o prawdopodobieństwie. Trudno mi uwierzyć, żeby w tym samym czasie pojawiły się dwa rekiny ludojady przy południowym wybrzeżu Long Island.

Whitman spytał Brody'ego:

– Co ma pan zamiar zrobić? Oczywiście poza zamknięciem plaż, gdyż to już mamy za sobą.

– Nie wiem. Co możemy zrobić? Chryste, wolałbym huragan. Albo nawet trzęsienie ziemi. Przynajmniej jak to się zdarzy, to kiedyś się kończy i jest po sprawie. Potem można oszacować straty i wiadomo, co trzeba zrobić. To są wydarzenia w jakiś sposób obliczalne. Mają początek i koniec. A to jest szaleństwo. To jest jakby jakiś szaleniec biegał tutaj na wolności i zabijał, kiedy tylko mu się spodoba. Wiesz, kim on jest, ale nie możesz go złapać ani powstrzymać. A co gorsza, nie wiesz, dlaczego on to robi.

– Pamiętaj o Minnie Eldridge – powiedział Meadows.

– Tak – odezwał się Brody. – Po tym wszystkim pomyślałem, że może jednak wiedziała, co mówi.

– Kto to jest? – spytał Whitman.

– Nikt. Tylko miejscowa wariatka.

Przez chwilę panowała cisza, jakby wszyscy zbierali myśli.

Wreszcie odezwał się Whitman:

– No i?

– No i co? – spytał Martin.

– Musi być jakieś wyjście z tego koszmaru. Coś na pewno można zrobić.

– Byłbym szczęśliwy, słysząc jakąś sugestię. Ale na razie czuję się jak dziecko we mgle. Będziemy mieli szczęście, jeśli miasto przetrwa to lato.

– Czy nie ma w tym trochę przesady?

– Nie sądzę. Prawda, Harry?

– Nie do końca się z tobą zgodzę. – Meadows pokręcił głową. – Miasto jakoś sobie poradzi nawet przy małej frekwencji gości, panie Whitman. Można to nazwać pasożytnictwem, jeśli tak ci się podoba, ale tak właśnie jest. Żywiciel biologiczny zjawia się każdego lata i Amity pochłania go, wyciągając każdy kawałek pożywienia, zanim ten wyjedzie ponownie po Święcie Pracy. Zabierz naszego żywiciela i jesteśmy jak kleszcze, ale bez psów do spijania krwi. Głodujemy. I wreszcie – co najwyżej – kolejna zima może być najgorsza w historii miasteczka. Będziemy mieli tak dużo ludzi na zasiłku dla bezrobotnych, że Amity zacznie przypominać znany panu Harlem. – Roześmiał się ponuro. – Taki Harlem nad morzem.

– Oddałbym duszę, aby dowiedzieć się – wtrącił Martin – dlaczego ten dopust boży spadł na nas. Dlaczego nie East Hampton albo Southampton, albo jeszcze Quogue?

– To jest coś – powiedział Hooper – czego nigdy się nie dowiemy.

– Dlaczego? – spytał Whitman.

– Nie chcę, aby to brzmiało, jakbym tłumaczył się z błędnej oceny zachowania rekina – Matt mówił powoli jak na wykładzie. – Jakby to powiedzieć... U niego granica pomiędzy instynktem a szaleństwem jest bardzo rozmyta. Wydaje się, że sama natura jest w tej sprawie logicznym wyjaśnieniem. Ale jest dużo spraw, na które nie ma dobrej czy sensownej odpowiedzi. Powiedzmy, że płyną dwaj ludzie, jeden za drugim, a rekin podpływa do nich z tyłu. I mijają spokojnie tego, który płynie z tyłu, a atakuje pływaka z przodu. Dlaczego? Może wyczuł różnicę w zapachu? Może ten na przedzie płynął w sposób bardziej zwracający uwagę. Powiedzmy, że ten, który nie został zaatakowany, płynie na pomoc temu z przodu, ofierze napaści. Rekin może nawet go nie tknąć – może specjalnie go unikał – i nadal będzie atakował tego z przodu. Żarłacze białe zapewne wolą chłodniejszą wodę. To dlaczego jeden z nich pojawił się u wybrzeży Meksyku, gdzie zadławił się ludzkim ciałem, którego w całości nie potrafił połknąć? W jakiś sposób są jak huragany. Pojawiają się tutaj, ale nie tam. Zmiatają z powierzchni cały dom, ale nagle skręcają gdzieś dalej i omijają sąsiedni. Gość ze zmieczonego domu mówi: „Dlaczego ja?”. Ten z ocalałego domu mówi: „Dzięki Bogu!”.

– To w jakiś sposób pojmuję – powiedział Whitman. – Ale nadal nie wiem, dlaczego rekina nie można złapać?

– Może i można – przyznał Hooper. – Ale nie sądzę, że my moglibyśmy tego

dokonać. Przynajmniej nie z tym ekwipunkiem, który mamy. Przypuszczam, że moglibyśmy spróbować jeszcze raz z holowaniem przynęty.

– Tak – przyznał Brody. – Ben Gardner już tego próbował. Skutek znamy.

– Czy słyszeliście o facecie nazwiskiem Quint? – spytał Whitman.

– Słyszałem o nim – powiedział Brody. – A ty miałeś kiedyś do czynienia z tym gościem, Harry?

– Tak, ale niewiele. Z tego co wiem, nigdy nie zrobił nic nielegalnego.

– W porządku – stwierdził Brody. – Może warto do niego zadzwonić.

– Chyba żartujesz! – oburzył się Hooper. – Naprawdę chcecie robić interesy z tym gościem?

– Powiem ci coś, Matt. W tym momencie gdyby zjawił się tutaj ktoś, kto choćby i twierdził, że jest Supermanem, ale potrafiłby wypieprzyć stąd tego rekina, ty tylko zapytałbym, kiedy to robi. Nawet mógłbym mu potrzymać ptaka.

– Tak, ale...

Martin mu przerwał:

– Co powiesz, Harry? Myślisz, że jego numer jest w książce telefonicznej?

– Ty naprawdę zamierzasz to zrobić? – Hooper dziwił się dalej.

– Możesz postawić w zakładzie swój słodki tyłeczek. A masz jakiś lepszy pomysł?

– Nie, to tylko... Nie wiem. A skąd wiesz, że ten gość to nie jakiś oszust, naciągacz albo coś takiego?

– Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy. – Martin wyciągnął książkę telefoniczną z górnej szuflady biurka i otworzył ją. Przesuwał palec w dół strony.

– Tu jest Quint. To wszystko, co mam. Bez imienia. Ale jest tylko jeden na tej stronie. To musi być on.

Wykręcił numer telefonu.

– Quint – rozległ się głos w słuchawce.

– Panie Quint, tu Martin Brody. Jestem szefem policji w Amity. Mamy problem.

– Słyszałem.

– Rekin znowu był dzisiaj w pobliżu.

– Dopadł kogoś?

– Nie, ale prawie miał jednego chłopaka.

– Ryba tej wielkości potrzebuje dużo pożywienia – stwierdził Quint.

– Widziałeś ją?

– Nie. Szukałem jej kilka razy, ale nie mogłem marnować na to zbyt wiele czasu.

Moi klienci nie wydają pieniędzy na szukanie. Oni chcą efektów.

– Skąd wiesz, jak duża jest?

– Słyszałem plotki. Wyciągnąłem z niech średnią i odjąłem ze dwa metry. Z tego wynika, że macie przed sobą spory kawał ryby.

– Wiem. Interesuje mnie, czy nam pomożesz.

– Czekąłem na waszą propozycję.

– Możesz?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, ile masz ochotę wydać, to po pierwsze.

– Zapłacimy tyle, ile wynosi twoja obecna stawka. Obojętnie, ile bierzesz za dzień.

Będziemy ci płacić do dnia, dopóki jej nie zabijemy.

– Nie sądzę – powiedział Quint. – To jest robota za dodatkową stawkę.

– Co to oznacza?

– Moja dzienna stawka wynosi dwieście dolarów. Ale to jest specjalna robota.

Myślę, że zapłacicie podwójnie.

– Nie ma szans.

– Do widzenia.

– Poczekaj minutę. Opanuj się, człowieku! Dlaczego mi to robisz?

– Nie masz innego wyjścia.

– Są inni rybacy.

Martin usłyszał śmiech Quinta – krótkie, szydercze szczekanie.

– Oczywiście, że są – zgodził się Quint. – Jednego już posłałeś w zaświaty. Poślij drugiego. Poślij jeszcze pół tuzina. Kiedy w końcu wrócisz do mnie, będziesz musiał zapłacić potrójnie. Nie mam nic do stracenia, mogę poczekać.

– Nie proszę o żadne względy – powiedział Brody. – Wiem, że musisz zarabiać na życie. Ale ta bestia zabija. Muszę to powstrzymać i ratować życie niewinnych ludzi. Potrzebuję twojej pomocy. Czy nie możesz mnie traktować przynajmniej jak normalnego klienta?

– Łamiesz mi serce – odpowiedział Quint. – Masz rybę, którą trzeba zabić. Spróbuję ci pomóc, zrobię wszystko, co w mojej mocy, ale niczego nie gwarantuję. A to, co potrafię, jest warte czterysta dolarów za dzień.

– Nie wiem, czy radni dadzą mi te pieniądze – westchnął Brody.

– Jakoś je znajdziesz.

– Jak długo może potrwać takie polowanie?
– Dzień, tydzień, miesiąc. Kto to wie? Możemy jej nigdy nie odnaleźć. Może odpłynąć.

– W to nie wierzę – powiedział Brody, a po chwili przerwy dodał: – Ale zgadzam się. Sądzę, że nie mamy innego wyboru.

– Nie, nie macie.

– Możesz zacząć jutro?

– Nie. Najwcześniej w poniedziałek. Mam jutro przyjęcie.

– Przyjęcie? Masz na myśli wieczorne spotkanie?

Quint rozśmiał się tym samym zjadliwym szczekaniem.

– Wyprawa krajoznawcza – powiedział. – Obecnie w naszych wodach niewiele złowisz.

Brody poczerwieniał.

– Tak, to prawda. Ale czy nie możesz tego odwołać? Jeśli płacimy ci takie pieniądze, to wydaje mi się, że zasłużyliśmy na specjalne traktowanie.

– Nie, to są stali klienci. Nie mógłbym im tego zrobić, gdyż straciłbym ich zaufanie i nie daliby mi więcej zarobić. Twoje zlecenie jest jednorazowe.

– Przypuśćmy, że jutro wpadniesz na rekina. Będziesz próbował go złapać?

– To oszczędziłoby ci sporo pieniędzy, prawda? Nie chcemy oglądać waszego rekina. Wybieramy się na wschód. Są tam niezłe łowiska. Powinieneś też kiedyś spróbować.

– Już wszystko zaplanowałeś, prawda?

– Jest jeszcze coś – powiedział Quint. – Przydałby mi się ktoś do pomocy. Straciłem swojego kumpla i nie czułbym się pewnie przy łowieniu tak wielkiej ryby bez dodatkowej pary rąk.

– Straciłeś kumpla? Utopił się?

– Nie, niezupełnie. Zjadły go nerwy. Zdarza się większości ludzi po pewnym czasie w tej robocie. Za dużo dziwnych przemyśleń.

– Ale tobie się to nie przytrafiło?

– Nie, bo wiem, że jestem bystrzejszy niż ryby.

– I to wystarcza, po prostu być mądrzejszym?

– Do tej pory wystarczyło. Dzięki temu nadal żyję. To znajdziecie dla mnie pomocnika?

– A sam nie możesz znaleźć kogoś do załogi?

– Nie tak łatwo o to do tego rodzaju roboty.

– A kogo jutro zabierasz do pomocy?

– Pewnego dzieciaka. Ale on się nie nadaje do łowów na żarłacza białego.

– To mogę zrozumieć – przyznał Brody, ale zaczynał wątpić w sens zwracania się o pomoc do Quinta. A potem dodał mimochodem. – Ja tam będę.

Był zaskoczony swoimi słowami i jak tylko je wypowiedział, przeraził się tego, w co się wplątywał.

– Ty? Nie wierzę!

Brody poczuł drwinę Quinta.

– Poradzę sobie – powiedział.

– Może. Nie znam cię. Ale nie poradzisz sobie z wielką rybą, jeśli nie wiesz nic o łowieniu. Umiesz pływać?

– Oczywiście. Ale co to ma z tym wszystkim wspólnego?

– Ludzie wypadają za burtę i czasami zabiera trochę czasu zawrócenie łodzi i wciągnięcie ich na pokład.

– Nie martw się o mnie.

– Jak chcesz. Ale nadal potrzebuję człowieka, który wie cokolwiek o łowieniu. Albo przynajmniej o łodziach.

Martin spojrzał badawczo na Hoopera. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to spędzić z nim kilka dni na łodzi, szczególnie w sytuacji, w której ten mógł przewyższać go autorytetem, a nawet władzą. Mógł posłać Matta na łódź, a samemu pozostać na brzegu. Ale uznał, że byłaby to kapitulacja, przyznanie ostateczne i nieodwołalne do niemożności pokonania dziwnego przeciwnika, który sprowadził wojnę do jego miasta.

Poza tym – podczas długiego dnia spędzonego na kutrze – może dowie się przypadkiem, co robił Matt w ostatnią feralną, deszczową środę. Martin zaczynał mieć obsesję na tym punkcie, gdyż kiedykolwiek rozważał różne możliwości, to zawsze jego umysł skupiał się na tej najbardziej przerażającej. Chciał dowiedzieć się, że Hooper był w kinie, grał w tryktraka w Field Clubie, palił zioła z jakimś hippisem albo wylegiwał się z jakąś harcerką. Nie obchodziło go, co to było, jeśli nie wiązało się z Ellen. A jeśli jednak byli wtedy razem? Ta myśl była nadal zbyt dręcząca, aby o niej zapomnieć, wyrzucić z umysłu.

Zakrył dłonią mikrofon słuchawki i spytał Hoopera:

– Chcesz popłynąć razem z nim? Potrzebuje pomocnika.

- To nawet nie ma nikogo do pomocy? Do chrzanu taka operacja!
- To nieważne. Chcesz popłynąć czy nie?
- Tak – powiedział Hooper. – Będę pewnie tego później żałować, ale tak. Chcę zobaczyć tę rybę i sądzę, że to dla mnie jedyna szansa.

Brody odezwał się do Quinta:

- Okej. Mam dla ciebie człowieka.
- Zna się na łodziach?
- Tak, zna się.
- W takim razie w poniedziałek o szóstej rano. Weźcie coś do jedzenia. Wiece, jak do mnie dojechać?
- Dwudziestką siódmką do zjazdu na Promised Land, prawda?
- Tak. Nazywa się to Cranberry Hole Road. Za miastem, około stu jardów za ostatnim domem, skręć w lewo na żwirową drogę.

– Jest tam jakiś znak?

– Nie, ale to jedyna droga tam. Prowadzi prosto do mojej przystani.

– Tam jest tylko twoja łódź?

– Tak. Nazywa się „Orka”.

– W porządku. Widzimy się w poniedziałek.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział Quinn. – Gotówka. Codziennie. Z góry.

– Okej, ale dlaczego?

– W ten sposób prowadzę interesy. Nie chcę, abyś wpadł do wody z moją kasą.

– Rozumiem – zgodził się Brody. – Będziesz ją miał.

Odłożył słuchawkę i powiedział do Hoopera:

– Poniedziałek, szósta rano. W porządku?

– Oczywiście.

– Czy dobrze zrozumiałem, że ty też płyniesz, Martin? – spytał Meadows.

Brody potaknął głową.

– To moja robota.

– Powiedziałbym, że trochę poza twoim powołaniem.

– No cóż, to już postanowione.

– Jak się nazywa ta łódź? – spytał Hooper.

– Wydaje mi się, że powiedział „Orka” – odpowiedział Brody. – Ale nie wiem, co to znaczy.

– Orka to zwierzę. Zabójczy wieloryb.

Meadows, Hooper i Whitman wstali, aby wyjść.

– Powodzenia – powiedział ten ostatni. – Trochę wam zazdrozczę tej wyprawy. Powinna być ekscytująca.

– Wolałbym, aby nie było w niej emocji – przyznał Martin. – Chcę tylko wreszcie skończyć z tą sprawą.

Przy samych drzwiach Hooper odwrócił się i powiedział:

– Myśląc o orkach, coś sobie przypomniałem. Wiesz, jak Australijczycy nazywają żarłaczki białe?

– Nie – odparł Brody niespecjalnie zainteresowany. – Jak?

– Biała śmierć.

– Musiałeś mi to powiedzieć, prawda? – rzucił Martin i zamknął za nimi drzwi.

Już wracał do siebie, gdy policjant z nocnej zmiany zatrzymał go i poinformował:

– Ktoś do ciebie dzwonił szefie, gdy byliście w środku. Nie chciałem ci przeszkadzać.

– Kto to był?

– Pani Vaughan,

– Pani Vaughan?

Jak dalece Martin sięgał pamięcią, nigdy w życiu nie rozmawiał przez telefon z Eleanor Vaughan.

– Powiedziała, żeby ci nie przeszkadzać, że to może poczekać.

– Lepiej do niej zadzwonię. Ona jest tak nieśmiała, że gdyby płonął jej dom, zadzwoniłaby do straży pożarnej i przeprosiła za to, że przeszkadza, a dopiero potem poprosiła, żeby zatrzymali się, gdyby przypadkiem przejeżdżali gdzieś w sąsiedztwie.

Wracając do biura, przypomniał sobie, że Vaughan wspominał coś o Eleanor; kiedykolwiek wypisywała czek nawet na jednego dolara, zawsze odmawiała dopisania końcówki 00/100. Uznawała, że byłaby to obraza, jakby sugerowała, że osoba przyjmująca czek mogłaby próbować ukraść kilka centów.

Martin bez wahania zadzwonił do domu Vaughanów i już po pierwszym dzwonku odezwała się Eleanor Vaughan. Pomyślał, że musiała cały czas siedzieć przy telefonie.

– Tu Martin Brody, Eleanor. Dzwoniłaś?

– Och, tak. Naprawdę nie chciałam ci przeszkadzać, Martin. Jeśli wolałbyś...

– Nie, wszystko w porządku. Co cię niepokoi?

– To jest... Dzwonię do ciebie, gdyż wiem, że Larry rozmawiał z tobą wcześniej. Pomyślałam, że mógłbyś powiedzieć mi... czy stało się coś złego?

Martin zorientował się, że ona o niczym nie wie. Byłby przeklęty, gdyby jej wszystko powiedział.

– Dlaczego? O co ci chodzi?

– Nie wiem, jak to dokładniej opisać, ale... wiesz, że Larry rzadko pije alkohol. Bardzo rzadko, przynajmniej w domu.

– To wiem, i co dalej?

– Dziś wieczór wrócił do domu i nic nie mówił. Poszedł do gabinetu i sędzę, że wypił przynajmniej całą butelkę whiskey. Teraz zasnął w fotelu.

– Nie martw się tym. Eleanor Prawdopodobnie ma sporo problemów na głowie. My, faceci, czasami musimy się upić.

– Wiem. Tylko że... coś jest nie tak. To wiem na pewno. Od kilku dni zachowywał się jak nie on. Myślałam, że może... jesteś jego przyjacielem. Czy wiesz, co mogło się wydarzyć?

Jego przyjacielem, pomyślał Brody. To też słowa Vaughana, ale on wiedział lepiej.

– Kiedyś byliśmy przyjaciółmi – powiedział Martin. – Nie, Eleanor, nic nie wiem – kłamał. – Chociaż porozmawiam z nim o tym.

– Mógłbyś? Byłabym ci za to wdzięczna. Ale... proszę... nie mów mu, że dzwoniłam do ciebie. Nigdy nie chciał, abym mieszała się w jego sprawy.

– Nie powiem. Nie martw się. Spróbuj się trochę przespać.

– Dobrze mu będzie na fotelu?

– Pewnie. Tylko zdejmij mu buty i narzuć na niego koc. Będzie z nim dobrze.

Paul Loeffler stał za ladą w delikatesach i spoglądał na zegarek.

– Jest za kwadrans dziewięta – powiedział do żony, pulchnej, ładnej kobiety o imieniu Rose, która ustawiała pudełka z masłem w lodówce. – Co powiesz, gdybyśmy trochę oszukali czas i zamknęli piętnaście minut wcześniej?

– Po takim dniu jak dzisiaj? Zgoda. – powiedziała Rose. – Osiemnaście funtów sosu bolońskiego! Kiedy sprzedaliśmy osiemnaście funtów w jeden dzień?

– I jeszcze ser szwajcarski – dodał Loeffler. – Czy kiedyś wcześniej nam go zabrakło? Kilka dni więcej jak ten by nam się przydało. Pieczona wołowina, wątrobianka, wszystko. To jakby każdy od Brooklyn Heights do East Hampton zatrzymywał się u nas.

– Brooklyn Heights, ale na moje oko to z Pensylwanii. Jeden facet powiedział, że przyjechał właśnie z Pensylwanii. To oni tam nie mają ryb?

- Kto wie? – powiedział Loeffler. – Zaczyna być jak na Coney Island.
- Plaża publiczna musi wyglądać jak wysypisko śmieci.
- Ale opłaciło się. Zasłużyliśmy na jeden albo dwa takie dni.
- Słyszałam, że plaże znowu są zamknięte – powiedziała Rose.
- Tak. Jak się wali, to na całego.
- O czym ty mówisz?
- Sam nie wiem. Zamykajmy.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 11

Morze było płaskie jak stół. Nie było nawet szmeru wiatru, który by marszczył jego powierzchnię. Woda jak lustro odbijała promienie słońca. Co jakiś czas przelatująca rybitwa nurkowała po pożywienie i wznosiła się ponownie, pozostawiając na powierzchni kręgi, które powiększały się równomiernie, aby wreszcie zniknąć.

Kuter rybacki nadal stał na wodzie, dryfując nieprzewidywalnie w prądach pływowych. Dwa wędziska tkwiły w czerwonych uchwytach na burcie i zwisały z nich druciane linki do gładkiej, oleistej powierzchni wody, ciągnącej się na zachód od łodzi. Hooper siedział na rufie, mając z boku wielką beczkę z rybimi wnętrznościami. Co kilka sekund zanurzał w nim chochlę i wrzucał do morza zatłuszczonego już odpadami.

Z przodu, w dwóch rzędach zapelniając dziób, leżało dziesięć drewnianych beczek wielkości trzydziestolitrowych kegow do piwa. Każda z nich była kilkakrotnie owinięta liną konopną grubości prawie dwóch centymetrów, której dalsze kilkadziesiąt metrów leżało w zwoju obok beczki. Do końców wszystkich lin przywiązane były stalowe groty harpunów.

Martin siedział na obrotowym foteliku bojowym, przymocowanym do pokładu, próbując zachować czujność. Przez całe sześć godzin, gdy siedzieli i czekali, nie pojawił się nawet ślad bryzy. Kark miał już paskudnie spalony słońcem i za każdym razem, gdy poruszał głowę, kołnierzyk munduru boleśnie ocierał podrażnioną skórę. Dochodził do tego odór jego własnego ciała, zmieszany ze smrodem rybich wnętrzności i krwi wylewanych chochlą za burtę, wywołując u niego mdłości. Czuł się jak ugotowany.

Spojrzał na Quinta na pomoście nawigacyjnym. Miał na sobie biały T-shirt, spłowiałe džinsy, białe skarpety i parę żeglarskich tenisówek na grubej, gumowej podeszwie. Martin sądził, że Quint miał koło pięćdziesiątki i chociaż kiedyś z pewnością miał dwadzieścia lat i pewnego dnia będzie miał sześćdziesiąt, to niemożliwe było wyobrazić sobie, jak wyglądał kiedyś lub jak będzie wyglądać

w przyszłości. Wydawało się, że zawsze wyglądał tak, jak teraz. Miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a do tego był bardzo szczupły – ważył około dziewięćdziesięciu kilogramów. Miał zupełnie łysą głowę, nie wygoloną, gdyż nie było na niej charakterystycznych ciemnych plamek po owłosieniu, ale był łysy, jakby nigdy nie miał włosów. Kiedy, tak jak teraz, słońce było wysoko i grzało niemiłosiernie, nosił sfatygowaną czapkę korpusu marines. Jego twarz, tak jak cała reszta jego ciała, była ascetyczna i szorstka. Dominował na niej długi, prosty nos. Kiedy patrzył z mostka w dół, zdawał się celować oczami – najciemniejszymi, jakie Brody widział – jakby to były wyloty luf karabinów. Skórę miał na stałe brązową i pomarszczoną od wiatru, soli i słońca. Gapił się za rufę, rzadko mrugając powiekami, z oczami wbitymi w oleistą powierzchnię wody.

Strużki potu spływały Brody'emu po piersi i łaskotały go, więc się poruszył. Odwrócił głowę, zmarszczył twarz z powodu pieczenia na karku i też próbował wpatrywać się w niemal nieruchomą powierzchnię oceanu. Ale odbicia promieni słonecznych od wody drażniły oczy i musiał ponownie odwrócić wzrok.

– Nie rozumiem, jak ty to robisz, Quint – powiedział. – Czy ty nawet nie nosisz okularów przeciwsłonecznych?

– Nigdy.

Mówił zupełnie obojętnie, a ton jego głosu nie był ani przyjacielski, ani wrogi. To nie było zaproszenie do rozmowy.

Martin jednak nudził się i chciał pogadać.

– A dlaczego?

– Nie potrzebuję ich. Wiedzę rzeczy takimi, jakie są. Tak jest lepiej.

Brody spojrział na zegarek. Było trochę po drugiej; jeszcze trzy albo cztery godziny, nim zrezygnują i wrócą do domu.

– Dużo masz takich dni jak ten?

Podniecenie i nadzieje z wczesnego rana gdzieś się ulotniły i Martin był już pewny, że nie dostrzegą poszukiwanej ryby tego dnia.

– Jak jaki?

– Jak ten, kiedy siedzisz cały dzień w kutrze i nic się nie dzieje.

– Czasami.

– A ludzie płacą ci, nawet jeśli nic nie złapią?

– Takie są zasady.

– Nawet jeśli ryby nie biorą?

Quint pokiwał głową.

– Ale to nie zdarza się zbyt często. Zawsze daje się coś złowić. Albo idziemy na całość i nadziewamy coś na żelastwo.

– Nadziewacie?

– Za pomocą żelastwa. – Quint wskazał harpuny na dziobie.

– Jakie gatunki łowicie harpunami, Quint?

– Wszystko, co przepływa.

– Naprawdę? Ja nie...

Quint przerwał mu.

– Coś bierze jedną z przynęt.

Martin przesłonił oczy dłonią i wpatrywał się za burtę, ale według niego powierzchnia wody ani drgnęła, była nadal płaska i nieruchoma.

– Gdzie?

– Poczekaj sekundę – odparł Quint. – Zobaczysz.

Z metalicznym sykiem linka wędki na sterburcie zaczęła rozwijać się, przecinając wodę prostą, srebrzysta linią.

– Weź wędkę – poleciał Quint Brody'emu. – A kiedy ci powiem, włącz hamulec i zatnij hak.

– Czy to rekin? – spytał Brody.

Możliwość, że w końcu miało dojść do konfrontacji z rybą – bestią, potworem, koszmarem nocnym – spowodowała, że serce zaczęło mu walić. W ustach zrobiło mu się sucho. Wytarł dłonie w spodnie, złapał za uchwyt wędki i ścisnął krętlik między nogami.

Quint zaśmiał się, kolejny krótki i cierpki szczech.

– W ten sposób? Nie. Tak to robią mali chłopcy. Zrobię ci trochę ćwiczeń, jak nasz lewiatan nas znajdzie.

Quint obserwował linkę przez kilka sekund, a potem krzyknął:

– Wal!

Brody pchnął do przodu małą dźwignię kołowrotka, pochylił się, a potem pociągnął wędkę do siebie. Wygięła się w przedziwny łuk. Prawą ręką zaczął kręcić korba kołowrotka, aby przyciągnąć zdobycz, ale jego mechanizm nie reagował. Linka nadal się rozwijała.

– Nie trać energii – poradził Quint.

Matt, siedzący do tej pory na pawęży, wstał i powiedział:

– Poczekajcie, aż przywiążę włók.

– Nie rób tego – powiedział Quint. – Zostaw wędkę w spokoju.

Hooper popatrzył na niego, zdumiony i nieco upokorzony.

Martin zauważył jego bolesne zdziwienie i pomyślał: „Co ty wiesz i umiesz?”.

Po chwili Quint wyjaśnił:

– Jeśli przywiążesz włók zbyt daleko, możesz wyrwać haczyk z pyska.

– No nie! – jęknął Hooper.

– Myślałem, że wiesz cokolwiek o łowieniu.

Hooper nic już nie odpowiedział. Odwrócił się i usiadł przy pawęży.

Brody trzymał wędkę dwiema rękami. Ryba zeszła głębiej i poruszała się zygzakami, ale już więcej nie wyciągała linki. Brody zwijał ją – pochylił się do przodu i szybko kręcił korbką, kiedy tylko poczuł luz, przyciągał do siebie wędkę przy pomocy napiętych boleśnie mięśni pleców i rąk.

– Co to jest, do diabła? – spytał.

– To rekin błękitny – stwierdził Quint.

– Musi ważyć z pół tony.

Quint zaśmiał się.

– Może z osiemdziesiąt kilogramów.

Brody zmagał się z rybą, ciągnąc za wędkę, aż wreszcie Quint krzyknął:

– Masz ją. Trzymaj.

Martin przestał nawijać linkę.

Quint nieśpiesznie, zręcznie zszedł po drabince z mostka nawigacyjnego. W ręce trzymał stary wojskowy karabinek typu M-1. Stał przy burcie spojrzał w dół.

– Chcesz zobaczyć rybę? – spytał. – To chodź i popatrz.

Brody wstał, zablokował kołowrotek, a potem podszedł do burty. W ciemnej wodzie rekin zdawał się intensywnie niebieski. Miał prawie dwa i pół metra długości, smukłe ciało z długimi płetwami piersiowymi. Pływał powoli z boku na bok, nie mając już sił do walki.

– Piękny jest, prawda? – Hooper nie krył podziwu dla zwierzęcia.

Quint odbezpieczył karabinek, a kiedy rekin wysunął łeb kilka cali ponad powierzchnię wody, trzykrotnie szybko nacisnął spust. Kule zrobiły regularne, okrągłe dziury w głowie zwierzęcia, z których od razu wypłynęła krew. Rekin zadrżał i znieruchomiał.

– Nie żyje – powiedział Brody.

– Gównu – zaprzeczył Quint. – Jest co najwyżej ogłuszony, ale to wszystko.

Wyjął rękawiczkę z tylnej kieszeni spodni, wsunął do niej prawą dłoń i chwycił stalową linkę. Z pochwy przy pasie wyciągnął nóż. Uniósł głowę rekina ponad powierzchnię wody i przechylił się przez burtę. Szczęki rekina były rozwarte na dwa albo trzy cale. Jego prawe oko, częściowo zasłonięte białawą błoną, wpatrywało się ślepo w Quintę. Ten próbował ostrzem noża rozewrzeć jeszcze mocniej paszczę ryby, ale ta zamknęła ją, przytrzymując ostrze między małymi, trójkątnymi zębami. Quint szarpał i obracał nożem, dopóki nie uwolnił go z zaciśniętych szczęk. Wsadził go z powrotem do pochwy i wyciągnął z kieszeni nożyce do cięcia drutu.

– Sądzę, że płacisz na tyle dużo, że mogę sobie pozwolić na stratę haka i przyponu – powiedział.

Dotknął przyponu nożycami i już miał go przeciąć, ale zatrzymał się.

– Poczekajcie chwilę – powiedział i schował cęgi do kieszeni, aby wyjąć ponownie nóż. – Patrzcie na to. To zawsze daje ludziom kopa.

Trzymając przypon w lewej ręce, wyciągnął większość ciała rekina z wody. Jednym zręcznym ruchem rozciął jego brzuch od płetwy odbytowej do niemal samych szczęk. Ciało rozeszło się na boki i krwawe wnętrzności – białe, czerwone i niebieskie – wylały się do wody. Potem Quint odciął przypon cęgami do drutu i rekin ześlizgnął się po burcie. Jak tylko jego głowa znalazła się pod wodą, jego ciało zaczęło podrygiwać w zawieszynie krwi i wnętrzności, gryząc wszystko, co wpadło mu w paszczę. Miotał się, gdy przełykał, a kawałki jelit wypadały przez dziurę w brzuchu i były ponownie pożerane.

– Teraz popatrz – powiedział Quint. – Jeśli będziemy mieli szczęście, w minutę zjawią się inne błękitne rekiny i pomogą mu zjeść samego siebie. Jeśli będzie ich dość dużo, to zobaczymy orgię jedzenia. To pokaz, jaki na każdym robi wrażenie.

Brody obserwował osłupiały, jak rekin połykał własne wnętrzności. W pewnym momencie dostrzegł poniżej błękitną smugę. Mały rekin – nie więcej niż metr długości – chwycił ciało wypatroszonego krewniaka. Jego szczęki zacisnęły się na kawałku mięsa. Machał gwałtownie łbem z boku na bok, a sam wykręcał się jak wąż. Wreszcie mały rekin wyrwał mięso i natychmiast je połknął. Potem pojawił się kolejny i jeszcze jeden, a woda zaczęła się kotłować. Zabarwiona krwią spadała na pokład jak ze spryskiwacza.

Quint wziął bosak leżący przy nadburciu. Wychylił się na zewnątrz i uniósł go jak siekierę. Opuścił go gwałtownie i szarpnął do siebie. Mały rekin, nadziany na hak

bosaka, wił się i wyginał. Quint wyjął nóż z pochwy, rozciął brzuch ofiary i wypuścił ją.

– Teraz dopiero będzie zabawa – powiedział.

Martin nie był w stanie określić, ile rekinów było w wodzie tryskającej jak z gejzera. Tylko płetwy krzyżowały się na jej powierzchni, a ogony przecinały ją nieustannie. Ryby zderzały się ze sobą z głuchymi stęknięciami. Spojrzał na własną koszulę i zobaczył, że cała była zbryzgana wodą zabarwioną krwią.

Szaleństwo trwało kilka minut, aż pozostały trzy duże rekiny, które krążyły w tę i z powrotem pod powierzchnią wody, by w końcu odpłynąć w głąbiny.

Patrzyli w milczeniu, dopóki aktorzy tego niesamowitego przedstawienia nie zniknęli ze sceny.

– Jezu... – westchnął Hooper.

– Nie pochwalasz tego – powiedział Quint.

– To prawda. Nie lubię, jak zwierzęta giną dla ludzkiej rozrywki.

Quint zarżał, a Matt zapytał:

– A ty?

– To nie jest kwestia, czy mi się podoba, czy nie. Z tego żyję.

Quint sięgnął do skrzynki z lodem i wyjął jeszcze jeden hak z przyponem. Była już na nim przynęta, założona, zanim jeszcze opuścili przystań – kałamarnica przywiązana do drzewca i nabita na hak. Przy pomocy szczypiec Quint przymocował przypon do końca dwudziestometrowej stalowej linki. Wyrzucił przynętę za burtę i pozwolił jej dryfować w spokojnej już wodzie.

Martin powrócił do wrzucania chochłą do wody przynęty na rekiny.

– Czy ktoś chce piwo? – spytał.

Quint i Hooper kiwnęli jednocześnie głowami, więc Martin zszedł pod pokład i wyjął trzy puszki z chłodziarki. Gdy wychodził z kabiny, zauważył poźółkłe i pozwijane fotografie, przybite pinezkami do wręgi. Jedna z nich ukazywała Quinta stojącego po biodra w stercie dziwnie wyglądających ryb. Inna przedstawiała martwego rekina leżącego na plaży. Nie było na zdjęciu niczego innego, więc trudno mu było ocenić wielkość ryby.

Wrócił na pokład i dał im piwa, po czym usiadł na foteliku bojowym.

– Widziałem te zdjęcia pod pokładem – zwrócił się od Quinta. – Co to za ryby, na których stoisz?

– To tarpony. To było parę lat temu, kiedy łowiłem na Florydzie. Nigdy nie

widziałem czegoś takiego jak tamto. Mieliśmy trzydzieści, czterdzieści naprawdę dużych tarponów po czterech nocach połowów.

– I nie wypuściliście ich? – spytał Hooper. – Można by się spodziewać, że wrzucicie je z powrotem do wody.

– Klienci chcieli je mieć. Dla zdjęć, jak przypuszczam. W każdym razie są niezłą przynętą na rekiny, gdy zostaną posiekane.

– A co jest na drugim zdjęciu? – zapytał Brody. – To był rekin?

– No, to nie zwykły rekin. To żarłacz biały. Jakies pięć metrów. Ważył ponad pięćset kilogramów.

– Jak go złapałeś?

– Dostał harpunem. Ale powiem ci – Quint mówił, tłumiąc śmiech – przez jakiś czas nie wiedziałem, kto kogo chciał złapać.

– Co to znaczy?

– Ta cholera zaatakowała łódź. Bez przynęty, bez niczego. Siedzieliśmy, myśląc o własnych sprawach, a wtedy bum! Jakby uderzył w nas pociąg towarowy. Mój pomocnik dostał prosto w tyłek, a klient zaczął wydzierać się wniebogłoso, że toniemy. A potem ten drań walnął ponownie jak taran. Wpakowałem mu harpun i zaczęliśmy go ścigać. Chryste, musieliśmy go gonić chyba przez pół Atlantyku.

– Jak mogliście za nim podążać? – spytał Brody. – Dlaczego nie zszedł głębiej?

– Nie potrafił. Nie z beczką, którą ciągnął na linie. Potrafił ją na chwilę wciągnąć trochę pod powierzchnię, ale zbyt duża siła wyporu wypychała go do góry. My tylko podążaliśmy za beczką. Po kilku godzinach wbiłem w niego jeszcze dwa harpuny i wreszcie wyszedł na powierzchnię, i to zupełnie spokojnie, więc zarzuciliśmy mu linę na ogon i doholowaliśmy do brzegu. A przez cały czas nasz klient panikował, że za chwilę utoniemy i powinniśmy być na to gotowi.

Przerwał na chwilę, jakby jeszcze raz przeżywał tę przygodę.

– A wiecie, co było najzabawniejsze? Kiedy ryba była na brzegu, a my byliśmy po robocie i nie groziło nam zatonięcie, ten tępny klient przyszedł do mnie z propozycją, że da mi pięćset dolarów, jeśli powiem, że to on złapał rekina na hak i linę. Wszędzie dziury po harpunach, a on chce, abym przysięgał, że schwytał rekina na hak i linę. A potem zaczął pajacować i grozić, że obetnie mi wypłatę, ponieważ nie dałem mu szansy na schwytanie zdobyczy na hak i linę. Powiedziałem, że gdybym mu na to pozwolił, to straciłbym hak, trzysta metrów linki, prawdopodobnie kołowrotek i wędkę oraz ostatecznie rybę. A potem coś głądził o rozgłosie, jaki zyskam po

wyprawie, za którą on zapłacił. Powiedziałem mu, że może mi dać pieniądze, zatrzymać rozgłos i opowiadać dyrdymały swojej żonie.

– Ciekaw jestem sposobu z hakiem i liną – powiedział Brody.

– To znaczy?

– To, o czym mówisz. Nie próbowałbyś schwytać rekina, którego szukamy, na hak i linę po tamtej przygodzie, prawda?

– Pewnie, że nie. Z tego, co słyszałem, tamten przy tym waszym mordercy wyglądał jak szczeniak.

– To wyjaśnij, po co nam te wszystkie liny z zanętą?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, żarłacz biały może chwycić małą przynętę w postaci kałamarnicy. Mógłbym przeciąć linę bardzo szybko, ale przynajmniej będziemy wiedzieli, jakiego przeciwnika mamy pod wodą. A to jest ważne. Po drugie, nigdy nie wiesz, jaki rodzaj smrodliwej przynęty go przyciąga. Nawet jeśli wasza ryba się nie pojawi, to możemy wpaść na coś innego, co chwyci przynętę.

– Na przykład co?

– Kto to wie? Może coś użytecznego. Miałem miecznika, który złapał się na kałamarnicę, a przez te wszystkie federalne bzdury na temat zatrucia ich rtęcią nikt zawodowo już ich nie łowi, więc możesz dostać zaledwie dwa pięćdziesiąt za funt jego mięsa w Montauk. Albo coś podobnego do makosa ostronosego. A jeśli płacisz mi czterysta dolarów za dzień, równie dobrze możesz mieć za to trochę rozrywki.

– Spodziewam się, że żarłacz pojawi się gdzieś w okolicy – powiedział Brody. – To co wtedy najpierw zrobisz?

– Starabym się go zwabić na dłużej, dopóki go nie schwytamy. To nie jest wielka sztuczka, gdyż to są dość głupie ryby. To zależy od tego, jak nas potraktuje. Jeśli zaatakuje łódź, po prostu nafaszerujemy go żelastwem tak szybko, jak potrafimy, a potem damy mu spokój i pozwolimy utonąć z wyczerpania. Jeśli zerwie jedną z lin z przynętą, nie będzie sposobu, aby go zatrzymać, jeśli zechce uciekać. Ale próbowałbym zwabić go do nas – przyczepić mu włók, nawet gdyby miał zerwać linę. Prawdopodobnie szybko wygnie hak, ale może znajdzie się na tyle blisko, aby naszpikować go harpunami. A kiedy dostanie jednym harpunem, reszta będzie już tylko kwestią czasu. Najprawdopodobniej zbliży się tutaj, podążając za własnym nosem, dokładnie do naszej zanęty. I tutaj mamy mały problem. Kałamarnica to zbyt mało, aby wzbudzić jego zainteresowanie. Ryba tych rozmiarów połknie ją i nawet nie będzie wiedziała, co zjadła. Dlatego musimy mieć dla niej coś specjalnego, czego nie

odrzuci, coś z dużym, starym hakiem w środku, który przytrzyma go przynajmniej do chwili, dopóki nie wbijemy mu jednego czy dwóch harpunów.

– Jeśli hak będzie widoczny – dopytywał się Brody – czy nie ominie zupełnie przynęty?

– Nie. One nie mają mózgów jak psy. Zjadają wszystko. Jeśli zaczną żerować, możecie zarzucić goły hak, a one go chwycą, jeśli tylko go dostrzegą. Mój przyjaciel opowiadał, że jeden z nich próbował zjeść silnik zaburtowy jego łodzi pontonowej. Zrezygnował, gdyż nie potrafił połknąć go jednym kęsem.

Z rufy odezwał się Hooper, który nadal rozrzucał chochłą przynętę:

– A co to jest coś specjalnego, Quint?

– Chodzi ci o specjalną przynętę? – Rybak zaśmiał się i wskazał na zielony pojemnik na śmieci stojący na śródkręciu. – Jest w tym pojemniku. Oszczędzałem na taką właśnie okazję. Na cokolwiek innego byłoby to marnotrawstwo.

Matt podszedł do pojemnika, otworzył zatrzaski po obydwu stronach i zdjął pokrywę. Tylko jęknął, zaszokowany tym, co zobaczył. W pojemniku pełnym wody pływał pionowo, kołysany ruchami łodzi, mały delfin butlonosy, trochę dłuższy niż pół metra. Z dziury obok jego szczęk wystawało ucho potężnego haka na rekiny, a z otworu w brzuchu wyłaniała się zakrzywiona końcówka z zadziorem. Hooper zacisnął dłonie na krawędzi pojemnika i powiedział:

– To jeszcze dzieciak.

– Powiem więcej – zaśmiał się Quint. – Nawet nienarodzony.

Matt spoglądał na pojemnik jeszcze przez kilka sekund, a potem trzasnął wiekiem i spytał:

– Skąd to masz?

– Był jakieś sześć mil stąd prosto na wschód. A dlaczego pytasz?

– Chodzi mi o to, jak to zdobyłeś.

– A jak myślisz? Od matki.

– Zabiłeś ją.

– Nie – zaśmiał się Quint. – Wskoczyła do łodzi i połknęła stertę tabletek nasennych.

Przerwał na chwilę kolejnym atakiem śmiechu, a kiedy ten minął, wykrztusił:

– Nie można tego kupić zgodnie z prawem, przecież wiesz.

Hooper patrzył na Quintę. Był w furii, rozwścieczony, ale powiedział tylko:

– Wiesz, że są pod ochroną.

– Kiedy łowię, to chwytam, co chcę.
– Ale co z prawem? Nie...
– Jaka jest twoja branża, Hooper?
– Jestem ichtiologiem. Badam życie ryb. To dlatego jestem tutaj. Nie wiedziałeś tego?

– Kiedy ludzie wynajmują moją łódź, to nie pytam, kim są. Ale w porządku, ty badasz ryby, aby żyć. Jeśli musisz pracować, aby przeżyć... mam na myśli rodzaj pracy, gdzie ilość pieniędzy zależy od ilości potu, jaki wylejesz... to naprawdę nie obchodzi cię, co znaczy prawo. Oczywiście te delfiny są pod ochroną. Ale prawo nie zostało wprowadzone, aby powstrzymać Quinta od zrobienia z jednego albo dwóch z nich przynęty, tylko aby powstrzymać masowe połowy i wariatów, którzy strzelają do nich dla sportu. Dlatego powiem ci coś, Hooper. Możesz psioczyć i narzekać na wszystko, co chcesz. Ale nie mów mi, że nie mogę schwytać kilku ryb, aby przeżyć.

– Wiesz, Quint, problem polega na tym, że te delfiny są zagrożone wyginięciem, wymarciem. A to, co ty robisz, przyspiesza ten proces.

– Nie pieprz takich komunałów. Powiedz łowcom tuńczyków, aby przestali chwytac morświny w ich sieci. Powiedz Japończykom, aby przegrali połowy linami haczykowymi. To ci powiedzą, żebyś spadał na księżyc. Oni mają swoje gęby do wyżywienia. Tak samo ja.

– Dotarło do mnie twoje przesłanie – powiedział Hooper. – Bierz, póki możesz, a jak już nic nie zostanie, to weźmiesz się za coś innego. Przecież to takie głupie!

– Nie przesadzaj, synu – ostrzegł go Quint. Jego głos był beznamiętny, gdy patrzył prosto w oczy Hoopera.

– Co?

– Nie nazywaj mnie głupkiem.

Matt nie miał zamiaru go obrażać i był zaskoczony, że jego słowa zostały odebrane jako obelga.

– Nie to miałem na myśli, na miłość boską. Chodziło mi...

Martin uznał, że musi przerwać tę kłótnię.

– Daj spokój, Hooper, dobrze? – powiedział. – Nie jesteśmy tutaj, aby debatować o ekologii.

– A co ty wiesz o ekologii, Martin? – spytał Hooper. – Założę się, że dla ciebie to tylko zakaz palenia liści na podwórzu na tyłach domu.

– Odwal się! Nie muszę słuchać bzdur przemądrzałego, bogatego bachora.

– A więc to tak? Fakt, że jestem „bogatym bachorem” tak cię boli, co?

– Słuchaj, mądralo! Jesteśmy tutaj, aby powstrzymać rybę przed zabijaniem ludzi, i jeśli jeden delfin pomoże nam uratować Bóg wie ile istnień ludzkich, to wydaje mi się, że to niska cena.

Hooper uśmiechnął się chytrze i powiedział do Martina:

– Teraz stałeś się ekspertem od ratowania życia ludzkiego, tak? Popatrzmy. Ile istnień mógłbyś uratować, gdybyś zamknął plażę po...

Martin stracił panowanie nad sobą i ruszył na Hoopera, nim zdał sobie z tego sprawę.

– Zamknij gębę! – warknął z zimną furją.

Odruchowo opuścił rękę na prawe biodro, gdzie zawsze przy jego pasie wisiał rewolwer. Ale zdał sobie sprawę, że tym razem go tam nie było, i dopiero wtedy przestraszył się, że mógłby go użyć. Stał przed Hooperem, który patrzył na niego wyzywająco.

Krótki, chrapliwy śmiech Quinta przerwał wybuch otwartej wojny.

– Co za para dupków – stwierdził. – Wiedziałem, że do tego dojdzie, jak tylko weszliśmy rano na pokład.

ROZDZIAŁ 12

Drugi dzień połowu zaczął się podobnie jak pierwszy. Kiedy wypłynęli z przystani o szóstej rano, lekka południowo-zachodnia bryza zapowiadała chłodny dzień. Akwen wokół Montauk Point był lekko wzburzony. Ale około dziesiątej bryza zamarła i łódź stanęła bez ruchu na szklistej powierzchni morza, jak papierowy kubek w kałuży. Nie było chmur, ale słońce schowane było za gęstą mgłą. Podczas jazdy na przystań Martin usłyszał w radiu, że zanieczyszczenie powietrza w Nowym Jorku osiągnęło niespotykany poziom – doszło do czegoś w rodzaju inwersji. Ludzie zapadali na choroby, a przewlekle chorzy albo bardzo starzy po prostu umierali.

Dzisiaj Martin lepiej dobrał ubranie. Nosił białą koszulę z krótkimi rękawami i wysokim kołnierzem, cienkie bawełniane spodnie, białe skarpety i tenisówki. Zabrał ze sobą książkę dla zabicia czasu, kryminał erotyczny od Hendricksa, *Śmiercionośna Dziewica*.

Nie chciał marnować czasu na kłótnie, które mogły prowadzić do powtórzenia wczorajszych scen z Hooperem. Czuł zakłopotanie i wstyd, Hooper zresztą też, przynajmniej tak myślał. Dzisiaj rzadko ze sobą rozmawiali, głównie wykorzystując Quinta jako pośrednika. Martin bał się, że może znowu go ponieść i naskoczy na Hoopera.

Zauważył rano, że Quint też nie był tak ożywiony – zdawał się bardziej skupiony i ostrożniejszy. Trzeba było go prawie zmuszać do rozmowy. Ale z upływem dnia rozluźniał się i stawał coraz bardziej gadatliwy. Gdy wypływali z przystani, Martin zapytał Quinta, skąd wie, gdzie zasadzić się na rybę.

– Nie wiem – odparł szyper.

– Nie wiesz?

Quint ze dwa razy pokręcił głową.

– To w takim razie jak chcesz wybrać miejsce?

– Po prostu je znajdę.

– A czego szukasz?

- Niczego.
- Nie chcesz minąć strefy przyływu?
- No, tak.
- To nie ma znaczenia, czy woda jest płytka, czy głęboka?
- Trochę ma.
- Jak bardzo?

Przez chwilę Martin myślał, że Quint zamilknie na zawsze. Patrzył prosto przez siebie, z oczami wbitymi w horyzont. Ale potem wydusił jakby z największym wysiłkiem:

– Taka duża ryba prawdopodobnie nie będzie przebywać w płytkiej wodzie. Ale tego nigdy nie wiesz na pewno.

Martin już wiedział, że powinien zostawić Quinta w spokoju, ale ciekawość była silniejsza, więc zadał kolejne pytanie:

- Jeśli znajdziemy żarłacza albo on znajdzie nas, to będzie szczęśliwy traf, prawda?
- Coś w tym rodzaju.
- Jak igła w stogu siana.
- Nie całkiem.
- Dlaczego nie?
- Jeśli przyływ będzie silny, strefa przynęty rozciągnie się do końca dnia przynajmniej na paręnaście kilometrów.
- A nie byłoby lepiej, gdybyśmy zostali tutaj na noc?
- A po co? – spytał Quint.
- Aby podążać za strefą. Jeśli możemy pokonać w dzień dziesięć mil, to moglibyśmy przesunąć się o dwadzieścia, gdybyśmy zostali tu na noc.
- Ale jeśli strefa jest zbyt duża, to nie jest dobrze.
- Dlaczego?
- Spróbuj ją kontrolować. Gdybyśmy pozostali w niej przez miesiąc, to rozszerzyłaby się na cały cholerny ocean. Nie za dużo w tym sensu. – Quint uśmiechnął się na myśl, że ocean mógłby się stać jedną wielką przynętą.

Martin poddał się i wrócił do czytania przygód niezwykłej dziewczicy.

Przed południem Quint się ożywił. Liny z hakami tkwiły w plamie rybich wnętrzności już cztery godziny. Chociaż nikt go do tego nie namawiał, Hooper wziął chochlę i jak tylko zaczęli dryfować, zasiadł przy rufie i metodycznie rozrzucał przynętę. Około dziesiątej jakaś ryba chwyciła przynętę z liny na sterburcie, co na

kilka sekund wywołało ożywienie. Ale okazało się, że to był pięciofuntowy tuńczyk pasiasty, który ledwie potrafił szczękami objąć hak. O dziesiątej trzydzieści mały rekin błękitny złapał się na linę za lewą burtą. Brody nawinął ją na kołowrót, Quint przyciągnął rybę bosakiem, rozciął jej brzuch i wrzucił z powrotem do wody. Rekin zaczął się sam zjadać, a po chwili po prostu utonął. Żaden z jego krewniaków nie zjawił się na ucztę.

Trochę po jedenastej Quint wypatrzył sierpowatą płetwę grzbietową miecznika, zbliżającą się do nich przez strefę nęcenia. Czekali w milczeniu, licząc, że ryba chwyci przynętę, ale ta zignorowała obydwie kałamarnice i krążyła bez celu sześćdziesiąt metrów za burtą. Quint potrząsał przynętami, szarpiąc za linę, co miało sprawiać wrażenie, że były żywe – ale to zupełnie nie zainteresowało miecznika. Quint zdecydował, że trzeba trafić w rybę harpunem. Włączył silnik i powiedział reszcie, żeby zwijali liny i poprowadził łódź szerokim łukiem. Grot harpuna był już przymocowany do drzewca, a owinięta liną beczka stała na dziobie. Quint wyjaśnił schemat ataku. Hooper miał prowadzić łódź. On sam stanie w ambonie na dziobie, trzymając harpun gotowy do rzutu. Jak podpłyną do ryby, skieruje harpun w prawo albo w lewo, pokazując, w którą stronę trzeba obrócić łódź. Hooper miał wykonywać zwroty tak, aby harpun znowu ustawił się na wprost. To przypominało podążanie na wskazówką kompasu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będą w stanie skradać się za rybą, a Quint rzuci żelazem prawą ręką – rzut na jakieś cztery metry, niemal prosto w dół. Brody miał stać przy beczkach i pilnować, aby lina się nie zaplątała, inaczej ryba ucieknie w głębinę.

Wszystko rzeczywiście szło dobrze do ostatniego momentu. Poruszali się powoli, silnik wydawał cichy pomruk, gdy zbliżyli się do ryby, która w zasadzie leżała na powierzchni wody. Łódź miała bardzo czuły ster, więc Hooper był w stanie podążać dokładnie za wskazówkami Quinta. Ale potem w jakiś sposób ryba wyczuła obecność kutra. Właśnie gdy Quint wznosił ramię, aby rzucić dzirytem, miecznik drgnął, walnął ogonem i jak strzała pomknął w głębinę. Quint rzucił, wrzeszcząc:

– Ognia! – Ale chybił ze dwa metry.

Teraz byli znowu na początku wielkiej plamy przynęty.

– Pytałeś wczoraj, czy miewam dużo takich dni jak ten – powiedział Quint do Brody'ego. – Nie tak często zdarza się jeden po drugim. Powinniśmy mieć do tej pory przynajmniej gromadę błękitnych rekinów.

– Czy to z powodu pogody?

– Może być. Działa cholernie źle na ludzi, więc może na ryby też.

Zjedli na obiad kanapki i popili piwem – a kiedy skończyli, Quint sprawdził ponownie, czy karabin był załadowany. Potem zszedł do kabiny i wrócił, niosąc urządzenie, którego Martin nigdy wcześniej nie widział.

– Nadal masz swoją puszkę po piwie? – spytał.

– Jasne – odparł Brody. – Do czego ci ona?

– Pokażę ci.

Urządzenie wyglądało jak granat trzonkowy w kształcie tłuczka do ziemniaków – metalowy cylinder na drewnianym trzonku. Quint wsadził puszkę do środka cylindra, który przekręcał aż do chwili, gdy rozległo się kliknięcie, potem wyjął ślepy nabój kalibru .22 z kieszeni koszuli. Wcisnął go w mały otwór u podstawy cylindra, a później przekręcił trzonek, aż rozległo się kolejne kliknięcie. Wręczył urządzenie Brody’emu.

– Widzisz tę dźwignię? – spytał, wskazując na górną część trzonka. – Skieruj to w niebo, a kiedy ci powiem, naciśnij dźwignię.

Quint podniósł M-1, odbezpieczył zamek, przyłożył do ramienia i powiedział:

– Teraz.

Brody pstryknął dźwignienką. Ostry, krótki huk, delikatne kopnięcie i puszka po piwie wyleciała z jego ręki prosto w powietrze. Wirowała w jaskrawym świetle słonecznym, odbijając je jak błyskotka. W punkcie szczytowym lotu zawisła nieruchomo w powietrzu na ułamek sekundy – wtedy Quint wystrzelił. Celował poniżej, aby uchwycić puszkę, gdy będzie opadać, i trafił w jej dno. Rozległo się głucho puknięcie i puszka, koziółkując, spadła do wody. Nie od razu zatonała, ale unosiła się odchyłona od pionu, kołysząc się na wodzie.

– Chcesz spróbować? – spytał Quint.

– No pewnie!

– Pamiętaj, aby namierzyć ją na szczycie i wyprzedzić, gdy zacznie spadać. Jeśli chcesz trafić, gdy się wznosi albo spada, musisz dać spore wyprzedzenie, a to jest znacznie trudniejsze. Jeśli spudłujesz, obniż celownik, weź poprawkę i poślij kolejny pocisk.

Brody zamienił wyrzutnik na karabin M-1 i ustawił się przy burcie. Jak tylko Quint przeładował wyrzutnik, Martin krzyknął:

– Teraz!

Quint wyrzucił puszkę w powietrze. Brody raz wystrzelił. Nic. Spróbował jeszcze

raz, gdy puszka była na szczycie toru lotu. Nic. Przyjął zbyt dużą poprawkę, gdy spadała.

– Chłopie, a to suka!

– Potrzeba trochę czasu, aby nabrać wprawy – skwitował Quint. – Zobacz, czy teraz możesz trafić.

Puszka unosiła się pionowo w spokojnej wodzie jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów od kutra. Ponad połowa wystawała z wody. Brody wycelował – świadomie o włos niżej – i nacisnął spust. Rozległ się metaliczny trzask, a kula trafiła puszkę poniżej linii wody i zatoniła.

– Hooper? – spytał Quint. – Została jeszcze jedna puszka, a możemy zawsze wypić więcej piwa.

– Nie, dziękuję.

– Jakiś problem?

– Nie. Nie chcę strzelać, to wszystko.

Quint uśmiechnął się.

– Martwisz się puszkami w wodzie? Okropnie dużo wrzucamy ich do oceanu. Prawdopodobnie rdzewieją i opadają na dno i powstaje tam śmietnik.

– To nie to – mówił Hooper ostrożnie, aby nie dać się sprowokować Quintowi. – Nie w tym rzecz. Po prostu nie mam ochoty.

– Obawiasz się broni?

– Obawiam? Nie!

– Strzelałeś już kiedyś w ogóle?

Brody był zafascynowany prowokacyjnymi naciskami Quinta i przyjemność sprawiało mu zakłopotanie Hoopera, ale nie wiedział, dlaczego rybak tak się zachowywał. Może Quint robił się wredny, gdy się nudził i nie łowił ryb.

Hooper też nie wiedział, dlaczego Quint to robił, i oczywiście mu się to nie podobało. Czuł się jak szczur w pułapce bez wyjścia.

– Pewnie – powiedział. – Strzelałem już z karabinu.

– Gdzie? W wojsku?

– Nie, ja...

– Byłeś w wojsku?

– Nie.

– Wiedziałem, że nie byłeś.

– Znowu się czepiasz?

– Chryste. Założyłbym się nawet, że jesteś prawiczkim.

Martin spojrział na twarz Hoopera, aby dostrzec jego reakcję, i przez ułamek sekundy zauważył, że ten też patrzył na niego.

Potem Matt odwrócił wzrok, a na policzkach zapłonęły mu rumieńce.

– Co ci chodzi po głowie, Quint? – spytał. – Do czego zmierzasz?

Quint odchylił się na swoim krześle i zaśmiał.

– Nie ma sprawy – powiedział. – To taka przyjacielska pogawędka dla zabicia czasu. Masz coś przeciwko, żebyśmy wzięli twoją puszkę, kiedy już skończysz piwo? Może Brody chciałby jeszcze postrzelać.

– Nie, nie mam nic przeciwko – rzekł Hooper. – Ale zejź już ze mnie, dobrze?

Przez kolejną godzinę siedzieli w milczeniu. Martin drzemał na foteliku bojowym, zsunął kapelusz na twarz, aby chronić ją przed słońcem. Hooper siedział na rufie i wylewał od czasu do czasu przynętę oraz potrząsał głową, aby nie zapaść w sen. Quint stał przy sterze i obserwował strefę zanęty, z czapką piechoty morskiej zsuniętą na tył głowy.

Nagle szyper oznajmił głosem beznamiętnym, ale rzeczowym:

– Mamy gościa.

Martin przebudził się, a Hooper wstał. Lina na sterburcie rozwijała się szybko z delikatnym szelestem.

– Bierz wędkę – powiedział Quint.

Zdjął czapkę i odrzucił ją na ławkę.

Brody wyjął wędkę z uchwyty, umieścił między nogami i tak trzymał.

– Kiedy ci powiem – pouczał go Quint – włączysz hamulec i zatniesz hak.

Linka przestała się ruszać.

– Czekaj. On skręca. Znowu zaczyna. Nie chcę, abyś teraz walił albo żeby on wypluł hak.

Ale linka leżała nieruchomo w wodzie, zwiotczała i bezwładna.

A po kilku chwilach Quint powiedział:

– A niech to szlag! Nawijaj z powrotem.

Martin zwijał linkę korbką. Szło łatwo, zbyt łatwo. Nie było czuć nawet łagodnego oporu, jaki powinna stawiać przynęta.

– Trzymaj linkę kilkoma palcami albo się zaplącze – polecił Quint. – Cokolwiek to było, wzięło przynętę delikatnie. Chyba się z nią całowało.

Linka łagodnie dawała się wyciągnąć z wody i jej koniec zawisł na szczycie wędki.

Nie było tam ani przynęty, ani haka, ani przyponu. Przypon został gładko przecięty. Quint zręcznie zeskoczył z mostka i przyjrzał się temu. Pomacał koniec linki, przeciągnął palcami wzdłuż krawędzi cięcia i spojrzał na rozlaną plamę przynęty.

– Wydaje mi się, że właśnie spotkaliśmy twojego przyjaciela – powiedział.

– Co? – spytał Brody.

Hooper zeskoczył z pawęży i powiedział podekscytowany:

– Nie żartujesz? To niesamowite.

– Niczego nie można być pewnym – przyznał Quint – ale założyłbym się o to. Drut przyponu został przegryziony. Za jednym razem. Bez wątplenia. Nie ma żadnych innych śladów. Ryba prawdopodobnie nawet nie wiedziała, że miała to w pysku. Tylko chwyciła przynętę, zamknęła pysk i stało się.

– To co teraz zrobimy?

– Poczekamy i zobaczymy, czy połknie drugą albo wynurzy się na powierzchnię.

– A kiedy kolej na delfina?

– Kiedy będziemy wiedzieli, że to on – stwierdził Quint. – Kiedy zdołam mu się przyjrzeć i upewnię się, że ten drań jest wart takiej przynęty, wtedy mu ją dam. Te ryby to maszyny do zżerania śmieci, więc nie mam zamiaru tracić tak łakomego kęsa na jakieś chuchro.

Dlatego czekali. Nie było widać żadnego ruchu na powierzchni wody. Żaden ptak nie nurkował, żadna ryba nie wyskakiwała. Jedyne dźwięki to lekki plusk kawałków przynęty, którą Hooper wyrzucał za burtę. I wtedy linka na lewej burcie zaczęła się poruszać.

– Zostaw wędkę w uchwycie – powiedział Quint. – Nie ma sensu się przygotowywać, jeśli i tę przegryzie.

Martin czuł, jak adrenalina rozlewa się po jego ciele. Był jednocześnie podniecony i wystraszony, zatrwożony myślą, że coś takiego pływało pod nim, stworzenie, którego potęgi nie był w stanie sobie wyobrazić.

Matt stał przy lewej burcie, jakby zauroczony rozwijającą się linką.

Ta zatrzymała się i opadła.

– Cholera – zaklął Quint. – Znowu to zrobił.

Wyjął wędkę z uchwytu i począł kręcić kołowrotkiem. Przecięta linka pokazała się na pokładzie, tak samo jak poprzednia.

– Damy mu jeszcze jedną szansę – powiedział Quint. – Założę mocniejszy przypon. Choć wątpię, żeby miało to coś zmienić, jeśli to nasz żarłacz.

Sięgnął do skrzyni z lodem po kolejną przynętę i odpiął druciany przypon. Z szuflady w kokpicie wyjął długi na cztery stopy łańcuch grubości prawie dwóch centymetrów.

– To wygląda jak łańcuch dla psa – stwierdził Brody.

– Tak było – powiedział Quint.

Przymocował jeden koniec łańcucha do haka z przynętą, a drugi do stalowej linki.

– Może się przez to przegryźć?

– Całkiem możliwe. Może zajmie mu to trochę więcej czasu, ale zrobi to, jeśli tylko będzie chciał. Spróbuję tylko podrażnić go trochę, aby ściągnąć na powierzchnię.

– A co dalej, jeśli to nie zadziała?

– Nie wiem jeszcze. Przypuszczam, że mógłbym wziąć dziesięciocentymetrowy hak na rekiny i kawał nie byle jakiego łańcucha, aby zarzucić go wraz ze stertą przynęty. Ale jeśli go chwyci, to nie będę wiedział, co z nim zrobić. Wyrwie każdą knagę, którą mam na pokładzie, i dopóki go nie zobaczę, nie będę miał szansy, aby uwiązać łańcuch wokół czegoś solidnego na łodzi.

Quint wyrzucił hak z przynętą za burtę i spuścił za nim kilka metrów linki.

– No chodź, ty gnojku – powiedział. – Niech ci się przyjrzymy.

Trzej mężczyźni przyglądali się lince za lewą burtą. Hooper przykucnął, nabrał do chochli zawiesinę z rybich szczątków i rzucił w strefę zanęty. Coś przykuło jego wzrok i kazało obrócić się w lewo. Jęknął bełkotliwie, ale na tyle wyraźnie, że przyciągnął uwagę dwóch pozostałych ludzi.

– Jezu Chryste – wydusił z siebie Martin.

Nie więcej niż trzy metry za rufą, od strony sterburty, wystawał na pół metra z wody płaski, stożkowaty pysk ryby. Jego czubek był koloru sadzy przechodzącej w szarość, naznaczony parą czarnych oczu. Obydwie strony łba były szare i stopniowo zmieniały się w kremową biel, gdzie znajdowały się skrzela, jak głębokie nacięcia w pancernej skórze. Pysk był otwarty trochę mniej niż do połowy – przyćmiona, ciemna jaskinia, strzeżona przez wielkie, trójkątne zębiska.

Ryba i ludzie wpatrywali się w siebie może przez dziesięć sekund. A potem Quint wrzasnął:

– Dawać dziryty!

Zerwał się z miejsca i zaczął grzebać wśród harpunów. Martin sięgnął po karabin. Właśnie wtedy ryba bezszelestnie zanurzyła się w wodzie. Długi sierpowaty ogon uderzył w jej powierzchnię. Brody wystrzelił, ale nie trafił, a ryba zniknęła.

– Uciekła – powiedział Brody.

– Niesamowite! – Hooper był zauroczony. – Ta ryba jest moim marzeniem. A nawet więcej. Jest fantastyczna. Łeb musi mieć w przekroju ponad metr.

– Może tak być – przyznał Quint, idąc na rufę. Przeniósł tam dwa groty harpunów, dwie beczki i dwa zwoje liny. – To na wypadek, gdyby wróciła.

– Czy widziałeś kiedyś taką rybę jak ta, Quint? – spytał Hooper. Jego oczy błyszczały i tryskał ożywczą energią.

– Niezupełnie – odparł Quint.

– Jak długa była według ciebie?

– Trudno ocenić. Pięć metrów? Może więcej? Nie wiem. Martwię się dopiero wtedy, gdy mają ponad półtora metra, gdyż stanowią kłopot. Więc ten sukinsyn na pewno jest kłopotem.

– Boże, mam nadzieję, że wróci – powiedział Matt. Brody poczuł mrowienie i wzdrygnął się.

– To było bardzo dziwne – stwierdził, kręcąc głową. – Wyglądał, jakby się z nas naśmiewał.

– Tak właśnie wyglądają, gdy otworzą paszczę – powiedział Quint. – Nie doszukuj się w tym niczego niezwykłego. On jest tępym kubłem na śmieci.

– Jak możesz tak mówić? – Hooper był wyraźnie odmiennego zdania. – Ta ryba jest piękna. To jest żywy dowód na istnienie Boga. To pokazuje, co potrafi natura, kiedy się na coś uprze.

– Bzdury – skwitował Quint i po drabince wspiął się na pomost nawigacyjny.

– Masz zamiar skorzystać z delfina? – spytał Brody.

– Nie ma potrzeby. Już raz mieliśmy go na powierzchni. On wróci.

Gdy Quint mówił, hałas za Hooperem przyciągnął ich uwagę. To było jak szelest, syk przecinanej powierzchni cieczy.

– Spójrzcie – powiedział Quint.

Parę metrów od łodzi wyłoniła się trójkątna płetwa grzbietowa, wysoka na prawie pół metra. Cięła wodę, pozostawiając za sobą spienioną, falującą smugę. Za nią podążał wyniosły ogon, który walił na prawo i lewo w szybkim rytmie.

– On atakuje łódź! – krzyknął Brody. Odruchowo wpadł w fotelik bojowy i próbował odsunąć się w głąb pokładu. Quint błyskawicznie zeskoczył z pomostu i zaczął przeklinać.

– Tym razem bez żadnego pieprzonego ostrzeżenia. Dawaj żelazo!

Rekin był tuż przy łodzi. Uniósł płaski łeb, spojrział bezmyślnie na Hoopera jednym z czarnych oczu i przepłynął pod łodzią. Quint uniósł harpun i odwrócił się do lewej burty. Walnął przypadkowo w fotelik bojowy, grot oderwał się i upadł na pokład.

– Skurwysyn – warknął Quint. – Jest tam nadal?

Pochylił się, chwycił grot i założył ponownie na drzewce.

– Po twojej stronie. Po twojej stronie! – wrzeszczał Hooper. – Już przepłynął z tej strony.

Quint od razu odwrócił się, by zobaczyć, jak szaro-brązowa sylwetka ryby oddala się od łodzi i zanurza w wodzie. Z wściekłością rzucił harpun, chwycił karabinek i opróżnił cały magazynek, posyłając pociski w wodę za umykającą rybą.

– Sukinsyn – powiedział. – Tylko następnym razem daj jakieś ostrzeżenie.

Odstawił karabinek i zaśmiał się.

– Uważam, że powinienem mu podziękować. Przynajmniej nie zaatakował łodzi.

Spojrzął na Martina i powiedział:

– Najadłeś się trochę strachu na początek.

– Więcej niż trochę – zgodził się Brody. Potrząsnął głową, jakby zbierał ponownie myśli i wracał do rzeczywistości. – Nadal nie jestem pewny, czy w to wierzę.

Jego umysł wypełniał kształt podobny do torpedy, który mknął przez ciemność i rozrywał na kawałki Christine Watkins oraz nieświadomego zagrożenia chłopca na tratwie, i jeszcze krzyk kobiety, że zabił jej syna. A potem wyobraził sobie, że bestia zjawi się jak w jakimś krwawym śnie.

– Nie mówcie mi, że ta rzecz to ryba – powiedział. – To bardziej jak filmowy potwór wyłaniający się z otchłani czasu i przestrzeni.

– To na pewno ryba – powiedział Hooper, nadal wyraźnie podekscytowany. – I to jaka ryba! Cholernie blisko spokrewniona z megalodonem.

– O czym ty mówisz? – spytał Brody.

– To może przesada – przyznał Matt – ale jeśli coś takiego pływa wokół nas, to kto może stwierdzić z całą pewnością, że megalodony wyginęły? Co powiesz, Quint?

– Powiedziałbym, że za mocno przygrzało ci słońce.

– Niezupełnie. Jak myślisz, jak wielkie mogą być rekiny?

– Nie jestem dobry w zgadywaniu. Dałbym tej rybie ponad pięć metrów, więc można uznać, że dorastają do tej wielkości. Jeśli zobaczę jutro sześciometrową, to powiem, że dorastają do takiej długości. Zgadywanie jest gównem warte.

– To jak duże dorastają? – spytał Martin i od razu pożałował, że się odezwał. Poczul,

że to pytanie dawało inicjatywę Hooperowi.

Ale ten był zbyt zaferowany i podniecony, aby wykorzystać okazję.

– Trudno ocenić – powiedział. – Nikt tego nie wie. Był w Australii taki, który zaplątał się w łańcuchy i utonął. W raportach podano, że mierzył dziewięć metrów.

– To prawie dwa razy więcej niż nasz – stwierdził Brody.

Jego umysł ledwie był w stanie pojąć wielkość ryby, którą widział, i nie wyobrażał sobie, że może istnieć tak duża, jak opisał Hooper.

Ten zaś pokiwał głową i dodał:

– Ogólnie ludzie zdają się przyjmować, że dziewięć metrów to maksymalny rozmiar, ale liczba to urojenie. Jest tak, jak mówił Quint. Jeśli jutro zobaczą taką, co ma piętnaście metrów, to przyjmą, że taka jest największa. Ale prawdziwy zamęt w głowie robi wizja – a to może być prawda – że gdzieś tam w głębinie są rekiny o długości trzydziestu metrów.

– To już pieprzenie – wtrącił się Quint.

– Nie mówię, że tak jest – tłumaczył Hooper. – Ale że tak mogłoby być.

– Nadal pieprzenie.

– Może tak, może nie. Spójrz. Łacińska nazwa to *Carcharodon carcharias*, prawda? Najbliższy przodek, jakiego możemy nazwać, to zwierzę zwane *Carcharodon megalodon*, czyli ryba, która istniała trzydzieści, może czterdzieści tysięcy lat temu. Mamy skamieniałe zęby tego megalodona. Mają piętnaście centymetrów długości. To oznaczało rybę o długości ponad dwudziestu metrów. A to są zęby, jakie dzisiaj spotykamy u żarłaczy białych. A wygląda na to, że te dwie ryby są tak naprawdę tego samego gatunku. Czy można stwierdzić, że megalodon naprawdę wyginął? Dlaczego tak miałyby być? Nie z powodu braku pokarmu. Jeśli jest go na tyle dużo w głębinach, aby utrzymać wieloryby, to wystarczy go też dla rekinów. To, że nigdy nie widzieliśmy dwudziestopięciometrowego rekina, nie znaczy, że nie mógłby istnieć. Może nie ma powodu, aby pojawiać się na powierzchni. Ich cały pokarm może być gdzieś w głębinach. A żaden martwy nie został wyrzucony na brzeg, ponieważ nie mają pęcherzy pławnych. Czy możecie sobie wyobrazić, do czego byłby podobny żarłacz biały mający ponad dwadzieścia metrów długości? Czy wyobrażacie sobie, co potrafiłby zrobić, ile byłoby w nim energii?

– Nie chcę nawet o tym myśleć – powiedział Brody.

– Byłby jak lokomotywa z pyskiem pełnym rzeźnickich noży.

– Chcesz powiedzieć, że to było tylko dziecko? – Martin tracił pewność siebie i czuł

się bezbronny. – Ryba wielkości, o jakiej mówisz, mogłaby roznieść łódź na strzępy.

– Nie, to dorosła ryba – powiedział Hooper. – Tego jestem pewny. Ale to jest jak z ludźmi. Niektórzy mają półtora metra wzrostu, a inni dwa metry. Chłopie, nie wiem, co bym dał, aby ujrzeć wielkiego megalodona.

– Postradałeś rozum – uznał Martin.

– Nie, człowieku, tylko pomyśl! To byłoby jak odnalezienie słynnego yeti.

– Hej, Hooper – wtrącił się wreszcie Quint – przestań bajdurzyć i zajmij się rozrzucaniem przynęty za burtą. Większą radość sprawiłoby mi schwytanie tej ryby.

– Na pewno – powiedział Matt.

Powrócił na rufę i ponownie rozrzucał chochłą resztki ryb po wodzie.

– Myślisz, że on wróci? – spytał Martin.

– Nie wiem – odparł Quint. – Nigdy nie wiesz, co taki skurczybyk ma zamiar zrobić.

Z kieszeni wyjął notes i ołówek. Wyciągnął lewą rękę w kierunku wybrzeża. Zamknął prawe oko i wycelował palcem wskazującym lewej dłoni w brzeg, a potem skrobał coś w notesie. Przesunął rękę parę centymetrów w lewo i wycelował ponownie, po czym zrobił kolejną notatkę. Wyjaśnił, uprzedzając pytanie Martina:

– Ustalam współrzędne naszego położenia. Chcę wiedzieć, gdzie jesteśmy, gdyby rekin już dzisiaj się nie pojawił. Będę wiedział, gdzie przyplynie jutro.

Brody spojrzał na wybrzeże. Nawet przysłaniając i mrużąc oczy, potrafił dostrzec tylko zamgloną, szarą linię lądu.

– Co w takim razie przyjmujesz za punkty odniesienia?

– Latarnię morską, tam na cyplu, i wieżę ciśnień w mieście. Ustawiają się w różny sposób, w zależności od miejsca, gdzie jesteś.

– Potrafisz je dostrzec? – Brody wyteżał wzrok, ale nie widział nic na linii horyzontu.

– Oczywiście. Ty też byś potrafił, gdybyś był na morzu od trzydziestu lat.

Hooper uśmiechnął się i powiedział:

– Ty naprawdę sądzisz, że rekin będzie przebywać w jednym miejscu?

– Nie wiem – przyznał Quint. – Ale to właśnie tutaj znaleźliśmy go dzisiaj.

– I jest pewne jak cholera, że przebywa w okolicy Amity – powiedział Brody.

– To dlatego, że miał tutaj pokarm – mruknął Hooper.

W jego głosie nie było ironii ani drwiny. Ale Martin uwagę Hoopera odebrał jak ukrytą obelgę.

Czekali przez trzy kolejne godziny, ale rekin nie wrócił. Przyplływ osłabł, coraz

wolniej rozprowadzając po wodzie rozlaną przynętę.

Trochę po piątej Quint powiedział:

– Wynosimy się stąd. To ponad moją cierpliwość.

– Jak myślisz, gdzie się wyniósł? – spytał Martin. Pytanie było retoryczne i nie spodziewał się, że doczeka odpowiedzi.

– Gdziekolwiek. – Quint jednak się odezwał. – Kiedy chcesz je łowić, to wtedy ich nie ma koło ciebie. Ale gdy ich nie chcesz i nie spodziewasz się, wtedy się pokazują. Przekorne skubańce.

– A nie sądzisz, że powinniśmy spędzić tu noc i dalej rozrzucać przynętę?

– Nie, jak powiedziałem, jeśli plama przynęty zrobi się zbyt duża, to nic tu po nas. Do tego nie mamy więcej jedzenia. Co równie istotne, nie płacicie mi za pracę przez dwadzieścia cztery godziny.

– A gdybyś dostał za to pieniądze, zrobiłbyś to?

Quint zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Chociaż to kuszące. Ale nie wierzę, że coś więcej wydarzy się w nocy. Plama będzie duża i nie do ogarnięcia i nawet jeśli rekin będzie nam się przyglądał, to i tak go nie zauważymy, chyba że odgryzie nam kawałek łodzi. To tak, jakbym wziął od was pieniądze za spanie na pokładzie. Ale ja tego nie chcę z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli przynęta za bardzo się rozprzestrzeni, to do jutra wszystko się pochrzani. A po drugie, lubię mieć po zmroku łódź na brzegu.

– To mogę zrozumieć – powiedział Martin. – Twoja żona pewnie też woli cię mieć w domu.

– Nie mam żony – powiedział Quint obojętnie.

– Oj, przepraszam.

– Nie musisz. Nigdy nie potrzebowałem kobiety w domu. – Quint obrócił się i wszedł po drabince na pomost nawigacyjny.

Ellen przygotowywała kolację dla dzieci, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Chłopcy oglądali telewizję w salonie, więc zawołała do nich:

– Otwórzcie!

Usłyszała głos przy wejściu i chwilę później zobaczyła Larry'ego Vaughana stojącego w przejściu do kuchni. Widziała go ostatni raz niecałe dwa tygodnie wcześniej, ale zmienił się tak przerażająco, że nie mogła na niego patrzeć. Jak zwykle ubrany był nienagannie – niebieska marynarka zapinana na dwa guziki, koszula

doskonałej jakości, szare spodnie i mokasyny Gucci. To jego twarz się zmieniła. Schudł jak kościotrup, oczy zapadły się w oczodołach i zdawały się Ellen jaśniejsze niż normalnie, pastelowo szare. Skóra też poszarzała i obwisła na zapadniętych policzkach. Usta miał wilgotne i oblizywał je co kilka sekund.

Poczuła się zakłopotana, kiedy zorientowała się, że przyglądała się tak natrętnie, więc spuściła spojrzenie, po czym powiedziała:

– Cześć, Larry.

– Cześć, Ellen. Zatrzymałem się, gdyż...

Vaughan cofnął się kilka kroków i zajrzał do salonu.

– Czy mógłbym dostać coś do picia?

– Oczywiście. Wiesz, gdzie wszystko jest. Obsłuż się sam. Zrobiłabym to za ciebie, ale mam ręce w przyprawie do kurczaka.

– Nie wygłupiaj się. Potrafię wszystko znaleźć. – Vaughn otworzył kredens, gdzie znajdował się alkohol, wyjął butelkę i napełnił szklanekę dżinem.

– Wpadłem, żeby się pożegnać.

Ellen przestała układać kawałki kurczaka w brytfannie i spytała:

– Wyjeżdżasz? Na jak długo?

– Nie wiem, może na dobre. Nic mnie już tutaj nie trzyma.

– A co z twoimi interesami?

– Skończyły się. Albo wkrótce tak się stanie.

– Co to znaczy skończyły się? Interesy tak po prostu nie znikają.

– Nie, ale już więcej nie będą moje. Te nieliczne aktywa, które jeszcze są, przejdą na moich... wspólników.

Wypluł to ostatnie słowo, jakby chciał wyczyścić usta z nieprzyjemnego osadu, a potem wziął potężny łyk dżinu.

– Czy Martin mówił ci o naszej rozmowie?

– Tak. – Ellen spojrzała na patelnię i przekładała kawałki kurczaka na drugą stronę.

– Wydaje mi się, że niezbyt wysoko mnie oceniasz.

– Nie do mnie należy osądzanie ciebie, Larry.

– Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

– Oczywiście, że wierzę. Jak dużo wie Eleanor o tym wszystkim?

– Kompletnie nic, biedactwo. Pragnę jej tego oszczędzić, jeśli tylko potrafię. To jest jeden z powodów, dla których chcę wyjechać. Ona mnie kocha, wiesz o tym. I nie chciałbym jej stracić.

Vaughan pochylił się nad zlewem, aby się do niej zbliżyć.

– Wiesz co? Od lat sądziłem, że ty i ja moglibyśmy stworzyć cudowną parę.

Ellen poczerwieniała.

– Co to znaczy?

– Jesteś z dobrej rodziny. Znasz wszystkich ludzi, o których względy musiałem zabiegać. Pasowalibyśmy do siebie razem i do Amity. Jesteś urocza, dobra i silna. Byłabyś dla mnie prawdziwym skarbem. I sądzę, że mógłbym ci dać życie, jakie pragnęłaś mieć.

Ellen uśmiechnęła się.

– Nie jestem tak silna, jak myślisz, Larry. Nie wiem, jakiego rodzaju... skarbem byłabym dla ciebie.

– Nie oceniam siebie tak nisko. Mam tylko nadzieję, że Martin wie, jaki skarb posiada. – Vaughan skończył pić джин i odstawił szklankę na blat szafki. – W każdym razie, dość tych marzeń.

Przeszedł przez kuchnię, dotknął ramienia Ellen i pocałował ją w czubek głowy.

– Do widzenia, moja droga – powiedział. – Wspomnij mnie czasami.

Ellen spojrzała na niego.

– Na pewno. – I pocałowała go w policzek. – Dokąd się wybierasz?

– Nie wiem. Może do Vermont albo New Hampshire. Mógłbym sprzedawać ziemię miłośnikom narciarstwa. Kto wie? Może nawet sam wezmę się za sport.

– Mówiłeś Eleanor?

– Powiedziałem jej, że możemy się przeprowadzić. Tylko się uśmiechnęła i powiedziała: „Cokolwiek sobie życzysz”.

– Wkrótce wyjeżdżacie?

– Jak tylko porozmawiam z prawnikami o... moich zobowiązaniach.

– Przyślijcie nam kartkę, żebyśmy wiedzieli, gdzie zamieszkacie.

– Wyślę, zegnaj.

Vaughan wyszedł z pokoju i Ellen słyszała, jak zamykał za sobą drzwi z moskitierą.

Kiedy podała dzieciom kolację, poszła na górę i usiadła na łóżku. „Życie, jakie pragnęłaś mieć” – tak powiedział Vaughan. Jak wyglądałoby życie z Larrym Vaughanem? Bez troski o pieniądze, otoczoną ogólnym szacunkiem. Nigdy nie straciłaby poziomu życia, jakie prowadziła jako dziewczyna, gdyż nigdy by się nie skończyło. Nie byłoby chwil zwątpienia i walki o potwierdzenie własnej kobiecości ani potrzeby szukania akceptacji u kogoś takiego jak Hooper. Ale mogłaby ją dopaść

nuda, jak wiele kobiet mieszkających w Amity, gdy ich mężowie pracują w Nowym Jorku. Życie z Larrym Vaughanem byłoby życiem bez wyzwań i trywialnych satysfakcji.

Gdy dumiała nad tym, co powiedział Vaughan, zaczęła dostrzegać bogactwo własnego życia. Związek z Martinem był bardziej wartościowy, niż Larry Vaughan mógł jej kiedykolwiek zaoferować. Mieszanina małych zwycięstw i porażek, które zebrane razem dawały coś w rodzaju radości. I jej uznanie rosło, więc naprawdę zaczynała żałować, że straciła tyle czasu i emocji, próbując wrócić do przeszłości. Nagle odczuła strach – że zbyt późno pojęła, iż coś mogło stać się z Martinem, i nie zdąży mu pokazać, że go naprawdę kocha. Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia po szóstej. Do tej pory powinien być w domu. Coś musiało mu się stać, pomyślała. Och, proszę, Boże, tylko nie to.

Usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi. Wskoczyła z łóżka i wybiegła na korytarz, a potem schodami na dół. Objęła ramionami szyję męża i pocałowała go mocno w usta.

– Mój Boże – powiedział, gdy go wreszcie puściła. – To dopiero powitanie.

ROZDZIAŁ 13

– Nie wniesiesz tego na pokład mojej łodzi – powiedział Quint.

Stali na przystani w budzącym się świetle. Słońce rozjaśniło horyzont, chowając się jeszcze za niską warstwą chmur, która niemal stykała się z morzem na wschodzie. Z południa wiał delikatny wiatr. Łódź była gotowa do wypłynięcia. Beczki stały w rzędzie na dziobie łodzi, wędki tkwiły w uchwytych, przypony były przyczepione przy kołowrotkach. Silnik terkotał cichutko, wywołując małe bąbelki na falach obmywających rurę wydechową, z której wydobywały się spaliny rozwiewane przez wiatr.

Na końcu przystani mężczyzna wszedł do furgonetki, włączył silnik i pojazd potoczył się po żwirowej drodze. Na drzwiach miał napis: Instytut Oceanograficzny Woods Hole.

Quint stał plecami do łodzi, naprzeciwko Brody’ego i Hoopera, i wpatrywał się w prostopadłościenną, aluminiową klatkę. Miała trochę ponad dwa metry wysokości, mniej więcej tyle samo szerokości i więcej niż metr głębokości. W środku znajdował się pulpit sterowniczy, a na szczycie dwa cylindryczne zbiorniki buforowe. Na dnie leżały butle tlenowe, regulator ciśnienia, maska na twarz i lekki skafander dla nurka.

– Dlaczego nie? – spytał Hooper. – Nie waży dużo i mogę przywiązać ją z boku.

– Zabiera zbyt dużo miejsca.

– To właśnie mówiłem – dodał Martin. – Ale mnie nie słuchał.

– A co to w ogóle za ustrojstwo? – spytał Quint.

– To klatka do nurkowania – wyjaśnił Matt. – Nurkowie używają jej, aby chronić się, gdy pływają w otwartym oceanie. Kazałem ją przywieźć z Woods Hole furgonetką, która właśnie odjechała.

– A do czego ci ona potrzebna?

– Kiedy znajdziemy naszego rekina, albo on znajdzie nas, chcę zejść na dół w klatce i zrobić trochę zdjęć. Nikomu jeszcze nie udało się sfotografować ryby tej wielkości.

– Nie ma mowy – powiedział Quint. – Nie na mojej łodzi.

- Dlaczego nie?
- To głupota, dlatego. Człowiek rozumny zna granice rozsądku. A to jest poza nimi.
- Skąd to wiesz?
- To jest kuszenie losu. Bestia jak ta mogłaby zjeść twoją klatkę na śniadanie.
- Nie sądzę. Mogłaby walić w nią, a nawet próbować pogryźć, ale nie sądzę, żeby tak naprawdę mogła ją zjeść.
- Będzie próbowała, jeśli zobaczy, że w środku jest coś soczystego.
- Wątpię.
- Nie, zostaw to.
- Zrozum, Quint. To jest szansa jedna na milion. Nie tylko dla mnie. Nie myślałem o tym, dopóki wczoraj nie zobaczyłem tej ryby. To unikalny okaz, przynajmniej na tej półkuli. A chociaż ludzie filmowali wcześniej żarłaczki białe, to nikt nie zrobił zdjęć pięciometrowemu rekinowi pływającemu w oceanie. Nigdy.
- Powiedział, żebyś ją zostawił – wtrącił się Brody. – To zostaw. Poza tym nie biorę za to odpowiedzialności. Jesteśmy tutaj, aby zabić tę rybę, a nie po to, żeby robić o niej amatorski film.
- Jakiej odpowiedzialności? Nie jesteś za mnie odpowiedzialny.
- Och, jednak jestem. To miasto Amity płaci za tę wyprawę, a ja je tutaj reprezentuję.
- Zapłacę ci. – Hooper zwrócił się do szypra.
- Naprawdę? A ile? – Quint uśmiechnął się.
- Nie ma mowy – wtrącił się ponownie Martin. – Nie obchodzi mnie, co powie Quint. Ja mówię, że nie przeniesiesz tego pudła na pokład.
- Ale Hooper nie zwracał uwagi na jego protest.
- Sto dolarów. W gotówce. Zaliczkowo, tak jak lubisz.
- Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel.
- Powiedziałem: nie – protestował Brody.
- A co ty powiesz, Quint? Sto baksów. W gotówce. Tutaj są.
- Odliczył pięć dwudziestek i wyciągnął rękę w kierunku Quinta.
- Nie wiem... – Quint sięgnął po pieniądze i powiedział: – Cholera, wydaje mi się, że nie jestem od tego, aby powstrzymywać człowieka przed samobójstwem.
- Jeśli weźmiesz klatkę na pokład – Martin ostrzegł Quinta – to nie dostaniesz swoich czterech setek.
- Jeśli Hooper chce się zabić, pomyślał, to niech to robi na własny rachunek.

– A jeśli klatka nie znajdzie się na pokładzie – Hooper walczył dalej – to ja nie płynę.

– Pieprz się – rzekł Brody. – Możesz tu zostać, jeśli o mnie chodzi.

– Nie sądzę, aby Quintowi się to spodobało, prawda, Quint? Chcecie wypłynąć i walczyć z tą rybą tylko we dwóch, ty i szef policji? Czy ty dobrze się czujesz?

– Znajdziemy kogoś innego – powiedział Brody.

– Śmiało – warknął Matt. – Powodzenia w poszukiwaniach.

– Nie ma na to szans – uznał Quint. – Nie na ostatnią chwilę.

– W takim razie do diabła z tym – powiedział Brody. – Wypływamy jutro. Hooper może wracać do Woods Hole i zabawiać się z rybami.

Hooper poczuł gniew – i to faktycznie większy, niż zdawał sobie sprawę, gdyż nim zdołał się powstrzymać, powiedział:

– To nie wszystko, z czym mógłbym się zabawiać...

Przez kilka sekund wśród trzech mężczyzn panowała grobowa cisza. Martin gapił się na Hoopera, nie bardzo wierząc w to, co usłyszał, nie będąc pewnym, jak dużo treści było w tej uwadze, a ile pustej groźby. I wtedy nagle opanowała go wściekłość. Dopadł do Matta dwoma krokami, jedną ręką złapał za kołnierz jego koszuli, a palce drugiej zacisnął wokół jego gardła.

– Co to miało znaczyć? – wysapał. – Co powiedziałaś?

Hooper ledwie mógł oddychać. Złapał za palce napastnika.

– Nic – powiedział zdławionym głosem. – Nic.

Próbował się cofnąć, ale Brody chwycił go jeszcze ciaśniej.

– Powiedz to!

– Nic, przecież ci powiedziałem. Wkurzyłem się na ciebie. To chciałem powiedzieć.

– Gdzie byłeś w ostatnią środę po południu?

– Nigdzie. – Hooper poczuł pulsowanie w skroniach. – Puść! Udusisz mnie!

– Gdzie byłeś? – Brody jeszcze mocniej wciskał pięść.

– W motelu. A teraz puść mnie!

Brody rozluźnił uchwyt.

– Z kim? – spytał, modląc się do Boga, aby to nie była Ellen. Lepiej, żeby jego alibi było solidne.

– Z Daisy Wicker.

– Łżesz! – Brody jeszcze mocniej wcisnął pięść w gardło Hoopera i poczuł, jak łyzy zaczynają cisnąć mu się do oczu. – Daisy Wicker jest cholerną lesbijką. To co

robiliście, robótki ręczne na drutach?

Hooper czuł zawroty głowy. Kłykcie Brody'ego odcinały dopływ krwi do jego mózgu. Mrugał tylko powiekami i czuł, że traci świadomość. Brody puścił go i pchnął na pomost nabrzeża, a tamten usiadł i chwycił gwałtownie powietrze.

– Co masz do powiedzenia? – spytał Brody. – Taki z ciebie mądrała, że obracasz nawet lesbijki?

Matt szybko odzyskał sprawność myślenia.

– Nie, nie wiedziałem, dopóki... było już za późno.

– Co to znaczy? To znaczy, że poszła z tobą do motelu, a potem zrobiła cię w balona? Żadna lesba nie poszła z tobą do pokoju hotelowego.

– A właśnie że tak. – Hooper rozpaczliwie próbował odeprzeć atak Martina – Powiedziała, że chciała... chciała spróbować. Ale nie mogła się przemóc. To było straszne.

– Wciskasz mi kit!

– Nie! Ona może to potwierdzić.

Matt wiedział, że to była kiepska wymówka. Brody mógł to sprawdzić bez problemu. Ale tylko taki pomysł przyszedł mu do głowy. Zatrzyma się tego wieczoru po drodze do domu i zadzwoni do Daisy Wicker z budki telefonicznej, i będzie błagał ją, aby potwierdziła jego wersję. Albo po prostu nigdy nie wróci do Amity – skręci na północ i popłynie promem z Orient Point i będzie poza stanem, zanim Brody skontaktuje się z Daisy Wicker.

– Sprawdzę to – powiedział Brody. – Masz to jak w banku.

Martin słyszał, jak za jego plecami Quint roześmiał się, a potem powiedział:

– To naprawdę najzabawniejsza rzecz, jaką słyszałem. Próbować przespać się z lesbijką!

Brody próbował coś wyczytać z twarzy Hoopera, szukając czegokolwiek, co mogłoby zdradzać kłamstwo, ale tamten uporczywie wpatrywał się w nabrzeże.

– No, to co powiesz? – spytał Quint. – Wyływamy dzisiaj czy nie? Tak czy inaczej, Martin, to będzie cię kosztować.

Brody cały czas nie mógł dojść do siebie. Miał ochotę odwołać wyprawę, wrócić do Amity i odkryć prawdę o zdradzie Hoopera i Ellen. Ale jednocześnie bał się tego. Co wtedy powinien zrobić? Pogodzić się z Ellen? Odejść od niej? Co dobrego by to przyniosło? Potrzebował czasu, aby to przemyśleć. Dlatego powiedział do Quinta:

– Wyruszamy.

– Z klatką?

– Z klatką. Jeśli ten dupek pragnie się zabić, to niech mu będzie.

– Dla mnie w porządku – powiedział Quint. – Zabieramy w drogę ten cały cyrk. Hooper podszedł do klatki.

– Wejdę na pokład – powiedział szorstko. – We dwóch przesuniecie klatkę na krawędź nabrzeża i przechylicie ją przez burtę w moją stronę, wtedy jeden przyjdzie do mnie i przeniesiemy ją gdzieś w kąt.

Przepchnęli klatkę po drewnianych deskach pomostu, zaskoczeni jej lekkością. Nawet ze sprzętem do nurkowania nie mogła ważyć więcej niż sto kilogramów. Przechylili aluminiową konstrukcję do Hoopera, który chwycił ją za dwa pręty i czekał, dopóki Quint nie dołączył do niego w kokpicie. Razem łatwo przenieśli ją o kilka stóp i wcisnęli pod okap przy pomoście nawigacyjnym. Potem Matt dla bezpieczeństwa przywiązał klatkę dwoma linami.

Brody wskoczył na pokład i powiedział:

– Ruszamy.

– A nie zapomniałeś o czymś? – spytał Quint.

– O czym?

– O czterystu dolarach.

Martin wyjął kopertę z kieszeni i wręczył ją szyprowi.

– Wyraźnie masz zamiar umrzeć jako bogaty człowiek – powiedział z przekąsem.

– Taki mam cel. Odwiąż cumę burtową z knagi, dobrze? – polecił Quint, a sam odwiązał cumę dziobową oraz szpringi na śródburciu, a potem wrzucił je na pokład. Kiedy zobaczył, że cuma rufowa leżała na pomoście, dodał gazu i odbili od przystani. Zrobił zwrot na prawo i zwiększył obroty, a łódź niemal ślizgała się po spokojnym morzu – obok Wyspy Hicksa i Cypla Goffa, wokół Shagwong i Montauk. Po chwili latarnia morska na cyplu Montauk została za nimi, a potem, kierując się na południowy zachód, wyszli na otwarty ocean.

Kuter dostosował się do rytmu kołysania fal, a furia Martina opadła. Może jednak Hooper mówił prawdę. To było możliwe. Nie mógł zasłaniać się idiotyczną historią, którą tak łatwo można było sprawdzić. Ellen nigdy przedtem go nie oszukała, tego był pewny. Nawet nigdy nie flirtowała z innymi mężczyznami. Ale przecież zawsze mógł być ten pierwszy raz. Wizja tego koszmaru ponownie ścisnęła mu gardło. Poczł się zazdrosny i zdradzony, niepotrzebny i znieważony. Zeskoczył z fotelika i wdrapał się na pomost nawigacyjny.

Quint zrobił mu miejsce na ławce, więc usiadł obok niego. Szyper zachichotał:

– Chłopcy, mało się nie pozabijaliście.

– Nic z tych rzeczy.

– Dla mnie tak to wyglądało. Co jest, myślisz, że puknął ci żonę?

Stając twarzą w twarz z tak brutalnym opisem własnych lęków, Brody poczuł wstrząs.

– To nie jest twój zasrany interes – powiedział.

– Masz rację. Ale on nie ma tak drańskiego charakteru.

– Nikt cię nie pytał – burknął Martin i starał się zmienić temat. – Wracamy do wczorajszej lokacji?

– Dokładnie tak. Już niedaleko.

– A jakie są szanse, że rekin nadal tam będzie?

– Kto to może wiedzieć? Ale od czegoś musimy zacząć.

– Mówiłeś wcześniej o byciu sprytniejszym niż ryba. To wszystko w tej kwestii? To jedyny sekret twojego sukcesu?

– W zasadzie tak. Ty masz tylko odgadnąć ich zamiary. To nie sztuczka. One są tak głupie, że aż przykro się robi.

– Nigdy nie łowiłeś sprytnej ryby?

– Nigdy takiej nie spotkałem.

Martin miał cały czas w pamięci chytre spojrzenie i roześmiany pysk rekina, gapiącego się na niego z wody.

– No nie wiem – powiedział. – Ten drań wyglądał na pewnego siebie. Jakby rzucał nam wyzwanie i wiedział, co robi.

– Gównno, on niczego nie wie.

– Czy one mają różne charaktery?

– Ryby? – Quint roześmiał się. – Chyba je przeceniasz. Nie możesz traktować ich jak ludzi, nawet jeśli istnieją ludzie tępi jak ryby. Robią czasami dziwne rzeczy, ale można się do tego przyzwyczaić.

– To w takim razie to nie jest wyzwanie. Nie walczysz z równym sobie przeciwnikiem.

– Nie. Nie bardziej niż hydraulik próbujący przepchać rurę. Może przeklinać i walić kluczem, ale nie toczy żadnej walki. Czasami wpadam na zawziętą rybę, która sprawia więcej kłopotów niż inne, ale wtedy używam tylko innych narzędzi.

– Ale są ryby, których nie potrafisz złowić, prawda?

– Naturalnie, ale to nie znaczy, że są sprytne, podstępne albo coś podobnego. To jedynie oznacza, że nie są głodne, gdy próbujesz je schwytać, albo są za szybkie dla ciebie, a być może używasz złej przynęty.

Quint zamilkł na chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

– Kiedyś – powiedział – rekin niemal mnie dopadł. To było jakieś dwadzieścia lat temu. Miałem sporych rozmiarów rekina błękitnego na osęku, a on mocno szarpnął i pociągnął mnie za burtę.

– Co zrobiłeś?

– Przelazłem przez pawęż tak szybko, że chyba nawet nie dotknąłem stopami wody. Miałem szczęście, że przeleciałem przez rufę, gdzie jest nisko, blisko wody. Gdybym wypadł na śródkręciu, to nie wiedziałbym, co zrobić. W każdym razie wydostałem się z wody, zanim ryba zorientowała się, że w niej byłem. Zajęta była walką z osękiem.

– Przypuśćmy, że przewróciłeś się do wody razem z rybą. Czy możesz coś wtedy zrobić?

– Jasne. Modlić się. To jak wpaść z samolotu bez spadochronu i liczyć na to, że wylądujesz na stercie siana. Jedyne, co mogłoby ci uratować, to Bóg, ale ponieważ to On najpierw wypchnął cię za burtę, to nie postawiłbym na to nawet złamanego grosza.

– Jest w Amity kobieta, która uważa, że właśnie z tego powodu mamy kłopoty – powiedział Martin. – Myśli, że to jakiś rodzaj kary boskiej.

Quint zaśmiał się.

– Może tak być. Stworzył to przeklęte stworzenie, to spodziewam się, że może też mówić mu, co ma robić.

– Poważnie?

– Nie, żartuję. Nie przykładam wagi do religii.

– To dlaczego ci ludzie zostali zabici?

– Zwykły pech. – Quint przyciągnął do siebie dźwignię przepustnicy.

Łódź zwolniła i osiadła na falach.

– Spróbujemy zmienić to fatum.

Wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, rozłożył go, przeczytał zapiski i celował wyciągniętym ramieniem, sprawdzając wcześniej zapisane współrzędne. Przekreślił kluczyk zapłonu i silnik zamilkł. Zapadła głucha, przygnębiająca cisza.

– Okej, Hooper – powiedział Quint. – Zaczynaj wyrzucać to świństwo za burtę.

Matt zdjął wieko z wiadra z przynętą i zaczął chochlą wylewać jego zawartość do

morza. Pierwsza porcja na niemal nieruchomej powierzchni morza zaczęła przemieszczać się na zachód jak oleista plama.

Przed dziesiątą pojawiła się bryza, lekka i rześka, ale na tyle silna, aby zmarszczyć powierzchnię wody i schłodzić ludzi, którzy siedzieli i w milczeniu obserwowali morze. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był regularny plusk, gdy Hooper wylewał przynętę za burtę.

Martin starał się nie przysnąć. Ziewnął, a potem przypomniał sobie, że zostawił na wpół przeczytany egzemplarz Śmiercionośnej Dziewicy na stojaku magazynowym w kabinie. Wstał, przeciągnął się i zszedł do niej po trzech schodkach. Znalazł książkę i miał już wracać na pokład, kiedy jego spojrzenie przyciągnęła skrzynia z lodem. Spojrzał na zegarek i powiedział do siebie: „Do diabła z czytaniem, szkoda na to czasu”.

– Napiję się piwa! – zawołał. – Czy ktoś też chce?

– Nie – odpowiedział Hooper.

– Pewnie – odezwał się Quint. – Możemy postrzelać do puszek.

Martin wyjął dwie puszkę ze skrzyni z lodem, oderwał metalowe zawleczki i zaczął wchodzić po schodach. Dotknął stopą najwyższego stopnia, gdy usłyszał beznamiętny, spokojny głos Quinta:

– Jest.

W pierwszej chwili Brody myślał, że szyper mówił do niego, ale zobaczył, że Hooper zeskakuje z pawęży, i usłyszał, jak tamten gwizdnął i powiedział:

– Ożeż! To na pewno on!

Brody poczuł przyspieszony puls. Szybko wszedł na pokład i zapytał:

– Gdzie?

– Tutaj – powiedział Quint. – Dokładnie za rufą.

Martin dopiero po chwili dostrzegł w jaskrawym świetle płetwę – postrzępiony brązowo-szary trójkąt, który przecinał wodę, a za nim sierpowaty ogon, wyginający się energicznie na prawo i lewo. Rekin był według oceny Martina przynajmniej dziesięć, dwanaście metrów za łodzią.

– Jesteście pewni, że to on?

– Bez cienia wątpliwości – potwierdził Quint.

– Co masz zamiar zrobić?

– Nic. Dopóki nie zobaczymy, co on zrobi. Hooper, wywalaj nadal to świństwo za burtę. To go zwabi do nas.

Matt przysunął wiadro do krawędzi pawęży i wygarniał przynętę do wody. Quint poszedł na dziób, aby przymocować grot harpuna do drzewca. Podniósł beczkę i wsadził ją pod pachę. Zawiesił zwiniętą linę na drugim ramieniu i chwycił dłonią harpun. Zaniósł to wszystko na tył kutra i złożył na pokładzie.

Żarłacz krążył w oleistej plamie i wydawało się, że poszukiwał źródła krwawej mazi.

– Zwiń linki – polecił Quint Brody’emu – Nie przydadzą się na nic, gdy mamy go tutaj.

Brody wciągał linki jedną po drugiej i poukładał przynęty z kałamarnic na pokładzie. Ryba zbliżyła się trochę do łodzi, nadal powoli płynąc zakosami.

Quint ustawił beczkę na pawęży, na lewo od wiadra Hoopera, i ułożył linę obok niej. Potem sam wspiął się na krawędź z uniesionym w prawej ręce harpunem.

– Chodź – mówił. – No chodź tu, maleńka!

Ale ryba nie chciała podpłynąć bliżej niż na piętnaście metrów.

– Nie dostanę jej z tej odległości – zżymał się Quint. – Powinna podejść i spojrzeć na nas. Martin, weź obcęgi z mojej kieszeni, odetnij te kałamarnice i wyrzuć za burtę. Może to ścierwo ją tu ściągnie. I zmacz wodę, gdy już wszystko wyrzucisz. Niech wie, że coś tutaj jest.

Brody wykonał polecenie, walił w wodę i mącił ją za pomocą bosaka, cały czas wpatrując się w płetwę, gdyż wyobrażał sobie, że ryba może nagle wyłonić się z głębin i chwycić go za rękę.

– Wrzuć resztę do wody, skoro już tu jesteś – powiedział Quint. – Jest jeszcze trochę przynęty w skrzynce. I wyrzuć też te dwie puszki piwa.

– Piwo? A po co?

– Im więcej śmieci będzie pływać w wodzie, tym lepiej. Nie ma znaczenia, co to jest, tak długo, jak będzie tym zainteresowana.

– A co z delfinem? – spytał Matt.

– Co za pytanie, panie Hooper – zaśmiał się Quint. – Myślałem, że nie podobają się panu takie metody.

– To nie ma teraz znaczenia – powiedział rozemocjonowany Hooper. – Chcę zobaczyć rekina.

– Poczekamy – rzekł Quint. – Jeśli będę musiał go wykorzystać, zrobię to.

Kałamarnica powoli dryfowała od rufy w stronę drapieźnika, a jedna z puszek kołysała się na powierzchni i powoli chowała za rufą łodzi. Ale ryba nadal trzymała

się od niej z daleka.

A oni czekali. Hooper nadal machał chochłą, Quint tkwił jak posąg na pawęży, a Brody stał przy jednej z wędek.

– Cholera – powiedział Quint. – Sądzę, że nie mamy innego wyboru.

Odłożył harpun i zeskoczył na pokład. Otworzył zatrzaski wieka puszek na odpady stojącej obok Brody'ego, a ten zobaczył pozbawione życia oczy małego delfina, unoszącego się w słonej wodzie. Widok wywołał w nim odrazę i niemal wymioty.

– No, mały przyjacielu – odezwał się Quint. – Przyszedł czas na ciebie.

Ze skrzynki na narzędzia wyjął łańcuch dla psa i wsadził jeden jego koniec w oczko haka, który wystawał spod szczęki stworzenia. Drugi koniec łańcucha przywiązał do sznura konopnego o średnicy dwóch centymetrów. Potem rozwinął kilka metrów liny, obciął ją i przywiązał do knagi na nadburciu z prawej strony.

– Chyba mówiłeś, że rekin może wyrwać knagę – przypomniał Martin.

– Tak mogłoby być – zgodził się Quint. – Ale zakładam, że trafię go harpunem i wtedy odetnę linę, zanim on napręży ją na tyle mocno, aby wyrwać knagę.

Szyper chwycił łańcuch dla psa, zdjął listwę okrężnicy i położył ją na pokładzie. Wspiął się na pawęż i pociągnął za sobą delfina. Wyciągnął nóż z pochwy przy pasie. Trzymając martwe zwierzę przed sobą lewą ręką, prawą wykonał kilka płytkich nacięć na jego brzuchu. Obrzydliwa, ciemna ciecz wysączyła się z ran i spadała kroplami do wody. Quint wrzucił martwego delfina do morza, rozwinął dwa metry liny i przycisnął ją stopą do krawędzi rufy. Truchło płynęło tuż pod powierzchnią wody, mniej niż sześć stóp od łodzi.

– To całkiem blisko – stwierdził Brody.

– Tak musi być – powiedział Brody. – Nie mogę rzucać w niego harpunem, gdy będzie dziesięć metrów od nas.

– Dlaczego stoisz na linie?

– Aby trzymać naszego małego kolegę w odpowiedniej odległości. Nie chcę go przywiązać do knagi, gdy jest tak blisko łodzi. Jeśli rekin chwyci przynętę i nie będzie miał przestrzeni do ruchu, zacznie wymachiwać nią przy samej burcie i może rozwalić kuter na kawałki.

Drapieżnik wciąż zataczał szerokie łuki w tył i w przód, ale z każdym ruchem zmniejszał odległość od łodzi. A potem zatrzymał się jakieś siedem metrów od niej i przez chwilę zdawało się, że leżał bez ruchu na wodzie, celując prosto w łódź. Jego ogon opadł pod powierzchnię wody, płetwa grzbietowa zsunęła się do niej i znikła.

Zamiast niej pojawił się wielki łeb z otwartym pyskiem z kpiącym, dzikim uśmiechem i czarnymi jak węgiel oczami.

Brody patrzył na to w niemym przerażeniu, jakby nagle spotkał diabła.

– Hej, rybo! – zawołał Quint.

Stał na pawęży z rozstawionymi nogami, obejmując dłonią drzewce harpuna, który spoczywał na jego ramieniu.

– Chodź, zobacz, co dla ciebie mamy!

Przez moment rekin znieruchomiał w wodzie i obserwował. A potem bezgłośnie zniknął.

– Gdzie on odpłynął? – dopytywał się Brody.

– Zaraz przypłynie – zapewnił Quint. – Chodź, rybko – mamrotał. – Chodź, rybko. Chodź na kolację.

Celował harpunem w unoszącego się na wodzie delfina.

Nagle łódź gwałtownie przechyliła się na jedną burtę. Quint stracił równowagę i upadł na plecy. Grot harpuna oderwał się od drzewca i uderzył głośno o pokład. Brodym zakołysało na boki i musiał złapać się oparcia fotelika, aby z niego nie spaść. Obrócił się razem z nim.

Hooper wykonał piruet i uderzył plecami w nadburcie.

Lina przywiązana do morświna napięła się i zadrgała. Węzeł, którym była przywiązana do knagi, zacisnął się tak mocno, że lina spłaszczyła się i jej włókna zaczęły z trzaskiem pękać. Drewno pod knagą zatrzeszczało. Wtedy lina zwiotczała i zawisła w wodzie obok łodzi.

– Ja pierdołę! – wrzasnął Quint.

– To było, jakby wiedział, co robi – powiedział Brody. – Jakby wiedział, że to była pułapka na niego.

– A niech to diabli! Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby rekin zrobił coś takiego.

– Wiedział, że jeśli cię powali, to może dostać się do delfina.

– Gówno prawda. Rekin celował w delfina, ale nie trafił.

– Celował w delfina, będąc z drugiej strony łodzi? – spytał Matt z niedowierzaniem.

– To w zasadzie nieważne – odparł Quint. – Cokolwiek zrobił, to zadziało.

– Jak sądzisz, zerwał się z haka? – spytał Brody. – Nie wyrwał knagi.

Quint podszedł do burty po lewej stronie i zaczął wyciągać linę z wody

– Albo przegryzła się przez łańcuch, albo jeszcze... Cholera! Tak myślałem.

Przechylił się przez krawędź burty i chwycił za łańcuch. Wyciągnął go na pokład.

Był nietknięty. Zatrzask był nadal przymocowany do oczka haka. Ale sam hak był zniszczony. Nie był już zakrzywiony, tylko prawie prosty, naznaczony dwiema rysami tam, gdzie kiedyś były zahartowane zagięcia.

– Jezu Chryste – zdziwił się Brody. – Zrobił to paszczą?

– Całkiem go wygiął – potwierdził Quint. – Prawdopodobnie to nie spowolniło go bardziej niż na sekundę albo dwie.

Martin poczuł zawrót głowy i mrowienie w palcach. Usiadł na foteliku i kilka razy głęboko odetchnął, próbując opanować strach, który w nim narastał.

– Jak sądzisz, gdzie on zniknął? – spytał Hooper, stojąc przy rufie i wpatrując się w wodę.

– Jest gdzieś tutaj – powiedział Quint. – Na pewno wróci. Ten delfin był dla niego niczym sardela dla tasergala. Będzie szukał więcej pożywienia.

Złożył ponownie harpun, zwinął linę i położył przy pawęży.

– Wystarczy tylko poczekać. I dalej rzucać przynętę. Przywiążę trochę więcej kałamarnic i wywieszę je za burtą.

Brody obserwował, jak Quint owijał dratwą każdą kałamarnicę i wyrzucał za burtę, przywiązana wcześniej do knag, uchwytów dla wędek i niemal wszystkiego, na czym mógł zawiązać węzeł. Kiedy rozmieścił już z tuzin kałamarnic w różnych miejscach i na różnej głębokości wokół łodzi, wspiął się na pomost nawigacyjny i usiadł.

Spodziewając się zaprzeczenia, Martin powiedział:

– Z pewnością wydaje się, że to sprytna bestia.

– Sprytna czy nie, tego nie wiem – odparł Quint. – Ale robi rzeczy, jakich wcześniej u ryb nie widziałem. – Przerwał na chwilę, a potem zadeklarował poważnym tonem: – Ale mam zamiar dopaść tego skurwiela. Niewątpliwie to zrobię.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu to wiem. A teraz zostaw mnie w spokoju.

To było polecenie, nie prośba. A chociaż Brody miał ochotę na rozmowę – o czymkolwiek, nawet o samym rekinie, aby wymazać z pamięci wizję bestii zerkającej na niego z wody – nic nie powiedział. Spojrzał na zegarek; było pięć po jedenastej.

Czekali, spodziewając się, że w każdej chwili zobaczą płetwę wynurzającą się za burtą i przecinającą w jedną lub drugą stronę powierzchnię wody. Hooper nadal wylewał chochlą przynętę, co przy każdym plusku brzmiało dla Brody'ego, jakby ktoś miał biegunkę.

O jedenastej trzydzieści Martina wyrwał z zamyślenia ostry, wyraźny trzask. Quint zeskoczył z drabiny, szybko przeszedł przez pokład i znalazł się przy pawęży. Uniósł harpun, oparł go na ramieniu i obserwował wodę w okolicy rufy.

– Co jest, do cholery? – spytał Brody.

– Wrócił.

– Skąd wiesz? Co to był za hałas?

– To dratwa pękła. Porwał jedną z kałamarnic.

– To dlaczego trzasnęła? Nie mógł jej przegryźć?

– On jej chyba nawet nie przegryzł. Po prostu wciągnął łup, a dratwa przeszła między jego zębami, gdy zamknął paszczę. – Quint pokręcił głową na lewo i prawo. – Rozerwał ją na dwie części.

– Ale jak można było to usłyszeć, skoro dratwa pękła pod wodą?

– Nie pod wodą, na miłość boską! On urwał ją tutaj.

Quint wskazał na kilka centymetrów dratwy zwisającej z knagi przy środku burty.

– O rany – jęknął Brody, spoglądając na resztkę cienkiego sznurka, a potem dostrzegł kolejny kawałek, kilka stóp dalej na nadburciu, który właśnie zwiotczał.

– Tam jest jeszcze jeden – powiedział.

Wstał i podszedł do tego miejsca. Wyciągnął linę.

– Musi być bezpośrednio pod nami.

– Ma ktoś ochotę popływać? – spytał Quint.

– Spuśćmy klatkę za burtę – zaproponował Hooper.

– Chyba żartujesz? – Brody nie wierzył własnym uszom.

– Nie, nie żartuję. To może go przyciągnąć.

– Z tobą w środku?

– Na początku nie. Zobaczmy, co zrobi. Co powiesz, Quint?

– Może być – zgodził się Quint. – Nic nie stracimy, jeśli włożymy ją do wody, w końcu to ty za to płacisz.

Odłożył harpun i razem z Hooperem wyciągnęli klatkę.

Przewrócili ją na bok, a Matt otworzył właz na górze, aby wczłogać się do środka. Wyjął butlę, regulator, maskę i skafander z neoprenu, po czym ułożył wszystko na pokładzie. Postawili klatkę pionowo i przepchnęli ją przez pokład do sterburty.

– Masz trochę liny? – spytał Hooper. – Muszę ją przywiązać do łodzi.

Quint zszedł na dół i wrócił z dwoma zwojami sznura. Przywiązali jeden przy rufie, drugi do knagi na śródokręciu, a potem połączyli z końcami drążków na szczycie

klatki. Unieśli ją, przechylili do tyłu i wypchnęli za burtę. Zanurzała się, dopóki nie zatrzymały jej liny, czyli metr pod powierzchnią wody. Tam przechyliła się, unosząc i opadając w rytmie fal. Trzej mężczyźni stali nad nią i wpatrywali się w wodę.

– I to wywabi go na górę? – spytał Brody.

– Nie powiedziałem, że na górę – wyjaśnił Hooper. – Miałem na myśli: spod łodzi. Myślę, że przyplynie, aby się temu przypatrzeć i sprawdzić, czy nadaje się do zjedzenia.

– Z tego nie wyniknie nic dobrego – powiedział Quint. – Nie wbiję w niego harpuna, jeśli będzie trzy metry pod wodą

– Tylko jak wypłynie – powiedział Hooper. – A może wypłynie. Nie mamy nic innego, musimy się tym zadowolić.

Ale drapieznik się nie zjawił. Klatka wisiała bezwładnie w wodzie.

– Tam znika kolejna kałamarnica – zawołał Quint, wskazując na przód łodzi. – To jego robota.

Wychylił się za burtę i krzyknął:

– Niech cię szlag trafi! Pokaż się tam, gdzie mogę w ciebie uderzyć!

Po piętnastu minutach Hooper powiedział:

– No, już czas. – I zszedł pod pokład.

Pojawił się ponownie po kilku chwilach, niosąc kamerę filmową z wodoszczelną obudową i czymś, co Brody'emu przypominało laseczkę spacerową z rzemykiem na końcu.

– Co robisz? – spytał Brody.

– Mam zamiar zejść pod wodę. Może to wywabi go na powierzchnię.

– Ty chyba straciłeś cholerny rozum. A co masz zamiar zrobić, gdy już wypłynie?

– Po pierwsze, chciałbym mu zrobić kilka zdjęć. I mam zamiar spróbować go zabić.

– A czym, jeśli mogę spytać?

– A tym. – Hooper uniósł laskę.

– Dobry pomysł – przyznał Quint i zarechotał szyderczo. – A jeśli to nie zadziała, to możesz rekina zagłaskać na śmierć.

– A co to jest? – Brody był zaniepokojony dziwnym przedmiotem.

– Niektórzy nazywają to wybuchowym kijem. Inni głowicą mocy. W każdym razie w zasadzie jest to podwodny karabin. – Pociągnął za obydwa końce laski, a ona rozłożyła się na dwie części.

– Tu wkładasz pocisk kalibru dwanaście do strzelby.

Wyjął pocisk takiego kalibru z kieszeni i wcisnął do komory zamka, a potem złączył dwa końce laski.

– Kiedy znajdziesz się dość blisko ryby, dźgasz ją i pocisk eksploduje. Jeśli dobrze uderzysz – mózg to jest jedyne pewne miejsce – zabijesz ją.

– Nawet jeśli ryba jest tak duża?

– Tak myślę. Jeśli celnie uderzysz.

– A jeśli nie? Przypuśćmy, że chybisz o włos.

– Tego właśnie się obawiam.

– Ja też bym się obawiał – zgodził się Quint. – Myślę, że nie chciałbym, aby dwie i pół tony wkurwionego dinozaura próbowało mnie zjeść.

– Nie to mnie martwi – powiedział Hooper. – Obawiam się, że jeśli dobrze nie trafię, mógłbym go wypłoszyć. Prawdopodobnie poszedłby w głębinę i nigdy nie dowiedzielibyśmy się, czy zginął, czy też nie.

– Dopóki nie zje kogoś jeszcze – powiedział Brody.

– To prawda.

– Jesteś kompletnie szalony – stwierdził Quint.

– Ja jestem, Quint? To ty nie możesz sobie z nim poradzić. Moglibyśmy stać tutaj cały miesiąc i pozwolić mu zjadać twoje przynęty dosłownie spod naszych tyłków.

– On wypłynie – powiedział Quint. – Zapamiętaj moje słowa. Siedzi gdzieś pod kutrem.

– Umrzesz ze starości, zanim to zrobi, Quint. Myślę, że ten rekin zaszokował was wszystkich. Nie walczy zgodnie z zasadami.

Quint spojrzał na Hoopera i spytał spokojnie:

– Znasz się na nich lepiej ode mnie, chłopcze?

– Nie, ale mówię ci, że ten rekin jest inny niż te, z którymi do tej pory się mierzyłeś.

– Tak sądzisz, chłopcze? A ty myślisz, że potrafisz więcej niż ja?

– Nazwij to, jak chcesz. Ale sądzę, że potrafię zabić tę rybę.

– No to cudownie. Chcesz dostać swoją szansę.

– Opamiętajcie się. Nie możemy mu pozwolić zejść w tej klatce – wtrącił się Martin.

– O czym ty pieprzysz? – wybuchnął Quint. – Z tego, co widziałem, nie miałbyś nic przeciwko, aby on zszedł na dół i nigdy nie wrócił. Przynajmniej to powstrzymałoby go przed...

– Zamknij gębę! – Martin zawrzał. Po części nie troszczył się, czy Hooper przeżyje, czy zginie; może nawet delektował się wizją śmierci tego człowieka. Ale taka zemsta

była płytka i całkiem możliwe, że niezasłużona. Czy naprawdę mógłby życzyć człowiekowi śmierci? Nie. Jeszcze nie.

– Dalej – powiedział Quint do Hoopera. – Włóż do tej skrzynki.

– Moment. – Hooper zdjął koszulę, tenisówki i spodnie i zaczął wciągać skafander na nogi. – Kiedy będę w środku – powiedział, wpychając ramiona w gumowe rękawy kurtki – stań tutaj i miej oczy szeroko otwarte. Może uda się strzelić z karabinu, jeśli rekin znajdzie się blisko powierzchni.

Spojrzał na Quinta.

– Bądź gotowy z harpunem... jeśli wolisz.

– Zrobię to, co zrobię – powiedział Quint. – Martw się o siebie.

Matt założył już skafander, zamontował regulator na butlę ze sprężonym powietrzem, dokręcił nakrętkę motylkową, która utrzymywała go na miejscu, i otworzył zawór powietrzny. Zaciągnął się dwoma haustami powietrza z butli, aby upewnić się, że wszystko działa jak należy.

– Pomóż mi to założyć na plecy, dobrze? – poprosił Brody'ego.

Ten podniósł butlę z powietrzem i przytrzymał ją, a Hooper w tym czasie przekładał ramiona między paskami mającymi podtrzymać ją na plecach. Trzeci pasek, łączący dwa pozostałe, zacisnął na piersi. Potem założył maskę na twarz.

– Powinienem był zabrać obciążniki – powiedział Hooper.

– Powinienes był zabrać mózg – odparł Quint.

Matt wsadził nadgarstek w rzemienną pętlę na końcu podwodnego karabinu, podniósł kamerę prawą ręką i powiedział:

– W porządku.

Podszedł do burty.

– Jeśli każdy z was chwyci linę i pociągnie, to wyciągniecie klatkę na powierzchnię. Wtedy otworzę właz i wejść od góry, a wy potem opuścicie liny. Będę na nich wisieć. Nie będę używał zbiorników balastowych, chyba że pęknie któraś lina.

– Albo zostaniesz przeżuty – zauważył zgryźliwie Quint.

Hooper spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że dobrze mi życzysz.

Quint i Brody ciągnęli za liny i klatka powoli wynurzała się z wody. Kiedy właz ukazał się nad powierzchnią, Hooper powiedział:

– Okej, wystarczy.

Napluł na szybkę maski i roztarł ślinę na gumowej uszczelce, po czym założył ją na

twarz. Sięgnął po rurkę od automatu oddechowego, wsadził ustnik między wargi i zrobił wdech. Następnie przechylił się przez burtę i odsunął zasuwkę wieka, które otworzył z trzaskiem.

– Zapomniałem o czymś.

Nos miał schowany pod maską, więc jego głos brzmiał basowo i bezdźwięcznie. Przeszedł przez pokład i podniósł zdjęte wcześniej spodnie. Pogrzebał chwilę w kieszeniach, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Rozpiął kurtkę skafandra.

– Co to jest? – zapytał Brody.

Hooper podniósł ząb rekina oprawiony w srebro. To był duplikat prezentu, który podarował Ellen. Wsunął go pod skafander i zapiął zamek błyskawiczny.

– Ostrożności nigdy za wiele – powiedział z uśmiechem.

Ponownie przeszedł przez pokład i klęknął na nadburciu. Ostatni raz zaczerpnął powietrze i wsunął się głową naprzód ponad burtą do otwartego włazu. Brody obserwował go, zastanawiając się, czy naprawdę chciał poznać prawdę o Ellen i Hooperze.

Matt obrócił się w wodzie, nim dotknął dna klatki, i stanął prosto. Sięgnął po pokrywę włazu i zatrzasnął ją. Potem spojrzał na Brody'ego, podniósł złączone kciuk i palec wskazujący lewej ręki jako znak, że wszystko jest okej, a potem zanurzył się.

– Chyba możemy go opuścić – powiedział Martin.

Puścili liny i pozwolili opadać klatce, dopóki właz nie znalazł się metr pod powierzchnią wody.

– Weź karabin – powiedział Quint. – Jest na wieszaku na dole. Ma pełny magazynek.

Sam wspiął się na pawęż i uniósł harpun do ramienia.

Brody zszedł pod pokład, znalazł karabin i szybko wrócił na górę. Otworzył zamek i sprawdził, czy jest w nim pocisk.

– Jak dużo ma powietrza w butli? – spytał.

– Nie wiem – odpowiedział Quint. – Nie ma znaczenia, ile go jest, gdyż wątpię, aby dożył do chwili, w której się skończy.

– Może masz rację. Ale sam mówiłeś, że nigdy nie wiadomo, co takie ryby robią.

– Tak, ale ta jest inna. To jest jak wkładanie ręki do ognia z nadzieją, że się nie spali. Rozsądni ludzie tego nie robią.

Poniżej Hooper czekał, aż piana z bąbelków, która pojawiła się podczas zanurzania, rozproszy się. Woda naląła mu się pod maskę, więc odchylił głowę do tyłu, nacisnął

na szczyt szybki i dmuchnął przez nos, by łatwiej oddychać. Był w pogodnym nastroju. To było dominujące poczucie wolności i swobody, które zawsze odczuwał, kiedy nurkował. Był sam w błękitnej ciszy, naznaczonej wiązkami światła, które przenikały przez wodę. Jedyne odgłos wywoływał jego oddech – głęboki i bezdźwięczny przy wdechu i delikatnie dudniący przy wydychaniu. Wstrzymał oddech i wtedy zapanowała zupełna cisza. Bez ciężarków miał zbyt małą wagę, dlatego musiał trzymać się prętów klatki, aby butla nie uderzała metalicznie we wąż ponad jego głową. Rozejrzał się dookoła, a potem zerknął na kadłub łodzi, szarą zasłonę, która powoli kołysała się nad nim. W pierwszej chwili klatka drażniła go. Ograniczała go i krępowała, nie pozwalała cieszyć się wdziękiem podwodnego świata. Ale wtedy przypomniał sobie, dlaczego tutaj był, i poczuł wdzięczność dla ochronnych prętów.

Rozglądał się za rekinem. Wiedział, że nie mógł siedzieć pod kutrem, jak to określił Quint. Nie potrafił „siedzieć” gdziekolwiek, nie mógł odpoczywać czy stać spokojnie. Aby przeżyć, musiał się ruszać.

Nawet przy jasnym świetle słonecznym widzialność w ciemnej wodzie była słaba – nie więcej niż piętnaście metrów. Hooper powoli obracał się wokół siebie, próbując dostrzec coś poza krawędzią mroku, aby uchwycić nawet odrobinę koloru lub ruchu. Spojrzał pod łódź, gdzie woda przechodziła z błękitu przez szarość do czerni. Nic. Spojrzał na zegarek i obliczył, że przy kontrolowanym oddechu mógłby przebywać pod wodą przynajmniej pół godziny więcej.

Unoszona przez pływ pod powierzchnią mała biała kałamarnica prześlizgnęła się między prętami klatki i przewiązana dratwą, trzepotała przy twarzy Hoopera. Wypchnął ją poza klatkę.

Spojrzał w dół, potem zaczął rozglądać się dookoła, a po chwili znowu spoglądał w dół. Ze złowieszczonego błękitu, powoli i z gracją, zbliżał się prosto do niego rekin. Płynął bez widocznego wysiłku, jak anioł śmierci zbliżał się, aby wypełnić los.

Matt wpatrywał się, zafascynowany i sparaliżowany, chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć. Gdy ryba zbliżyła się, zachwycał się jej kolorami. Widoczna na powierzchni szarość z odcieniem brązu gdzieś znikła. Góra ogromnego cielska była grafitowo-szara, błękitnawa tam, gdzie padały promienie słońca. Poniżej bocznej linii wszystko było kremowe i upiornie białe.

Hooper chciał podnieść kamerę, ale ręce go nie słuchały. W minutę dojdę do siebie, wmawiał sobie.

Rekin podpływał coraz bliżej, cicho jak cień, i Hooper cofnął się. Łeb ryby znalazł się zaledwie metr od klatki, gdy skręciła i przepływała przed jego twarzą – jakby od niechcienia, dumnie prezentując nieobliczalną grozę i potęgę. Najpierw szpiczasty początek pyska, potem szczęki, rozwarte i śmiejące się, uzbrojone w rzędy zębów jak piła. A potem niezgłębione czarne oczy, wpatrujące się w niego. Pomarszczone skrzela – bezkrwawe rany na stalowej skórze.

Hooper nieśmiało wyciągnął rękę między prętami klatki i dotknął boku ryby. Poczłł chłód i twardość, nie oślizgł, ale gładką jak winyl. Koniuszkami palców musnął ciało – obok płetwy piersiowej, biodrowej i grubych, jędrnych wyrostków narządu kopulacyjnego – aż wreszcie (bestia zdawała się nie mieć końca) lekko klepnął w machający ogon.

Ryba oddalała się od klatki. Hooper usłyszał słabe trzaski i zobaczył trzy spiralne smugi bąbelków, ciągnące się z powierzchni wody, które zwolniły bieg i zatrzymały się znacznie ponad rybą. Kule karabinowe. Jeszcze nie, powiedział do siebie. Niech przepłynie obok jeszcze raz, żebym mógł zrobić zdjęcia. Ryba zaczęła skręcać, przechylając się, a gumowate płetwy zmieniały nachylenie.

– Co on tam, do cholery, robi na dole? – denerwował się Martin. – Dlaczego nie dźgnął go tą swoją laską?

Quint nie odpowiadał. Stał na pawęży, ścisnął w dłoni harpun i wpatrywał się w wodę.

– Chodź do góry, rybko – mówił. – Chodź do Quinta.

– Widzisz ją? – dopytywał się Brody. – Co robi?

– Nic. Przynajmniej na razie.

Rekin zniknął z pola widzenia Hoopera – widmowa, srebrno-szara plama zataczała powoli krąg. Matt podniósł kamerę i nacisnął włącznik. Wiedział, że film będzie bezwartościowy, chyba że ryba podpłynie jeszcze raz, a on chciał uchwycić moment, jak wyłoni się z ciemności.

Przez soczewkę obiektywu dostrzegł, że bestia zawróciła w jego stronę. Poruszała się szybko, energicznie machając ogonem, otwierała i zamykała pysk, jakby nabierała powietrza.

Ale ryba nie skręciła. Jakby dreszcz przeszedł jej całe ciało, gdy zbliżała się do klatki. Uderzyła w nią centralnie pyskiem, aż rozgięły się dwa pręty. Siła uderzenia

była tak wielka, że Matt poleciał na przeciwległą ściankę. Kamera wypadła z jego rąk, a ustnik wyleciał z ust. Ryba skręciła bokiem i machając ogonem, starała się dostać do wnętrza. Hooper szukał po omacku ustnika, ale nie potrafił go znaleźć. Jego pierś drgała konwulsyjnie, domagając się powietrza.

– Rekin atakuje! – wrzasnął Brody.

Złapał za jedną z przywiązanych lin i pociągnął w górę, próbując rozpaczliwie wyciągnąć klatkę z wody.

– Rzuć harpunem. Na co czekasz?

– Nie mogę teraz rzucić! Musi być bliżej powierzchni. Wyłaź, ty diable, ty fiucie!

Ryba wycofała się spod klatki i zatoczyła ciasny krąg. Hooper sięgnął za głowę, odnalazł rurę reduktora i przesuwając po niej dłonią, dopóki nie umiejscowił ustnika. Wsadził go do ust, zapominając najpierw wydmuchać z rury wodę, nim zaczerpnął powietrze. Zachłysnął się, więc krztusił się i dusił, dopóki wreszcie nie oczyścił ustnika, lecz w końcu zaczerpnął z bólem w piersiach powietrza. To wtedy dostrzegł wielką wyrwę między prętami i ogromny pysk przeciskający się przez nią. Uniósł ręce ponad głowę, chwytając za wieko wjazdu ewakuacyjnego.

Rekin przeciskał łeb między rozgiętymi prętami i wpychał go coraz głębiej przy każdym uderzeniu ogona. Hooper przyłgnął do tylnej ścianki klatki i widział przed sobą pysk, naciskający na niego. Pamiętał o lasce z wybuchową główką i próbował opuścić prawą rękę, aby po nią sięgnąć. Zwierzę uderzyło ponownie, a Hooper uświadomił sobie ze śmiertelnym przerażeniem, że tym razem go dosięgnie.

Szczęki zacisnęły się wokół jego torsu i poczuł potworny ucisk, jakby coś ugniatało mu wnętrzności. Uderzył pięścią prosto w czarne oko. Ryba zacisnęła szczęki, a ostatnią rzeczą, jaką Matt zobaczył przed śmiercią, było oko wpatrujące się w niego przez zawieszinę jego własnej krwi w wodzie.

– Dopadł go! – krzyczał Brody. – Zrób coś!

– On już nie żyje – stwierdził Quint.

– Skąd wiesz? Może potrafimy go uratować!

– On nie żyje.

Trzymając w szczękach Hoopera, rekin wycofał się z klatki. Zanurzył się trochę głębiej, żując i przełykając wnętrzności zalegające w przełyku. A potem zadrzał i wystartował jak rakietka dzięki machnięciu ogonem ku powierzchni wody.

– Wy pływa! – zawołał Brody.

– Bierz karabin! – Quint uniósł rękę z harpunem gotowym do rzutu.

Ryba wyskoczyła ponad powierzchnię wody pięć metrów od łodzi i szybowała przez chwilę w powietrzu w otoczeniu mgiełki wodnej. Ciało Hoopera wystawało z obu stron pyska. Z jednej strony głowa i bezwładnie zwisające ramiona, a z drugiej kolana, łydki i stopy.

Przez kilka sekund, gdy ryba była ponad wodą, Martinowi wydawało się, że przez maskę widział martwe oczy Hoopera. Z triumfującą pogardą rekin na chwilę znieruchomiał, jakby chciał pokazać, co potrafi, i rzucał wyzwanie prześladowcom.

Brody chwycił za karabin w tej samej chwili, gdy Quint rzucił harpunem. Celem był wielki, biały brzuch, odległość niezbyt duża, więc trudno było chybić. Ale gdy Quint rzucał, rekin zanurkował i żelazo poleciało zbyt wysoko.

Przez kolejną chwilę ryba pozostawała na powierzchni wody, z głową powyżej niej. Hooper nadal zwisał z jej pyska.

– Strzelaj! – wrzeszczał Quint. – Na miłość boską, strzelaj!

Brody strzelał bez celowania. Pierwsze dwa pociski trafiły w wodę przed pyskiem ryby. Trzeci, ku przerażeniu Brody'ego, trafił w szyję Hoopera.

– Dawaj karabin! – zawołał Quint, wyrywając go z rąk Martina. Płynnym ruchem uniósł broń do ramienia i dwa razy nacisnął spust. Ale ryba, nie zwracając już na nich uwagi, zaczęła zanurzać się pod powierzchnię. Kule piasnęły nieszkodliwie w wir wody, gdzie jeszcze przed chwilą był jej łeb.

Rekina mogło nigdy tam nie być. Czy to był sen? Żadnego hałasu, poza delikatny szumem bryzy. Z wierzchu klatka wydawała się nieuszkodzona. Woda była spokojna. Jedyne różnica polegała na tym, że nie było już w niej Hoopera.

– Co teraz robimy? – zapytał Martin. – Co, na Boga, możemy teraz zrobić? Nic nie zostało. Równie dobrze możemy zawrócić.

– Wracamy – stwierdził Quint. – Na razie.

– Na razie? Co masz na myśli? Nic nie możemy zrobić! Ta ryba to dla nas zbyt wiele! To jakieś szaleństwo!

– Chcesz się poddać, człowieku?

– Tak. Wszystko, co możemy zrobić, to czekać, aż sprawę załatwi Bóg albo natura, czy jakiegokolwiek piekło ją pochłonie. To nas przerasta!

– Może ciebie – powiedział Quint. – Ja mam zamiar zabić to zwierzę.

– Nie jestem pewny, czy dostaniemy więcej pieniędzy po tym, co się dzisiaj stało.

– Zatrzymaj swoje pieniądze. To przestał być zwykły interes.

– Co to znaczy? – Brody patrzył na Quinta, który stał na rufie i spoglądał na miejsce,

gdzie znikł łeb ryby, jakby spodziewał się, że pojawi się tam ponownie, trzymając w pysku porozrywane ciało. Rozglądał się po morzu, szukając okazji do kolejnej konfrontacji. Po chwili powiedział do Martina:

– Zabiję tę rybę. Od ciebie zależy, czy weźmiesz w tym udział. Ale ja mam zamiar ją dopaść.

Brody spoglądał mu w oczy, gdy to mówił. Wydawały się ciemne i bezdenne, jak u rekina.

– Idę z tobą – powiedział po chwili. – Nie sądzę, abym miał jakiś inny wybór.

– Nie masz – stwierdził Quint.

Wyciągnął nóż z pochwy i wręczył go Brody’emu.

– Odetnij klatkę i wynośmy się stąd.

Kiedy łódź dobiła do przystani, Brody powlókł się do radiowozu. Przy końcu nabrzeża stała budka telefoniczna i tam zatrzymał się, aby zadzwonić do Daisy Wicker. Ale przeszła mu na to ochota i poszedł dalej. Po co to wszystko? Jeśli coś było, to już się skończyło.

Jadąc samochodem, zastanawiał się, jaka była reakcja Ellen, kiedy zadzwonił do niej ktoś ze straży przybrzeżnej z wiadomością o śmierci Hoopera. Quint poinformował przez radiostację miejscowy posterunek jeszcze przed powrotem na przystań, a Martin poprosił oficera dyżurnego, aby zadzwonił do Ellen i powiedział jej, że przynajmniej z nim było wszystko w porządku.

Gdy wrócił do domu, Ellen już przestała płakać. Jeszcze tylko szlochała odruchowo, nieco gniewnie, nie tyle z żalu za Hooperem, co z gorzkiego bezsensu jeszcze jednej śmierci. Bardziej smuciło ją bankructwo Larry’ego Vaughana, gdyż był on bliskim przyjacielem. Hooper mógł być „kochankiem” tylko w najbardziej trywialnym znaczeniu tego słowa. Nie kochała go. Wykorzystała go i była wdzięczna za to, co jej dał, ale nie czuła się z nim związana. Oczywiście było jej smutno, że zginął, tak jak byłoby jej przykro, gdyby dowiedziała się, że spotkało to jego brata, Davida. W jej umyśle obaj byli relikdami dawno minionej przeszłości.

Usłyszała, jak samochód Brody’ego wjeżdżał na podjazd i otworzyła tylne drzwi domu. Ależ on musi być wycieńczony, pomyślała, obserwując, jak szedł do domu. Oczy miał zaczerwienione i zapadnięte. Garbił się. Pocałowała go w drzwiach i powiedziała:

– Wyglądasz, jakbyś coś pił.

– Przydałoby mi się.

Wszedł do salonu i zwałił się na fotel.

– Co byś chciał?

– Cokolwiek. Coś dużego i mocnego.

Poszła do kuchni, napełniła szklankę pół na pół wódką i sokiem pomarańczowym. Przyniosła mu ją, usiadła na oparciu fotela i pogłaskała go po głowie. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tu jest łysina. Już tak dawno nie dotykałam twojej głowy, że zapomniałabym, że tam jest.

– Jestem zaskoczony, że jeszcze pozostały mi jakieś włosy. Chryste, nigdy nie czułem się tak staro jak dzisiaj.

– To widać. No, ale to już koniec.

– Chciałbym, żeby tak było – powiedział Brody. – Naprawdę chciałbym.

– Co to znaczy? To już koniec, prawda? Nic więcej nie możesz zrobić.

– Wyruszamy jutro. O szóstej rano.

– Żartujesz!

– Niestety nie.

– Dlaczego? – Ellen była oszołomiona. – Myślicie, że coś możecie zrobić?

– Złapać rekina. I zabić go.

– Wierzysz w to?

– Nie jestem pewny. Ale Quint wierzy. Boże, jak on w to wierzy!

– To pozwól mu działać. Niech sam szuka śmierci.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– To moja praca.

– To nie jest twoja praca! – Była rozwścieczona, ale też przerażona i łzy zaczęły napływać jej do oczu.

Brody zamyślił się na chwilę i powiedział:

– Nie jest, masz rację.

– To dlaczego?

– Myślę, że nie potrafię ci tego wyjaśnić. Sam do końca nie rozumiem.

– Czy próbujesz coś udowodnić?

– Może. Nie wiem. Nigdy wcześniej nie odczuwałem czegoś takiego. Po tym, jak Hooper został zabity, byłem gotowy zrezygnować.

– Co zmieniło twoje podejście?
– Quint, przynajmniej tak sędzę.
– Chodzi ci o to, że pozwoliłeś, aby narzucił ci swoje zdanie?
– Nie. On nic mi nie mówił. Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale poddanie się nie jest odpowiedzią. Nie kończy niczego.

– Dlaczego koniec jest taki ważny?
– Z różnych powodów. Quint chyba uznał, że jeśli nie zabije tej ryby, to wszystko, w co wierzył, nie będzie miało sensu.

– A ty?
Brody starał się uśmiechnąć.
– Ja? Sędzę, że jestem stukniętym gliną.
– Nie żartuj ze mnie. – Ellen popłakała się i łzy wypływały jej z oczu jak strumienie.
– A co ze mną i z dziećmi? Chcesz zostać zabity?

– Nie, na Boga, nie! To tylko...
– Myślisz, że to wszystko twoja wina. Sędzisz, że jesteś za to odpowiedzialny.
– Odpowiedzialny za co?
– Za tego małego chłopca i starego człowieka. Myślisz, że zabijając rekina, wszystko naprawisz. Ty chcesz zemsty.

Brody westchnął.
– Może i tak. Nie wiem, Czuję... wierzę, że jedyny sposób, aby miasto ponownie ożyło, to zabić to zwierzę.
– I masz ochotę zginąć, próbując...
– Nie bądź głupia. Nie mam ochoty wypływać w tej cholernej łodzi i szukać śmierci. Myślisz, że lubię tam przebywać? Cały czas się boję, gdy tam jestem, i chce mi się rzygać.

– To w takim razie dlaczego? – prosiła go, w zasadzie błagała. – Czy nie mógłbyś pomyśleć o kimś jeszcze poza sobą samym?

Martin był zaskoczony, że żona zarzuciła mu egoizm. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby być kimś takim, dlatego że odczuwał potrzebę zmazania win.

– Kocham cię – powiedział. – Wiesz o tym... Bez względu na wszystko.
– Oczywiście, że tak – potwierdziła gorzko. – Och, na pewno tak.

Kolację zjedli w milczeniu. Kiedy skończyli, Ellen zebrała naczynia, umyła je i poszła na górę. Martin kręcił się po salonie, gasząc światła. Właśnie miał to zrobić w korytarzu, gdy usłyszał dzwonek u drzwi wejściowych. Otworzył je i zobaczył

Meadowsa.

– Cześć, Harry – powiedział. – Wejdz.

– Nie – odparł tamten. – Jest już zbyt późno. Chciałem ci tylko to podrzucić.

Wręczył Martinowi szarą kopertę.

– Co to jest?

– Otwórz i zobacz. Pogadamy jutro.

Meadows odwrócił się na pięcie i poszedł ścieżką do krawężnika, gdzie stał jego samochód z zapalonymi światłami i pracującym silnikiem.

Brody zamknął drzwi i rozerwał kopertę. W środku znajdował się próbny wydruk pierwszej strony jutrzejszego wydania „Leadersa”. Pierwsze dwa teksty redakcyjne zakreślono czerwonym ołówkiem kopiowym.

Głos żałoby...

Przez ostatnie trzy tygodnie Amity cierpiało z powodu tragedii przytrafiających się raz za razem. Pojawiło się bezlitosne zagrożenie, którego źródło nikt nie potrafił powstrzymać ani wyjaśnić.

Wczoraj wielki żarłacz biały zabrał kolejne ludzkie życie. Matt Hooper, młody oceanograf z Woods Hole, zginął, próbując samodzielnie zabić tę bestię.

Można oczywiście dyskutować o sensowności zuchwałego postępkę pana Hoopera i nazwać go odważnym albo szalonym, ale nie można podważać motywów, które pchnęły go do tego zgubnego zadania. Próbował pomóc Amity, wydając własne pieniądze i tracąc czas w próbie przywrócenia spokoju będącej w rozpaczliwym położeniu społeczności.

Był przyjacielem i oddał życie, abyśmy my mogli przetrwać.

...i głos wdzięczności.

Odkąd grasujący rekin pierwszy raz zjawiał się w Amity, jeden człowiek czuwał nieustannie, próbując chronić współobywateli. Jest nim komendant naszej policji, Martin Brody.

Po pierwszym ataku chciał poinformować opinię publiczną o zagrożeniu i zamknąć plaże. Ale chór mniej rozważnych ludzi, wliczając w to wydawcę tej gazety, przekonywał go, że się myli. „Zminimalizujmy ryzyko”, mówiliśmy, „a problem sam zniknie”. To my się myliliśmy. Niektórzy w Amity nie rozumieli grozy sytuacji. Kiedy po powtarzających się atakach komendant nadal nalegał na zamknięcie plaż, spotkał

się z groźbami i oszczerstwami. Kilkoma najgłośniejszymi krytykami byli ludzie, którzy kierowali się nie duchem wspólnoty społecznej, ale osobistą żądzą zysku. Jednak komendant Brody pozostał nieugięty i okazało się, że miał rację.

Obecnie ryzykuje życie w tej samej wyprawie, w której Matt Hooper stracił swoje. Musimy wszyscy wznosić modlitwy o jego szczęśliwy powrót... i podziękować mu za nadzwyczajny hart ducha i prawość.

– Dziękuję ci, Harry – powiedział głośno Martin.

Okolo północy zaczął mocno wiać wiatr z północnego wschodu, przenikając ze świstem przez moskitiery zamontowane w oknach, zwiastując zacinający deszcz, którego pierwsze krople spadły na podłogę w sypialni. Wstał i zamknął okno. Próbował ponownie zasnąć, ale emocje i wrażenia nie pozwalały na to. Wstał ponownie, zszedł do salonu i włączył telewizor. Zmieniał kanały, dopóki nie znalazł filmu – Weekend w Waldorf z Ginger Rogers. Potem usiadł z fotelu i szybko zapadł w nerwową, płytką drzemkę.

Obudził się o piątej z powodu pisku towarzyszącego obrazowi kontrolnemu i wyłączył odbiornik. Wsłuchiwał się w szum wiatru. Był cichszy i wiał z innego kierunku, ale nadal niósł ze sobą deszcz. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Quinta, ale pomyślał, że to bez sensu. Wypłyniemy, nawet jeśli wiatr przejdzie w wichurę. Wszedł na górę i ubrał się po cichu. Zanim wyszedł z sypialni, spojrział na Ellen, która marszczyła brwi we śnie.

– Naprawdę cię kocham, dobrze o tym wiesz – szepnęła i pocałowała ją w czoło.

Miał już schodzić po schodach, kiedy odruchowo podszedł i zajrzał do sypialni chłopców. Wszyscy spali.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy dojechał do przystani, Quint już na niego czekał – jak wysoki posąg, odziany w żółty sztormiak, wyraźnie odcinający się na tle ciemnego nieba. Ostrzył grot harpuna na kamieniu szlifierskim.

– Miałem ochotę do ciebie zadzwonić – powiedział Martin, wciągając na siebie płaszcz przeciwdeszczowy. – Czy taka pogoda coś zmienia?

– Nic – powiedział Quint. – Za chwilę deszcz ustanie. A nawet jeśli nie, to nie ma znaczenia. On tam będzie.

Brody zerknął na mknące po niebie chmury.

– Dość ponuro – stwierdził.

– Mi pasuje – powiedział Quint. – Jesteśmy sami?

– Tylko my. A spodziewałeś się kogoś jeszcze?

– Nie. Ale myślałem, że chciałbyś jeszcze jedną parę rąk.

– Znasz się na tym lepiej niż ktokolwiek, a więcej rąk nam nie pomoże. Poza tym, to nasza sprawa.

Martin stanął na pawęży i miał już wskoczyć na pokład, kiedy zauważył brezentową płachtę przykrywającą coś w kącie.

– Co to jest? – spytał, wskazując ręką.

– Owca.

Quint przekreślił kluczyk w aparacie zapłonowym. Silnik zakaszłał, zaskoczył i począł równomiernie perkotać.

– Do czego? – Brody zeskoczył na pokład. – Masz zamiar ją poświęcić?

Quint wybuchnął ponurym śmiechem.

– Mogłoby tak być – powiedział. – Nie, to przynęta. Dam mu małe śniadanie, nim się za niego weźmiemy. Odwiąż cumę na rufie.

Sam poszedł na dziób, aby tam odwiązać cumę i szpringi.

Gdy Brody odwiązywał linę, usłyszał warkot silnika samochodu. Dwa strumienie światła z reflektorów przemieszczały się drogą, a po chwili rozległ się pisk gumy, gdy

pojazd zatrzymał się przy końcu przystani. Wskoczył z niego kierowca i pobiegł w kierunku „Orki”. To był reporter „Timesa”, Bill Whitman.

– Prawie się spóźniłem – powiedział, dysząc.

– A czego chcesz, chłopcze? – spytał Brody.

– Chcę popłynąć razem z wami. Albo raczej, dostałem polecenie, aby z wami popłynąć.

– A to pech – powiedział Quint. – Nie wiem, kim jesteś, ale nikt z nami nie płynie. Martin, odrzuć cumę.

– Dlaczego nie? – dopytywał się Whitman. – Nie chcę w niczym przeszkadzać. Mogę nawet pomóc. Zrozum, to może być sensacja. Jeśli macie zamiar złapać tę rybę, chcę tam być.

– Odpierdol się – bluzgnął Quint.

– Wynajmę łódź i popłynę za wami.

Quint roześmiał się.

– Ruszaj. Zobaczymy, czy znajdziesz kogoś tak głupiego, aby cię zabrał. A potem spróbuj nas znaleźć. To duży ocean. Rzucaj linę, Brody.

Martin odrzucił cumę na przystań. Quint przesunął do przodu dźwignię gazu i łódź zgrabnie odbiła od brzegu. Brody spojrział za siebie i zobaczył Whitmana, idącego wzdłuż nabrzeża do samochodu.

Wody wokół Montauk były niespokojne z powodu wiatru – teraz wiejącego z południowego wschodu – niejako na przekór pływowi. Łódź przecinała mozolnie fale, a jej dziób walił w nie, wzbijając mglisty całun piany i kropel.

Gdy wyszli na otwarte wody, kierując się na północny zachód, płynęło się łatwiej. Deszcz przeszedł w mżawkę i z każdą chwilą było mniej białych grzywaczy na falach.

Dzieliło ich tylko piętnaście minut drogi od wyznaczonego miejsca, kiedy Quint zmniejszył gaz i silnik spowolnił.

Martin spojrział na wybrzeże. W budzącym się świetle mógł dostrzec wyraźnie wieżę wodną – czarny punkt wystający z szarego pasa lądu. Reflektor latarni morskiej nadal świecił.

– Nie jesteśmy tak daleko, jak zazwyczaj – stwierdził.

– Nie.

– Nie więcej niż kilka mil od brzegu.

– Coś koło tego.

– To dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Mam przeczucie.

Quint wskazał na lewo, na skupisko światełek wzdłuż brzegu.

– Tam jest Amity?

– Tak.

– Nie sądzę, aby rekin był dzisiaj daleko. Myślę, że będzie gdzieś między tym miejscem a Amity.

– Dlaczego?

– Tak jak ci powiedziałem, to przeczucie. W tych sprawach nie zawsze liczy się dlaczego.

– Dwa dni z rzędu znajdowaliśmy rekina trochę dalej.

– Albo on znajdował nas.

– Nie rozumiem cię, Quint. Najpierw twierdzisz, że ryby są tępe, a teraz dostrzegasz w tej jednej geniusza.

– Tak daleko bym się nie zapędzał.

Brody obruszył się przebiegłym, tajemniczym tonem głosu Quinta.

– W co ty ze mną grasz?

– To nie gra. Jeśli się mylę, to się mylę.

– I spróbujemy jutro gdzieś jeszcze indziej. – W Martinie zaczęła budzić się nadzieja, że Quint się mylił i zyskają dzień wytchnienia.

– Albo dzisiaj, ale trochę później. Ale nie sądzę, że będziemy czekać tak długo. – Quint wyłączył silnik, przeszedł na burtę i podniósł wiadro przynęty na pawęż, po czym dodał, wręczając Brody’emu chochlę. – Rozrzucaj przynętę.

Zdjął brezent z owcy, przywiązał linę do jej szyi i położył na nadburciu. Rozciął brzuch zwierzęcia i wyrzucił je za burtę, pozwalając odpłynąć dwadzieścia stóp od łodzi, a potem zawiązał linę na knadze rufowej. Przeszedł na dziób, odwiązał dwie beczki i przeniósł je razem ze zwiniętymi linami i grotami harpunów z powrotem na rufę. Ustawił beczki po obydwu stronach pawęży, obok każdej położył zwoje lin i wcisnął groty na drzewce.

– Okej – powiedział. – Teraz zobaczymy, jak długo nam to zajmie.

Niebo rozjaśniło się od szarego światła dziennego, a na brzegu rozbłysły jedno albo dwa światełka.

Odór wyrzucanych za burtę odpadków wywoływał sensacje w żołądku i teraz Martin żałował, że nie zjadł czegokolwiek przed wyjściem z domu.

Quint siedział na pomoście nawigacyjnym, wpatrując się w falujące morze.

Martina rozbolał tyłek od siedzenia na twardej pawęży, a ręce zaczęły go boleć od monotonnego napełniania i wylewania zawartości chochli. Dlatego wstał i przeciągnął się, stojąc twarzą do burty.

Nagle zobaczył potworny łeb ryby – nawet nie metr od siebie, tak blisko, że mógł sięgnąć i dotknąć go chochlą. Czarne ślepia gapiły się na Martina, srebrnoszary pysk celował w niego, a rozdziawione szczęki prezentowały przerażający uśmiech.

– O Boże – wydusił z siebie Brody, zastanawiając się pomimo szoku, jak długo rekin był tutaj, zanim on wstał i się odwrócił. – Jest tutaj!

Quint tak się spieszył, że niemal spadł z drabinki. Błyskawicznie znalazł się na rufie. Gdy wskakiwał na pawęż, pysk ryby zsunął się do wody i sekundę później walnął w tył kutra. Szczęki zacisnęły się na drewnie i ryba zaczęła machać łbem z jednej strony na drugą. Brody chwycił się knagi, nie mogąc oderwać spojrzenia od ślepi. Kuter kołysał się i trząsł za każdym razem, gdy łeb ryby się poruszył. Quint poślizgnął się i uderzył kolanami o pawęż. Rekin przerwał atak, zanurkował i łódź znowu stała spokojnie.

– On czekał na nas! – krzyczał Brody.

– Wiem – powiedział spokojnie Quint, jakby starał się go uspokoić.

– Skąd wiedział?

– Nie ma znaczenia – stwierdził Quint. – Teraz go mamy.

– My go mamy? Widziałeś, co zrobił z łodzią?

– Nieźle nią potrząsał, prawda?

Lina utrzymująca owcę naprężyła się, drżała przez chwilę jak struna, a potem opadła luźno.

Quint wstał i uniósł harpun.

– Zabrał owcę. Minie przynajmniej minuta, nim wróci.

– Jak to się stało, że nie pożarł jej najpierw?

– Po postu nie ma dobrych manier – zarechotał Quint. – Chodź tutaj, ty sukinsynu. Chodź, a dostaniesz, co ci się należy.

Martin dostrzegał gorączkę szaleństwa na twarzy Quinta – żar, który rozpalał jego czarne oczy, przejęcie, w którym wykrzywił usta w uśmiechu, niecierpliwość grającą na jego ścięgnach szyjnych i pobiełałe z ucisku kostki palców dłoni.

Łódź ponownie zadrżała, tym razem rozległ się tępy, głuchy łomot.

– Co on robi? – zapytał Brody.

Quint wychylił się przez burtę i zawołał:

– Wyłaź stamtąd, ty lachociągu! Gdzie masz jaja! Nie zatopisz mnie, nim cię nie dopadnę!

– Jak to: zatopisz? – dopytywał się Brody. – Co on robi?

– Próbuje wygryźć dziurę w dnie tej pieprzonej łodzi, właśnie to! Zajrzyj do zęzy. Wyłaź, ty przeklęty sukinsynu!

Quint uniósł wysoko harpun.

Martin klęknął, aby łatwiej mu było unieść wieko do komory silnika. Wpatrywał się w ciemną, oleistą dziurę. W zęzie była woda, ale ona zawsze tam była i nie dostrzegł nowej dziury, przez którą mogłaby się nalewać.

– Wygląda w porządku – powiedział. – Dzięki Bogu.

Płetwa grzbietowa i ogon pojawiły się nad powierzchnią wody pięć metrów na prawo od rufy i ponownie zbliżały się do łodzi.

– Tutaj jesteś – szeptał niemal czule Quint. – Tutaj jesteś.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, z lewą ręką na biodrze i prawą wzniesioną do nieba. Trzymał w niej harpun. Kiedy rekin był trochę więcej niż metr od łodzi, Quint rzucił.

Harpun trafił w nasadę płetwy grzbietowej. A potem ryba uderzyła w łódź, trafiając w rufę z ukosa, aż Quint poleciał do tyłu. Grzmotnął głową w podnózek fotelika bojowego i strumyk krwi popłynął aż do szyi. Ale zaraz poderwał się na równe nogi i wrzasnął:

– Dostałem cię! Dopadłem cię, ty nędzny fiucie!

Lina przywiązana do grotu harpuna rozwijała się jak wąż, gdy ryba zanurzała się, a kiedy się skończyła, przywiązana do niej beczka wyskoczyła jak z katapulty ponad rufą, wpadła do wody i zniknęła pod jej powierzchnią.

– Widziałeś? Wciągnął ją pod wodę! – krzyknął Brody.

– Nie na długo – powiedział Quint. – On wróci, a wtedy rzucimy w niego kolejnym harpunem, i jeszcze jednym, i jeszcze, aż się podda. A wtedy będzie nasz!

Quint pochylił się nad pawężą, obserwując wodę.

Jego pewność siebie była zaraźliwa i teraz w Martinie obudziła się nadzieja. Poczuł przyływ energii i dziwną swobodę. To było jak rodzaj wolności, wolności od widma śmierci.

– Ale jazda! – krzyknął, a potem zauważył, że z szyi Quinta spływa krew. – Masz rozciętą głowę.

– Dawaj następną beczkę – rozkazał szyper. – Nie popłacz zwojów liny. Chcę, aby

rozwijała się gładko, jakby była w śmietanie.

Brody pobiegł na przód łodzi, odwiązał beczkę, zarzucił zwój liny na ramię i przeniósł to wszystko do Quinta.

– Znowu podpływa – powiedział rybak, wskazując na bakburtę.

Na powierzchni wody pojawiła się beczka i podskakiwała rytmicznie. Quint pociągnął za sznurek przywiązany do drzewca i wciągnął go na pokład. Przyczepił do niego grot i uniósł harpun nad głowę.

– Pokaż się!

Ryba wyłoniła się z wody kilka metrów przed łodzią. Widać było łeb w całej okazałości. Ruszyła jak wystrzelona z rakiety. A potem pokazała przydymioną biel brzucha, płetwę odbytową i wielkie jak salami wyrostki kopulacyjne.

– Widziałem twojego fiuta, ty draniu! – darł się Quint, gdy rzucał drugim harpunem, pochylając się do przodu, a potem w tył. Żelazo trafiło rybę w brzuch, gdy już wielkie cielsko zanurzało się na powrót w morzu. Rekin uderzył w wodę z ogłuszającym pluskiem, zalewając pokład niemal sztormową falą.

– Jest załatwiona – powiedział Quint, gdy druga lina rozwijała się i znikła za burtą.

Łodzią zakołysało, a potem jeszcze raz, i rozległo się stłumione zgrzytanie i chrobot.

– Zaatakuj mnie, śmiało! – drwił Quint. – Już nie pozresz żadnego człowieka, ty nadęty fiucie!

Pobiegł zaraz potem do sterówki i włączył silnik. Dodał gazu, łódź ruszyła z miejsca, oddalając się od podskakujących na wodzie beczek.

– Uszkodził coś? – spytał Brody.

– Chyba tak. Płyniemy z lekko uszkodzoną rufą. Prawdopodobnie wybił dziurę. Nie ma się czym martwić. Wypompujemy stamtąd wodę.

– W takim razie mamy go – stwierdził zadowolony Brody.

– Co mamy?

– No, załatwiliśmy go na dobre.

– Nie całkiem. Popatrz.

Dwie drewniane beczki płynęły za łodzią, dotrzymując jej kroku. I wcale nie podskakiwały. Ciągnięte z ogromną siłą przez rekina, przecinały wodę, wywołując przed sobą niewielką falę i zostawiając za sobą smugę kilwateru.

– Ściga nas? – spytał Brody.

Quint kiwnął potakująco głową.

– Dlaczego? Nie może przecież wciąż myśleć, że jesteśmy pokarmem.

– Nie. Chce po prostu walczyć.

Po raz pierwszy Martin zobaczył grymas niepokoju na twarzy Quinta. To nie był strach, nie tak naprawdę, ale rodzaj niepewności – jakby podczas gry ktoś bez ostrzeżenia zmienił jej zasady i podbijał stawkę. Widząc zmianę w nastroju Quinta, sam zaczął się niepokoić.

– Miałeś przedtem do czynienia z rybą taką jak ta? – spytał.

– Nigdy. Widziałem takie, co atakowały łódź, jak ci powiedziałem. Ale gdy już dostały żelazem, to przestawały walczyć i szarpały się, aby się go pozbyć.

Brody spojrzął za burtę. Lekki prąd spychał kuter z kursu, co Quint korygował nieco przypadkowymi obrotami koła sterowego. Beczki cały czas podążały za nimi.

– Pieprzyć to – oznajmił Quint. – Jeśli chce walki, będzie ją miał.

Zwolnił, zdając się na dryf, zeskoczył z mostka i wdrapał się na pawęż. Podniósł harpun. Na jego twarzy znowu pojawiło się podniecenie.

– Okej, ty głównojadzie! – zawołał. – Chodź, to coś dostaniesz!

Beczki nadal orały powierzchnię wody – dziesięć, siedem, pięć metrów od kutra Brody widział wyraźnie szary, obły kształt za lewą burtą łodzi, jakieś dwa metry pod powierzchnią morza.

– Jest tutaj! – zawołał. – Płynie trochę przed nami!

– Kurwa! – Quint przeklinał, gdyż źle dobrał długość lin.

Zdjął grot harpuna z drzewca, zerwał szpagat, którym przywiązany był do knagi, zeskoczył z pawęzy i pobiegł na dziób. Kiedy tam dotarł, pochylił się i przywiązał drzewce do knagi na przedzie, uwolnił beczkę i zamocował grot. Stał na końcu ambony dziobowej i uniósł harpun.

Zwierzę było już poza zasięgiem. Jego ogon wystawał nad wodę dobre sześć metrów przed przodem łodzi. Dwie beczki niemal jednocześnie stuknęły w rufę, potem jeszcze raz, rozdzieliły się i prześlizgnęły po wodzie wzdłuż obydwu burt.

Dziesięć metrów przed łodzią rekin zawrócił. Wystawił z wody łeb, który po chwili zniknął. Ogon sterczący jak żagiel poruszał się na boki.

– Zbliża się! – krzyknął Quint.

Martin pędem wspiął się po drabince na pomost nawigacyjny. Jak tylko się tam znalazł, zobaczył, że szyper wyciągnął przed siebie prawe ramię i wspiął się na palcach stóp.

Rekin uderzył łbem w dziób łodzi, a odgłos przypominał stłumioną eksplozję. Quint rzucił harpunem, który trafił rybę w szczyt łba nad prawym okiem i wbił się głęboko.

Lina powoli przesuwiała się nad burta, w miarę jak rekin się cofał.

– Świetnie! – stwierdził Quint. – Tym razem dostał w łeb.

Trzy beczki w tym momencie podrygiwały i ślizgały się po powierzchni wody jak łyżwiarze na lodzie. A potem zniknęły.

– A niech to! – zawołał Quint. – Żadna normalna ryba nie zanurzy się z trzema grotami w sobie i nie pociągnie za sobą trzech beczek.

Kuter zadrżał i wydawało się, że najpierw się podniósł, a potem opadł. Beczki znowu wyskoczyły z wody, dwie po jednej stronie łodzi, a jedna po drugiej. A potem ponownie się zanurzyły. Kilka sekund później znowu wypłynęły na powierzchnię jakieś sześć metrów od łodzi.

– Zejdź na dół – polecił Quint, przygotowując kolejny harpun – i zobacz, czy ten fiut nie zostawił jakiegoś gówna na przedzie.

Brody ześlizgnął się do kabiny. Było w niej sucho. Uniósł wytarty dywanik. Znalazł pokrywę wjazdu i podniósł ją. Pod podłogą kabiny piętrzyła się woda. Toniemy, pomyślał, a wspomnienie dziecięcych koszmarów zbudziło się w umyśle. Wszedł na górę i powiedział do Quinta:

– To nie wygląda dobrze. Pod podłogą kabiny jest pełno wody.

– Lepiej na to spojrzę. Trzymaj. – Quint wręczył harpun Brody'emu. – Kiedy wróci, jak będę na dole, wbij to w niego porządnie.

Zszedł na dół. Martin stał na ambonie dziobowej, trzymał harpun i wpatrywał się w pływające beczki. Leżały niemal nieruchomo w wodzie, podrygując co jakiś czas w rytm ruchów zwierzęcia.

– Zdychasz? – Brody cicho zadał rekinowi pytanie.

Po chwili usłyszał szum pracy silnika elektrycznego.

– Nie ma problemu – uspokoił go Quint po powrocie. – Walnął w nas nieźle, ale pompy powinny sobie z tym poradzić. Zdołamy go jeszcze przyholować na ląd.

Brody wytarł dłonie o siedzenie spodni.

– Naprawdę chcesz go wyciągnąć na brzeg?

– Jasne. Kiedy już zdechnie.

– A kiedy to nastąpi?

– Kiedy będzie na to gotowy.

– A do tej chwili co?

– Czekamy.

Brody spojrzął na zegarek. Była ósma trzydzieści.

Przez trzy godziny czekali, śledząc coraz wolniejsze i przypadkowe ruchy beczek na powierzchni morza. Początkowo znikwały pod nią co dziesięć albo piętnaście minut i wypływały kilkanaście metrów dalej. Potem zanurzały się coraz rzadziej a około jedenastej pozostawały na powierzchni przez ponad godzinę.

Deszcz ustał, a wiatr ustąpił przyjemnej bryzie. Tylko niebo przesłaniała niezmiennie szara warstwa chmur.

– Jak myślisz? – spytał Martin. – Czy on zdechł?

– Wątpię. Ale może jest tego bliski, a nam zostanie zarzucić mu linę na ogon i wyciągnąć go, nim zatonie.

Quint wziął zwiniętą linę z jednej z beczek na dziobie. Przywiązał jeden jej koniec do knagi, z drugiego zrobił pętlę.

U podstawy wysięgnika znajdowała się elektryczna wyciągarka. Włączył ją na chwilę, aby sprawdzić, czy działa. Zwiększył obroty silnika i łódź ruszyła w stronę beczek. Płynęli powoli, niemal ostrożnie, gotowi do gwałtownego zwrotu, gdyby ryba zaatakowała. Ale beczki leżały spokojnie.

Quint wrzucił silnik na luzny bieg, kiedy płynęli wzdłuż beczek. Sięgnął bosakiem ponad burzę, zaczepił nim o linę i wciągnął beczkę na pokład. Próbował odwiązać linę od beczki, ale węzeł był namoknięty i zbyt mocno zaciśnięty. Dlatego wyciągnął nóż z pochwy przy pasie i przeciął linę. Wbił nóż w listwę nadburcia, dzięki czemu mógł wolną lewą ręką trzymać linę, a prawą przesunąć beczkę po pokładzie.

Wspiął się na nadburcie, przeciągnął linę przez bloczek na szczycie wysięgnika i niżej do bębna wyciągarki. Owinał ją kilkakrotnie wokół niego i pstryknął dźwigienką włącznika. Jak tylko luźno zwisająca lina naprężyła się, łódź mocno przechyliła się na prawą burzę, ściągana ciężarem bezwładnej na pozór ryby.

– Czy ta wyciągarka poradzi sobie z nim? – spytał Brody.

– Myślę, że tak. Nie chcę wyciągać rekina z wody, tylko przyciągnąć do nas.

Bęben wyciągarki obracał się wolno z cichym szumem, robiąc jeden obrót co trzy, cztery sekundy. Naprężona lina drgała, pryskając kroplami wody na koszulę Quinta.

Nagle lina zaczęła nawijać się szybciej. Spadła z bębna wyciągarki i plątała na deskach pokładu. Łódź gwałtownie się wyprostowała.

– Lina pękła? – spytał Brody.

– Nic z tych rzeczy – powiedział Quint, a na jego twarzy pojawił się strach. – Ten sukinsyn się zbliża.

Rzucił się do urządzeń sterowniczych, aby ruszyć kuter z miejsca, ale było już za

późno.

Rekin z głośnym pluskiem wyskoczył z wody tuż obok łodzi. Martin westchnął ze strachu i podziwu, że tak wielkie cielsko może latać w powietrzu. Niemal przesłaniało światło. Płetwy piersiowe unosiły się jak żagle, sztywne i proste, i Martinowi wydawało się, że sięgają do niego.

Bestia wylądowała na rufie łodzi z trzaskiem łamanej konstrukcji, a pokład zalały fale. Zaczynali tonąć. W kilka sekund Brody i Quint znaleźli się po pas w wodzie.

Ryba leżała nie dalej niż metr od piersi Brody'ego. Jej cielsko drżało, a w czarnym oku wielkości piłki bejsbolowej dostrzegał własne odbicie.

– Bądź przeklęta, ty diabelska duszo! – krzyczał Quint. – Zatopiłaś moją łódź!

Do kokpitu wpłynęła beczka, a owinięta wokół niej lina poruszała się jak wąż. Quint chwycił grot harpuna na końcu liny i wbił go w miękki brzuch ryby. Z rany trysnęła krew, zalewając mu ręce.

Łódź tonęła. Rufa znajdowała się zupełnie pod wodą, a dziób uniósł się wysoko ponad jej powierzchnię. Ryba stoczyła się z rufy i ześlizgnęła w morze. Za nią wiła się lina przyczepiona do grotu, który Quint wbił jej w brzuch.

Nagle szyper stracił oparcie dla stóp i zsunął się plecami do wody.

– Nóż! – zawołał, unosząc prawą nogę ponad powierzchnię, a Brody zobaczył owiniętą wokół niej linę.

Martin spojrzał na listwę odbojową lewego nadburcia, gdzie wbity był nóż. Rzucił się w tamtym kierunku i wyrwał go, po czym odwrócił się i próbował biec w coraz głębszej wodzie. Ale nie był dość szybki. Gapił się w bezradnym przerażeniu, jak Quint wyciąga do niego rozcapierzone palce i z szeroko otwartymi w błaganiu oczami powoli tonie w czarnej otchłani wody.

Przez moment panowała cisza, nie było słyhać nic poza bulgotaniem powietrza wydostającego się z tonącej łodzi. Woda sięgała Brody'emu do ramion, a on desperacko trzymał się wysięgnika wyciągarki. Poduszka z fotelika podskakiwała obok niego na falach, więc ją chwycił (*Utrzyma cię na wodzie*, przypomniał sobie słowa Hendricksa, *jeśli ważysz tyle, co ośmioletni chłopiec*).

Zobaczył, jak pięć metrów od niego spod wody wyłoniły się płetwa grzbietowa i machający na boki sierpowaty ogon. Rekin zbliżał się. Za nim jak orszak płynęły beczki.

Wysięgnik wyciągarki znalazł się pod wodą, więc Brody puścił go. Starał się przedostać do dziobu tonącej łodzi, która stała teraz niemal pionowo. Nim się tam

dostał, dziób uniósł się jeszcze bardziej, po czym bezgłośnie zsunął się pod powierzchnię wody.

Brody chwycił poduszkę i stwierdził, że trzymając ją przed sobą, ze skrzyżowanymi na niej ramionami, i machając nogami, był w stanie bez wysiłku utrzymać się na wodzie.

Ryba była dosłownie o krok od niego i widział przerażająco dokładnie jej stożkowy pysk. Darł się w poczuciu bezradności i zamknął oczy, czekając na ból nie do zniesienia.

Ale nic się nie wydarzyło. Otworzył oczy. Ryba niemal go dotykała, była tuż przy nim, ale nie ruszała się. I wtedy Brody zorientował się, że stalowoszare cielsko zanurzało się w otchłań. Rekin zniknął jak zjawą cmentarna w mroku nocy.

Brody wsadził głowę do wody i otworzył oczy. W słonej wodzie widział, jak ryba spiralnie opadała na dno, ciągnąc za sobą ciało Quinta – ręce łowcy były rozrzucone na boki, głowa odchylona do tyłu, a usta otwarte w niemym proteście.

Rekin zniknął z pola widzenia. Ale beczki pływające na powierzchni nie pozwalały mu zupełnie opaść na dno, więc zatrzymał się poza zasięgiem światła, a ciało Quinta wisiało ponad nią, jak cień w półmroku.

Brody wpatrywał się w ten obraz, dopóki nie poczuł bólu z braku powietrza w płucach. Uniósł głowę, przetarł oczy i dostrzegł w oddali czarny punkt wieży ciśnień. Trzymając poduszkę przed sobą, zaczął machać nogami. Płynął do brzegu.

MATERIAŁ DODATKOWY

To wydanie *Szczęk* zawiera dodatkowe teksty z archiwów Petera Benchleya, w tym oryginalnie zapisaną stronę tytułową powieści, notatki autora dotyczące skryptu scenariusza filmu oraz dwa artykuły stworzone z okazji dwudziestej i trzydziestej rocznicy premiery filmu.

Oryginalna strona tytułowa *Szczęk*

List Petera Benchleya do Davida Browna, producenta filmowej adaptacji Szczęk

15 kwietnia 1974 roku

Drogi Davidzie.

Jak wspomniałem w porannej rozmowie telefonicznej, mam problem z kilkoma kwestiami w ostatecznym szkicu scenariusza Szczęk. Obawiam się, że jeśli pojawią się na ekranie, to film spotka się z okrutną krytyką – nie tylko miłośników rekinów, ale również szerokiej publiczności – jako bezsensowa farsa. Co więcej, będą miały wpływ na tempo i napięcie akcji.

Mam jeszcze kilka innych, mniej ważnych zastrzeżeń, ale wspomnę o nich w dalszej części listu.

Najbardziej dyskusyjna ze wszystkich jest koncepcja „rekin zbir”. Mówiłeś, że Steve naprawdę konsultował to z jakimiś autorytetami, nim przyjął nowy punkt widzenia. Ja też to zrobiłem i upewniłem się, że ten pomysł jest zupełnie absurdalny. Będę zadowolony, jeśli przedyskutujemy później szczegóły, ale chciałbym przedstawić artystyczne argumenty przeciwko „rekinowi zbirowi”: jeśli pokażesz go jako krążącego po świecie maniaka, odpowiedzialnego za niemal wszystkie opisane śmiertelne ataki rekinów na ludzi, zniszczysz główną groźbę filmu, czyli tezę, że rekiny nie muszą być obłąkane, żeby zabijać ludzi; że zjedanie ich to coś normalnego, instynktowne zachowanie żarłaczy białych. Ta naturalność zadawanych śmierci jest tutaj najbardziej przerażająca.

Dalej, pozwolenie, aby Hooper oznakował tego rekina, to pomniejszenie grozy i tajemniczości bestii. Uczyniłoby ją to przystępną i oswojalną.

A co do Hoopera, denerwuje mnie, że jest niezdolnym, pedantycznym, małym palantem – w dodatku ignorantem, gdyż wiele rzeczy, które mówi o rekinach, jest mylących albo wprost kłamliwych. Jakby cytował podręcznik, tyle że pełen błędów. Ledwo można tego słuchać.

Teraz kilka konkretnych spraw, które mnie niepokoją. Nie pragnę być drobiazgowy czy małostkowy (na przykład w kwestii skrzyploczy), a rzeczy, które stanowią dla mnie

problem najmniejszy (możesz uznać je za detale), zostawiłem na koniec.

Strona 13. Sztuczka Ellen z prospektami podróznymi jest lipna jak diabli. Po pierwsze, okropnie banalna. Po drugie, poślubiła Brody'ego, więc musiała zdawać sobie sprawę z jego statusu społecznego. Wychodzi na jędzę, a ponieważ znika niemal na początku filmu, pozostajemy z mglistym, niezrozumiałym poczuciem, że Brody był nieszczęśliwy w małżeństwie.

Strona 13. Teza Meadowsa o rekinach i ich pęcherzach pławnych jest błędna. To pomieszanie z poplątaniem i popełnia niemal przestępstwo, dodając: „Czy ty nic o nich nie wiesz?”.

Strona 40. Hooper nigdy nie dałby się podpuścić i nie uwierzyłby, że trzymetrowy rekin błękitny mógłby zabić tych ludzi. Nigdy.

Strona 44. Wydaje się, że Brody też nie bardzo uwierzył w teorię o rekinie błękitnym. Kiedy zmienił zdanie?

Strona 48. A dlaczego Hooper nagle zmienił zdanie o rekinie błękitnym jako potencjalnym zabójcy?

Strona 55. Hooper twierdził, że widział wcześniej białego rekina, i to z bliska. To dlaczego utrzymywał, że mają jedynie pięć metrów długości?

Strona 65. Hooper mówi o rekinie: „On wie, gdzie mieszkasz”. Przypisuje mu ludzkie cechy, by chwilę potem przedstawić argumenty przeciwko temu. Boże, jaka to niespójna postać!

Strona 78. Co nagle zmieniło Brody'ego z człowieka obawiającego się wody w osobnika chętnego towarzyszyć Quintowi? Pamiętam długą dyskusję o zmianie jego postawy w całej rozciągłości. Wydaje się, że pozbyto się tego problemu, po prostu go ignorując.

Kolejne wątpliwości mają mniejsze znaczenie.

Strona 5. Wiedzę, że ten cholerny billboard reklamowy nadal tam jest. Nie upieram się, ale wciąż twierdzą, że nie pasuje on do specyficznego charakteru miasta.

Strona 23. Ktoś o nazwisku Denherder wspominał o sportowych imprezach w walentynki. Nie znam nikogo na Wschodnim Wybrzeżu, kto wyruszałby na ryby 14 lutego, między innymi dlatego, że nie ma żadnych zawodów wędkarskich w tym terminie.

Strona 24. Brody mówi: „Ale nikt nie łowi rekinów dla sportu”. Jeśli intencją było zrobienie z niego idioty, to się udało. Ale niedobrze, jeśli uznamy to za fakt.

Strona 30. Jeśli Hooper był nurkiem, to raczej mało prawdopodobne, żeby był

brodaty. Broda przeszkadza. Zdarzają się oczywiście brodaci nurkowie, ale po co w ogóle zaprzętać tym uwagę publiczności?

Strona 35. Drobiazg, ale dokuczliwy. Na tej i następnej stronie staje się jasne, że Steve nie zna się na broni. Rozumiem to. Ale ktoś na planie powinien wiedzieć, że karabin kalibru .30 nie strzela pociskami z przybitką i nie mógłby zniszczyć olinowania.

Strona 76. Hooper odnosi się do Ipswich w Maine. Może i być Ipswich w Maine, ale bardziej znane jest Ipswich w Massachusetts.

Tyle z mojej strony. Jestem świadomy, że 1) film jest dziełem reżysera, 2) mój udział w zabawie z technicznego punktu widzenia dobiegł końca, 3) możesz zrobić z tego listu papierowy samolot albo spuścić go w sedesie. Ale chcę przekazać ci te wskazówki, nawet jeśli jedynym efektem będzie moje czyste sumienie.

Jak już mówiłem (i mówiłem, i mówiłem), miałbym ochotę – a nawet pragnienie – spotkać się i popracować ze Steve'em, gdyby uznał to za pomocne.

Peter Benchley

Ps. Nie powiedziałeś mi, że już zrealizowałeś film Szczęki, a to mnie złości najbardziej. Dowiedziałem się o tym z wycinków prasowych, które dołączyłem poniżej.

Żarłacz biały: poważny problem

Peter Benchley dla „National Geographic”, kwiecień 2000 roku

„Haai op die aas”. Wypowiedziane bez emocji, bez odrobiny obawy, te słowa nic dla mnie nie znaczyły; kawałek niezrozumiałego języka Afrykanerów. Ale wśród załogi natychmiast pojawiło się nerwowe napięcie. Kamerzysta sięgnął po sprzęt, dźwiękowiec przewijał taśmę magnetofonu. Ponad tuzin osób zgromadzonych na dwóch łodziach połączonych razem w tratwę, jakieś pięć mil od pełnego zatok i cypli wybrzeża Gansbaai w Południowej Afryce, zamarło i obserwowało wodę.

Andre Hartman wskazał na miejsce kilka metrów za rufowymi silnikami. „Haai op die aas”, powiedział ponownie i tym razem znaczenie słów było jasne – rekin chwycił przynętę.

Gładką jak szkło powierzchnię morza przecinała stalowoszara płetwa grzbietowa. Z nią – przynajmniej dwa metry z tyłu – ostrze sierpowatego ogona zmiatało na boki, napędzając w naszą stronę ciało podobne do torpedy.

Powoli i miarowo Andrew wciągał linę, której koniec był przymocowany do czaszki małego rekina sześćcioszparowego^[1]. Ten duży podążał za nim. Nikt nie pytał, jakiego był gatunku. Co do tego nie było wątpliwości. Jego rozmiar, kształt i barwy oraz sposób przygotowywania się do ataku świadczyły jednoznacznie: żarłacz biały.

Obserwowałem jego ciało, szare, naznaczone brązem, gdy światło słońca przenikało przez mglistą, niebieskozieloną wodę i przypomniało słowa, o których nie myślałem, odkąd napisałem je ćwierć wieku temu: „Miała pysk otwarty na tyle, aby woda swobodnie przepływała przez skrzela. Poza tym zdawała się nieruchoma; tylko czasami dokonywała lekkiej korekty pozornie bezsensownie obranego kursu za pomocą delikatnego uniesienia albo obniżenia którejś płetwy piersiowej – podobnie jak ptak, który zmieniał kierunek lotu poprzez zmianę pochylecia linii skrzydeł”.

Andre wciągnął przynętę na pokład i wrzucił ją do skrzyni. Szybko ukląkł na drewnianym pomoście między silnikami. Przytrzymując się lewą ręką, zanurzył prawą w wodzie, jak tylko szpiczasty pysk i wielki stożkowy łeb pojawiły się przy pierwszym silniku.

– Na miłość boską, Andre – powiedziałem – co...

Chwycił dłonią za pysk, odsuwając go od trzonu silnika, i odpychał, dopóki z wody nie wyłonił się cały łeb rekina.

Zobaczyliśmy natychmiast otwór gębowy, chyba najbardziej niesławny w naturze. W oczy rzucała się górna szczęka, prezentująca rząd trójkątnych ryflowanych zębów, i zwisająca dolna, z ostrymi jak szpilki, chwytliwymi zębami, które ponad sto lat temu dały zwierzęciu nazwę – *Carcharodon carcharias* – „z postrzępionymi zębami”

Dłoń Andre przesłoniła pysk, niemal głaskała go. A gdy wyprostował rękę, potężny łeb odchylił się i uniósł jeszcze wyżej w powietrzu. I tak pozostawał nieruchomo, pionowo, zawieszony – pozornie – w jakimś mistycznym połączeniu z Andre.

Wszyscy milczeli i wstrzymali oddechy. Jedyne odgłosy wydawała pracująca kamera Davida Doubileta, który klatka po klatce filmował obraz człowieka obłaskawiającego potwora.

Ten moment zdawał się trwać bez końca. Faktycznie to były dwie, może pięć sekund? Dopóki Andre nie odsunął ręki. Jeszcze przez jedno uderzenie serca rekin wystawał z wody, a potem, powoli i z gracją, w połowie zsunął się, w połowie cofnął i zanurzył pod powierzchnię, a jego masywny biały brzuch lśnił przed nami, gdy zapadał w mrok głębin.

Nadal nikt nic nie mówił. Gapiliśmy się tylko na siebie.

W końcu Andre roześmiał się i powiedział:

– Za pierwszym razem to był przypadek. Próbowałem przegonić rekina od silnika. Przyciągają je elektryczne impulsy i mają zwyczaj gryzienia ich, aby zobaczyć, czy są jadalne. Tak przecież sprawdzają, co jest do zjedzenia, a co nie – i czasami wybijają sobie sporo zębów.

Były zawodowy rybak i mistrz polowania z harpunem, Andre, żył blisko żarłaczy białych przez wiele lat.

– W każdym razie moja ręka wylądowała na jego nosie i w ten sposób powstrzymałem go, a kiedy ją odsunąłem, rekin kłapał i kłapał paszczą, szukając tego, co go zahipnotyzowało.

Wymieniliśmy z Davidem porozumiewawcze spojrzenia. Reakcja rekina była dla nas fenomenem, który naukowcy nazywają stanem pozornego paraliżu. Słyszeliśmy, że mniejsze rekiny potrafią powstrzymać oznaki życia, znieruchomieć, kiedy odwracają się na grzbiet. Czy ręka Andre wywołała ten sam efekt, zakłócając przepływ sygnałów czuciowych, które ożywiały działanie mózgu rekina? A może

Andre rzeczywiście nadmiernie pobudzał organy czuciowe rekina? Nikt tego nie wiedział. Chyba w rekinie narastał zamęt, gdy nie był w stanie sięgnąć szczękami czegoś, czego bliskość wyczuwał.

Razem z Dawidem nie widzieliśmy, nawet nie słyszeliśmy o takich relacjach między istotą ludzką a budzącym największy strach stworzeniem morskim.

Jednak przez ponad sześć miesięcy zdołaliśmy przyzwyczajać się do niezwykle zdarzeń przy każdym spotkaniu z żarłaczami białymi, poczynając od sztormowego południowego oceanu koło Australii, aż po południowo-wschodni cypel kontynentu afrykańskiego. Jakby te wspaniałe zwierzęta chciały zaprzeczać konwencjonalnym opiniom i wprawiać w zakłopotane naukowców.

Im więcej się uczyliśmy, tym bardziej zdawaliśmy sobie sprawę, jak mało wiemy o żarłaczach białych. Pomimo ogromnych postępów nauki od czasu opublikowania Szczęk w 1974 roku naukowcy, rybacy oraz nurkowie wciąż nie wiedzą wielu podstawowych rzeczy o nich: jak wielkie mogą być (jak długie, szerokie i ciężkie), ile lat potrafią żyć, jak dużo ich jest, kiedy i gdzie kojarzą się w pary, ile młodych mogą wychować, gdzie spędzają czas i co szczególnie prowokuje takiego rekina do ataku, zabijania i zjadania ludzkich istot, a w innych przypadkach do gryzienia i wypluwania tego samego rodzaju ofiar.

Przekonałem się, że po dwudziestu pięciu latach spędzonych wśród żarłaczy białych dzisiaj nie ośmieliłbym się napisać *Szczęk*... w każdym razie nie z czystym sumieniem.

Kiedyś ogólnie uznawano, że żarłacze białe były z wyboru ludożercami. Dzisiaj wiemy, że ich ataki na człowieka to niemal wyjątkowe przypadki. Rekin po prostu myli człowieka ze swoim naturalnym łupem.

Kiedyś myśleliśmy, że jeśli żarłacz biały wyczuje krew, ogarnia go gorączka żerowania, nieuchronnie prowadząca do śmierci ofiary. Teraz wiemy, że prawie trzy czwarte ze wszystkich zaatakowanych ludzi przeżyło. Może dlatego, że rekin dostrzegł własną pomyłkę i nie dochodziło do drugiego ugryzienia.

Kiedyś wierzyliśmy, że żarłacze białe atakują łodzie. Teraz wiemy, że ich zmysły wykrywają ruch, dźwięk i pole elektryczne (wytwarzane przez metal i silniki) w wodzie, a kiedy rekiny te zbliżają się do łodzi, próbują zidentyfikować intrygujący je obiekt (fakt, że takie „badanie” ze strony zwierzęcia ważącego półtorej tony może prowadzić do zniszczeń).

Wreszcie demonizowanie zwierząt, szczególnie rekinów, traktowano jako coś

normalnego, ponieważ człowiek czynił tak od początku dziejów.

Dzisiaj wiemy, że są to najlepiej obdarzeni przez naturę zabójcy morscy, wyjątkowy efekt ewolucji, i nie tylko nie są złoczyńcami, ale stanowią zagrożony wyginięciem gatunek, co wynika z katastrofalnego spadku ich liczebności. Wciąż brakuje potwierdzonych źródeł wiedzy na temat rekinów, ale według relacji rybaków i obrońców przyrody rzadko widuje się naprawdę wielkie rekiny, te napotymane przez nich zazwyczaj są młode i małe.

Naukowcy oceniają, że liczebność niektórych gatunków spadła o 80 procent! Chociaż dokładna liczba rekinów nie jest znana, uznaje się, że nie rozmnażają się w tempie odpowiednim do utrzymania populacji. Wiadomo obecnie, że żarłacze białe – rzadkie z natury i coraz radsze z powodu działań człowieka – są przy całej ich gracji, potędze i oczywistej grozie niezwykle delikatne jako gatunek.

Jak są wrażliwe, przekonałem się pewnego dnia w małym ośrodku wypoczynkowym Glenelg w południowej Australii, w domu unikalnego w skali światowej znawcy rekinów, Rodneya Focha. W 1963 roku został zaatakowany podczas podwodnych łowów. Rekin napadł na niego, wycofał się i zaatakował ponownie.

– Spojrzałem w dół – opowiadał mi Rodney tę historię lata później – i dostrzegłem wielką, ogromną szczękę wznoszącą się ku mnie przez chmurę mojej własnej krwi w wodzie i wiedziałem, że mam ogromne kłopoty. Naprawdę ogromne.

Tylko seria zadziwiających i szczęśliwych zbiegów okoliczności – wliczając w to fakt, że strzępy neoprenowego skafandra utrzymały jego wnętrzości – uratowała mu życie. Spędził tygodnie w szpitalu i miesiące na rehabilitacji, pozszywany 462 szwami.

Potem zdołał jeszcze raz zwyciężyć w drużynowych mistrzostwach Australii w polowaniu pod wodą, a od tego momentu poświęcił się badaniom i ochronie życia żarłaczy białych. (Jak to ujął David Doubilet: „Rekin pogryzł Rodneya i zamieszkał w nim”). Nigdy nie miał pretensji do rekina, że go poranił („Robił tylko to, co normalnie robią rekiny”) i dawał rady nurkom, którzy mogli znaleźć się sam na sam w wodzie z żarłaczem białym: „Pokaż mu wyraźnie, że go widzisz. Żarłacze białe działają z zasadzki, a kiedy wiedzą, że cię nie zaskoczą, to nie mają ochoty tracić energii na bezproduktywny atak. Poruszaj się powoli w kierunku innych nurków albo łodzi”.

Rodney był moim i Davida przewodnikiem w badaniach nad żarłaczami białymi, więc powiedział nam, że Południowoaustralijski Instytut Badania i Rozwoju (SARDI)

zdobył dużą martwą samicę. Zanim została poddana naukowej analizie, jej ciało mogła oglądać publiczność, w ramach akcji władz Południowej Australii propagującej ochronę rekinów (choć oficjalnie nie określa się ich jako zagrożonych wyginięciem, to żarłaczki białe są chronione na wybrzeżach Afryki Południowej, Namibii, Australii, Malediwów i części Stanów Zjednoczonych).

Dzień wystawy był ponury: wiatr, mgła i zacinający deszcz. Tym niemniej 12 000 osób stanęło w kolejce – niektórzy czekali przez ponad godzinę – dla przywileju podejścia, obejrzenia, powąchania, dotknięcia budzącego litość i smutek ciała samotnego zwierzęcia.

Na pewno było to imponująca sztuka, o długości jakichś trzech i pół metra i wadze półtorej tony, zdrowa, dorosła samica z zębami długości pięciu centymetrów i ciemnymi, nieprzenikniętymi oczami. Dziecko po dziecku, dorosły po dorosłym, wszyscy dotykali rekina nie tylko opuszkami palców, ale i całymi dłońmi, jakby w więzi duchowej z wielkim stworzeniem. Nie bali się, czuli tylko szacunek i niemal podziw.

Przez lata, gdy filmowa wersja *Szczęk* stawała się coraz bardziej popularna, pytano mnie, dlaczego miała taki wpływ na ludzi. Nie miałem innej odpowiedzi poza oczywistą: ludzie zawsze obawiali się rekinów, głębokiej wody i nieznanego środowiska, a moja opowieść dotykała wszystkich tych czułych kwestii.

A po kilku latach dotarło do mnie stwierdzenie harwardzkiego socjobiologa E.O. Wilsona:

„My nie tylko obawiamy się drapieżników” – napisał. – „Jesteśmy nimi przerażeni, a przez to niejako przymuszeni do snucia opowieści, bajek i bezustannego gadania o nich, gdyż fascynacja wywołuje stan gotowości, a ten zapewnia przetrwanie. W zbiorowej świadomości podziwiamy nasze potwory”.

Chyba pod wpływem prawdziwego przerażenia tworzyłem opowieści i bajki. A w tych pojawiają się mężczyźni, kobiety i dzieci – przemoczeni, zmarznięci i zmęczeni – odczuwający wspólnie coś w rodzaju miłości do potworów.

Wszyscy chcieli wiedzieć, co zabiło rekina. Kto potrafił go zabić? Szczególnie dzieci pragnęły się dowiedzieć, dlaczego i po co ktoś zabija takie zwierzęta.

Odpowiedź, co zabiło samicę rekina, była przygnębiająco banalna.

– Longlina, czyli sznur haczykowy – powiedział John Keesing, wtedy szef do spraw naukowych SARDI. – Rybak rozciągnął linę z haczykami, aby łapać lucjany, a ona przypadkiem na nią wpadła. Zahaczyła się i próbowała wydostać, ale nie zdołała.

Utonęła. Jak większość rekinów żarłacz musi pozostać w ruchu, aby przepuszczać przez skrzela bogatą w tlen wodę.

Sznury haczykowe to jedne z najbardziej perfidnych zabójców w morzach, gdyż zabijają masowo i na ślepo. Stare i młode osobniki, powszechnie spotykane lub zagrożone wyginięciem, ciężarne albo nie. W otwartych oceanach takie liny mają długość ponad 100 kilometrów i zawierają tysiące haków.

Rybak, który ją złapał, inaczej niż większość z nich, powiadomił odpowiednie władze i nawet przyciągnął cielsko na brzeg. Chciał w zamian dostać szczękę. Rząd jednak odrzucił jego wniosek.

– Nie powinniśmy mu tego dawać – przyznał John. – Na wolnym rynku szczęka takich rozmiarów mogłaby kosztować 10 000 dolarów. Jeśli byśmy mu ją dali, zaraz by się znalazło pełno białych rekinów zabitych „przez przypadek”.

A tak szczęka i cały rekin zostały przeniesione do zakładu przetwórstwa żywności w Bolivar przy stacji uzdatniania ścieków, na równinie leżącej dwadzieścia mil na północ od Adelajdy, gdzie półtonowy rekin został dokładnie przebadany, już z dala od publiczności.

Dla naukowców była to rzadka okazja. Jednym z powodów, dla których tak mało wiemy o żarłaczach białych, jest fakt, że są tak wielkie, zwaliste i trudne do utrzymania przy życiu. Można je badać dopiero, kiedy są martwe. Badanie żywych żarłaczy białych z bliska i dokładnie jest z oczywistych powodów w zasadzie niemożliwe.

Barry Bruce, jeden z najwybitniejszych australijskich znawców rekinów, przybył ze swojej bazy na Tasmanii, gdzie nadzorował badania nad ich życiem. Wdział niebieski jednoczęściowy skafander, gumowe buty i rękawiczki, po czym delikatnie, za pomocą noża odpowiedniego do ćwiartowania wołu – rozciął brzuch bestii. Stałem obok niego i obserwowałem.

– Trochę o nich wiemy – powiedział. – Na przykład, że są ciepłokrwiste, jak wszystkie rekiny lamnowate. Temperatura ich ciała jest czasami wyższa o piętnaście stopni Celsjusza niż otaczająca je woda, co czyni je niezwykle skutecznymi drapieżnikami w zimnym środowisku. Wiemy, że są rybami głównie przybrzeżnymi, więc mają kontakt z ludźmi i czasami gubią się w gęszczu zatok i cypli. Potem wracają na głębokie wody. Widywano je na Hawajach, w Morzu Koralowym, Karaibskim i na Atlantyku. Ale wiemy niewiele o zasadach i trasach migracji czy wędrówek.

Z doświadczenia wiem, że najlepszym sposobem na znalezienie żarłacza białego jest udać się tam, gdzie się go nie spodziewamy. Pozory mylą i przez to miałem szansę na spotkanie podwodne kilka lat temu na Bahamach, gdzie rzadko natrafiano na żarłacze białe. Było to zaskakujące doświadczenie dla obydwu stron. Rekin znieruchomiał w wodzie, hamując dwiema płetwami piersiowymi, za przeproszeniem – zesrał się ze strachu i uciekł. (Moja reakcja? No cóż... Nie wasz interes).

Spytałem Barry'ego, czy ktoś sensownie oszacował liczbę żarłaczy białych na świecie, a on odpowiedział bez emocji:

– Nie. Nie wiemy nawet, ile jest ich wokół Australii. Chociaż niezbyt wiele.

– Sto? – spytałem. – Więcej? Mniej?

– Nikt nie wie. – Nie chciał wnikać w szczegóły.

Rodney wtrącił się do rozmowy.

– Słyszałem opinię, że każdego roku tutaj, w południowej Australii, zabija się czterdzieści lub czterdzieści pięć żarłaczy białych przy pomocy sznurów haczykowatych, sieci lub podczas nielegalnych połowów. Nie na wątpliwości, że nadal istnieją ludzie, którzy polują na nie dla sportu, w celu zdobycia szczęk jako trofeum. Ale przy utracie czterdziestu pięciu osobników rocznie, aby populacja utrzymała się na niezmiennym poziomie, musiałaby liczyć kilka tysięcy. Jednak trudno mi uwierzyć, aby tak dużo żarłaczy białych było w wodach Południowej Australii.

Jeszcze do niedawna rekiny nie znajdowały zwolenników. Nie było szerokich protestów, aby je ratować, jak działo się w przypadku delfinów albo wielorybów. Oczywiście jednym z problemów jest fakt, że w przeciwieństwie do nich rekiny nie są urocze, nie opiekują się młodymi, nie „rozmawiają” jeden z drugim, a w konsekwencji trudno doszukiwać się w nich ludzkich cech. Bardziej praktycznie, rekiny nie oddychają powietrzem tak jak delfiny i wieloryby, więc nie pojawiają się w regularnych odstępach czasowych na powierzchni, dlatego trudno je śledzić i policzyć.

Żarłacze białe posiadają udokumentowany rejestr zabójstw ludzi (nie jest zbyt bogaty, tylko 74 razy przez ostatnie sto lat, zgodnie z Międzynarodową Kartoteką Ataków Rekinów).

Obecnie coraz więcej ludzi zaczyna szanować i doceniać rekiny, gdyż są na swój sposób piękne, pełne gracji, skuteczne, a przede wszystkim są integralną częścią oceanicznego łańcucha pokarmowego. W dużej mierze tę zmianę zawdzięczamy

telewizji i obfitości filmów dokumentujących nie tylko wspaniałość rekinów, ale również niebezpieczeństwa na nie czyhające, w postaci sznurów haczykowatych, sieci oraz okrutnych praktyk związanych z obcinaniem płetw i sprzedają ich na rynkach azjatyckich. Okaleczone zwierzęta wyrzuca się na burtę, aby zdechły. Stopniowo władze różnych krajów, a nawet poszczególni ludzie, zaczynają zadawać sobie sprawę, że jeśli zabicie rekina może przynieść jednemu rybakowi dwadzieścia do pięćdziesięciu dolarów, to żywy rekin wart jest tysiące dolarów jako atrakcja turystyczna. Zapaleni nurkowie pokonują pół świata, aby spotkać w wodzie wielkie żarłaczki białe.

Nieskromnie przypiszę sobie zasługi w ratowaniu rekinów. Choć niektórzy uważają, że popularność *Szczęk* w znacznym stopniu odpowiadała za deformację ludzkiego spojrzenia na rekiny i powodowała sporadyczne wybuchy paniki, to jednak zrodziła również fascynację nimi, czego nigdy wcześniej nie zaobserwowano. Obecnie otrzymuję więcej niż tysiąc listów rocznie od młodych ludzi, których jeszcze nie było na świecie, gdy powstawały *Szczęki*, i wszyscy oni bez wyjątku chcą wiedzieć więcej o rekinach, a szczególnie o żarłaczach białych.

A te znajdują się na prawdziwym szczycie hierarchii drapieżników oceanicznych. Ta największa ryba drapieżna na świecie ma nielicznych wrogów. Dlatego dla równowagi ich samych nie jest dużo, a ich liczba rośnie albo maleje w zależności od łatwości dostępu do pokarmu. Rozmnażają się stosunkowo późno i rodzą niewiele młodych. I znowu, nie wiadomo, ile ich jest w miocie, ale siedem do ośmiu wydaje się bezpieczną średnią. Młode zjawiają się na świecie żywe, mają trochę ponad metr długości, ważą około trzydziestu kilogramów i są w pełni wyposażone i gotowe do walki o życie. Jednak niewiele z nich przeżywa pierwszy rok, gdyż inne rekiny, w tym również ich pobratymcy, mogą je zjeść.

W całej budzącej złość niewiedzy o żarłaczach białych najbardziej kontrowersyjna jest kwestia dotycząca ich rozmiarów. Jak duże mogą urosnąć? Rybacy od Nowej Szkocji do Południowej Australii, od Kapsztadu do Cape Cod w Massachusetts twierdzą, że natknęli się na okazy mając siedem, dziewięć, a nawet ponad dziesięć metrów. (Zazwyczaj pada określenie, że bestia była „większa niż łódź”). Były raporty o rekinie mającym siedem metrów, który pojawił się w okolicy Malty, albo ważącym ponad trzy i pół tony w pobliżu Kuby, ale nie udało się ich zweryfikować. Największy złowiony za pomocą łoża rekin miał długość sześciu metrów. Największy żarłacz biały schwytyany na wędkę i stalową linkę ważył niemal dokładnie 1410 kilogramów.

Zgodnie z opinią brytyjskiego biologa, Iana Fergussona, przewodniczącego organizacji Shark Trust, nie udało się nigdy potwierdzić istnienia rekina dłuższego niż sześć metrów. A w e-mailu, który rozsyłał po świecie, zżymał się na środki masowego przekazu, że „uparcie rozpowszechniają wyssane z palca dane i bardzo niechętnie przyznają, że pięciometrowy rekin, ważący dwie i pół tony, jest DUŻY, bardzo DUŻY, i nie potrzebują dalej przesadzać, aby wywierać jeszcze większe wrażenie na nawet najbardziej wytrawnych czytelnikach”.

Mogę poświadczyć, że w wodzie zbliżający się powoli ku tobie z mroku trzyipółmetrowy żarłacz biały naprawdę wygląda jak rozpedzona złośliwa lokomotywa.

Kiedy brzuch martwego rekina został otwarty, Barry Bruce promieniał.

– Spójrz na tę wątrobę! – wykrzykiwał. – Ona waży chyba ćwierć tony!

Taka wątroba to ogromny magazyn energii i spodobało mi się jasne i proste stwierdzenie, że to ona rządzi nawykami żywieniowymi rekina.

– Jeśli rekin pożarł całą fokę albo lwa morskiego – mówił – to może nie jeść przez kolejny miesiąc. Ale zapach wabików albo przynęty lub krwi w wodzie wywołuje poczucie łaknienia i może decydować o chęci uzupełnienia magazynu energii.

Barry usunął kilka kręgów z chrząstkowego kręgosłupa ryby (podobnie jak wszystkie rekiny, żarłacze białe nie mają prawdziwych kości). Wytarł jeden do czysta i podniósł.

– Widzisz te pierścienie? To są oznaki wzrostu, pozwalające ustalić wiek rekina, tak jak pierścienie przyrostu w pniach drzew. Dopiero niedawno nauczyliśmy się, jak je liczyć, aby podać prawidłowo wiek konkretnych osobników. Sądzymy, że samice rekinów białych zaczynają rodzić, gdy mają około dwunastu do czternastu lat.

Aby dostać się do serca rekina, Barry musiał naprawę wejść w głąb jamy jego ciała i żaden z obecnych kamerzystów, wliczając w to mnie, nie potrafił oprzeć się temu widokowi. Pory w pysku rekina wydzielały coś w rodzaju galarety, więc spytałem Barry’ego, co to jest.

– To są słynne brodawki – powiedział, porównując je do ampułek Lorenziniego, specjalnych organów czuciowych, zwanych też elektrodreceptorami, które włoski uczoney jako pierwszy opisał w 1670 roku. Dzięki wykrywaniu impulsów bioelektrycznych w wodzie te wypełnione żelem kanaliki należą do najważniejszych narządów czuciowych rekina.

Z rekina pozostało w zasadzie śmierdzące ciało i masa krwawych chrząstek, ale

głowa była nietknięta, gapiąc się nieruchomo, jakby przypominając, czym kiedyś ta ryba była.

Nie potrzebowałem przypomnienia, gdyż miałem nadal w głowie świeże obrazy z poprzedniego dnia, pośmiertne zdjęcia młodego człowieka, zabitego blisko brzegu zeszłego roku przez żarłacza białego w małej zatoce przy wyspie Neptunes, gdzie razem z kolegą nurkowali po uchowce. Rekin ugryzł go tylko raz, przerywając naczynia krwionośne w nodze i ręce, a chłopak wykrwawił się na śmierć.

– Oczywiście rekin nie chciał go zjeść – powiedział mi człowiek, który zrobił zdjęcia. – Ugryzł, posmakował i zostawił. Wiedział, że to nie była normalna zdobycz.

Ten epizod potwierdzał hipotezę Petera Kimleya, znawcy rekinów z Laboratorium Morskiego w kalifornijskiej zatoce Bodega. Utrzymuje on, że żarłacze białe posiadają zdolność oceny wartości energetycznej zdobyczy w mikrosekundzie pierwszego ugryzienia. Jeśli łup posiada według nich zbyt niską wartość energetyczną, aby zrekompensować utratę sił przy ataku na pełną skalę, rekin wypuszcza ją. Jednak jeśli ofiara jest tłusta (foka albo lew morski), rekin będzie kontynuować atak. Ugryzie skutecznie i poczeka, aż ofiara wykrwawi się na śmierć, a potem powoli ją pożre.

– Kiedy połkną coś, co jest niskokaloryczne, to wystarczy im to na kilka dni. Tłuszcz daje dwa razy więcej energii niż mięśnie.

Rodney jako jeden z pierwszych poparł tę hipotezę.

– Przecież rekin wypluł mnie, prawda? – powiedział na jej potwierdzenie. – Byłem dla niego zbyt kościsty.

Przez kilka minionych dekad liczba ataków żarłaczy białych na świecie stale wzrastała, przynajmniej zgodnie z danymi Międzynarodowego Rejestru Ataków Rekinów. To częściowo wynikało z tego, że ludzie (nurkowie, surferzy, pływacy) dużo częściej przebywają na głębokich wodach.

Śmiertelne ataki jednak stały się rzadsze. Czterdzieści lat temu ponad połowa ofiar ataków zmarła, dzisiaj więcej niż cztery na pięć przeżywa. Przyczyniła się do tego w znacznej mierze poprawa systemów łączności i ratownictwa medycznego, ale Peter Kimley uważa na podstawie kilku przypadków, że rekiny po prostu zmieniły mentalność.

– Możesz sobie to wyobrazić? – mówił. – Te rekiny chwytają ludzi i trzymają przez chwilę, aby podjąć decyzję. Uderzają, trzymają i wypuszczają.

W tej chwili nauka przyjmuje istnienie czterystu gatunków rekinów, ale ta liczba zmienia się wraz z odkrywaniem nowych. Z nich wszystkich tylko cztery atakują

ludzi: żarłaczce tępogłowe (rekiny bycze), rekiny tygrysie, żarłaczce białopłetwe i żarłaczce białe, zwane ludojadami.

Stare porzekadło mówiło, że pływak ma większą szansę trafienia przez piorun niż napotkania atakującego rekina. Na całym świecie dużo więcej ludzi umiera każdego roku z powodu uządleń, ukąszeń węży, upadku z drabin albo utonięcia w wannach niż skutkiem ataków rekinów... co w żaden sposób nie pomniejsza upiornego, instynktownego strachu, wizji bycia zjedzonym przez wielką rybę. Ale to już jakaś pociecha dla ludzi kąpiących się w morzu.

W Australii między 1876 a 1992 rokiem zanotowano pięćdziesiąt dwa ataki autorstwa żarłaczy białych, z czego dwadzieścia siedem okazało się śmiertelnych. W Morzu Śródziemnym od 1900 roku miały miejsce dwadzieścia trzy wiarygodnie udokumentowane spotkania z żarłaczami białymi, wliczając jedno z 1909 roku, kiedy dwoje dorosłych i jedno dziecko znaleziono we wnętrzu rekina o długości pięciu metrów, schwytanego koło Augusty na Sycylii.

Zadziwiające, ale niewiele zrobiono w kwestii poprawy systemów odstraszenia rekinów. Próbowano stosować barwniki, a także chemiczne i pęcherzykowe kurtyny. Obecnie najczęściej korzysta się z elektryczności. Jednak jak dotąd nic skutecznie nie powstrzymało głodnego żarłacza białego od przeprowadzenia pełnego ataku.

Podczas zimy trwającej na południowej półkuli pojechalismy do Afryki Południowej z powodu fenomenu od dawna znanego miejscowej ludności, którym badacze zajęli się zaledwie kilka lat temu. W okresie zimowym żarłaczce białe gromadzą się w dużej liczbie w strefie małych zatok między Przylądkiem Dobrej Nadziei a Danger Point w Zatoce Walkera.

– Ciepły Prąd Południowoafrykański opływa z Oceanu Indyjskiego wschodnie wybrzeże Afryki – wyjaśniał Andre Hartman – i spotyka się zimnym Prądem Benguelskim, który płynie w górę zachodniego wybrzeża. Tam, gdzie prądy się mieszają, powstaje dogodna strefa termiczna w Fałszywej Zatoce, Gansbaai i Kleinbaai, gdzie rekiny zbierają się na zimę. Wydaje się, że bardzo im ona odpowiada.

Pojawia się tam również mnóstwo rocznych kotików afrykańskich, które zamieszkują na skalistych wysepkach we wspomnianych zatokach i zapewniają rekinom wyborną ucztę.

Pojechalismy z Kapsztadu do Fałszywej Zatoki, nazwanej tak może na cześć pierwszych podróżników, którzy opływali Przylądek Dobrej Nadziei i myśleli, że

następnym brzegiem będą Indie – dopóki nie dotarli do wschodniego wybrzeża zatoki, dwadzieścia mil dalej. Tutaj Robert Lawrence i Chris Fallows proponują małą zabawę w nurkowanie w klatce. Za około sto dolarów młodzi ludzie zabierają gości i naukowców kilka mil od wybrzeża i pokazują im żarłacze białe z pokładu małej łodzi albo, jeśli sobie zażyczą, z jeszcze mniejszej klatki do nurkowania. Obiecywali pokazać nam coś, co było tak rzadkie, że niemal legendarne.

Stłoczyliśmy się na dwóch łodziach i odbiliśmy od przystani wraz z nastaniem dnia. Po zaledwie trzydziestu minutach dopłynęliśmy do Wyspy Fok, a wyczuliśmy ją węchem na długo, nim ją zobaczyliśmy. Około 84 000 fok uchałek uczyniło z niej swój dom i pokrywały niemal każdy centymetr jałowych skał, szczekając, wylegając się, sprzecząc albo ześlizgując niezgrabnie do wody, w której zmieniały się w stworzenia pełne gracji i niebywalej urody.

Za łodzią ciągnęliśmy plastikową atrapę foki z zainstalowaną w jej brzuchu kamerą wideo i obiektywem skierowanym w dół.

Rozsiedliśmy się, przekonani, że przed nami długie godziny czekania, ale...

Woda dosłownie wybuchła. Gigantyczne ciało wystrzeliło nad powierzchnię – białe pod spodem, metalicznie niebieskie z góry, błyszczące w porannym świetle – ze sztuczną foką w szczękach. Rekin przekreślił się wokół własnej osi, uderzył w wodę z ogłuszającym pluskiem i zniknął.

Nim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, to wydarzyło się ponownie: wystrzał z głębiny, wybuch na powierzchni, baletowe salto i plusk.

– Co za siła! – krzyknął Rodney. – Mój panie, cóż za pokaz siły! Wiemy, że atakują od dołu. Wiemy, że zjadają foki. Ale ten żywioł! – przerwał, a po chwili dodał: – Gdybym zobaczył takie zachowanie zaraz po ataku na mnie, to powiem ci, że dzisiaj byłbym golfistą.

To był przełom, jakiego nikt z nas nie doświadczył, czysta energia i furia ataku, które wystrzeliwały wielkie ciało z wody. Odwróciłem się do Roba i zapytałem:

– Czy często się to zdarza?

– Codziennie – odparł. – Na początku dnia i później, rano i wieczorem, kiedy foki wypływają z wyspy na żerowanie, a potem kiedy wracają. To jest...

Kolejny rekin wyskoczył z wody. Tym razem w jego szczękach nie było żadnej z naszych przynęt.

– Jak mówiłem – Rob zaczął ponownie z nieco protekcyjnym uśmiechem – to jest coś, co można nazwać pierścieniem śmierci, ciągnącym się sto metrów od wyspy.

Rekiny go patrolują, a foki wiedzą o tym.

Rzeczywiście, z tuzin fok wskoczyło do wody i zgromadziło na linii przyboju. Jednocześnie wszystkie zniknęły. Kilka chwil później pojawiły się ponownie, ale już nie razem, każda oddzielnie, kilkaset metrów dalej w wodzie. Jak sądziłem, poza pierścieniem śmierci.

Nikt nie wie, dlaczego żarłaczki białe wyskakują podczas polowania, a rekiny, które Rodney badał od trzydziestu pięciu lat w Australii, tego nie robiły. Nie mogłem sobie przypomnieć, abym słyszał o populacji żarłaczy białych, które wyskakiwały z wody tak regularnie i gwałtownie. Potwierdzał to doktorant Rocky Strong, który dołączył do nas kilka dni wcześniej, aby zapracować na stypendium Stowarzyszenia National Geographic i badać zachowania żarłaczy białych.

Rocky uznał jednak, że te wyskoki to powód od obaw.

– Każdy nieudany wyskok to ogromny ubytek energii – powiedział. – Kiedy na powierzchni jest za dużo potencjalnych ofiar, to drapieżniki mogłyby przypuszczalnie wykończyć się, atakując je wszystkie, czyli ścigając cienie.

Dwie godziny później, dalej wzdłuż wybrzeża, w Gansbaai, obserwacja rekinów i akcje nurkowania w klatkach miały wiele wspólnego z ekonomią. Podobnie jak w Fałszywej Zatoce, w Gansbaai też była duża kolonia fok blisko brzegu, na wyspie Geysers, a kanał wokół niej stał się znany jako Aleja Rekinów. Ponieważ tutaj woda była nieco płytsza (za mało miejsca, aby się rozpędzić), rekiny zazwyczaj nie wyskakiwały z wody, zamiast tego zdawały się gromadzić.

J.P. Botha, współwłaściciel Marine Dynamics, firmy, która nas przywiozła, powiedział, że większość przewodników to zawodowi rybacy albo poławiacze skorupiaków.

– Niczym się nie różnimy od reszty świata – powiedział. – Zbyt wielu ludzi, za mało ryb. Połowy się skończyły. Turystyka żarłaczy białych – ekoturystyka, jeśli wolisz – jest lepszym interesem niż łowienie ryb.

Ekoturystyka łączy się coraz częściej z awangardą badań. W tych dniach coraz więcej przyrodników, samozwańcych badaczy, przewodników i mistrzów nurkowania, dostarcza praktycznej wiedzy. Podam jeden przykład. Do niedawna naukowcy sądzili, że blizny, które szpecą niemal każdego dorosłego rekina, zostały zadane przez broniące się ofiary albo w ramach rytualnych ugryzień przez potencjalnych partnerów seksualnych. Ale poznaliśmy relację naocznego świadka o agresywnych kontaktach społecznych wśród rekinów, wskazującą, że spotkania

z innymi żarłaczami białymi stanowią dla nich śmiertelne zagrożenie.

Z roku na rok coraz więcej wiemy o tych wspaniałych drapieżnikach. Musimy mieć nadzieję, że nauczymy się dość, aby je uratować, zanim z powodu ignorancji i bez troski doprowadzimy do ich wyćpienia.

Żarłacze białe przetrwały w zasadzie niezmienione przez miliony lat. Tak ewoluowały, że doskonale dostosowały się do środowiska, w jakim żyją. Wyćpienie ich przez człowieka, który pojawił się stosunkowo niedawno na ziemi, będzie czymś więcej niż tragedią ekologiczną; to byłaby moralna farsa.

Dar morza

Peter Benchley dla „National Geographic”, sierpień 2005 roku

Trzydzieści lat temu, gdy weszła na ekrany kinowe filmowa wersja powieści *Szczęki*, mało ludzi (wliczając w to mnie) wiedziało cokolwiek o żarłaczach białych. Przez wiele pokoleń ludzie nauczyli się strachu i nienawiści do rekinów, a ten film dotyczył tego właśnie strachu. O ironio, *Szczęki* rozpały również fascynację rekinami, która niejako wywodziła się z naszego strachu. Przez trzy ostatnie dekady pojawili się liczni zapaleńcy, którzy poświęcili się ratowaniu i ochronie rekinów, a nie ich zabijaniu.

Obecnie wydarzyło się coś, co wcześniej wydawało się niemożliwe. Udało się przez kilka miesięcy utrzymać w niewoli żarłacza białego. W sierpniu 2004 roku bardzo młoda samica wpadła przypadkowo w rybacką sieć koło Huntington Beach w Kalifornii i przebywała w oceanicznej zagrodzie przez dwadzieścia pięć dni. Przeniesiona do akwarium w Zatoce Monterey, rosła w zbiorniku Outer Bay z wodą oceaniczną, mającym pojemność miliona galonów (1 galon = 3,785 litra). Może dlatego, że samica była zbyt młoda, by zrozumieć, iż ogromny zbiornik nie był jej naturalnym środowiskiem, nie waliła łbem w ściany zbiornika, aby z niego wypłynąć, jak to czynili wcześniej jej pobratymcy. I zaczęła od razu odżywiać się łososiami podawanymi jej na tyczce. W kolejnych miesiącach rekin nie odniósł poważnych ran, nie zachorował i znacznie urósł, bijąc wszelkie rekordy w niewoli, ustanowione dla jego gatunku. Wcześniej żarłacz biały wytrzymał w niewoli najdłużej szesnaście dni.

Naukowcy z pełnym zdumieniem zainteresowaniem obserwowali, jak młody rekin reagował na sygnały żywieniowe, i byli zaskoczeni porządkiem hierarchicznym, jaki zapanował wśród tuńczyków, barakud, żółwi i innych rekinów, znajdujących się w zbiorniku. Aż do 23 lutego, kiedy młoda samica zabiła żarłacza szarego. Im była większa, tym agresywniejsza się stawała, i pracownicy akwarium wiedzieli, że nadszedł czas, aby wypuścić ją na wolność.

Dlatego 31 marca, po 198 dniach pobytu w akwarium, samica żarłacza białego z przyczepionym nadajnikiem wpłynęła na wody Pacyfiku. Sam nadajnik został tak zaprojektowany, aby odłączyć się po trzydziestu dniach i 5 maja naukowcy namierzyli

go dwadzieścia pięć mil od Point Arguello na południe od Monterey. Wskazywał potem, że rekin odpłynął sto mil od brzegu i zanurzał się na głębokość prawie 250 metrów.

Naukowcy nadal nie wiedzą wielu rzeczy o rekinach, szczególnie żarłaczach białych, już tak rzadkich, że może grozić im wyginięcie. Ale dzięki nim wiemy, że są niezbędne dla rozwoju życia w oceanach. Usunięcie jednego znaczącego zwierzęcia z morskiego łańcucha pokarmowego stwarza ryzyko zakłócenia równowagi w naturze. Za sprawą zniknięcia szczytowego drapieżnika porządek życia w oceanach może zmienić się w katastrofalny i niewyobrażalny sposób. Przynajmniej z radością myślę o wspaniałym stworzeniu, które wywoływało dreszcze emocji w tłumie widzów zgromadzonych przy akwarium w Zatoce Monterey, że znowu patroluje oceany.

[1] Rekiny w zależności od gatunku posiadają sześć albo siedem par szczelin skrzelowych (przyp. tłum.).